

Blasco Ibanez Vicente

WESOŁA WALENCJA

ROZDZIAŁ I

O trzeciej po południu zjawiała się na rynku donia Manuela w płaszczu opiętym na kształtnym biuscie i opadającym fałdami na długą spódnicę. W urękawicznionej dłoni trzymała książkę do nabożeństwa, na oczy opadała jej cieniutka koronka mantyli.

Za nią postępowała milcząca para służących — stangret i pokojówka. Chłopak był młody, puciołowaty, gładko wygolony. Z widoczną dumą, choć nie bez skrzępowania, obnosił strojną błękitnoczerwoną liberię ze złotymi guzami, szeroką ceratową czapkę i wysokie sznurowane trzewiki. Idąca u jego boku ciemnowłosa, niebrzydka dziewczyna ubrana była na pół z wiejska, na pół z miejska, we włosy, upięte po chłopsku w koronę, zatknęła błyskotki z fałszywych perełek.

Stangret z olbrzymim koszem w ręce i plecionym trzciniowym workiem na plecach wyglądał jak pokorne zwierzę pociągowe, które czeka, aż je objuczą. Dziewczyna niosła na ramieniu pusty jeszcze koszyk z białej trzciny, którego przykrywka podrygiwała przy każdym jej kroku, i zmarszczywszy czoło obserwowała miny zbyt ciekawych przechodniów lub rzucała ukradkowe spojrzenia to na panią, to na stangreta.

Gdy cała trójka wyszła z ulicy na plac targowy, donia Manuela zatrzymała się oszołomiona.

Wielki Boże! Co tu ludzi! Cała Walencja! Rokrocznie tak tutaj bywało w Wigilię Bożego Narodzenia. Na olbrzymim placu targi przeciągały się do późnej nocy, zmieniając się potem w huczną zabawę, w eksplozję hałaśliwej wesołości. Pośród stert jadła i tysiąca smakowitych zapaszków podniecających ludzkie obżarstwo narzucała się myśl o przygotowanych na jutro atrakcjach kuli

narnych. Podłużny plac o zaokrąglonych bokach był jak napęczniały brzuch. Piętrzyły się tam stopy smakołyków. Niby pożywny deszcz miały one zalać stoły, aby nasycić potężne apetyty, gdyż Boże Narodzenie — to gastronomiczne święto, które jest żołądkiem roku.

Donia Manuela stała kilka chwil nieruchomo u wylotu ulicy. Wyglądała, jak gdyby zmieszała ją i zamroczyła rozkrzyczana fala ludzka, lecz w istocie oszołomiły ją tylko własne myśli i wspomnienia. Jak dobrze знаła ten plac! Spędziła tutaj większą część swej młodości. Tu przychodziła w wigilię każdego święta po południu, podczas kiedy rozpalano ogień w jej kuchni, a zawsze z takim uczuciem, jak gdyby po długiej podróży wracała do swojej prawdziwej ojczyzny.

Jakże głęboko wrył się jej w pamięć ten wielki plac! Nawet z zamkniętymi oczami mogła przechadzać się po nim, odnajdując w myśli wszystkie tak dobrze jej znane zakątki.

Stąd na przykład widać kościół Świętego Jana z tarasem o żelaznej balustradzie, z wilgotnymi i ciemnymi suterrenami, zapadniętymi głęboko, niemal do dna fundamentów, gdzie od niepamiętnych czasów gnieźdzą się w swych sklepikach blacharze. Oto znajoma fasada z gładkiego kamienia, wyszczerbiona i obłupana w wielu miejscach; na niej tryptyk z zatartą płaskorzeźbą, dwa portale, szereg okien pod okapem, na wysokości dachu umieszczone kamienne posąжки świętych; w górze, na szczycie, trójgraniasta dzwonnica z trzema galeryjkami i spłóviałym rozbitym zegarem pod ostrą piramidą dachu. Na jego wierzchołku ciężko kołysze się przymocowany do kuli sławny kurek, popularny w Walencji pardalot z rozpostartym niby wachlarz ogonem, i wskazuje kierunek wiatru.

Po przeciwnej stronie na tle błękitnego nieba wznosi się pełnia uroków średniowieczna fasada Giełdy Jedwabiu, obłana pieszczotliwymi promieniami zimowego słońca. Wieża zegarowa, prostokątna, naga i nudna, dzieli budynek na dwa masywy z olbrzymimi oknami w kamiennych obramowaniach; wybite w grubym murze bramy, lejkowato sklepione podsienia o śmiałej linii ostrołuków dają schronienie korowodom dziwacznych figurynek,

wyobrażających ludzi i zwierzęta w najbardziej fantastycznych pozach, stworzonych przez niezdrową wyobraźnię średniowiecznych artystów. Na rogach gmachu anioły w powłóczystych, ciężkich szatach i bizantyjskich diademach puszystymi skrzydłami podtrzymują z widocznym wysiłkiem tarcze z herbem Aragonu i obdrapane wstęgi z

wytartymi, grubymi gotyckimi napisami. U góry, na fryzie, pod rynnami w kształcie zwierzęcych głów, wychylonych drapieźnie w przestrzeń z niesamowitym grymasem niemego śmiechu, widnieją medaliony wyobrażające aragońskich królów w skrzydlatych hełmach, z energicznymi, surowymi profilami brodatych dzikusów. Potężną budowlę, w której nie ociosane bloki kamienia sąsiadują z krągłościami łuków, misternymi dziełami dłuta, otacza zębaty mur ozdobiony królewskimi koronami.

Naprzeciwko Giędzy Jedwabiu stoi ubożuchny budynek teatru Principal, gdzie mieści się na dole szczupła jednostka wartownicza. W bramie uzbrojony wartownik, przechadzając się ze znudzoną miną, wystawionym bagnetem potrąca wolnych od służby żołnierzy, którzy po chudym obiadku pożerają wzrokiem powódź jadła na rynku. Nieco dalej, za skupieniem kolorowych płócien nad straganami, rozciąga się rynek kwiatowy, osłonięty cynkowym dachem; z prawej strony dwa portyki z niskimi kolumnami, pomalowanymi na krzycząco żółty kolor, łączą plac z Nowym Rynkiem.

Po przeciwnej stronie niby starożytna galeria biegnie ulica las Mantas; na niej wielki sklep z odzieżą, w oknach i na balkonach zawieszone dla reklamy sztuki kolorowych materii powiewają na wietrze. Wkoło placu tłoczą się, ciasno przytulone do siebie, gdzieniegdzie przerywane przez uliczki, grupy domów o wąskich fasadach gęsto upstrzonych balkonami. Pod nimi aż roi się od szyldów. Wszystkie parterowe lokale — to sklepiki spożywcze, bławatne, drogerie, handelki z napojami orzeźwiającymi i winiarnie, a nad wejściami do każdego z nich widnieje odpowiedni do nazwy przedsiębiorstwa wizerunek świętego patrona lub okaz popularnego zwierzęcia.

Na tej wielkiej przestrzeni, która służy Walencji jako płuca .

i brzuch równocześnie, w dniu dzisiejszym, w dniu Wigilii Bożego Narodzenia, wrzało jak w ulu i gwar zmieszanych głosów unosił się aż po dachy.

Plac ze starymi straganami w cieniu płóciennych markiz, wydymanych przez byle podmuch wiatru, kąpał się w czerwonym blasku słońca, nadającego przedmiotom przejrzystość karmelu. Krzyki przekupek, lazur nieba bez chmurki i nadmiar światła padającego ognistymi refleksami na mury Giędzy Jedwabiu i na trzciniowe koszyki ogrodniczek, z których unosił się zapach rozdeptanych jarzyn i przedwcześnie wskutek gorąca dojrzałych owoców — wszystko to przypominało jakiś marokański jarmark, z jego charakterystycznym, niespokojnym, rozdygotanym i krzykliwym tłumem kupujących.

Donia Manuela przyglądała się temu z uczuciem głębokiego zadowolenia. Sama siebie karciała za brak dystynkcji, ale... cóż robić! Chociaż tyle pracowała nad sobą i pod wpływem córek starała się nabrać manier wielkiej damy, to jednak zawsze drzemały w niej gusty i nawyki dawnej sklepikarki, która najlepsze lata swojej młodości spędziła na tym rynku. Nawyki te i upodobania, stale powściągane, każdej chwili usiłowały ,dojść do głosu. Ach, dobre to jednak były czasy, kiedy donia Manuela była właścicielką sklepu „Pod Trzema Różami"! A przecież jeśli pieniądze dają szczęście, to chyba najwięcej go zaznała właśnie w ostatnich latach. W tamtych czasach, od chwili gdy wczesnym rankiem rzucała pierwsze spojrzenie na ptaka pardalota z katedry Świętego Jama, cały dzień spędzała pośród sukna i batystu, pośród jedwabiu i płócien zwijanych i rozwijanych na tle miejskiego gwaru.

Donia Manuela zatopiła się we wspomnieniach i stała przez dłuższą chwilę na rogu ulicy, jak gdyby oszołomiona ruchliwym tłumem, z którego padało na nią niejedno lekceważące spojrzenie.

Donia Manuela zbliżała się do pięćdziesiątki, do czego przyznawała się córkom, ale jej wyniosła postać przy dojrzałej pulchności kształtów mogła jeszcze robić wrażenie, zwłaszcza na młodzieńcach, którym wybujałe pragnienia każą podziwiać raczej nadmiar ciała niż nikle wdzięki wysmukłych podlotków.

Matka zużywała nie mniej niż połowę kosmetyków i pudru córek. Dopiero w wieku dojrzałym nauczyła się sztuki powiększania oczu przez podkreślanie ich ciemnymi obwódkami, sztuki

różowania policzków, gdy poczynają one przybierać przykry odcień pigwy, oraz usuwania zdradzieckiego, już nie brzoskwiniowego puszku nad górną wargą i na brodzie, który z czasem przemienia się w straszliwą szczecinkę. Dbiała

o siebie jak panienka, nigdy w młodości nie poświęcała tyle uwagi własnej urodzie. Dla kogo? Nie wiedziała sama. Było to po prostu pragnienie możliwie jak największego oddalenia starości i jej objawów; jak powiadała, nie chciała wyglądać na babkę swoich córek, a przede wszystkim nie chciała się pozbawiać głębokiej satysfakcji, jaką sprawiały rzucane w przejściu komplementy dla jej wyzywającej piękności.

Natomiast służąca pani Marnieli była niewrażliwa na uliczne galanterie. Przyjmowała je z prawdziwie chłopską wzdargą, wyrażającą się skrzywieniem ust: było to oburzenie wieśniaczki cnotliwej i odpornej aż do grubiaństwa. Donia Manuela zdecydowała się wreszcie rzucić w ruchome fale tłumu.

— Chodźmy, Visanteta, szkoda czasu... Nelet, idź przodem.

Mrukliwy Nelet z ponurą miną zaczął się przepychać przez tłum i torując sobie drogę mocnymi łokciami woźnicy, własnym krępym ciałem osłaniał podążające za nim kobiety.

Największy ścisk panował na samym środku jezdni. Tu zderzały się z sobą koszyki i zaczepiały o odzież kupujących, którzy przepychając się wśród straganów wpadali na maszty płóciennych markiz: jeśli ktoś zatrzymywał się i z koszykiem u nóg zaczynał targi z przekupką, niejednokrotnie porywany był przez przyływ fali ludzkiej, brutalnie zalewającej teren. Tylko kilka wozów z jarzynami, sunących leniwie, puło tę rzekę ludzi, tylko gwizdek konnego tramwaju rozdzielał gęsty tłum, bez pośpiechu usuwający się na boki przed zmęczoną szkapą, która ciągnęła lakierowany wóz załadowany aż po brzegi. Na tle zmieszanego i monotonnego gwaru, jaki wytwarzały tysiączne na raz prowadzone rozmowy, wybijały się pokrzykiwania wędrownych sprzedawców. Niektóre z nich brzmiały ostro i zaczepnie jak pisk natrętnych ptaków, inne surowo i ochryple, jak gdyby bez przekonania.

Nad tym nieustającym zgiełkiem przekupniów, wrzaskliwie reklamujących własne towary, górowało kilka nieśmiały, smu

tnych głosów wołających: „pończochy, skarpetki!” Byli to aragońscy chłopci, którzy z nastaniem zimy, jak jaskółki opuszczali zasłane pierwszym śniegiem pola i głodujące w głębokiej prowincji teruelskiej dzieci, aby ulecieć do Walencji z ładunkiem wełny, plonem całorocznej pracy rodziny. Były to cierpliwe i poczciwe, pracowite istoty, które zuchwali walencjanie obdarzają przezwiskiem churro — słowem na poły miłosierdnym, na poły obraźliwym, wyrażającym politowanie i wzdargę. Były to chłopcy barczyste, rozrośnięte w plecach. Ci ludzie, zawsze ujarzmieni, zawsze w nędzy, przechadzali się po placu w swoich ubraniach z surowego płótna, z głową opuszczoną, z chusteczką okręconą wokół skroni i z otwartą na piersiach koszulą. W ich brunatnoczerwonych, brudnych, błyszczących twarzach o gęstych krzaczastych brwiach i sprytnych oczach czaiła się niewinna chytrałość. Nosili zawieszane na ramieniu lub w workach owe grube pończochy z surowej, cuchnącej wełny, tak gęsto tkane, że sztylet by ich nie przebił.

Był to majątek całej rodziny; wypracowały go żona i córki. Robiły te pończochy w słońcu obok pasących się owiec i nocą przy kuchennym piecu, w którym dymiły suche krzewy winorośli. Cały niewyszukany towar, jaki dziś mieli zakupić, to kartofle i chleb. Przejęci nieosiągalnym marzeniem powrotu do domu z tuzinem duros w kieszeni, z trzewikami dla córek i nowym kaftanem dla żony, churros krążą między ludźmi smutni i przybici, rzucając co chwila swój melancholijny okrzyk, który brzmi jak skarga: „Pończosznik sprzedaje pończochy, skarpetki...”

Donię Manuelę zmęczyło chodzenie środkiem rynku. Stożące w punktach sprzedaży fury pełne nawozu, rozgniecione nogami przechodniów jarzyny i gnijące owoce, ów zapach rozgrzanego słońcem rynku zaczął ją przyprawiać o mdłości.

— Wejdźmy na trotuar — powiedziała do służących — najpierw kupimy jarzyny.

Weszli na trotuar przed Giełdą Jedwabiu, przeciskając się wśród gromadki dzieci; z palcami w buzi lub w nosie, przyglądały się z zachwytem, który im dech zapierał, betlejemskim pastuszkom i postaciom Trzech Króli ulepionym z kolorowej glinki, blaszanym ogoniastym gwiazdom, żłobkom z Jezuskiem i innym niezbędnym akcesoriom wigilijnego wieczoru.

Donia Manuela przesuwiała się wąskim szpalerem pomiędzy szeregami zieleniarek siedzących na trzciniowych krzeselkach, z zardzewiałą wagą na kolanach; obok na odwróconych do góry dnem koszykach leżały warzywa. Tu ciemnozielone stopy szpinaku, tam wielkie, fryzowane głowy kapusty, jak blade róże z karbowanego batystu, inspektowa sałata koloru kości słoniowej, ziemiste rzepy o siwych, cienutkich jak włosy, falujących korzonkach, selery z zielonymi fryzurami pierzastych listków, w których ukrywał się jeszcze polny wiatr, wreszcie jaskrawe rzodkiewki czerwieniejące z daleka jak krople krwi na mięszu warzyw. Dalej stał rząd otwartych worków, a w nich kartofle z Aragonu

o błyszczącej skórcie; skurczeni za nimi churros czekali pokornie na klientów, którzy by zechcieli kupić płody ich suchej ziemi pazurami wydzierane w ciągu roku z jej niewdzięcznego łona.

Donia Manuela rozpoczęła zakupy serią zażartych targów, do których przywykła niezależnie od względów oszczędnościowych. Nelet unosił wieko kosza i układał w nim wiązki świeżych jarzyn, podczas gdy jego pani otwierała portmonetkę, aby z pewną odrazą wziąć w zamian z rąk przekupki zabloconą zieleniznę. Zaopatrzeni w warzywa ruszyli dalej. Minęli jezdnię i weszli na drugi chodnik, gdzie w pobliżu Principalu stali sprzedawcy orzechów i kasztanów. Ależ zgiełk! Dawała się we znaki bliskość schodków pod katedrą Świętego Jana, gdzie po ciemnych piwnicach gnieździli się hałaśliwi blacharze. Stamtąd dochodziły ustawiczne odgłosy kucia, zgrzyty i brzęk przekuwanej blachy; przed ciemnymi suterrenami leżały stopy butelek po oliwie, latarki, lichtarze i przykrywki do garnków; błyszczące, nowiutkie i równo ułożone, przypominały woskowaną łuskę kolczugi rzymskich legionistów.

Donia Manuela uciekła przed denerwującym hałasem, ale nie doszedłszy do Principalu musiała nagle przystanąć, wystraszona i zadziwiona niezwykłym widowiskiem. Oto na jezdni kłębili się ludzie; jedni wrzeszczeli wniebogłosy, inni wznosili nieprzystojne okrzyki, mlaskając językiem, jak gdyby podjudzali kąsające się psy. Pani Manuela oszołomiona i zaniepokojona kołysaniem się tłumy, który na nią napierał, nie wiedziała, czy ma uciekać, czy też ulegając ciekawości czekać w miejscu. Co się stało? Czyżby jakaś bójka? Tłum rozstał się i z ciżby wyskoczyło kilkanaście młodych dziewcząt rozczochranych i brudnych. Trzewiki miały

wykrzywione, spódnice opadające niechlujnie. Biegły na oślep, w wyciągniętych przed siebie, jak gdyby przygotowanych do rozbijania przeszkód dłoniach trzymając to parę bawełnianych pończoch, to trzy cytryny, to kilka pęczków pietruszki, grzebyki kieszonkowe i inne drobne artykuły pierwszej potrzeby, które można kupić za kilka centymów na każdym rogu ulicy. Całe to brudne stadko, nędzne i przestraszone, o poblądłych od głodu twarzach, z przerażeniem w oczach — to piraci rynku. Córki parnasów były poza prawem, gdyż nie mogły opłacić miejskich podatków za patent handlowy; gdy dostrzegały z daleka granatowy mundur i czapkę strażnika ze złoconymi galonami, instynktownie piszczały ze strachu i jak stado owiec w przeczuciu niebezpieczeństwa rzucały się do ucieczki nie zważając na nic; rozpychały tłum przechodniów, prześlizgiwały się na czworakach, padały, podnosiły się, wybijały wyrwy w zwartej ciżbie na placu.

Ludzie zaśmiewali się patrząc na tę trzódkę umykającą w galopie przed strażnikiem. Nikt nie wnikał, jakim nieszczęściem była dla każdej z tych istot strata mizernego towaru, jak rozpaczliwie wyglądały powrót do domu bez kilku realów, na które czekała matka, a których brak wyrównywała dobrą porcją batów.

Donia Manuela wodziła wzrokiem za uchodzącą przed prześladowaniem gromadką. Zaśmiała się także, po czym weszła na targ orzechów i kasztanów w poszukiwaniu tych znakomitych leśnych przysmaków, które tradycyjnie raz do roku w okresie Bożego Narodzenia stawały się nieodzowną okrasą każdego stołu.

Stragany ciągnęły się aż pod bramę Principalu; kupujący ocierali się prawie o wartownika i dwóch dyżurnych oficerów, którzy z rękami w kieszeniach płaszczy, z pobrzękiwaniem szabelki przechadzali się wśród tłumy, ścigając wzrokiem ładne dziewczęce twarzyczki.

Dania Manuela przeciskała się z trudem, ostrożnie wymijając stragany, aby nie potrącić rozstawionych koszy, gdzie piętrzyły się piramidy połyskliwych, czekoladowego koloru kasztanów i laskowych orzeszków o cierpkim, leśnym zapachu. Włoskie orzechy spoczywały w workach i klekotały wesoło, ilekroć ręka klienta przebierała je, aby ocenić ich jakość; w głębi targu w małych woreczkach kryła się arystokracja suchych owoców leśnych: słodkie żołędzie, wabiące prawdziwych smakoszy.

Dania Manuela kończyła właśnie zakupy, gdy poczuła na ramieniu przyjacielskie klepięcie.

Za nią stał pan w podeszłym wieku, w cudacznym kapeluszu o czworokątnym denku, według mody z niepamiętnych czasów, jeśli taka moda w ogóle istniała kiedykolwiek. Okryty był zniszczoną peleryną, spod której wyglądał koszyk do zakupów; znad wytartego aksamitnego kołnierza patrzyła okrągła, rumiana twarz. W twarzy tej, poza zmarszczkami, najbardziej uderzały szczeciniaste wąsy i silnie zarysowane łuki siwych brwi, co upodabniało go do malowanych na wachlarzach Chińczyków.

— Juan! — zawołała donia Manuela.

Visanteta szturchnęła znacząco służącego i coś mu szepnęła do ucha. Brat pani domu, don Juan, nie cieszył się miłością rodziny, chociaż traktowano go nie bez szacunku, a nazywano po prostu wujem.

Przenikliwie oczy don Juana niespokojnie biegały w głębokich, otoczonych licznymi zmarszczkami oczodołach. Spuścił wzrok na stojący u nóg Neleta wielki, pełny już kosz i wycedził z tym swoim szyderczym uśmiechem, który, jak powiadała donia Manuela, zawsze burzył w niej krew:

— Robimy zakupy, co? ... Ja także już prawie od godziny kręcę się po rynku. Skaranie boskie, jakie to wszystko drogie! ... Jasna rzecz, że biedni ludzie nie mogą sobie na nic pozwolić. Jeżeli tak zaczynasz, moja droga, to chyba masz zamiar zataszczyć do domu połowę rynku ... Widzę, że kupiłaś także słodkie żółędzie. Ho, ho! to przysmak bogaczy; nie każdy może tyle wydawać. Kupują je tylko ludzie, którzy są przy pieniądzach.

— A ty ich nie kupujesz, co? — odparła donia Manuela z uśmiechem, chociaż nie ukrywała niesmaku, z jakim słuchała słów brata.

— Kto? Ja? Ja się nie daję nabierać.

Mówiąc to spojrział z takim oburzeniem na kupca, jak gdyby był on co najmniej winien zakłócenia spokoju publicznego. Ale pewny siebie prostak stał nieruchomo, z rękami wsuniętymi za szeroki pas i nie dał się sprowokować zaczepnym uwagom starego skąpca.

— Zresztą — ciągnął don Juan — na co mi to? Bezzębni starcy muszą rezygnować z niektórych przyjemności. Dobrze jeszcze,

jak człowiek ma czym opłacić czosnkową zupę ... Ale i ja kupiłem coś niecoś: trochę kasztanów i orzechów, nie dla siebie co prawda, tylko dla Vicenty, która, choć stara, ma jeszcze użębiecie godne zazdrości. Niedużo oczywiście, bo przecie, jak wiesz, niewiele potrzebuję dla siebie i dla służącej. A poza tym wszystko tak strasznie zdrożało, a pieniędzy nie ma ... He, he ...

Staruszek śmiał się z zadowoleniem, jakim napełniało go powtarzanie na wszystkie tony wobec siostry, że jest biednym człowiekiem.

— Dostyc już tego! — odpowiedziała donia Manuela darzącym głosem, nie starając się dłużej ukrywać irytacji. — Za każdym razem, gdy mi opowiadasz o swoim ubóstwie, nie mogę słuchać spokojnie. Brakuje tylko, abyś mnie poprosił o jałmużnę.

— Nie złość się, kobieto! Wcale mi nie zależy na tym, aby ktoś myślał, że jest mi potrzebna jałmużna; jestem co prawda biedny, ale mam jeszcze dość, aby nie umrzeć z głodu. Najważniejsza rzecz to porządek i oszczędność, a gdy człowiek nie stara się wywierać wrażenia, że ma więcej, niż w rzeczywistości posiada — wtedy dobrze mu się powodzi.

Słowa te były wypowiedziane znacząco i podkreślone drwiącym spojrzeniem.

— Ty, Juan, zawsze już pozostaniesz nędzarzem. Ale po co chowasz tyle pieniędzy? Czy masz zamiar zabrać je ze sobą na tamten świat?

— O, nie. Mam zamiar opóźnić, o ile się tylko da, tę podróż, zdążę więc jeszcze przehulać tych kilka groszy, które mam... Nie chcę, żeby ktoś drwił sobie ze mnie po śmierci.

Donia Manuela spoważniała, ale raczej pod wpływem tego, co wyczytała w oczach brata niż pod wrażeniem jego słów. I może dlatego właśnie don Juan zmienił przedmiot rozmowy.

— Co porabia Juanito?

— Siedzi w sklepie. Jeżeli zdążą, zjrzą do niego.

— Powiedz mu, żeby jutro mnie odwiedzał. Chociaż z niego już duży chłopak, ale nie chcę się wyrzec przyjemności dania mu gwiazdki, jak to robiłem wtedy, kiedy był malutki.

Słowa te w ustach starego dźwięczały szczerze i bez drwiny.

— Przyślę także dziewczynki i Rafaela.

— Niech przyjdą — odparł don Juan, a na jego twarzy znowu ukazał się zjadliwy uśmiezek. — Dam im gwiazdkę po pesecie; cóż, biedny wujek na więcej pozwolić sobie nie może.

— Zamilcz, skąpiradło! ... Wstydzę się za ciebie. Ty byś wolał umrzeć z głodu, byle nie wydać grosza... Ale może byś tak przyszedł do nas jutro na obiad?

Uroczysty i serdeczny ton, jakim wypowiedziane zostało to zaproszenie, zrobił na don Juanie większe wrażenie niż ataki siostry sprzed chwili.

— Przyjść? ... Przecież już coś niecoś przygotowałem, nie mogę zresztą obrażać mojej staruszki Vicenty, która wkłada w te święta całą swoją ambicję zamiłowanej kucharki. Bo jak widzisz, ja także poczyniłem wydatki, chociaż jestem niebogaty.

Mówiąc to wskazał palcem na łobuziaka posłańca, który stał nieruchomo w pobliżu, z tłustym kapłonem w ręku. Donia Manuela pogardliwie wydeła wargi.

— Straszne wydatki! To mają być całe zakupy na święta?!... No, no, nie widać, żebyś się zrujnował...

— Nie wszyscy są tak bogaci jak pani, szanowna markizo, i nie każdy może chodzić na targ z dwojgiem służących. Tylko milionerzy bywają tacy rozrzutni.

Tymi złośliwymi słowami don Juan żegnał swoją siostrę, jak gdyby umyślnie pragnął wywołać jej wściekłość.

— Do widzenia, Manuelo, życzę ci obfitych i udanych zakupów.

— Do widzenia, stary skąpcze ...

Oboje okrasili twarze uśmiechem i rozstali się tak, jak gdyby panowały między nimi najserdeczniejsze stosunki.

Pani ruszyła naprzód, przeciskając się między stoiskami z miodem; wokół błyszczących polewanych dzbanów krążyły roje pszczół.

Donia Manuela szła po krętych uliczkach ciasnym przejściem między straganami sąsiadującymi z rynkiem kwiatowym. Tu zebrała się cała arystokracja rynkowa, śmietanka miejskiego handlu; tu w towarzystwie wyniosłych matron przechadzały się piękne dziewczęta o złocistej cerze, z perłami w uszach, w kolorowych jedwabnych chustkach. Donia Manuela ciągle jeszcze robiła zakupy, zatrzymując się przed rzadkimi w tej porze roku nowalijka

mi: dostarcza ich zawsze żyzna i płodna ziemia walenckich ogrodów, która nawet w zimie nie odpoczywa, gdyż klimat tutejszy zamienia w inspekty walencką huertą. Na posłaniu z liści obok pomidorów ułożone były kunsztownie torebki słodkiej papryki, tak jaskrawo czerwonej i polerowanej, że wyglądała na sztuczną, zielona fasolka w świeżutkich strąkach — wszystko to bardzo apetyczne, ale tak drogie, że słysząc ceny poczciwi mieszcianie w wytartych pelerynach, odwiedzający rynek ze względów oszczędnościowych, cofali się zagniewani.

Para służących ugięła się już pod ciężarem zakupionych produktów i z trudem nadązała za panią przebijającą się przez tłum zbity u wejścia na Nowy Rynek, gdzie pod portykami, pomimo słonecznego południa, panował chłód i piwniczna wilgoć.

Monotonny gwar rynku zwłaszcza tutaj wydawał się nie do zniesienia. Niskie sklepienie arkad odbijało i pomnażało głosy kupujących. Odrażający zapach surowego mięsa przenikał powietrze: nad stołami rzeźników zwisały na hakach czerwone mostki i żeberka, wołowe nogi z purpurowym mięsem przy żółtym tłuszczu przypominały barwy narodowe, żałośnie obrane ze skóry i wypatroszone koźleta ze sztywnymi uszami wyglądały jak ofiary okrutnego dla niewiniątek Heroda.

Tymczasem kosze Neleta i Visantety napelniały się po brzegi, a na twarzach ich coraz wyraźniej malował się zły humor. Nie mają końca te zakupy. Torebka donii Manueli wydawała się dzbanem bez dna, obficie zraszającym pesetami cały rynek.

Z hal rzeźniczych weszli na rynek owocowy, wściśnięty między dwa portyki. W przejściach kłębił się tłum i tutaj donia Manuela zdała sobie sprawę, że ktoś depcze jej po piętach. Już dobrą chwilę wydawało jej się, że czyjaś nieśmiała dłoń ślizga się po jej plecach, teraz jednak zuchwalec nabrał odwagi i uszczypnął ją w krągły pośladek.

Odwrociła się nagle i... patrzcie państwo! Jakiś elegancki, niemłody pan z miną świętoszka zabawiał się w taki świński sposób! Donia Manuela tak surowym spojrzeniem obrzuciła starszego pana o dobrodusznym wyglądzie, że niefortunny satyr uważał za stosowne cofnąć się o krok i osłonić twarz rąbkiem peleryny.

Obrażona seniora ruszyła dalej, ale po chwili zatrzymało ją zajście, które wybuchło za jej plecami. Najpierw rozległo się klaśnięcie policzka, po czym Visanteta krzyknęła na całe gardło: „Ty stary świńtuchu!” — powtarzając to zdanie niezliczoną ilość razy z uporem wiejskiego niewiniątka, chcącego przekonać świat o swojej zawziętej cnocie. Ludzie przystawali, zdumieni i zaciekawieni, stangret śmiał się na całe gardło, pokazując wszystkie zęby, staruszek zaś spuścił głowę, jak gdyby sprawa wcale nie jego dotyczyła, i co prędzej wśliznął się dyskretnie w tłum. Wiejska amazonka, która na pierwsze uszczypnięcie starego lubieżnika odpowiedziała uderzeniem w twarz, odczuwała pewien rodzaj dumnego zadowolenia, że jej cnota zwycięsko wytrzymała próbę.

Aby zatuszować skandal, pani kazała jej się natychmiast uciszyć i cała trójka ruszyła dalej. Nelet rozbawiony zdarzeniem, które wniosło trochę humoru w monotonną uroczystość zakupów, raz po raz nagabywał Visantetę, w które miejsce stary ją uszczypnął, i aż ciarki go przechodziły z uciechy, gdy dziewczyna rumieniła się rzucając bez przerwy gniewnie: „bydlak” lub „ordynus”.

Ciągnęli teraz wzdłuż straganów, gdzie pod drewnianymi daszkami leżały stopy sezonowych owoców: jabłka złote i przezroczyste jak z wosku, popielate i pomarszczone gruszki uwiązane na sznurku za ogonki, ułożone w piramidy złociste pomarańcze o miękkiej skórce i słodkim miąższu, orzeźwiający jak miód, a chłodnym jak śnieg. Na samym krańcu rynku, obok kiosku z wagą, stali piekarze za kontuarami sprzedając funtowe bochenki; było tam pieczywo jasne i ciemne, podłużne i okrągłe, ozdobne chałki w kształcie pazich czepków; strzegli tego starzy chłopcy z Elche, w ogromnych kapeluszach, stojąc za gęstwą rozwieszonych jaskrawożółtych kiści daktylowych.

Gdy pani i jej służba wrócili na główny plac, przystanęli przed wejściem na rynek kwiatowy. Uderzył ich oszałamiający zapach heliotropu i fiołków, który dalej gubił się w zaduchu.

Donia Manuela zatrzymała się robiąc w myśli przegląd poczynionych zakupów, aby zorientować się, czego jej jeszcze brak. W pewnej chwili tłum zafalował niespokojnie, tu i ówdzie wybuchały okrzyki i śmiechy. To dziewczęta zajmujące się nielegalnym handlem znów uciekały od prześladowców ku ulicy San Fer

nando i znów stadko rozczochranych nędzarek w brudnych i opadających spódniczkach pocałowało ze smutnym klaskaniem chodaków, roztrącając wszystko po drodze, a ich poblądle z głodu twarze kontrastowały z sytymi, zadowolonymi twarzami kupujących.

Donia Manuela wydała sługom rozkazy. Oboje winni teraz iść do domu, a Nelet z pustym koszem ma powrócić na rynek. Brakło jeszcze indyka, słodkich turrónów i kilku innych rzeczy. Pani poczeka w sklepie.

Wiadomo było, o jaki sklep chodzi, gdyż pod słowem „sklep” w domu donii Manueli rozumiało się wyłącznie magazyn „Pod Trzema Różami”.

Mieścił się on w najruchliwszym punkcie rynku, między przecnicą San Fernando a ulicą las Mantas, i miał charakter obydwu tych arterij handlowych. Sprzedawano tu towary przeznaczone zarówno dla wsi, jak i dla miasta; były tu chusty najrozmaitszego rodzaju i gatunku, chłopskie pasy i jedwabne chusteczki na głowę, na miejskich klientów zaś czekały tanie kretony i droższe od nich muśliny na suknie. Przed ladą wystawały proste, wiejskie dziewczyny obok

skromnych seniorit z miasta — wszystkie kobiety jednakowo przyciągała sława tego sklepu, nie posługującego się żadną reklamą, a znanego z wielkiego wyboru i solidności towarów. Dumą magazynu był napis na szyldzie „Rok założenia ” oraz fakt, który podkreślano na każdym kroku, że na składzie są jedynie towary produkcji krajowej, a nie jakieś tam angielskie czy francuskie materie.

Donia Manuela zatrzymała się przed sklepem i przyjrzała mu się od zewnątrz. Wyblakły szyld „Antonio Cuadros, spadkobierca firmy Garcia Penia” zakrywały zwisające z pierwszego piętra, jak suta kurtyna, towary firmy: chustki o mozaikowych wzorach obszyte skomplikowanej roboty frędzlami lub pomponikami, chłopskie pasy w ciemnych kolorach, których monotonię urozmaicały jaskrawe plamy poprzypinanych szpilkami czerwonych i błękitnych wełnianych czapek katalońskich, całe tuziny białych jedwabnych chustek o barwie kości słoniowej. Drukowane perkaliki cieszyły

oczy chłopskich piękności walenckiej huerty fantastycznymi ptakami i kwitnącymi gałęzmi o nieprawdopodobnych barwach.

Za szybą głównej wystawy pyszniła się chłopka w stroju narodowym, manekin z trzema różami w ręce — symbol sklepu i przedmiot ogólnego podziwu. Manekin patrzył na przechodniów szklanymi oczyma i uśmiechał się do nich woskową twarzą, upstrzoną przez setki muszych pokoleń.

Donia Manuela weszła do sklepu. Prawie nic się tu nie zmieniło, prócz drobnych odnowień wszystko zostało po staremu. Na zniszczonych drewnianych półkach stały rzędy pudełek, na ladzie kłębiły się chmury różnorodnych materii bezlitośnie strąconych na ziemię; wokół tego krzatali się subiekci o natłuszczonych włosach, z nożycami w kieszeni marynarki. Kobiety rozmawiały głośno, jak gdyby były na rynku, i drażniły sprzedawców coraz innymi wymaganiami.

— W tej chwili wracam. Proszę usiąść, pani Manuelo. Powiedział to barczysty mężczyzna ze sterczącymi wąsami; na jego wąskie czoło opadały niesforne, kręcone włosy, a brutalną wysuniętą szczękę nieco łagodził dobronny uśmiech. Mężczyzna ów pokazywał właśnie szaliki dwom kobietom trzymającym za ręce brzuchatego dzieciaka i należało podziwiać anielską cierpliwość sprzedawcy, który z uśmiechem znosił kaprysy klientek, od pół godziny wiodących zażarte targi przy kupnie jakiejś drobnostki, która kosztowała sześć realów.

Donia Manuela z zainteresowaniem obserwowała kupujących i nie odwróciła głowy, gdy ktoś otworzył drzwiczki budki ochrzczonej górnolotnie mianem „biura” i jednym skokiem znalazł się przy ladzie.

— Niech mama siądzie.

Był to Juanito, jej starszy syn, w tym sklepie urodzony i tak silnie z nim związany, że niczym już być nie chciał tylko kupcem, i jak powiadała o nim matka, do niczego innego się nie nadawał. Miał już pewnie około trzydziestki.

Wysokiego wzrostu, chudy i nieco przygarbiony, nosił obfitą, kędzierzawą brodę, która zakrywała mu większą część twarzy i nadawała wygląd mordercy z melodramatu; były to jednak pozory łatwe do zdemaskowania, gdyż zabójczy zarost krył różową, niewinną twarz dziecka o dobrotliwym uśmiechu i nieśmiałym spojrzeniu istoty

zatrzymanej w rozwoju. Mężczyźni tego typu do późnej starości pozostają słabi i ulegli, gdyż brak woli nie pozwala im żyć bez ciepła, jakie dają uczucia rodzinne.

— A, to ty, Juanito... — powitała go donia Manuela. — Co porabiasz?

— Jak zwykle. Właśnie porządkowałem księgę sprzedaży, żeby przygotować materiał do inwentarza, który trzeba wykończyć na pierwszego.

Juanito ze zwykłym zapałem rozprawiał o swojej pracy, co kilka słów powtarzając terminy „debet” i „kredyt”, gdy przerwał mu jego szef, Antonio Cuadros, który po półgodzinnych targach zdołał wreszcie sprzedać szalik dla dzieciaka z wyдутym brzuchem.

— Proszę spocząć, donio Manuelo... Chyba że chce pani wejść na górę do Teresy. Na pewno zrobi jej pani wielką przyjemność.

— Nie, panie Antonio, przyjdę kiedy indziej, dziś mam mało czasu, czekam na Neleta, aby iść z nim po dalsze zakupy.
— Więc ona tu zejdzie panią powitać... Chłopcze, powiedz pani, że przyszła donia Manuela!
Przez ukryte drzwi wciśnięte pomiędzy półki jeden z praktykantów pobiegł na górę ciasnym, ciemnym pasażem wiodącym na ganki i wąskie schody — brudne i cuchnące jak bydłęce trzewia. Taką ciasnotę i zaśmiecenie spotyka się tylko w domach, gdzie potrzeby handlowe i nagromadzenie towarów wydzierają ludziom przestrzeń i krępują ruchy. Wszyscy troje usiedli na krzesłach z polerowanego drzewa. Donia Manuela zaczęła, swoim zwyczajem, mówić o interesach i złych czasach — był to temat, wokół którego nieustannie krążą wszystkie rozmowy kupców. Don Antonio wytoczył arsenał swoich twierdzeń; wskutek ciągłego powtarzania stawały się one komunałami. Oj, złe czasy nastały, a wszystkiemu winien rząd, bo to banda złodziei nie zainteresowanych absolutnie losami kraju. Dawniej można było robić dobre interesy na winie, a i ryż przynosił niezłe dochody. W ogóle — kiedyś opłacało się zajmować handlem... Boże święty. Pomyśleć tylko, ile czarnego, cieniutkiego sukna sprzedano tu mieszkańcom Ribera, ile mantyli i koronkowych chustek zapakowano za tym kontuarem... A za wszystko płaciło się w złocie!... Teraz urodzaje są kiepskie, ludzie nie mają pie

niędzy, kupcy schodzą na psy, coraz częściej słyszy się o bankructwach! On sam wychodzi jeszcze jakoś na swoje, ale jeżeli t o wszystko tak dalej pójdzie, to zaniknie wreszcie sklep, a sam skończy w szpitalu.

— Dobrze mieliśmy czasy, donio Manuelo, kiedy żył jeszcze jego ojciec (tu don Antonio wskazał oczyma Juana), a ja byłem tylko starszym subiektem! Wtedy, chociaż może i nie wypada o tym mówić, rokrocznie kiedy sporządzało się inwentarz, zostawały jakieś dwa, trzy tysiączki duros czystych oszczędności. O, tak... Chociaż może i nie wypada o tym mówić, ale pani trafiła jeszcze na dobre czasy ... Czy nie mam racji, donio Manuelo?

Ale Manuela uśmiechała się tylko w milczeniu. Wszystko to, o czym może i nie wypada mówić, don Antonio powtarzał w kółko przy każdym spotkaniu z żoną swego dawnego pryncypała.

Uchodziło mu to bezkarnie, gdyż donia Manuela, uważając swego byłego podwładnego za skończonego głupca, pozwalała mu się zanudzać.

Podnosząc ruchomą deskę w kontuarze weszła do sklepu małżonka don Antonia, osoba o obfitych, przelewających się kształtach i niezdrowej białej cerze, jaką powoduje beczynne życie w zamknięciu; takie twarze miewają zakonnice. Błade źrenice mówiły o łagodności posuniętej aż do głupoty. Najbardziej znamienne dla tej osoby były silnie natłuszczone, ujęte w siatkę łoki, z których część opadała na czoło, niby zasłona z frędzlami, oraz fałszywe kamienie zdobiące jej splecione na podółku ręce.

Rozległo się głośnie cmokanie, ale mimo pocałunków nierówności we wzajemnych stosunkach obu kobiet dawała się łatwo dostrzec. Manuela nazywała żonę kupca po prostu Teresą, podczas gdy tamta tytułowała matkę Juanita donią i każdym odezwaniem się objawiała pewną unizoność. Ani czas, ani stałe obcowanie ze sobą nie zdołało wymazać wspomnień z lat, kiedy Teresa była służącą w tym sklepie, nie zdołało wymazać z pamięci Manuely skandalu, jaki wywołało w rodzinie pryncypała małżeństwo Teresy ze starszym subiektem firmy. Zresztą zmiana stanowiska społecznego nie wzmogła ani na jotę próżności Teresy: wobec donii Manuely była ona zawsze tylko dawną służącą, która za najwyższy zaszczyt uważała, że seniora traktuje ją jak równą sobie.

— Donio Manuelo, już od dawna mówiliśmy z Antoniem, że trzeba odwiedzić panią i panienki, ale nasze bezustanne zajęcia stały temu na przeszkodzie. Proszę, proszę!... Strasznie się cieszę! Co za niespodzianka!

Tymi kilkoma wykrzyknikami kobiecina wyczerpała zapas frazesów przygotowanych na podobne okoliczności.

Zresztą skrępowana obecnością seniora, starała się mówić jak najmniej, aby nie powiedzieć jakiegoś głupstwa i nie ściągnąć na siebie gniewu męża, na którego patrzyła jak na wzór wykwintu i dobrych manier.

— Jak idą zakupy? — spytał Antonio, aby przerwać zapadłą nagle ciszę. — Żona wyszła dziś rano po sprawunki na święta, ale powiada, że ceny są strasznie wygórowane.

— Ach, lepiej nie mówmy o tym, Antonio. Wydałam na rynku dziesięć duros, a nie kupiłam jeszcze najpotrzebniejszych rzeczy. Czy nie mogłabym prosić przy okazji o zmianę pięćdziesięciu peset?

Milczący dotychczas Juanito, wpatrzony w twarz matki z takim wyrazem, jaki się obserwuje na twarzach zakochanych, zerwał się z miejsca i aby natychmiast spełnić jej życzenie, wyjął z ręki matki banknot i pobiegł do kontuaru.

— Jak on panią kocha, pani Manuelo! — odezwał się kupiec.

— Na dzieci uskarżać się nie mogę. Juanito jest bardzo dobrym synem. A Rafael to moja duma: co za śliczny chłopak!

— Żywy portret ojca, drugiego męża pani.

Uwaga ta najwidoczniej dogodziła seniorze, gdyż przyjęła ją z uśmiechem zadowolenia.

— Mam wrażenie, donio Manuelo, że Rafael przyczynia pani jednak niemało kłopotów.

— Prawda, mam z nim trochę kłopotów, ale cóż... Przecież wiadomo, don Antonio: każdy wiek ma swoje prawa. Dzisiejszej młodzieży potrzeba rozrywek. Dlatego Rafael musi być zawsze elegancki i utrzymywać stosunki w wyższych sferach.

— A jednak on ani się nie uczy, ani nie robi nic pożytecznego — odpowiedział kupiec z nieustępliwością człowieka całkowicie oddanego pracy.

— Ma jeszcze czas na naukę, zdolności wystarczy mu i na to, żeby zostać uczonym. Zresztą jego ojciec był hulaką, a wie pan sam, do czego doszedł.

Donia Manuela powiedziała to z takim przejęciem, jak gdyby podawała się za wdowę po jakimś znakomitym człowieku.

Juan powrócił z garstką srebrnych monet i jego ukazanie się zmieniło temat rozmowy. Donia Manuela opowiadała teraz o prośzonej kolacji, którą wydaje u siebie tego wieczora. Oprócz niej, dziewczynek, Rafaela i Juanita będzie jeszcze kilku przyjaciół Rafaela ... Jednym słowem, zejdzie się gromadka wesołej młodzieży, która potrafi tańczyć, śpiewać i bawić się aż do rannej mszy, nie uwłaczając przyzwoitości. Donia Manuela wyraziła nadzieję, że przyjdzie także Andresito, syn don Antonia. Był to bladek, wypieszczony jedynaczek na drugim roku prawa; pisywał wiersze, a w towarzystwie Juanita często odwiedzał dom donii Manuela w celach tak nieudolnie ukrywanych, że donia Manuela marszczyła się na jego widok z niezadowolenia.

Gdy tylko wymieniła zdawkowo imię Andresita wśród zaproszonych gości, zaczęła się rozwódzić nad zaletami przyjaciół swego syna Rafaela, młodzieńców z wytwornych domów, którzy posiadali umiejętność wesołego spędzania wieczorów.

— Inne teraz czasy, przyjacielu Antonio, nie takie jak za naszej młodości. Dziś dwudziestoltni człowiek już zna życie. Trzeba dać młodym to, co im się należy, choćby nawet rozmaite sknery, w rodzaju mego brata Juana albo i tego poczciwca don Eugenia, pieniły się ze złości. A właśnie, co się dzieje z don Eugeniem?

Człowiek, o którego zapytała donia Manuela, założył niegdyś sklep „Pod Trzema Różami” i nazywał się don Eugenio Garcia. Ów weteran rynku powiadał o sobie, że ciągnie po czterdzieści lat u każdej nogi, chwalił się, że nigdy nie nosił kapelusza, podkreślając z dumą, że wystarcza mu jedwabna mycka, symbol uczciwości, oszczędności i powagi, jakie cechowały dawnych ostrożnych, fachowych kupców.

Z jego rąk sklep przeszedł w ręce pierwszego męża donii Manuli, po czym — w ręce jego obecnego właściciela, don Antonia, który nigdy ani na jeden dzień nie opuścił sklepu, bo po prostu nie rozumiał, jak można żyć z dala od interesu. Kolejni właściciele przyjęli na siebie obowiązek dożywotniego utrzymywania don Eugenia w jego dawnym mieszkaniu. Rezydent pozostał wierny swoim przyzwyczajeniom zgorzkniałego starego kawalera: wychodził i wracał nie mówiąc nikomu ani słowa,

jadał, co mu podawano, w dnie pogodne spacerował po alei w towarzystwie kilku starych księży, a gdy padał deszcz lub wiał silny wiatr, kręcił się po rynku w swojej jedwabnej mycce i granatowej pelerynce i podpierając się długą laską

odwiedzał wszystkie sklepy po kolei. Ucinał rozmówki z weteranami szanownych handelek, a przedmiotem konwersacji bywały przeważnie zalety dawnego kupiectwa.

Na pytanie Manueli don Antonio uśmiechnął się z lekka.

— Don Eugenio? Nie wiem dokładnie, gdzie teraz jest, ale z całą pewnością gdzieś w rynku. W takie dni, jak dzisiejszy, zwykły przyglądać się kupującym; nieraz przez całe godziny wystaje przed straganami i koszami przekupek, nie zważając na ścisk i potrącanie. Pozostał wierny swoim dziwactwom, nigdy nam nie powie, dokąd idzie, a przecież — zresztą może i nie wypada o tym mówić — tutaj cały dom odnosi się do niego z należnym respektem.

Dania Manuela wstała z krzesła, do sklepu wszedł bowiem Nelet z opróżnionym koszykiem.

— Do widzenia. Mam jeszcze dużo sprawunków do załatwienia. Adios, Antonio, buzi, Tereso. A nie zapomnijcie, że dziś wieczorem oczekujemy u nas Andresita. Bądź zdrow, Juanito.

Z dziecięcym zadowoleniem przyjęła Teresa głośnie całusy donii Marnieli i wraz z Juanitem wodziła zakochanym spojrzeniem za postawną seniorą kroczącą pośród tłumu przez rynek.

Znowu zakupy, tym razem nie na rynku, a na ulicy Trench. Przy straganach z drobiem stały przekupki pilnując zabitego ptactwa, wiszącego dziobami ku górze. Grzebień kur i indyków opadały żałośnie, a fałdy żółtego tłuszczu wystawały spod piór jak złociste spódniczki. Z otwartych drzwi wędliniarni wydobywały się ostre zapachy korzennych przypraw, wystawy pyszniły się wiankami suchych kiełbas, ściany pokrywały rzędy wędzonych szynek. U wejścia do składu smalcu pyszniły się girlandy nadziewanych kiszek, a w masach piętrzyły się piramidy białego tłuszczu. Stragany rybackie ukazywały wielkie, płaskie, pokryte warstwą soli suszone dorsze; w górze na haku żółtawie wściekle kopały powietrze, wyciągając spod skorupy węzowe głowy. Leżały pstrokate stosy świeżych tuńczyków i wisiały rzędami ostre, żółtawe rybnie zęby, poszukiwane przez matki dla ząbkujących dzieci.

Danią Manuelę opanowała pasja zakupów. Obiegała wszystkie stragany i niezmordowana w wydawaniu pieniędzy zapełniała dzwigany przez Neleta kosz. Na jego dnie leżał świeżutki mostek cielęcy, wspaniałe kiszki przeznaczone na pantagruelową ucztę wigilijną, autentyczna cieciorzyca z Sanco, zakupiona u wędliniarza z Estremadury — wreszcie tysiąc innych artykułów, dla których zdobycia warto było znosić potrącania i grubiaństwa wygłodzonej hołoty, przygotowującej się widocznie do długiego okresu wyrzeczeń wskutek rosnącej drożyzny.

Ale brak było najważniejszego: indyka, zasadniczego dania pośród gastronomicznych rozkoszy, więc seniora i jej woźnica, popychani przez prąd ludzki, długą bramą podobną do tunelu przeszli na okrągły plac Redondo, nazywany przez walencjan Clot. Ze swoim podwójnym rzędem balkonów przypominał on arenę cyrkową.

Gwar huczącego jak morze tłumu, zamkniętego i zduszonego w tej przestrzeni, przecinało ostre gdakanie przestraszonej kokoszy, gruchanie gołębia, zuchwałie pianie napastliwego kogutazabijaki i monotonne, skrzypiące narzekanie smutnego kaczora, ptaka tak pospolitego, że nawet w godzinie śmierci zdołał wywołać zainteresowanie jedynie wśród ubogich klientów.

Na ziemi leżały ze związanymi nogami indyki, w dusznej i gwarnej atmosferze targowiska tęskniące zapewne za spokojnymi łąkami La Manczy i zapyłonymi drogami, którymi wędrowały po śladach przewodnika. Rozłożone półkolem, poważne w swoich szarych tużurkach, melancholijne jak rada mądrych kardynałów, filozoficznie poruszały zaczerwienionymi koralami, wyrzucając co chwila swoje nudne „klokklok”.

Donia Manuela zaopatrzyła się w produkty najdroższe i najbardziej wyszukane: trzy pary kuropatw w rdzawych żupanach podskakiwały beztrąsko w klatce. Visanteta przyrządził je na dzisiejszą kolację. Zakupiła także olbrzymiego indyka. Wymacawszy dobrze jego tęgie uda, Nelet zakończył oględziny wybuchem głośniego zadowolenia i ruszając w drogę tulił go do piersi z czułością prawie braterską.

A teraz uciekać co prędzej z tego placu Clot, gdzie ludzie potrącali się bez pardonu; o mało co nie podarto pani koronkowej szala. Seniora z Neletem, który strzegł pilnie indyka przed uduszeniem, skierowali się wreszcie z

powrotem na ulicę Trench i w poszukiwaniu słodczy weszli do mieszczącego się w portalu sklepiku po turrón. Kupiec z Jijona ubrany był w czarny sukienny strój, do tego miał aksamitny kapelusz i białą koszulę o szerokim kołnierzu spiętym srebrną kłamarą. Obok niego stała żona o twarzy okrągłej i różowej jak jabłko, z włosami mocno ściągniętymi ku tyłowi i splecionymi w gruby warkocz, który opadał na jaskrawą, kwiecistą chustkę. Na białej ladzie nieskazitelnej czystości stały kolumny pudełek z surowego drzewa: zawierały one kostki turrón u, migdały w cukrze oraz pięknie zakonserwowane, spiczaste winogrona bursztynowej barwy, przejrzyste i błyszczące jak wosk.

Gdy donia Manuela powróciła na rynek, zaczynało się ściemniać, ale tłum wciąż gęstniał. Z wylotów ulic ludzie płynęli na plac, który noc zasiewała tysiącami świateł. Zajaśniały gazowymi lampami wystawy sklepowe, zamożniejsze przekupki zapalały swoje duże, blaszane latarnie, biedne sprzedawczynie jarzyn zadawały się świeczką w kartonowym lichtarzu.

— Patrz, Nelet, jak ładnie!

Seniora chwilę przyglądała się placowi, oczarowana fantastycznymi efektami oryginalnej iluminacji. Spadające gwiazdy migotały nad rynkiem. Manuela, potrącana przez napierający tłum, wróciła do rzeczywistości.

Wychodząc z placu natknęła się znów na gromadkę dziewcząt prześladowanych za nielegalny handel. Teraz już nie biegły. Onieśmielone i przybite szeptały między sobą i z daleka wlokły się za nieszczęśliwą koleżanką, która starając się wyrwać z rąk napastliwego strażnika wrzeszczała wniebogłosy.

Nieszczęsna trzódka przeszła tuż obok donii Manuely z żalonym klaskaniem drewnianych bosaków i seniora nie mogła opanować odruchu wstrętu na widok brudnych rozczochnańców o twarzach posmolonych, ciemnych jak kora. Boże wielki, co też za ludzie bywają! Donia Manuela patrząc na te twarze, powodowana specyficzną asocjacją myśli, przycisnęła

do siebie obiema rękami torebkę z pieniędzmi, jak gdyby ktoś usiłował właśnie ją ograbić.

Przeszukała kieszeń płaszcza — no, naturalnie! Brakło chusteczki do nosa. Podejrzenia jej były słuszne!

W rzeczywistości musiało się to stać na długo przedtem, wówczas kiedy przepychała się wśród tłumu; mimo to seniora rzuciła złe spojrzenie oddalającej się bandzie brudasów, którą pośród gór jadła i ogólnego wesela trawił głód i żal.

Donia Manuela wyduła pogardliwie dolną wargę.

Co za świat! Jeżeli ludzie nie chcą uznać ani religii, ani porządku, ani autorytetu, to rzecz jasna: żadna przyzwoita osoba nie może się pokazać na ulicy bez obawy przed hołotą.

ROZDZIAŁ II

W czasach dawniejszych, choć wcale nie bardzo dawnych, w sklepach i składach walenckiego rynku żyła legenda, która zawsze znajdowała naocznych świadków, mogących poświadczyć każdej chwili jej wiarygodność. Z początkiem zimy pojawiał się na placu stary Aragończyk ciągnąc za sobą, jak bojaźliwe zwierzątko, małego chłopaczka z przestraszoną twarzą. Taki chłopak pasał dotychczas bydłątka po łąkach, póki nagle nie oderwano go od tego nudnego zajęcia i nie przywieziono do Walencji niby po to, aby tutaj „szukał szczęścia”, ale w istocie dlatego, by uwolnić rodzinę od głodnej gęby, nigdy nie mającej dosyć kartofli i twardego chleba.

Chudy muł, który ich tu przywiózł, wyczekiwał w stajni zajazdu „Pod Trzema Koronami” powrotu w górzystą, suchą krainę Teruelu. Ojciec i syn w swoich sukiennych, wytartych ubraniach, wyświeconych na szwach, w chustkach zwiniętych jak wstążka, ciasno opasujących głowę, chodzili po sklepach, zaglądali wszędzie. Mijali jedne drzwi po drugich, skurczeni ze wstydu, że tak się włóczą jak żebracy po prośbie i rozpytują kupców, czy nie potrzeba im chłopca na posyłki.

Gdy udawało się chłopaka umieścić, ojciec całował go kilka razy na pożegnanie i ze łzą w oku szybko odchodził po swego muła, przyrzekając synowi, że niedługo napisze do niego list, już za kilka

miesiący. Jeśli jednak wszędzie dostawali odpowiedź odmowną, jeśli wszystkie sklepy odrzucały oferty, wtedy następowało to, o czym mówi legenda — rzecz nieludzka i prawie nie do wiary.

Wtedy ojciec i syn, oszołomieni zgiełkiem targowiska, potrącani przez tłum, posuwali się niepostrzeżenie, jak gdyby popychani tajemniczą siłą, ku schodom podłużnego budynku Giełdy Jedwabiu, aby wreszcie znaleźć się naprzeciwko fasady sławnej katedry Świętego Jana Męczennika. Oryginalny ptak, sławny walencki pardalot, obracał się majestatycznie wokół swojej osi.

— Patrzaj no, chłopcze, co za ptaszyna... A jak się kręci... — powtarzał ojciec.

Przez ten czas kiedy wiejskie pacholę z zachwytem śledziło cudowne i nieznanne zjawisko, rodzic jego wślizgiwał się w tłum. Podczas gdy chłopak powoli przychodził do siebie, ojciec dosiadał muła i ze spokojnym sumieniem mijał bramę Serranos, bo oto udało mu się wyprowadzić syna na drogę wiodącą do fortuny.

W pewnej chwili chłopak uderzał w bek, biegnąc z miejsca na miejsce w poszukiwaniu ojca. „Znowu ktoś wystrychnął na dudka swojego dzieciaka” — mówili za kontuarami subiekci odgadując, co się stało. Zawsze jednak znalazł się jakiś szlachetny kupiec rodem z tych samych stron, który wspominając początek własnej kariery brał pod opiekę opuszczone dziecko i przygarniał do swego sklepu, chociaż wcale nie potrzebował chłopca na posyłki.

Panująca w domu nędza, gromada dzieci, a przede wszystkim naiwna wiara, że w Walencji czeka chłopca wielki los, usprawiedliwiała częściowo to okrutne porzucanie synów. Dostać się do Walencji znaczyło tyle, co znaleźć drogę do bogactwa, i słowo „Walencja” służyło we wszystkich rozmowach aragońskich biedaków, gdy rodziny zbierały się przy dymiących polanach kominka podczas zimowych śnieżnych nocy. Słowo to pieściło uszy niby nazwa raj, w którym złote i srebrne monety toczą się po bruku i dostępne są dla każdego, kto zechce się po nie schylić. W Walencji bowiem każdy przybysz musi się zбогacić. Temu, kto by w to wątpił, stawiano za przykład najznaczących kupców Walencji. Mogli o tym świadczyć właściciele wielkich magazynów, statków żaglowych i wspaniałych kamienic; wszyscy oni bowiem spędzili dzieciństwo w wioszczynach walenckiej prowincji, pasąc bydło i przymierając głodem. Przesiedleńców, którzy

skończyli swoją karierę i życie w szpitalu, którzy wegetowali jako podrzędni subiekci lub zaciągali się do wojska na Kubę — pod uwagę nie brano.

Na liście dzieci porzuconych przed katedrą Świętego Jana Męczennika figurował na pierwszym miejscu don Eugenio Garcia, założyciel sklepu „Pod Trzema Różami”.

W rozmowie z kupcem chłopskiego pochodzenia nie można było napomknąć o przeszłości, bo zwykle przyjmował to gniewem, po prostu wypierał się wszystkiego. Jeden tylko don Eugenio w podobnych wypadkach ostentacyjnie objawiał zadowolenie, jak gdyby uważał swoje wydzwignięcie się za powód do chwały.

— Nic nikomu nie zawdzięczam! — wykrzykiwał, gdy trzeba było karcieć podwładnych. — Nikt mi nigdy nie pomógł. Moi bliscy zostawili mnie samego na rynku jak psa. A jednak stałem się tym, czym jestem. Chciałbym widzieć was na moim miejscu! Dopiero wtedy zrozumielibyście, co to znaczy cierpieć!

Gdy dochodziło do zapewnień, że nie jest nikomu nic winien, gdy potem powtórzył ze dwanaście razy, że nic nikomu nie zawdzięcza, i przeprowadził porównanie między sobą a bezpańskim psem — don Eugenio uspokajał się. Początki jego kariery były doprawdy trudne. Za czasów praktykanckich głodował nieustannie, subiektem został w okresie, gdy najwyższe zarobki sięgały dwustu pięćdziesięciu peset rocznie, a mimo to odkładał po kilka groszy ze swoich nędznych dochodów, aż wreszcie uciułał tyle, ile trzeba, aby się uniezależnić. Dawni pryncypałowicze, którzy widzieli w nim prawego Aragończyka, z tych, co to i kamień potrafią przemienić w pieniądze, pomogli mu do założenia sklepu „Pod Trzema Różami”. Początkowo był to mały handelek, ale w ciągu dziesięciu lat rozrósł się i przekształcił w najpopularniejszy na rynku magazyn konfekcji i tkanin.

Niepostrzeżenie dla siebie don Eugenio został kronikarzem rynku. Pamiętał wszystkie zmiany, jakie tu zaszły, na tym placu bowiem zaczął swoje życie kupca i z tym placem splecione było jego istnienie. Widział na własne oczy, jak rewolucja powaliła klasztor Magdalenek i Matki Boskiej, jak buntownicy spalili drewniane budynki nowego rynku, obserwował, jak sklepy powiększały swoje drzwi wejściowe i odnawiały wnętrza, jak zwabiały coraz więcej publiczności do wielkich wystaw, pamiętał, kiedy

oświetlające je kaganki oliwne ustąpiły miejsca naftowym lampom, pamiętał, kiedy po nich przyszedł gaz.

Wkrótce po założeniu sklepu, w czasach kiedy pierwsza wojna karlistów trzymała w zawieszeniu losy kraju, don Eugenio zdobył sobie stopniowo przyjaciół. Spędzali razem wolne wieczory przy kontuarze, na którym pyszniła się ogromna, ciężka, czwororamienna lampa oliwna, ulana z czterdziestu funtów brązu.

Co dzień, gdy zapadał zmrok, spotykali się przyjaciele don Eugenia, z których połowę stanowili księża od Świętego Jana. Niezależnie od tego zebrania owe miały charakter klubowy, a więc w tamtych czasach zgoła niebezpieczny. Don Eugenio należał do Milicji Narodowej i chociaż traktował swoje obowiązki wojskowe z bardzo umiarkowanym entuzjazmem, nie przestawał uważać za zaszczyt swej przynależności do trzeciej kompanii „lekkiej artylerii”. Gdy trzeba było, nakładał wysokie czako, obciskał pierś rzemieniami i służył narodowi i wolności. Pełniąc wieczorami straż w gmachu Principalu, latem zajadał melony, a zimą przy kominku zabawiał się w godnym towarzystwie szanownych kupców z rynku, którzy często zapominali o marsowości swoich mundurów i całymi godzinami rozprawiali o fabrykach w Alcoy, o cenie cukru i jedwabiu. Nie mieli zbyt poważnego stosunku do swych obowiązków, więc też od czasu do czasu opuszczali stanowisko, aby zajrzeć do domu.

Na pogawędkach u don Eugenia mówiono o Martinezie de la Rosa i o jego roli w statucie królewskim; byli tacy, którzy zdobywali się na odwagę wynoszenia pod niebo Mendizabala i opowiadali się za wprowadzeniem demokratycznej konstytucji z roku; rzucano złośliwe drwinki przeciwko służalcem, zresztą nie przekraczając granic przyzwoitości. Ilekroć ktoś wspominał nazwisko generała Baldomera Espartero, podchwytywano je, mówiąc o nim w tej specyficznej formie poufałości i szacunku: „don Baldomero”, i wszyscy w religijnym skupieniu słuchali słów don Lucasa, wielbego proboszcza z kościoła Świętego Jana. Ksiądz ten w dwudziestym trzecim roku wyemigrował do Londy

nu jako liberał i wygłaszał wzruszające kazania o nieszczęsnym hrabi Riego, którego porównywał z takimi bohaterami, jak Bravo, Padilla i Maldonado.

Wieczne zebrania u don Eugenia były okazją do rozładowywania niewinnego liberalizmu tego typu rewolucjonistów, którzy pod względem obyczajów i zainteresowań naśladowali swoich nieprzyjaciół i mimo że cierpieli wszelkiego rodzaju prześladowania ze strony dynastii panującej, manifestowali psią wierność koronowanym głowom; Ferdynand VII był dla nich zawsze człowiekiem, który miał złych doradców, Krystyna — świętą osobą, Izabela zaś tylko niewinną dziewczynką.

Zebrania te skupiały wszystkie uczucia don Eugenia i były jego największą radością. Gdy zapalało się światło i w drzwiach ukazywały się sutanny i wysokie czapki wojskowe, ogarniało go uczucie ciepła, jak gdyby znalazł się w gronie kochającej rodziny.

O prawdziwej rodzinie, o tych, którzy go opuścili bez słowa pociechy i współczucia, nie myślał nigdy. Jego rodzice zmarli, ale kuzyni, bracia i siostrzeńcy nie pozwolili mu zapomnieć o rodzinnej wiosce i jej nędzy; osaczyli go ze wszystkich stron, gdy tylko doszła ich wiadomość, że Eugenio zrobił majątek i jest właścicielem sklepu na walenckim rynku. Przybywali małymi grupkami po długiej, skomplikowanej, nieraz wielomiesięcznej podróży, jak banda głodomorów, którzy wszystko pozerają wzrokiem. Bogaty krewny był w ich pojęciu wielką mleczną krową, którą można doić bez końca. Nie miał żony ani dzieci, po cóż mu więc były te bajeczne skarby, które ci nieszczęśni wyobrażali sobie w jego skrytkach. Zjawiali się coraz to nowi petenci, a szorstkie przyjęcie, z jakim się spotykali u kupca nie przyzwyczajonego do hojności, wcale ich nie odstraszało. Zima była ciężka. Kartofle nie obrodziły, koń zachorował, dziewczęta nie miały bucików, grad zniszczył zboże. Po tym przygotowaniu stawiali sprawę jasno: chodzi o dwadzieścia duros, aby przeżyć najcięższy okres, a oprócz tego proszą o sztuczkę perkalu dla dzieci, po czym następowało jeszcze

kilka próśb nie do przyjęcia. Jeśli don Eugenio marszczył brwi i chmurzył się słysząc te żądania, krewniacy protestowali burzliwie, bo przecież wiadomo, jak go wszyscy kochali.

— Umykajcie stąd, spryciarze! — wołał kupiec. — Czy ja wam jestem coś dłużny, że teraz przychodzicie mnie żyłować? Me mam wobec was żadnego długu wdzięczności, chyba że wypada mi dziękować wam za to, żeście mnie zostawili samego pośrodku tego placu.

Trzeba było widzieć święte oburzenie, jakie ten zarzut wywoływał. Na miłość Boską! On się jeszcze skarży! A przecież gdyby go nie byli zostawili, to czy zostałby właścicielem takiego sklepu? Mógł być co najwyżej paść krowy u jakiegoś bogacza. A więc tylko własnej rodzinie zawdzięcza, że stał się tym, kim jest. I chociaż nikt z tych panów petentów nie odważył się głośno twierdzić, że po sprawiedliwości majątek kupca im samym się należy, to zuchwałe żądania i napastliwość aż nadto dawały do zrozumienia, że takie były ich. myśli.

Rezultatem jednej z takich inwazji wandalów w chusteczkach na głowie i krótkich spodniach było przyjęcie do sklepu „Pod Trzema Różami” młodego ucznia. Z czasem don Eugenio przywiązał się do tego chłopca, a przyczyniły się do tego niewątpliwie wspomnienia własnego dzieciństwa. W młodości jego przeglądał się jak w zwierciadle. Chłopak był rodem ze wsi sąsiadującej z jego wsią rodzinną i uchodził wobec innych za krewniaka don Eugenia; rzecz zupełnie prawdopodobna w kraju, gdzie rodziny, żyjąc przez całe wieki na tym samym miejscu, musiały mieszać się z sobą. Uczeń zwracał uwagę żywością usposobienia i zręcznością ruchów.

Gdy przyszedł do sklepu — wynędzniały wiejski chłopak, cuchnący gnójem i kwaśnym twarogiem — wyglądał, jak gdyby właśnie wyszedł z obory. Stara służąca, która zarządzała domem don Eugenia, musiała się uciec do specjalnych maści, aby wypędzić krwiożercze pasożyty z zakurzonej gęstwy włosów piętrzących się nad czołem chłopaka. Po skończonym zabiegu pryncypał oddał malca w ręce starych, doświadczonych subiektów, którzy w jakimś zakamarku magazynu, nie zważając na styczniowy chłód, szczotką, szarym mydłem i zimną wodą wyszorowali nowicjusza z brudu od stóp do głów.

W ten sposób pastuszek z gór Teruelu przemienił się w praktykanta, a że odznaczał się sprytem, dokładnością w robocie i pracowitością, więc według przepowiedni najstarszych subiektów miał przed sobą przyszłość nie lada. Po dwóch tygodniach kaleczył język walencki tak komicznie, że piracownice sklepu śmiały się z niego do rozpuku. Był ogólnie lubiany, co wcale nie zmniejszało ilości pracy, jaką go obarczono. Coraz to z innego kąta dolatywały wołania: Melchior, przynieś to, Melchiorek, zrób tamto. Nie miał ani chwili wolnej.

W wysokich, dobrze oczyszczonych butach, w tandetnie przerobionej marynarce piryncypała, zawsze z odkrytą głową, o kłujących jak gwoździe, sztywnych włosach, z wiecznie odmrożonymi uszami, był Melchiorek najdzielniejszym spośród kupieckich uczniów, jacy kiedykolwiek wychylali się ze sklepu, aby przywołać opornych klientów.

Ów adept kultu Merkurego swobodą swego zachowania i zręcznością, z jaką zawijał paczki, ściągał na siebie złośliwe docinki prawdziwych diabląt, łobuziaków z placu, którzy całymi nieraz godzinami przyglądali się wycackanej osobce kupieckiego praktykanta i piskliwie rzucali obelżywe: churriquo! póki jakiś zniecierpliwiony subiekt nie wybiegł za nimi grożąc drewnianym łokciem.

Mijały lata. Melchior nie spotykał żadnych przeszkód na powolnej i monotonnej drodze, która miała doprowadzić go do kariery kupieckiej. Z czasem przestał liczyć klapsy i szturchańce, jakie obrywał od don Eugenia i starszych subiektów, jeśli przyłapali go na zabawianiu się bąkiem w składzie za sklepem lub wymienianiu resztek tkanin na pieczone orzeszki ziemne. W wolne od pracy niedziele strzelał z procy do gołębi biegając wzdłuż koryta rzeki lub czepiał się bagażnika powozu, a wtedy rozkoszował się bezpłatną przejażdżką, rozwalony jak hrabia, lecz czujny na świst bata każdej chwili grożącego jego twarzy. Z czasem Melchior przestał być w sklepie jucznym bydlątkiem, osiągnął stopień starszego ucznia, aż wreszcie stał się subiektem. Gdy skończył osiemnaście lat, stwierdził, że odmienił się całkowicie, i na przekór swo

im instynktom oszczędnego młodzieńca, stale wzmacnianym rozsądnymi naukami pryncypała, wydał cztery pesety na fotografie, które wysłał tam, do swoich dawnych kolegów-pastuchów, aby zobaczyli, jaki się z niego zrobił prawdziwy pan. Targanie za uszy i bicie drewnianym łokciem jak gdyby wyprostowały jego postać skłoną do garbienia się i charakterystyczną dla ludzi z jego stron; włosy dały się ujarzmić grzebieniem i pomadom; mdłe i mało obfite jedzenie, jakie mu gotowała woźna, powodowało wytworną szczupłość jego kościstej figury. A że miał już teraz swoją roczną, choć niewielką pensję, przestał donaszać stare tużurki don Eugenia i sprawiał sobie dwa ubrania rocznie — za każdym razem namyślając się nad tym długo i poważnie.

Melchior Penia wychodząc z lat młodzieńczych uległ wewnętrznej przemianie. W czasie kiedy nad górną wargą pojawił mu się wąsik, w umyśle pojawiła się skłonność do romantyczności, do wszystkiego, co tajemnicze i nieznanie; obudziła się w nim żądza przygód i niezwykłych przeżyć. Stał się namiętym czytelnikiem powieści. Ile tylko grubych tomów z wystrzępionymi stronicami, obłożonych w tłusty papier ponieważ się po ladach sklepów na rynku — wszystkie docierały do jego rąk, które przyciągały książki jak magnes. Pochłaniał je jednym tchem albo w nocy, po zamknięciu bramy kradnąc godziny snu, albo w ciągu popołudnia, gdy don Eugenio był nieobecny. Melchior siadał wtedy pod ścianą w składzie i czytał przy szarym świetle tego dusznego pomieszczenia, gdzie zapach tkanin mieszał się z ostrą wonią świeżych barwników. Chyba więcej niż dwadzieścia razy czytał Trzech muszkieterów i skutek tej lektury był taki, że uczniowie przyłapali go raz w składzie, gdy owinięty w kolorową płachtę, ze szczotką zamiast miecza, z całą zadzierzystością przybierał w zaimprovizowanej pelerynie poży autentycznego d'Artagnana, zuchowatego i dumnego awanturnika. Potem pasjonował się, jak zresztą cała młodzież tamtych czasów, powieścią Maria, czyli córka rolnika, i mimo że don Eugenio co tydzień wypychał go na rosą, a także pilnował, aby chodził do spowiedzi raz na trzy miesiące, Melchior wciąż zaniedbywał praktyki religijne, a nawet zaczął patrzeć z ukrytą pogardą na spokojniutkich i wesołych proboszczów, którzy przychodzili wieczorami do lokaliku za sklepem, aby zagrać partyjkę wista z pryncypałem. Gdy wpadł mu w ręce

Hrabia Monte Christo, spacerował po składzie z książką w ręku i raz po raz zerkał na półki, uginające się pod sztukami materiałów, z takim wyrazem twarzy, jak gdyby nie patrzył na sukna, perkale i batysty, lecz na skrytki skarbcza, gdzie leżą tony sztab złota i korce brylantów — bogactwa, za które można by kupić na własność cały świat.

Nie mało się zaśmiewał don Eugenio z manii romansowej swojego Melchiora, jak go pieszczotliwie nazywał. On sam nie zajrzał do żadnej książki prócz zeszytu, gdzie podane były kursy peset i miary Katalonii, Aragonii i Kastylii. Początkowo patrzył więc z pewnym szacunkiem na okazywany przez chłopca zapal do czytania. Z czasem jednak stwierdził, że nadmiar przeczytanych powieści rozwinął w nim niezdrową fantazję, więc nie szczędząc drwinek i szyderczych uwag nazwał go don Kichotem, nie dlatego bynajmniej, że stary kupiec znał nieśmiertelne dzieło Cervantesa, ale dlatego, że na górze w jadalnym pokoju don Eugenia wisiała ohydna litografia, na której rycerz z La Manczy leżąc na ziemi, bez koszuli, kłuł nożem skórzane wory z winem.

Rzekomy don Kichot odmierzający tkaniny w ciemnym sklepie „Pod Trzema Różami” miał podobne pomysły. Nieraz don Eugenio witał swego kochanego ucznia w poniedziałek z rana kuksańcem w kark, gdyż po przeżytych w teatrze wrażeniach Melchior wyobrażał sobie, że jest Lagardellem z dramatu Garbaty, i obracając drewnianym łokciem powtarzał scenę z miasta Nevers, zadając nieledwie śmiertelne uderzenia ułożonym na półkach sztukom materiałów.

— Jeżeli będziesz się tak dalej prowadził — krzyczał poczciwy kupiec szczerze oburzony — to cię wyrzucę i... szczęśliwej podróży! Oszukałeś mnie. Nadajesz się na komedianta, a ja nie lubię, jak kto sobie ze mnie żarty stroi. Melchioru, uprzedzam cię po raz ostatni. Pierwszego stycznia zaczynasz piąty rok praktyki i albo ochłodzisz tę gorącą głowę, albo przestanę się tobą interesować. Niech sam diabeł przejmie nad tobą opiekę.

Obok wybujałej wyobraźni musiał mieć Melchior sporą dozę zdrowego, praktycznego zmysłu, bo niewątpliwie dzięki temu zdołał ukrócić w sobie romantyczne ekstrawagancje i chociaż nie porzucił czytania powieści, to jednak zaczął coraz pilniej przykładać się do roboty.

Don Eugenio miał z dawna bliskiego przyjaciela, który codziennie odwiedzał go w sklepie, a że on sam obdarzał Melchiora uczuciem prawie ojcowskim, więc pewnego dnia postanowił połączyć zabiegi człowieka praktycznego z obowiązkami pryncypała.

Ze wszystkich, którzy przychodzili na pogawędki do sklepu „Pod Trzema Różami”, najbardziej szanowanym gościem był don Manuel Fora z powodu swojej solidnej i wielkiej fortuny oraz poważania, jakim się cieszył wśród kupców. Mieszkał w wielkim domu w dzielnicy Escuelas Pias, był jednym z największych producentów jedwabiu i pod jego firmą pracowało ponad dwadzieścia warsztatów, z których wychodziły sztuki pięknego, trwałego jedwabiu w prążki oraz jaskrawe chustki wysyłane do najdalszych prowincji Hiszpanii, a nawet do samej Ameryki, co wzbudzało szczególny respekt wśród kupców starej daty. W młodości don Manuel był nowicjuszem jakiegoś klasztoru, ale w tysiąc osiemset ósmym roku powiesił sutannę na kolcu, aby się bić z Francuzami. Poświęcenie to nie pozbawiło go jednak przydomku Zakonni, pod jakim znali go kupcy i przemysłowcy.

Uchodził za milionera. Był bankierem kupców, którzy znaleźli się w kłopotach. Każdej chwili na prośbę klienta mógł wynieść ze swej alkowy tyle pieniędzy starannie ułożonych w ciężkie rulony, ale kto zażądał. Mimo to nikt nie widywał go inaczej jak w nieśmiertelnych spodniach w kratkę, w grubej flanelowej marynarce, aksamitnej kamizelce i w czapce z szerokim daszkiem.

Był najwierniejszym obrazem skąpstwa przypisywanego zawsze fabrykantom jedwabiu i na rynku opowiadano sobie o nim najdziwniejsze historie. Poranek spędzał w kościele Świętego Jana, gdyż handel nie przeszkadzał mu w spełnianiu obowiązków wobec Kościoła. Miał swoje stałe miejsce w ławce Stowarzyszenia Fabrykantów i tam odszukiwali go ci, którzy pilnie potrzebowali jego pomocy, a nie mieli względu na to, że właśnie słucha drugiej mszy, czy po raz dziesiąty odmawia różaniec.

— Don Manuelu — szeptał petent tonem konspiracji, klękając obok ławki — potrzebuję natychmiast sześciu tysięcy realów.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju! — fukał oburzony fabrykant nie odrywając oczu od ołtarza. — Wy nawet domu bożego nie potraficie uszanować. Niech pan przyjdzie wieczorem.

— Don Manuelu, na miłość boską! Kiedy dzisiaj mam płatność weksla i mój sklep może stracić dobre imię. Zapłacę piętnaście procent! Don Manuelu, niech mnie pan ratuje!

— Proszę odejść!... W tej chwili jestem daleki od spraw tego świata.

— Don Manuelu... dam choćby i dwadzieścia... — stękał ostatkiem sił nieszczęśliwy kupiec.

— Mówiłem, że nie, i koniec. Daj mi pan nareszcie święty spokój!

— Dam dwadzieścia pięć, don Manuelu ... dwadzieścia pięć ... W domu dłużnicy czekają na te pieniądze.

— Proszę odejść, bo zawołam zakrystiana.

— Niech już będzie trzydzieści... Dam wreszcie trzydzieści, tak jak ostatnim razem.

— Robię to w imię miłości Boga — mruczał don Manuel i wzdychał jak cierpiętnik. — Nie dajecie mi nawet chwili na zbawienie duszy. Niech pan czeka na mnie w domu, przyjdę zaraz po różańcu. Wezmę już tych trzydzieści procent, bo pana poważam... Ale Bóg widzi, że ja w ogóle nie lubię tego rodzaju interesów...

Takie właśnie historyjki opowiadano sobie o fabrykancie jedwabiu, a chociaż plotki te zawierały wiele złośliwości jego nieprzyjaciół, to jednak faktem było, że z dochodów, jakie przynosiły warsztaty łącznie z procentami od miłosiernej pomocy udzielanej z ławki kościoła Świętego Jana, rosła fortuna don Manuela, której przypuszczała, a nieznaną wysokość otaczała jego właściciela nimbem szczególnego podziwu.

Fabrykanta jedwabiu łączyła dawna przyjaźń z właścicielem firmy „Pod Trzema Różami” i chodziły słuchy, że przemysłowiec z niewytłumaczonych przyczyn pomagał kupcowi w pierwszych latach jego kariery. Sprzedawane w sklepie jedwabie pochodziły z fabryki don Manuela, co powodowało stałą łączność pomiędzy magazynem don Eugenia a domem w dzielnicy Escuelas Pias; transakcje przeprowadzał Melchior Penia, starszy subiekt, cieszący się całkowitym zaufaniem pryncypała.

To on przychodził do kantoru don Manuela wybierać chustki i jedwabne tkaniny, atłasy i aksamity zamknięte w wielkiej dębowej szafie o skomplikowanym zamku z zeszłego stulecia. To on wchodził do hali na strychu, gdzie przy ogłuszającym terkotaniu

warsztatów śmigaly wrzeczona i pośród kurzu i pajęczyny wydawały na świat wspaniałe, pyszne jedwabie. Wskutek częstych wizyt w domu don Manuela traktowano tam Melchiora niemal jak członka rodziny. Don Manuel był wdowcem z dwojgiem dzieci. Starszy syn, Juan, młodzieniec wyjątkowo pracowity, skrupulatny w interesach i zdolny jak ojciec, gotów był oddać wszystkie siły dla zdobycia pieniędzy. Córka, Manolita, była to dorodna, tęga dziewczucha, która w siedemnastym roku życia wyglądała na rzymską matronę i odznaczała się tak wybitnym brakiem szacunku dla pieniądza, że ojciec nie chciał jej powierzyć zarządzania domem.

Do rodziny Zakonnika należał jeszcze jeden człowiek, ale więzy łączące go z rodziną były tak wątle i problematyczne jak te, które łączą komedię z układem planetarnym. Studiował medycynę, a na fakultecie odznaczał się uzdolnieniami gitarzysty, wesołka, niezmordowanego zbieracza dobrych żartów, przy tym był to zabijaka, jakich mało. Zakonnik, skąpy do ostateczności nawet dla własnych dzieci, czuł wielką słabość do studenta, może wskutek kontrastu, jaki istniał pomiędzy jego własnym surowym i zręcznym usposobieniem a tym tryskającym wesołością pędziwiatrem. Młodzieniec ów był dalekim krewniakiem don Manuela; rodzice mu pomarli. Fabrykant jedwabiu oczarowany żywą inteligencją i sprytem chłopca, którego zresztą sam trzymał do chrztu, postanowił go przygarnąć i uczynił to niesłychane poświęcenie, żełożył na jego wychowanie.

Rafael Pajares był piętą achillesową twardego i ponurego Zakonnika. Wydawało się niepodobieństwem, że zniesie on wszystkie łobuzerstwa zuchwałego studenta, który przewracał dom do góry nogami, napastował służące, opowiadał kawały tkaczom w fabryce, a nawet nie wahał się sprowadzać do siebie kolegów z fakultetu, równie zwariowanych jak on sam, aby korzystając z nieuwagi domowników wypróżnić spiżarnię czy z tamburynem w ręce galopować po schodach i tupać po pokojach starego domu, aż mury się trzęsły. Don Manuel, człowiek niesłychanej oszczędności, skąpy wprost nie do wiary, zżymał się z wściekłości, widząc, w jaki sposób Rafael korzysta z dawanej mu swobody. Gdy sprawiał mu płaszcz, młodzik rozcinał go na pół, aby podarować okrywającą plecy część jakiemu biednemu koledze, a sam pozostawiał sobie przód; po czym spacerowali razem, każdy w swojej połowie płaszcz

cza. Kupić mu elegancki trójrożny kapelusz — już tego samego wieczora urwis wycina na rondzie fantastyczne zęby, aby wyglądało jak jakiś niesamowity grzebień koguci. Upodobał sobie podarte i brudne ubranie i chodził niby jakiś żebrak. Każde nowe szaleństwo pupila wprawiało Zakonnika we wściekłość. Krzyczał wtedy na całe gardło, że to nic innego, jak okradanie go z pieniędzy, i że najlepiej by zrobił, gdyby jakiegoś pięknego dnia kopnął w pewną część ciała bezwstydnego „siostrzeńca” i wypędził go na ulicę. Ale wystarczyło, aby ów zwariowany próżniak popasał się kilkoma zręcznymi żarcikami, i już stary składał broń, a nawet zaczynał zapewniać wszystkich znajomych, że to chłopaczysko ma rzeczywiście nieodparty wdzięk.

Podobny wpływ wywierał Rafael na pozostałych członków rodziny. Syn Zakonnika tolerował go, a to już znaczyło niemało, biorąc pod uwagę zachowanie się młodzieniaszka. Manolita zaś patrzyła w niego jak w tęczę. Ta prostoduszna dziewczyna, którą przyjaciele domu uważali za trochę głupawą, nie знаła nikogo poza bywalcami towarzyskich zebrani w Stowarzyszeniu Kunsztu Jedwabniczego. Gdy przychodziła tam z ojcem, nie odrywała oczu od Rafaela, jak gdyby był on wcieleniem wszystkiego, co niezwykle i romantyczne; oto prawdziwy Don Juan, którego miłość chciały jej wyrwać nieznanne a potężne rywalki.

Kochali się właściwie od dzieciństwa uczuciem nieco dziwnym, niedostrzegalnym dla otoczenia, a pełnym burzliwych nastrojów. Chłopak był lekkomyślny, pusty, prawdziwy pędziwiatr; w każdej dzielnicy miasta miał narzeczoną. Wieczorami wychodził z gitarą, aby wyśpiewywać miłosne serenady. Manolita pod powierzchnością niemądrej i bojaźliwej pobożniśki kryła prawie męski charakter i zdolna była do takich samych wybuchów gniewu i hysterii jak

Zakonnik, kiedy nie udała mu się jakaś transakcja albo dłużnik nie chciał zapłacić długu. Miłość ta obfitowała w częste kłótnie i dąsy, ale wszystko odbywało się cicho, bez wiedzy ojca i brata. Ilekroć się poczuli, student potrafił zwalczyć gniew Manolity już to żarciem, już to uroczą skargą i całą wściekłość dziewczyny rozładowywała się w wybuchu śmiechu.

Czy na takiego łobuza można się długo gniewać? Trzeba by mieć serce z kamienia, aby się nie wzruszyć, kiedy chłopak pory

wa gitarę, wywraca oczy i intonuje płomienny fandanguito z Kadyksu, gdzie każda strofka kończy się melancholijnym refrenem „O smutny Chactas ...” Takie ckliwe piosneczki wyciskały łzy z oczu wszystkich sentymentalnych pańienek owych czasów. Bardzo popularna była również inna piosenka, zaczynająca się od słów:

W mojej piersi płonie ogień miłosny
I ty jedna go możesz ugasić...

Niech będzie, co chce — ona go kocha i kochać nie przestanie, chociaż nieraz cierpi przez niego. Tak, kochała Rafaela, mimo że nosił brudną marynarkę, a twarz zdobił w łobuzerski uśmiech. Widziała w nim bowiem ostatniego trubadura z tych, którzy w owych romantycznych czasach tak niepodzielnie królowali w dziewczęcej wyobraźni.

Melchior Penia często bywał w tym domu i wiedział o wszystkim, co się działo w rodzinie, znał też charakter każdego z jej członków. Don Manuel darzył go sympatią, bo młodzieniec był pracowity, oszczędny i miał to, co się nazywa „żyłką kupiecką”.

Juan, pierworodny syn Zakonnika, uważał go za swego kolegę wprzęgniętego, tak jak on sam, w rydwan nieustannej pracy, w pogoń za centymem. Manolita mówiła o nim, że to miły chłopiec, chociaż nieco prostacki, a Rafael, gorliwy wyznawca próżniactwa, traktował go z góry, protekcyjnie i z odcieniem pogardy, nie zapominał bowiem ani na chwilę o przepaści, jaka dzieli przyszłego luminarza wiedzy od byle subiekta zza kontuaru.

Na tę pogardę Melchior odpowiadał głęboką antypatią. Co prawda nie raniły go zbyt głęboko mrukiwe uwagi studenta, ale rodziła się w nim nienawiść wobec braku szacunku Rafaela dla Manolity. Być pianiem woli takiej kobiety i odpowiadać na jej uczucie niewiernością było w oczach biednego Melchiora grzechem nie do darowania. On sam kochał Manolitę skrycie i staczał wewnętrzne walki. To przyrzekał sobie ujawnić z całą desperacją swoją namiętność, to znów wycofywał się z zuchwałego pomysłu i wpadał w przygnębienie.

Zakochał się w córce Zakonnika bynajmniej nie od pierwszego wejrzenia, jak to się zdarzało bohaterom romansów, które czytywał z takim przejęciem; namiętność jego kształtowała się i rosła stopniowo, wznosiła się ze szczebla na szczebel. Jednego dnia zauważył, że śliczne policzka Manolity pokryte są brzoskwiniowym puszkim, jak najwykwintniejszy aksamit po cztery duros za łokieć. Kiedy indziej zaobserwował, że ma ona oczy „jak rozżarzone węgle”, oczy, jakimi patrzeć musiały na świat bohaterki znanych mu powieści. Pewnego wieczora, przewracając się z boku na bok na swoim wąskim łóżku, pomyślał, że córka don Manuela jest cudownie zbudowana, sądząc z jej „posągowej postaci” — znowu zdanie sto razy wyczytane — a rezultatem tych i tym podobnych obserwacji była spowiedź wobec samego siebie i stwierdzenie, że oto on, Melchior, jest niewolnikiem Manolity i będzie ją kochał „do śmierci”.

Jakież gorące, trwałe uczucie ogarnęło biednego chłopaka! W ciągu dwóch lat, ilekroć w sprawach firmy przychodził do domu Zakonnika, zawsze rzucał czułe spojrzenia swojej wybrance. W nasyconej romansami wyobraźni widział siebie jako bohatera porwania, jako rycerza zabijającego w obronie swojej damy niegodnego studencika oraz popełniającego tysiące głupstw w tym stylu. Tymczasem w rzeczywistości nasz bohater, który czuł się w mocy

dokonania tylu niezwykłych czynów, gdy znalazł się w obliczu ubóstwianej, trząsł się ze strachu jak dziecko i milczał uparcie, a wszystkie uroczyste oświadczenia, wymyślone i wyuczone, więzły mu w gardle.

Wreszcie Manolita dowiedziała się, że Melchior ją kocha, a stało się to za pośrednictwem listu, w którym stylem bohaterów analogicznych oświadczyń porównywał swoje serce do dymiącego Wezuwiusza. List zaczynał się utartymi zdaniem: „Szanowna seniorito! Od chwili gdy panią ujrzałem itd.”, a kończył się: „Niech pani wybawi od męki moje serce śmiertelnie zranione”.

Manolita odpowiedziała na oświadczyń subiekta drwinami, nie znaczy to jednak, że przyjęła je z niewdzięcznym sercem, bo jak każdej kobiecie, pochlebiała jej świadomość, że jest kochana. Nie wspomniała jednak nic ani rodzinie, ani Rafaelowi.

Cierpliwość Melchiora była niezachwiana. Pewnego dnia Manolita przypomniała mu jego oświadczyń i przyjęła je.

Oto córka Zakonnika dała się unieść gwałtowności swego charakteru: wybuch nastąpił zresztą skutkiem nie byle jakiej przyczyny, stało się to bezpośrednio po ukończeniu studiów przez Rafaela, który porzucił uroczyście studenckie szaleństwo, nakładając toż doktorskiej powagi, a Manuela czekała z godziny na godzinę, aż wielbiciel oświadczy się ojcu o jej rękę. Tymczasem jakaś przyjazna dusza uznała za stosowne zawiadomić ją, że niegodny narzeczony przestał ograniczać niewierność do wieczornych serenad pod oknami partnerek swoich chwilowych flirtów i miłostek, i nawiązał jakiś „stosunek” o trwałym charakterze w dzielnicy Carmen. Krążyły plotki, że wchodziło już w grę i dziecko.

Manolita była osobą energiczną i zbuntowała się na wiadomość o nowych dowodach niewierności Rafaela. Nie, tym razem mu nie przebaczy, choćby ją o to prosił na klęczkach i cały rok wyśpiewywał swoje miłosne piosenki.

Zapagnęła zemścić się, zgnębić tego łotra bez czci i wiary, choćby i za cenę własnego cierpienia, a najlepszą drogą wydało jej się przyjęcie oświadczyń uwielbiającego ją subiekta. Małżeństwo doszło do skutku bardzo prędko.

Don Eugenio był już stary i chciał jak najprędzej przekazać sklep „Pod Trzema Różami” ulubionemu zastępcy i podwładnemu; podjął się też osobiście wyłuszczyć jego sprawę Zakonnikowi. Fabrykant miał zresztą powody, aby chcieć możliwie szybko wydać z domu córkę, która nie znała wartości pieniądza i, zdaniem ojca, zbyt wiele wydawała na stroje. Narzeczony nie żądał ani grosza posagu, więc termin ślubu wyznaczono natychmiast i po trzech miesiącach pani Melchiorowa Penia zajęła triumfalnie znany w rynku sklep.

Minęło siedem lat. Jedynym owocem tego małżeństwa był synek Juanito, któremu dano imię chrzestnego ojca, brata Manolity, a raczej donii Manueli, gdyż po macierzyństwie jej wspaniała postawa przyoblekła się w majestat godnej i szanownej matrony.

Mąż, na którego zdecydowała się w wybuchu gniewu, jeśli nie potrafił zdobyć jej miłości, to w każdym razie w pełni zasługiwał na najtkliwsze uczucia wdzięczności i przywiązania. Melchior wstawał o świcie, troskliwie okrywał żonę kołdrą prosząc, aby nie wstawiała przed dziewięcią, i odchodził do sklepu, gdzie doglądał porannej pracy subiektów.

Wracał na obiad, bawił się z synkiem, śmiał się z jego szczebiotu, razem z nam raczkował po ziemi i ze

by zadowolić wszystkie kaprysy tego zabawnego stworzonka, które już potrafiło cały dom przewrócić do góry nogami, udawał głosy zwierząt. Jadł, co mu podsuwano, wszystko, co czyniła żona, uznawał za doskonałe, a wyleczony całkowicie z romantycznej manii, nie myślał o niczym, co nie dotyczyło interesów i sposobów zdobycia majątku, gdyż chciał zadowalać wysokie aspiracje małżonki.

Donia Manuela nie marzyła nawet nigdy o takiej swobodzie, jaka stała się teraz jej udziałem. Wychodziła, kiedy miała ochotę, a do sklepu zaglądała tylko czasem dla rozrywki, aby obejrzeć nowe twarze i porozmawiać z ludźmi. Była absolutną władczynią wszystkich pieniędzy i prawdziwą panią domu, ku wielkiemu zresztą niezadowoleniu don Eugenia i skąpca Zakonnika.

— Nie znasz mojej córki — karcił zięcia fabrykant — jeśli nie zmienisz metody postępowania, będzie niedobrze. Z Manolită trzeba się obchodzić surowo, a przede wszystkim nie dawać jej ani grosza do ręki. Jak wszystkie kobiety,

potrafiłaby roztrwonić całe kopalnie złota na szmatki i wstążki. Wierz mi, znam dobrze tę trzodę. Kobiety należy traktować w sposób zdecydowany i nieustępliwy: z chlebem w jednej ręce, z batem w drugiej. Ale Melchior zaśmiewał się z brutalnych metod teścia. Czyż sklep ich nie prosperował świetnie? Czyż roczne rachunki nie wykazywały stałego wzrostu dochodów? Dlaczego więc miałby czegokolwiek odmawiać żonie, w której był coraz bardziej zakochany, chyba skutkiem tego, że na jego pieszczoty odpowiadała zaledwie chłodnym przyzwoleniem. Faktem jest, że pomimo znakomitego prosperowania sklepu nie mógł zdobyć wiele z powodu rozrzutności małżonki; jednakże usprawiedliwiał biedaczkę. Jej młodość spędzona u boku surowego i skąpego ojca była bardzo przykra, mąż rozumiał ponadto, że panna jej pokroju mogła przecież marzyć o wspanialszej karierze niż los sklepikarki, należało się jej więc jakieś zadośćuczynienie. Manola w pełni wykorzystywała pobłażliwość czulego męża i szastała pieniędzmi w tak widoczny dla wszystkich sposób, że wywoływała żywe zgorszenie wśród poczciwych mieszczan walenckiego rynku. Śledziła modę i stosowała się do niej z całą skrupulatnością, co pociągało za sobą niemałe koszty, a prócz tego od czasu do czasu czyniła jakieś szaleńcze wydatki jedynie po to,

„żeby zrobić im na złość”, jak powiadała mając na myśli zrzędę don Eugenia i ojca sknerę. Życie dawało jej aż nadto powodów do szczęścia, miała jednak dwa kłopoty, które ją zasmucały: po pierwsze — musiała chodzić pieszo po ulicach, co było, jej zdaniem, objawem biedy i przynależności do sfer niższych, po drugie — miała nieokrzesanego męża. We wszystkim, co robił Melchior, czuło się rażący brak oglądy towarzyskiej — czy to w sposobie ubierania się, czy choćby w łatwości nawiązywania rozmowy ze sprzątaczkami, z którymi nieraz żartował; bo sklepikarz z racji swego zawodu przywyka do niewybrednych komplementów, rzucanych spoza kontuaru każdej wchodzącej do sklepu wieśniaczce, i w końcu na widok jakiegokolwiek młodej dziewczyny nie potrafi już się powstrzymać od niewinnego hołdu w formie pochlebnej uwagi. Pomimo nienajlepszej opinii o mężu, donia Manuela była kobietą uczciwą. A właśnie kuzyn Rafael zaczynał zdobywać rozgłos, gazety pisały o nim jako o uzdolnionym lekarzu. Rafael z właściwym sobie zuchwalstwem kilkakrotnie próbował nawiązać z rodziną przyjacielskie stosunki, mające na celu bliższą poufałość z panią domu, ale Manuela była mściwa: nic nie mogło zatrzeć w jej pamięci zdrady kochanka i za każdym razem, gdy się spotkali, przyjmowała go lodowato i nie szczędziła drwin. Mimo to donia Manuela nie zapuszczała się w rozpamiętywanie (minionych uczuć, obawiała się bowiem, że drzemie w niej jeszcze jakiś sentyment do tego człowieka. Pewnego dnia umarł nagle Zakonnik rażony apopleksją na wieść o tym, że skutkiem bankructwa jednego z dłużników stracił ponad dwadzieścia tysięcy duros. W ostatnich latach jego życia interesy szły marnie. Francuska konkurencja rujnowała przemysł jedwabniczy: fabryczki, których produkcja oparta była o staroświeckie warsztaty, będące w ciągu całego stulecia podstawą przodującego przemysłu Walencji, dziś (zamykały się jedna po drugiej. Pomimo zdrowego rozsądku i sprytu handlowego don Manuel trzymał się uparcie myśli, że należy toczyć walkę z konkurencją zagraniczną, wreszcie poniósł wielkie straty i zamarł ze zgryzoty, nie doczekawszy chwili, w której musiałby ulec w obliczu całkowitej ruiny. Każde z dzieci Zakonnika odziedziczyło około sześćdziesięciu tysięcy duros w gotówce, towarach i nieruchomościach. Podczas

gdy starszy syn zatrzymał dla siebie dom ojcowski i zadowolony ze swojej sytuacji postanowił poświęcić się pomnożeniu dziedzictwa, Manuela, gdy tylko poczuła się bogata, natychmiast pomyślała o wyzwoleniu się z gnębiącej ją pozycji żony sprzedawcy. Według niej społeczeństwo dzieliło się na dwie kategorie: jedni chodzą pieszo, inni jeżdżą powozem. Są ludzie, którzy mają w swoim domu wielkie patio z szeroką bramą, a są tacy, którzy wspinają się po wąskich schodach tylnym wejściem z. oficyny.

Pragnęła wydostać się z klasy pariasów, których losem była praca, aby awansować do klasy ludzi dystygowanych. Dlatego lakonicznie, tonem nie znoszącym sprzeciwu, jako absolutna władczyni domu podała mężowi do wiadomości plany życiowe na przyszłość. Właśnie starszy subiekt, Antonio Cuadros, ożenił się z ich służącą, Teresą, i ma zamiar urządzić się za uzbierane oszczędności; niechże więc on zatrzyma sklep wraz z don Eugeniem, który uczepił się tego sklepu jak ślimak — skały. Antonio spłaci stopniowo sumę, jaka im się należy tytułem udziału w interesie, będą więc mogli nareszcie rozwinąć skrzydła i natychmiast uwiją sobie nowe gniazdko we własnym okazałym domu w pobliżu rynku. Będą mieli tu rzeczywiście wspańiałą rezydencję: dom ma wielką bramę wejściową, wiodącą do dużego patio, zaopatrzonego w wygodne stajnie, na wyższym piętrze są piękne pokoje sypialne. Nieruchomość tę zdobył nieboszczyk Zakonnik tanim kosztem: był to rezultat pożyczki, jaką na lichwiarski procent zaciągnął u fabrykanta pewien zrujnowany książę krwi.

Wszystko stało się tak, jak chciała donia Manuela, i już w kilka dni po urzeczywistnieniu tych planów cała sześćioletnia egzystencja, związana ze sklepem na rynku, zaczęła jej się wydawać snem. Czuła się teraz w pełni szczęśliwa. Mogła jeździć na spacer w aleje kareta i miała do posług osobistych lokaja, którego wysyłała z bilecikami do nowych przyjaciółek, żon dygnitarzy i oficerów; jako osoba posiadająca znaczny majątek, traktowała te panie nieco z wysoka.

Jedyna rzecz, która rzucała cień na jej szczęście, to dziwaczne usposobienie męża. Biedny Melchior! Bogactwo ciążyło mu jak przestępstwo, a próżniacze życie, ograniczające się do towarzyszenia żonie na spacerach i ceremonialnych wizyt, wydawało mu się piekłem.

Od samego rana musiał wkładać wizytowy żakiet i cylinder, aby być gotowym do ukazania się u boku pani; wysłuchiwał przy tym nieustannych narzekań na temat nieumiejętności zachowania się w towarzystwie. Siedział bowiem nie otwierając ust, a jeśli wreszcie je otwierał, to było jeszcze gorzej, gdyż mówił jakieś żalosne głupstwa lub dopuszczał się prostackiej szczeroci, która natychmiast demaskowała jego niskie pochodzenie i... o męko! Manolita nie pozwalała mu ani na chwilę zdjąć rękawiczek, chciała nawet, aby w nich jadał. Powinien — mówiła — stopniowo przyswajać sobie obyczaje eleganckich ludzi. Ach! te poranne spacerki po alei Alameda... Boże drogi, jakże mu było wstyd. Manolita zabiegała o wpływowo przyjaźnie, każda urzędowa lub znana osobistość przechodząc obok ich karety musiała zwrócić uwagę na Melchiora schylonego w tak głębokim ukłonie, że niemal zamiatał podłogę kapeluszem. Oblewał się rumieńcem za każdym razem, gdy owe osobistości gestem zdziwienia witały ten ceremonialny ukłon nieznanego dziwaka. Czuł się jak nie w swojej skórze, gdy go tak oglądano niby zamorskiego ptaka, ale bał się Manolity, która każde nieposłuszeństwo karała natychmiast gniewnym uszczypnięciem. Biedny Melchior. Drogo płacił za to, że został mężem kobiety pięknej i bogatej. Stale zmuszała go do przebywania w towarzystwie osób, z którymi nic go nie łączyło, a zwracała się do niego jedynie z pretensjami i wyrzutami. Ulgę i odprężenie znajdował tylko wśród dawnych przyjaciół z rynku, dokąd uciekał, kiedy znajdował się w stanie zupełnego wyczerpania nerwowego.

Zewnątrz pan Penia wyglądał na zadowolonego ze swojej nowej pozycji społecznej. Kochał Manolitę i nie odsłaniał przed nikim prawdy o jej usposobieniu, ale przed chytrym don Eugeniem nic nie dało się ukryć.

— Nas, chłopcze, nie oszukasz. Nie jesteś szczęśliwy... wiem o tym, choćbyś mi sto razy przysięgał, że jest inaczej. Ty masz w sobie kupiecką krew, tak jak ja. Kto takich, jak my, wyciąga z kontuaru, aby odebrać nam nasze zajęcie, zabija nas po prostu. Teraz jesteś bogaty, wstajesz późno i rozjeżdżasz się powozami, ale wiem na pewno, że nieraz żałujesz tych czasów, kiedy przychodziłeś do sklepu o szóstej z rana i zamiatając podłogę ucinaleś wesołe rozmówki ze służącymi, które szły po zakupy. Ja rozumiem cię

dobrze... Ach, ta Manolita. W tych dniach rozmawiałem z jej bratem. Ona cię zamęczy, wpędzi do grobu. Nie dla ciebie takie życie ... W nowej klatce — ptak umiera.

Takie ponure przepowiednie, wypowiedane z istic aragońską, brutalną szczerością, rozstrajały nieszczęsnego Melchiora; przepowiednie te zresztą spełniały się stopniowo.

Don Melchior wyraźnie cierpiał. Wraz z rumieńcami znikał też i jego dobry humor; niezdrowa, nalana otyłość rozpulchniała jego ciało. Nareszcie w rok po odstąpieniu sklepu zmarł wskutek jakiejś nie rozpoznanej przez lekarzy choroby. Podobno dolegała mu wątroba, a także serce i żołądek; co do tego lekarze nie byli zgodni — jedno jest pewne, że zgasł tak smutnie i cicho jak owe ptaszki, które zdradziecki potrzask wrywa przestrzeni i zamyka do klatki. Żałoba donii Marnieli była krzyżująca i wystawna. Setki mszy za duszę męża, pogrzeb przy wielkiej orkiestrze, hojne jałmużny, a także lzy i żale, którym umiał na szczęście położyć kres tryskający dowcipem Rafael Pajares. Jako lekarz cieszący się sławą, został on wezwany do łoża chorego na kilka dni przed jego śmiercią, co wzmogło jeszcze smutek i przygnębienie umierającego.

Donia Manuela zdawała sobie sprawę, że obecność w jej domu dawnego narzeczonego w pierwszych dniach jej wdowieństwa to fakt co najmniej nie na miejscu. Ale Rafael był przecież jej dalekim kuzynem, a przy tym taką czułością otaczał osieroconego Juanita, tak potrafił zabawić maleństwo, że dzieciak nie puszczał od siebie na krok kochanego wuja Rafaela.

Najbardziej zżymał się na te wizyty don Juan, ów przykry i ponury brat Manueli, zresztą człowiek niezachwianej prawości. Rodzinna krytyka bywała jednak przyjmowana cierpko, więc dał za wygraną i przysiągł, że jego noga nie postanie więcej w domu siostry.

Panem sytuacji został lekarz. Był tak uprzejmy, że aby zabawić małego krewniaka, nie wahał się naruszać swojej godności zawodowej i służące słyszały dochodzące z salonu dźwięki gitary i głos don Rafaela śpiewającego piosneczkę z dawnych dobrych, studenckich czasów. Początkowo składał wdowie wizyty jedynie po południu, potem spotkania stopniowo się przedłużały, wreszcie nie wychodził przed północą. Aż pewnego dnia przyszedł i już pozostał.

Don Eugenio i don Juan wspominali, zgorszeni, słowa Zakonnika, który słusznie charakteryzował swoją córunię, a chociaż żaden z nich nie lubił lekarza, z pewnym zadowoleniem przyjęli wiadomość, że wdowa i jej krewniak pobiorą się po upływie czasu wymaganego przepisami.

Po trzech latach małżeństwa urodziła im się córka, Conchita, w rok później chłopak, któremu dali na imię Rafael, wreszcie przyszła Amparito, ostatni owoc burzliwej miłości, która po swoim płomiennym okresie miała nagle zagasnąć.

Kiedy już to się stało, don Juanowi, mimo że do siostry nienawiści nie czuł, nieszczęścia jej — niewątpliwe skutki lekkomyślności — sprawiały jednak wyraźną satysfakcję.

Kuzyn Rafael, namiętny amator zabaw i użycia, wychowany w atmosferze skąpstwa i zmuszany do wyrzeczeń, gdy poczuł się panem fortuny własnej żony, rzucił się bez lęku w wir zabaw sycąc bez skrępowań swoje zachcianki. Zakochana bez pamięci Manuela uczyniła go panem domu, władcą absolutnym i wkrótce zaczęła jej się dawać we, znaki męzowska tyrania.

Rozrzutny bez granic, gdy chodziło o własne przyjemności i kaprysy, a zajadły sknera, gdy w grę wchodziły potrzeby innych, był Rafael egoistą aż do brutalności. Arystokratyczne gusty żony uznał za śmieszne, więc przekreślił je bez dyskusji. Sprzedał powóz i konie, a donia Manuela, w sprawach reprezentacji tak wymagająca w stosunku do pierwszego męża, ustąpiła pokornie i bez szemrania żądaniom drugiego. Nie wiedziała, że ten człowiek tak skąpy, gdy chodziło o potrzeby domu, pod płaszczykiem hipokryzji prowadził hulaszczcze życie poza domem i realizując marzenia młodości — wyrzucał pieniądze garściami.

Zaślepienie małżonki trwało przez kilka lat. Gdy dowiedziała się całej prawdy, wezbrało w niej oburzenie i zrodził się odruch buntu, jak w dniu, w którym przyrzekła! rękę Melchiorowi — ale już było za późno.

Doktor oddawał się hazardowi, przegrywał tysiące duros, miewał kosztowne utrzymanki, z którymi pokazywał się ostentacyjnie po całej Hiszpanii w towarzystwie, podobnych jak on, hulaków. Majątek donii Manueli topniał. Mąż, wykorzystując chwile miłosnych uniesień, wyłudzał od niej podpisy na wekslach, które później musiała płacić pod groźbą licytacji. Aby — jak twierdziła

— doprowadzić męża do przytomności, powracała do dawnego stylu życia, utrzymywała pozory bogactwa, choć go już nie posiadała. i na własną ręką zaciągała długi. W przededniu ruiny, wiedzona fałszywym wstydem, zamiast sprzedać ziemię i wypłynąć na powierzchnię, wołała obciążyć majątek hipoteką i szukać zbawienia u lichwiarzy zapożyczając się na zabójczo wysokie procenty.

Na szczęście hulaszcze życie doktora odbiło się w jego organizmie niezliczoną ilością cierpień i chorób, tak że wreszcie zmarł w momencie, gdy żona, gnębiona niewiernością i rozrzutnością wykolejeńca, postanowiła odejść od niego na zawsze, choć jeszcze nie czuła doń nienawiści.

Śmierć kuzyna Rafaela sprowadziła do domu pani Manueli brata Juana, który mimo wszystko podjął się uporządkować jej interesy. Wiedziony zdrowym instynktem człowieka praktycznego starał się doprowadzić do ładu jej grząskie sprawy majątkowe; sprzedał folwarki, oczyścił hipoteki, spłacił lichwiarzy ku wielkiemu żalowi tych hien pragnących wyssać z klienta ostatnią kroplę krwi — wreszcie pewnego dnia oświadczył siostrze:

— Moja droga, w tej chwili mająteczek, jaki ci pozostał, jest zdrowy i wolny od długów, ale pamiętaj, że bogata już nie jesteś. Masz dwadzieścia tysięcy duros plus osiem tysięcy, które są własnością Juanita, jako dziedzictwo po ojcu. A więc — koniec szaleństwu. Teraz masz dbać o porządek i oszczędność, aby żyć spokojnie. Na mnie nie licz, jeśli znowu wpadniesz w tarapaty. Gdybyś była uboga, pomógłbym ci, ale na życie masz dosyć, a ja nie lubię popierać utracjuszostwa. Skończyły się powoziki i inne kosztowne sposoby, którymi się daje do zarumienia, że się posiada więcej, niż się ma. Przyzwoite i godne życie — to regularne i umiarkowane wydatki uzależnione ściśle od dochodów. Jeśli człowiek mając w kieszeni nie więcej niż kilka miedziaków stara się uchodzić za bogacza, do którego można by odnieść słowa popularnej piosenki o „kurze z ryżem i powoziku” — to jest śmiesznym fanfaronem... Rozumiesz mnie? Taki człowiek okrywa się śmiesznością.

Wywody brata zrobiły wrażenie na donii Manueli i przez długi czas stosowała się jak najskrupulatniej do jego wskazówek i rad.

Postanowiła poświęcić się wychowaniu dzieci, ściśle mówiąc, dzieci z drugiego małżeństwa, gdyż biednego Juanita matka zawsze traktowała z fałszywą serdecznością, z nie dość ukrywanym chłodem, jak gdyby chciała mścić się na niewinnym dziecku za to, że należała kiedyś do jego nieboszczyka ojca.

Dziwna to była kobieta. O swoim wiernym, czułym mężu ledwie czasem wspomniała, jak gdyby ich pożycie trwałoby kilka dni, po śmierci zaś nicponia, który jej tyle cierpień przyczynił, stworzyła sobie jego wyidealizowany obraz i chętnie rozwodziła się, jeśli już nie nad zaletami, to przynajmniej nad zdolnościami i talentami Rafaela, mówiąc o nim jako o luminarzu wiedzy, niedocenionym przez świat i ludzi.

Syn Melchiora, bojaźliwy, łagodny i tkliwy, był pariasem rodziny. Doktor przyglądał się temu spokojnemu dziecku, wodzącemu oczyma za matką, którą uwielbiał — i stwierdzał, że syn nie wrodził się w ojcaprostaku i że nadać się może nie tylko do handlu. Ponieważ jednak chłopak bardzo lubił don Eugenia i wiele łączyło go ze sklepem, w którym spędził dzieciństwo, więc gdy skończył trzynaście lat, wstąpił doń jako uczeń na specjalnych prawach: mógł sypiać i jadać w domu.

W przeciwieństwie do Juanita, dzieci doktora Pajaresa otaczano w domu największą troskliwością. Dziewczynka chodziła do szkoły aż do czternastego roku życia, Rafael zaś miał wstąpić na uniwersytet, donia Manuela chciała bowiem zrobić z niego takiego samego luminarza wiedzy, jakim był ojciec.

Wyróżnianie tamtych dzieci gniewało don Juana, gdyż darzył uczuciem prawdziwie braterskim swego pierwszego szwagra, człowieka pracowitego i oszczędnego jak on sam. Ponadto Juanito był jego chrzestnym synem. Widział jednak, że siostra stosuje się do jego rad, żyje oszczędnie i, jak to ona powiadała, nie wychodzi z domu na krok — wolał więc nie robić żadnych więcej uwag.

Przyszła jednak chwila, kiedy dziewczynki wyrosły na seniority, a że żyły nadal w przyjaźni z dawnymi koleżankami szkolnymi, donia Manuela, jak każda matka mająca córki na wydaniu, zapragnęła wprowadzić hucznie swoje panny w świat.

Przestawiła meble, porzuciła skromne krawcowe i aby pofolgować wstępowi do chodzenia pieszo, postanowiła zakupić elegancką bryczkę. Bryczka to nie to wprawdzie, co dawna wspaniała karetka, ale w każdym razie był to pojazd ładny i lekki, do którego zaangażowała stangreta imieniem Nelet. Był to syn mamki Amparo, wiejski parobek, którego sprowadzono ze wsi i przyjęto pod warunkiem, iż przestanie być na ty z młodszą senioritą i zapomni, że jest jej mlecznym bratem.

— Ten sknera znów się wścieka! — zawołała ze złością donia Manuela na wieść o oburzeniu, z jakim brat przyjął wiadomość o nowych reformach w jej gospodarstwie. — Widocznie uważa, że aż do śmierci mamy jeść chleb z cebulą i chodzić w starych łachach jak żebracy!

ROZDZIAŁ III

W pierwszym dniu nowego roku Concha i Amparo zerwały się z łóżka już o ósmej rano, co było rzeczą niezwykłą, gdyż na ogół nie wstawały przed dziesiątą.

Leciutko ubrane pomimo zimy, wesoło fruwały po pokoju, w którym panował zwykły nieporządek rannych godzin, i krążyły wokół bielutkich łóżeczek, gdzie w załamaniach pościeli zachowało się ciepło dziewczęcych ciał i czerstwy zapach zdrowia.

Świergotały wesoło jak zbudzone ptaszki, ale ich trele były mało poetyczne.

— Gdzie moje trzewiki?

— Oj, moja pończocha, zgubiłam jedną pończochę... Tyś mi schowała.

— Ach, Boże, zerwała mi się podwiązka!

W ten sposób toczył się dialog złożony z wykrzykników, skarg i sprzeczek, podczas gdy panny w narzuconych na koszule matinkach biegały z kąta w kąt odsłaniając przy każdym poruszeniu ramiona i szyję, jak gdyby oszołomione duszną atmosferą nie wietrzonego pokoju.

Wreszcie przeszły do pokoiku przeznaczanego na toaletę. Było to małe pomieszczenie, w którym padające z okna światło odbijało się od wielkiego zwierciadła, by potem załamać się w wielo

krotnie w szkłe błękitnych i różowych słoików z pudrem, różem i pomadą. Pokoik ten nie był wzorem czystości i mógł służyć jako świadectwo zaniedbania domu pozbawionego silnej ręki. Na grzebieniach zostawały wyczesane włosy, stłuczone butelki stały obok całych, na marmurowym blacie toaletki widniały brzydkie plamy rozpryskanych eliksirów i pudru.

Dziewczęta rozpuściły włosy, długie i falujące jak sztandary. Potrząśnięciem głowy uwolniły fryzury od szpilek, które opadły na stolik metalowym deszczem, po czym, jako dobre siostry, pomagały sobie wzajemnie w trudnej pracy nad świątecznym uczesaniem.

Jasne zwierciadło odbijało na lekko błękitnym tle głowy obu sióstr, które w rozpuszczonych włosach i białych powiewnych strojach przypominały tragiczne soprany opery w obląkaniu śpiewające końcową arię ostatniego aktu.

Ich twarze nie wyróżniały się szczególną urodą, zwracały uwagę tylko oczy, prawdziwe oczy walencjanek: ogromne, wyraziste, błyszczące, bezdenne — raz ciekawe i zuchwałe, kiedy indziej melancholijne, a błękitnawy cień na powiekach otaczał je aureolą namiętności.

Starsza, dwudziestotrzyletnia Conchita, była podobna raczej do matki. Miała tę samą majestatyczną postać z lekko już zaznaczającą się skłonnością do tycia, co tak postarza młodą dziewczynę. W rodzinie uchodziła za osobę gwałtownego usposobienia i nawet sama donia Manuela starała się traktować ją z pewną rezerwą, aby unikać wybuchów gniewu. Jej rubensowskie kształty, przy każdym poruszeniu zarysowujące się miękko pod lekką materią, miały uwodzicielski wdzięk.

Młodsza, osiemnastoletnia Amparito, o ładnej, dziecinnej buzi z wdzięcznie wykrojonymi ustami i dołeczkami na policzkach i brodzie, miała pod opadającymi na czoło, niesfornymi loczkami oczy, które nie tyle spoglądały na świat, ile śmiały się do niego, jak gdyby nie przestawały się cieszyć, że ich właścicielka jest młoda i ładna. To szalone dziecko, ta rozrzepana panienczka uczyła się wszystkiego, a niczego nie potrafiła, na widok zaś niezgrabnej postaci

na ulicy nie umiała opanować wybuchu śmiechu. Miała w sobie coś z rozbrykanego chłopaka, a zapewniała z wielką powagą, że lubi doprowadzać mężczyzn do pasji. Chętnie też ucie

kała z salonu do kuchni na pogawędkę ze służącymi i świetnie się bawiła, gdy pisząc pod dyktando pokojówki list do jej narzeczonego w wojsku dodawała od siebie różne niecenzuralne zwroty, z czego się potem zaśmiewała całymi tygodniami.

Siostry kochały się bardzo, co nie przeszkadzało, że Amparito nieraz sobie folgowała drwiąc z jakiejś siostrzanej przywary, na co Concha odpowiadała gwałtownym wybuchem gniewu. Takie kłótnie kończyły się zawsze ucieczką zapłakanej Amparito, z czerwonym plackiem na policzku lub z siniakami od uszczypnięć na ramieniu, pod opiekuńcze skrzydła mamy. Kiedy indziej wybuchała wojna o to, że jedna wkładała bieliznę drugiej albo zabierała przedmiot wyłącznego użytku siostry; wtedy występował na arenę matczynej autorytet — bicie, a za tym piski, płacz, tupanie nogami. Służące w kuchni chichotały; po półgodzinie wszystko wracało do normy. Concha wychodziła na balkon, Amparo biegała po całym domu śpiewając jak skowronek, a donia Manuela zasiadała w swoim fotelu niczym władczyni po wydaniu sprawiedliwego wyroku.

Panny przeglądające się w lustrze toaletki, w rozchełstanych koszulach, z obnażonymi ramionami świeżo omytymi zimną wodą, stanowiły uroczy obrazek. Włosy miały zaczesane gładko i upięte na czubku głowy. To frygijskie uczesanie odsłaniało rąbek pleców jak kość słoniowa i ciemniejszy kark koloru bladego bursztynu, pokryty matowym, morelowym puszkciem, nad którym wiły się nieposłuszne, drobne loczki, umieszczone tam jak gdyby specjalnie po to, aby drżały i rozkręcały się od miłosnych westchnień.

Gdy uporały się z fryzurą, przystąpiły do zdobienia twarzy. Ach, głupoto mody! Pannom nie podobala się ich blada, ryżowa, prawdziwie walencka cera niby płatki kamelii.

„Mamy trupie twarze” — mówiły sobie co rano spoglądając w lustro i zaczynały torturować młodą, świeżą skórę wcieraniem ołowiowego pudru, barwiły policzki i muszle uszne nalotem róży i jak gdyby ich oczy nie były dość wielkie, starały się poprawić dzieło natury, cienkimi linijkami podkreślając brzeży powiek. Młodzieńcza świeżość, naturalne piękno były w złym guście: prawdziwa elegancja wymaga maski.

Temu przestępczemu retuszowi towarzyszyło nieustanne gubienie i znajdowanie na marmurowej powierzchni toaletki roz

maitych słoików i buteleczek dotykanych w roztargnieniu, a nie zauważanych. Gdzie jest róż? Mój peniuar! To szczyt wszystkiego — nie ma już ani kropli esencji „hiszpańska cera”! To mama ze swoją manią upiększania się, jaka ją ostatnio opanowała, zużywa sama połowę kosmetyków.

Dziewczęta ukończyły toaletę w złych humorach. Braki w kosmetykach źle je nastroiły, tak że nawet rzucały sobie zaczepne spojrzenia. Amparo myślała, że jako” młodsza i słabsza, jest skazana na zadowalanie się resztkami pozostawionymi przez starszą siostrę, a Concha poprawiała koczek mrucząc z niezadowoleniem i tupając ze złością, ile razy spoglądała spod oka na tę małą lalę i jej szykowną fryzurę, której nie potrafiła skopiować.

W końcu przysła chwila włożenia sukien i dziewczęta wróciły do pokoju, aby ubrać się możliwie najpiękniej. Były imienniny mamy, przyjdą goście i trzeba tak wyglądać, aby przyjaciółki miał patrzeć na nie z politowaniem, zagryzały wargi ze złości.

Gdy dziewczęta znów znalazły się przed lustrem toaletki, wesołość powróciła. Nie były przecież najbrzydsze! Po wprowadzeniu drobnych poprawek w uczesaniu i makijażu przypięły kwiaty u dekoltu, obciągnęły suknie w talii i zadowolone z siebie poszły do salonu.

Dochodziła dziesiąta. W salonie mama rozmawiała z donią Klarą, osobą nieprzyjemną i źle wychowaną, która często je odwiedzała, więc dziewczęta wymknęły się do jadalni, by uniknąć przykrego spotkania.

Przygotowania do przyjęcia dotarły aż tutaj. Na stole ustawiono w koło na tacach torty z pianką, białe u podstawy, złociste od karmelu u wierzchołka misternie rzeźbionego w koronkę, skąd wyglądał bilet ofiarodawcy słodkiego upominku; inne torty pokryte były gładką, niby polerowaną powierzchnią lukru, w którym jak w zwierciadle przeglądały się zestawione w fantazyjne gwiazdy kandyzowane owoce; sam środek stołu zdołał prawdziwy majstersztyk ciastkarni Burriela — budowla z turronu i pianki, gdzie pośród lukrowanych kwiatów wznosił się zamek, a u jego szczytu tańczyła na drucie tancerka drżąca z zachwyty dla tego arcydzieła cukrowniczego kunsztu. Wokół stołu biegła węsząc łakomie małeńka suczka angielska

Z sierścią jak porcelana, z oczyma jak szkło, z nóżkami jak druciki, niby zbiegła z wystawy zabawka. Gdy karłowate zwierzątko ujrzało swoje panie, wyciągnęło czerwony jęzorek i szczeknęło, co zabrzmiało jak kichnięcie.

— Miss! Kochana Miss! — zawołała Amparito chcąc wziąć pieska na ręce.

Ubiegła ją jednak Concha, która całując czule pyszczek Miss pokazywała jej z wysokości swoich ramion zastawiony słodyczami stół.

Nastąpiło starcie między siostrami o prawo posiadania Miss, wreszcie Concha opuściła zwierzę tak niefortunnie, że spadło na stół i zgmiotło kilka ciastek, po czym z pyszczkiem oblepionym kremem i pianką wybiegło do salonu.

— Biedne psiatko!... Ty dzikusko, chciałaś zabić Miss! — zawołała Amparito tragicznym głosem, grożąc siostrze pięścią.

Na widok komicznie ubielonego kremem pyszczka przestraszonej Miss wybuchnęła jednak niepohamowanym śmiechem i jak gdyby nigdy nic objęła Conchę, głośno cmokając ją w policzek.

— Będzie zabawa... Chciałabym widzieć minę mamy, kiedy Miss wpadnie do salonu taka usmarowana.

Hałaśliwy śmiech, jaki zawtórował tym słowom, umilkł nagle, gdyż z kuchni doszło głośne gdakanie, pełne śmiertelnego strachu.

Dziewczęta natychmiast znalazły się w kuchni, gdzie stangret Nelet z zakasnymi rękawami koszuli i z nożem w ręce dokonywał z powagą obrzędu zarzynania wielkiego kapłona, którego Visanteta przytrzymała za nogi.

Druga służąca, która lubiła udawać wrażliwą i spełniała przy panienkach funkcję pokojowej, odwróciła się plecami do brutalnej sceny i czuwała pilnie nad garnkami i rondlami, bulgocącymi na płycie.

Obydwie siostry, lekko nachylone, zebrawszy suknie między kolana, aby ich nie ubrudzić, obserwowały z całą uwagą akt zarzynania. Liczyły śmiertelne drgawki zabijanego stworzenia, przyglądały się ostatnim kroplom krwi broczącej z rany i spływającej po piórach do podstawionego rondla. Praca ta podobała się Neletowi, był to bowiem chłopak żywiołowy i nieco brutalny.

— Tuściutki, co? — mówił klepiąc mostek zabitego ptaka. — Po oskubaniu będzie wyglądał jak kanonik ... Gdybym był boga

ty, co dzień rano zabijałbym jednego. To przyjemniejsze niż czyszczenie konia.

Dla poparcia swego żartu, wywijał zabitym kapłonem i podtykał go pod nos służącym, które zaczęły uciekać po całej kuchni ku wielkiej uciechu panienek.

Zabawa skończyła się wraz z wejściem donii Manueli w luźnej, czarnej jedwabnej sukni z trenem i szerokimi rękawami, podkreślającymi jej postać królowej ze sceny. Wreszcie uwolniła się od tej nudnej donii Klary, która potrafiła opowiadać bez końca, skacząc z tematu, na temat, przez co jej wizyty stawały się beznadziejnie długie. Matka z córkami wróciła do jadalni, gdzie zaczęły odczytywać umieszczone na prezentach bileciki.

Była też i wizytówka don Juana. Zawsze ten sam. Skąpiec mimo swoich milionów zadowolili się przysłaniem pół tuzina ciastek wartości trzech peset. Już on się nie zrukuje, o nie! Wspaniały zamek z baletnicą nadesłał don Antonio Cuadros z małżonką — właściciele firmy „Pod Trzema Różami”.

— Oto osoby bez wykształcenia, ale umieją się znaleźć jak należy.

Po tej pełnej wdzięczności uwadze donia Manuela przeglądała dalej wizytówki. Tort od pana Eugenia Garcii... niebrzydki; drugi pochodził od rodziny sędziego, pozostałe ciasta nie nosiły nazwisk ofiarodawców, ale donia Manuela odgadywała, że pochodzą od Juanita, syna, który stale obsypywał ją prezentami niby narzeczoną.

— Gdzie Juanito, mamusiu?

— W sklepie, ale przyjdzie przed dwunastą. Rafael też wyszedł.

U drzwi wiodących na schody zadźwięczał ostro dzwonek, widać pociągnięty niedelikatną ręką.

Nelet wybiegł z kuchni, żeby otworzyć, i nim dopadł drzwi, cały dom drżał od tupotu jego butów. W sieni odezwały się wykrzykniki podobne do beczenia owiec i pieszczotliwe klepanie, które brzmiało jak odgłosy zawziętej bijatyki. — Co to? — zapytała donia Manuela idąc ku drzwiom.

Ale zatrzymała się w progu, bo na korytarzu rozległ się zdyszany i piskliwy głos.

— To niania! Moja niania! — krzyknęła Amparito szczerze uradowana.

Ale wnet umilkła zarumieniona, jak gdyby się zorientowała, że popełniła coś bardzo nieestosownego.

Do pokoju weszła za Neletem tęga wieśniaczka o energicznym wyglądzie i rozkołysanym kaczym chodzie, wykrzykując na wszystkie tony piskliwe „dzień dobry”. Dawna mamka Amparito była to chłopka z okolic Alboraya, matka stangreta, która w swojej chałupie wykarmiła młodszą senioritę Pajares.

Nelet był nieodrodnym synem swojej matki; mówiła o tym lekko piegowata, pyzata, obciążona wysuszoną skórą twarz ciotki Quiki, ukazująca się w obramowaniu lnianej chusteczki. Twarz ta zdradzała tę samą zwierzęcą radość życia, jaka uderzała u jej syna Neleta. Pod marszczoną kwiecistą spódnicą miała ciotka Quica chyba z tuzin halek, które znacznie przyczyniały się do podkreślenia jej tuszy i tak już dość pokaźnej. Siadając na krześle miała zwyczaj rozstawiać szeroko nogi, a wtedy spódniczki tworzyły głęboką dolinę między udami. Chodziła stale z uwieszonym u ramienia białym koszykiem z wikliny, a że nie puszczała go ani na chwilę, więc zrosł się on jak gdyby z jej postacią. Quica objęła Amparito, przycisnęła do siebie i obsypała ją pocałunkami, przy czym lży wzruszenia rozpuściły część różu. Po chwili opanowała wylew uczuć, które oszołomiły dziewczynę i wzbudziły grymas niesmaku na twarzy pani

Manueli; chłopka opadła na krzesło, żalonym skrzyknięciem przyjmując nacisk jej ogromnych pośladków. Hałaśliwie westchnęła ze zmęczenia, nie wypuszczając z ręki kosza, i zaczęła prędko mówić w fantastycznym języku, który uważała za kastylijski, gdyż w domu donii Manueli nie wolno było używać innej mowy niż hiszpańska.

Jakże ta Walencja męczy!... Po prostu nie do wiary, że ludziom chce się mieszkać w takim śmierdzącym śmietniku. Co innego na wsi; na walenckiej huerta człowiek czuje się wspaniale i dlatego ona sama z takim trudem zdecydowała się przyjechać do Walencji. Chciała jednak powinszować seniorze w dniu jej imienin i uczyniła ten wysiłek, chociaż dziś nie powinna była właści

wie opuszczać młodszą siostrę, która mieszka w sąsiedniej zagrodzie.

— Ach, kochana senioro! Co za kłopoty ma ta biedaczka! Mąż, pijaczyna i raptus, co niedziela wraca z karczmy Kopy na czworakach, jak osioł, a potem trzeba go układać do łóżka, ażeby odsypiał w ciągu kilku dni swoje karczemne wybryki. A jeszcze jak ją bije, Panno Najświętsza! Biedna Pepeta, ma doprawdy życie świętej Katarzyny męczennicy! Niech mi kto powie, po co ta głupia baba sama boryka się ze wszystkim, zamiast odegnąć od siebie tego nicponia, Pimento, który niewart nawet bibułki do papierosa.

W tym tonie zdawała ciotka Quica sprawozdanie ze wszystkich swoich trosk rodzinnych; czasem tylko milkła na chwilę, gdy napotykała wpatzone w siebie oczy Amparito. Wtedy zaczynała wykrzykiwać po walencku Filia mehua! i wciąż nie wypuszczając kosza z ręki wstawiała z miejsca, aby rzucić się na szyję dziewczynie i wycalować na nowo, ścierając wargami puder z jej policzków.

Sliczności dziewczyna! Patrzenie państwo, toć to prawdziwa królowa! Nie uwierzyliby oczom ci, co ją widywali w ubrudzonych sukienkach, kiedy mieszkała w jej chałupie, a w słoneczne popołudnia bawiła się w stajni z Neletem i

innymi chłopcami obok muła, byczka i dwóch prosiaczków. Jeszcze dotąd wszyscy ją wspominają i wielu z tych chłopców rozpytuje się o nią. Nie, tego roku ona nie ustąpi. Choćby mama się upierała nie wiem jak, zabierze Amparito na wielki jarmark do Alboraya. Niech wszyscy zobaczą, jaka śliczna jest jej Amparito i jaki ma pański wygląd. Ale, ale... Pamiętasz, Amparito, syna starego wuja Pallusa? — Tego, co to lubił chodzić na czworakach i udawać osła? Kiedyś jeździłaś na nim wierzchem. Otóż ten chłopak przyjeżdża teraz często z wozem do Walencji i zbiera nawóz po domach. Właśnie prosi, ażeby Nelet pozwolił mu oczyścić waszą stajnię. Kiedy przyjedzie po nawóz i wejdzie do mieszkania zobaczycie Amparito, to jeżeli można, chciałam prosić, żeby państwo byli łaskawi dać

mu co bądź: może są jakieś stare spodnie po paniczach albo coś z bielizny. Wiadomo, że biedakowi wszystko się przydaje.

Ciotka Quica uświadomiła sobie, że jej słowa wywarły na donii Manuelei złe wrażenie, i pośpieszyła z wyjawieniem celu swojej wizyty wkładając rękę do nieodłącznego kosza. Przyniosła w nim bowiem coś niecoś w upominku dla seniorów na imieniny; ubogie te podarki, ale dawała je doprawdy ze szczerego serca. Były tam obarżanki z ciasta zaprawionego specjalną goryczką, a posmarowane przezrystą warstwą lukru, płaskie torty wyglądające jak z tektury, przyklepione do zatłuszczonego papieru i kwaskowatosłodkie owoce w cukrze, które rozplływały się w ustach i na walenckiej wsi znane były pod dziwną nazwą „westchnień”. Seniora podziękowała z wymuszonym uśmiechem, wiedziała bowiem dobrze, że drogo trzeba będzie płacić za te cukrownicze produkty wiejskiego wyrobu. Jej ojciec, człowiek przecież roztropny, powiadał zawsze: „chłopska bułeczka kosztuje garniec pszenicy”.

Gdy ciotka Quica złożyła majestatycznie swoje podarki na stole, seniora zrewanżowała się natychmiast, wkładając jej do kosza pół tuzina ciastek, które suczka Miss rozgniotła przy swoim niefortunnym upadku, a poza tym dała jej jeszcze jednego duro. Nie obeszło się bez certowania i chłopka przysięgała raz po raz, że nic nie chce i nie weźmie, ale jej oczy błyskały chytrze.

Gdy schowała wszystkie prezenty, zaczęła litanię podziękowań i hymnów pochwalnych, które w formie rad wypowiadała pod adresem syna:

— Pamiętaj, Nelet, służ dobrze seniorom. Staraj się, żebyś się tu nadał, ojciec Sento będzie się bardzo gniewał, jeżeli nie będziesz spełniał swych obowiązków jak należy. Przecież masz tu lekką robotę. W domu musiałybyś jeździć wozem i nosić beczki z winem, spać na twardym i harować jak muł. A tutaj — czego ci jeszcze trzeba? Jedzenie masz dobre i pewne, pracy nie zanadto, chodzisz ubrany jak pan ... Nelet, nie bądź głupi i staraj się dogadzać seniorom ...

Litania rad ciągnęłaby się nie wiadomo jak długo, gdyby dzwonek u drzwi wejściowych nie odebrał głosu wieśniaczce. Tym razem byli to prawdziwi goście. Donia Manuela z dziewczętami przeszły do salonu, gdzie już czekał don Eugenio Garcia, założyciel firmy „Pod Trzema Różami”.

Mijające lata nie miały widocznie na niego wpływu. Staruszek wyglądał jak dawniej, zawsze okrągłutki i uśmiechnięty, ze swoją rumianą twarzą, żywym wejrzeniem i niewielką głową o różowej skórze i białych włosach. Lubiał zapewniać, że jest bardzo podobny do Piusa IX, i rzeczywiście było w nim coś, co przypominało nieboszczyka papieża, mimo nieodłącznej granatowej pelerynki i wysokiej laski, którą się podpierał nawet podczas składania wizyt.

Ucałował dziewczęta, jak gdyby był ich dziadkiem, a donię Manuelę poklepał po ramieniu z wesołym uśmiechem jowialnego staruszka zapewniając, że wygląda coraz lepiej i piękniej. Wracał właśnie z mszy w katedrze Świętego Jana, to jego ulubiona parafia, a wstąpił tutaj, aby nie zaniedbać mdłego dorocznego obowiązku złożenia powinszowań donii Manuelei i dziewczętom, życząc im wszystkim szczęścia w dniu imienin pani domu. On sam nie liczył już na to, że dożyje przyszłego roku. O, tali, pewny jest, że nie doczeka następnych jej imienin — co roku zresztą powtarzał to samo. Mówił o śmierci z prostotą i powagą człowieka przeżywającego spokojną i uczciwą starość, zaprawiając te przepowiednie żartami i śmiechem piskliwym i szepleniącym wskutek braku zębów.

Amparito słuchała uprzejmie, podśmiewając się z szeplenięcia starego i z jego natarczywych pytań.

Czy mają narzeczonych? Nie, są jeszcze młode i mogą poczekać. Concha ma niby to kogoś, ale ona nie ... Zresztą nikt jej nie kocha, bo jest brzydka ... I zalotne dziewczętko z satysfakcją wysłuchało z osiemdziesięcioletnich ust pochwał dla swojej urody.

— Niechże pan zostanie na obiedzie, don Eugenio — powiedziała seniora — odkąd przestaliśmy być właścicielami firmy, nie raczył pan jeszcze zaszczyścić naszego stołu.

— Nie mogę, Manolito. Jestem stary i kto mi odbiera moją chudą zupkę, ten mnie zabija. A zresztą — cóż to za przyjemność patrzeć na gościa, który żuje jak koza, a w ogóle nikomu nie jest miłe oglądać starca pośród młodzieży. Każdy powinien znać swoje miejsce.

Po pół godzinie stary podpierając się laską wstał z krzesła.

— Na mnie już czas, córki moje — powiedział z wyrazem smutku, pomimo wesołej twarzy — za rok przypomnicie sobie

o mnie, gdy nie odwiedzę was tego dnia. A ja będę miał już wówczas to, czego mi trzeba: wieczny odpoczynek... Nie przekomarżajcie się ze mną ... Myślicie może, że nie mam ochoty odpocząć? Ale nim nadejdzie ta godzina, don Eugenio zawsze pozostanie wierny swojemu sklepowi na rynku. I kupcem pozostanie aż do śmierci!

Po tych słowach, podkreślonych uroczystym uderzeniem w pierś, staruszek wyszedł z salonu odprowadzany przez panie.

Tymczasem mamka odeszła, a Nelet w kuchni pomagał dziewczętom. Dom przygotowywał się do wielkiego bankietu. Wujek don Juan, ów nietowarzystki jeź, zgodził się nareszcie przyjść na obiad do siostry, więc trzeba go było odpowiednio przyjąć. Juanito miał pójść po wuja o dwunastej, a Rafael musiał solennie przyrzec matce, że będzie punktualny i siądzie przy stole dokładnie

o pierwszej. Po obiedzie mieli się zjawić Andresito Cuadros i przyjaciel Rafaela.

Co pięć minut dzwonił teraz dzwonek u drzwi wejściowych. Przynoszono wizytówki z życzeniami, których cały stos leżał już na stoliku w korytarzu i obydwie siostry ciekawie je przeglądały.

O jedenastej znów wizyta. Przyszedł don Antonio Cuadros z małżonką, oboje ubrani jak na wielką uroczystość. Teresa miała czarną, jedwabną suknię z grubej, szeleszczącej materii, ciężką biżuterię z przewagą złota nad kamieniami, koronkową mantylę

i palce jak zwykle zdobne w liczne, lecz tanie pierścionki. On ubrany był w żakiet, który przeżył już trzecią modę, czarne rękawiczki, cylinder z wąziutkim rondem, a przy kamizelce zwiślał mu ciężki, złoty łańcuch. Sztywno i majestatycznie nosili te stroje, które po nieskończonej ilości przeróbek przetrwały od czasów wesela, a ukazywali się w nich jedynie przy takich okazjach, jak imieniny i pogrzeby.

Małżeństwo usadzono na sofie, w miejscu najzaszczytniejszym w całym salonie, a honor ten wywołał rumieniec dumy na twarzy byłej służącej.

— Tak to, tak, pani Manuelo — rzekł małżonek — w takim dniu jak dzisiejszy nie mogliśmy się wyrzec przyjemności złożenia pani należnej wizyty. Cieszymy się szczęściem waszej rodziny, gdyż — chociaż może i nie wypada o tym mówić — szanujemy i kochamy was wszystkich.

Gdy kupiec z walenckiego rynku układał wyszukane zdania przemowy, małżonka wpatrywała się w niego oczyma pełnymi naiwnego podziwu, jako w istotę wyższą. Konwersacja szła swoim trybem, a tymczasem co chwila dzwonił dzwonek u drzwi. Wizytówki z życzeniami nadchodziły ciągle, a seniora zostawiała je w przedpokoju, zadowolona, że wszyscy goście mogą je odczytywać.

Rodzina złożyła podziękowanie seniorowi Cuadros za nadesłany upominek.

— Niech państwo zostaną u nas na obiedzie. Przyjdzie także mój brat, Juan.

W ten sposób rozmowa zesłała na brata seniory. Kupiec nie potrafił wyrzec się przyjemności obmawiania bliźniego. Co za dziwak z tego don Juana. Nie uznaje ani teatru, ani żadnych rozrywek i choć jego majątek obliczają na sto tysięcy duros, on sam żyje jak mizantrop i sobek w tym swoim wielkim domu odziedziczonym po ojcu, a jedynym jego towarzyszem jest stara służąca. Przechadza się po opuszczonych warsztatach jak po cmentarzu. Ma swoje manie, a jedna z głównych — to głęboka wiara, że słabość podeszłego wieku można zwalczyć ruchliwością. Co dzień po południu ogląda roboty na nowym przedmieściu Ensanche, na szosach podziwia reformy wprowadzane przez magistrat. Robotnicy drogowi znają go tak dobrze, jak gdyby był przedsiębiorcą lub majstrem, a tak się przyzwyczaił do tej rozrywki, że jeśli mu jej zabraknie, wybiera się na dalekie spacerunki do odległych wsi. Chodzi krokiem regularnym jak mechanizm, w kwadratowym kapeluszu nasuniętym na brwi, w rozpiętym płaszczu, którego nie zdejmuje nawet latem, ściskając pod pachą starą trzcinową laskę jeszcze z młodych lat, o kościanej gałce okrągłej jak kula bilardowa. Opowiadano sobie w sekrecie o drogocennych przedmiotach, które podobno przechowuje w swoich zakurzonych salonach. Nie brak go przy żadnej licytacji i kupuje dużo, a gdy zwraca się do niego pośrednik z propozycją kupna antyków lub stylowych mebli — oczywiście musi to być wyjątkowo tanie — zgadza się bez wahania, gdyż pieniądze znajdzie się zawsze dość w jego ogromnym sekretarzu z zeszłego stulecia, który zajmuje całą szerokość alkowy i błyszczą z daleka drobną mozaiką zdobioną trzy rzędy

dy szufladek. O tym meblu mówiono w domu donii Manueli z wielkim respektem. Kto wie, co zawierał. Kryły się tam podłużne kolczyki w kształcie winogron, naszpikowane diamentami starego szlif, pierścienie z brylantami jak fasola, nie oszlifowane kamienie bezcennej wartości, misternie cyzelowane ozdoby — a wszystko zdobyte cierpliwością i spokojem, jako rezultat połowu przy zatapianiu wielkich fortun.

— Ma pan rację, Antonio. Mój brat jest dziwak, cudak, jakich mało: ma możliwość żyć spokojnie w gronie rodziny, a woli pędzić samotne życie w tym starym domu i liczyć swoje tysiące, do których jest tak przywiązany, jakby mógł je zabrać ze sobą do grobu. Ja na jego miejscu nie umiałabym żyć spokojnie... Podobno nocą zrywa się z łóżka na najmniejszy szelest i chwytając stare pistolety biega po całym domu; zresztą to nawet dziwne, że dotąd go nie okradziono. Jego skąpstwo wzbudza we mnie niesmak. Ale rodzeństwo powinno żyć w zgodzie, prawda? Dlatego przykro mi, że za plecami brat krytykuje moje obyczaje. Na szczęście mam wszystko, czego mi potrzeba, aby prowadzić przyjemne życie, i nie jestem zmuszona prosić o pomoc tego sknerę.

Do salonu weszli nowi goście. Była to sędzina i sędzianki, mama i trzy córki, przyjaciółki dziewcząt pani Manueli. Ojciec rodziny zmarł jako sędzia, co wystarczyło, aby cała rodzina donii Manueli, przeniknięta szacunkiem dla wielkości, nazywała te panie tytułem nieboszczyka zamiast nazwiskiem.

Państwu Cuadros bardzo pochlebiali nawiązywanie stosunków towarzyskich z przyjaciółmi donii Manueli, którą uważali za osobę z wyższych sfer. Teresa patrzyła na owe damy z szacunkiem byłej służącej i uśmiechała się błogo za każdym razem, gdy któraś z nich raczyła na nią spojrzeć.

Obydwie wdowy nie szczędziły sobie serdeczności. Donia Manuela, która cieszyła się dobrym zdrowiem, uważała za stosowne zwierzać się przyjaciółce ze swoich dolegliwości, co wydawało jej się dystygowane i w dobrym tonie.

— Wiesz, kochana, że rzadko wychodzę, chłód i deszcz są dla mnie zabójcze. Tego roku nie widziałam jeszcze świątecznego jarmarku. A mam przecież powóz, którym można wyjeżdżać na miasto niezależnie od pogody. Słowo „powóz” wymawiała donia Manuela ze specjalnym na

ciskiem, jak gdyby, jej zdaniem, przedmiot ten był szczytem dystynkcji i znakiem rozpoznawczym ludzi z wyższej sfery.

Dziewczęta rozmawiały między sobą o sukienkach, o tym, jak spędzały poprzedni dzień, i cały ten kącik salonu jak gdyby zapominał o obecności małżonków Cuadros, którzy siedzieli na kanapie nieruchomo, wpatrzeni w czubki

własnych butów, i najchętniej znikliby z oczu obecnych, aby nie przeszkadzać im w rozmowie. Jedynie tylko Amparo od czasu do czasu odwracała ku nim głowę i uśmiechała się. Wreszcie Cuadrosowie odeszli.

— To moi starzy przyjaciele — powiedziała donia Manuela do sędziny — poczciwi ludzie, ale prostacy. Winni nam są wdzięczność: mój pierwszy mąż bardzo Cuadrosa protegował.

Panie uważały za stosowne skończyć wizytę i wstały, a donia Manuela i dziewczęta odprowadziły je aż na schody, aby tam wymienić ostatnie pocałunki.

— Doprawdy, jest mi bardzo przykro, że panie nie chcą zostać u nas na obiedzie.

Gdy na ostatnich schodkach znikwały treny eleganckich sukien, zadźwięczał suchy kaszel, tak dobrze znany domownikom. To wuj, któremu często zasychało w gardle, zapowiadał przybycie swoim zwykłym chrząkaniem, co, zdaniem donii Manueli, dawało mu zawsze czas do namysłu, gdy odpowiadał na zadane pytanie.

Czworograniasty kapelusz i fruwiący paltocik, przypominający sutannę, sunęły wolniutko po schodach przy akompaniamencie stukania laski o każdy stopień.

— Dzień dobry, wuju!

Wreszcie patrzący z góry ujrzeli także i twarz don Juana ożywioną wymuszonym uśmieszkiem. Ubrany był uroczyście. Miał co prawda na sobie codzienne ubranie, ale jego wycięta kamizelka ukazywała wspaniałe garnitur ogromnych, masywnych spinek ze starymi diamentami wielkiej wartości, a na palcu lśniły ciężkie pierścienie niezwyklej roboty, które przypominały pyszne sygnety dumnych markizów zeszłego stulecia.

— Czekaliście na mnie, córki? He, he... Widzicie, jaki jestem punktualny. Dwunasta.

Wyciągnął z kieszeni zegarek, prawdziwe rokokowe cacko, emaliowany, ze scenką mitologiczną, nasuwającą na myśl paster

skie zabawy w Wersalu. Za nim wchodził po schodach Juanito, starszy syn pani domu, z ogromnym bukietem kwiatów.

— Co za chłopak... Co za chłopak! ... — wyszeptwała seniora, bez większego wzruszenia przyjmując objawy tej wyjątkowej synowskiej miłości, jaką Juanito okazywał matce przy każdej okazji.

Pozwoliła się pocałować, później przeszła do jadalni z bukietem, a że nie znalazła dla tej piramidy kwietnej wazonu odpowiedniej wielkości, wetknęła kwiaty pomiędzy dwa krzesła.

Siostrzenice nieledwie na rękach wniosły don Juana do salonu. Ach, wuju, ach, kochany wuju! Jedna odbierała od niego kapelusz, druga laskę, obydwie ściągały palto powstrzymując uśmiech na widok zniszczonego żakietu, który przy zbyt krótkich spodniach nadawał don Juanowi wygląd oskubanego ptaka.

Te biedne aniołki znały już życie. Stary wuj był nadzieją rodziny, przewidywanie schedy niby magnes przyciąga narzeczonych. Choć przykre usposobienie wuja i oszczędne podarunki nie zyskały mu sympatii pańienek, to jednak uśmiechały się do niego i przymilały ku wielkiemu zadowoleniu mamy.

Mimo wszystko donia Manuela nie miała złudzeń. Wiedziała, że jej brat jest przywiązany tylko do Juanita, dzieci Pajaresa zaś traktuje zawsze z domieszką sarkazmu, aby tym więcej dokuczyć siostrze.

— Zostań w salonie, Juan, a ja pójdę do kuchni, żeby dopilnować obiadu. Dziewczynki, zajmijcie się wujem.

Zobaczysz, jakie postępy zrobiła Conchita w muzyce.

Starsza siostra podniosła wieko pianina, białe klawisze błysnęły jak potworne zęby. Długie palce dziewczyny rozwarły się szeroko i pobiegły po klawiaturze szukając skomplikowanych akordów.

— A ty nie grasz? — spytał wuj Amparo.

— Nie, wuju. Nauczyciel powiada, że jestem zbyt roztrzepana i nie nadaję się do tego. Bo ja chciałabym umieć grać wszystko od razu, a widzę, że tak nie można, że trzeba się długo męczyć tymi ćwiczeniami i gamami, więc to mnie gniewa i mam ochotę kopnąć to całe pianino.

Kapryśne dziecko mówiło zirytowanym głosem i zaciskało pięści.

— Ponieważ nie mogę być pianistką — ciągnęła Amparito łagodniejszym tonem — uczę się śpiewu. Mama powiada, że zawsze trzeba mieć coś takiego, żeby w towarzystwie nie być jak głupia. Niedawno śpiewałam na przyjęciu u sędziny ... Zaraz wujowi zaśpiewam.

Tymczasem donia Manuela wypchnęła Juanita z jadalni. Ten chłopak zdradzał swoje pochodzenie: co za prostak! Największą przyjemnością jest dla niego rozprawianie ze służącymi.

— Juanito, mój kochany, zostaw Visantetę w spokoju, ona musi nakryć do stołu. Idź do salonu. Wuj będzie się gniewał, że zapominasz o jego obecności.

On by miał zapomnieć o wuju? Na takie przypuszczenie pomknął jak strzała do salonu. Visanteta tymczasem rozpostarła na stole wspaniały, adamszkowy obrus śnieżnej białości. Stół był modny, seryjnej, maszynowej roboty; jego ciemna politura imitowała dąb.

— Wszystko gotowe, Visanteto?

— Gotowe, seniora. Nelet pilnuje kapłona, żeby się nie spalił, i ma go jeszcze raz odwrócić. Adela przyprawia gulasz. Seniora zawoła, kiedy mam wnieść zupę.

Tak rozmawiała z panią służącą Visantetą, z szelestem nakrochmalonych spódnic i białego fartuszka biegając od kredensu do stołu, ustawiając srebro i porcelanowe wazony z kwiatami, srebrne błyszczące miski, rżnięte karafki z wodą i winem i smukłe kieliszki z cieniutkiego kryształu na błękitnej nóżce, tak przejrzyste, że nie rzucały cienia na obrus.

Owa Visantetą, dziewczyna o wiejskim wyglądzie, miewała często zmarszczone czoło, mówiła niewiele i niechętnie, ale była to służąca, jakich mało, i na swoją miesięczną pensję pracowała rzetelnie. Potrafiła sama przygotować wielki obiad dla gości, potrafiła także nakryć stół tak, jak w restauracji. Kunsztu tego nauczyła się w służbie u angielskiej rodziny.

Tony muzyki dobiegały z salonu aż tutaj. Amparo zabawiała wuja śpiewem i jej cieniutki głosik, słaby i rwący się jak pajęczyna, wyciągał melancholijne żale po włosku:

Quando le rondinelle il nido fanno,
quando di nuova flor s'orna il terreno.

Wuj bawił się świetnie, wpatrzony w siostrzenicę śpiewającą z wniebowziętą twarzyczką te smętne okropieństwa. Vorrei morire! — powtarzała dziewczyna tonem rozpaczony, wysilając cienki głosik wibrujący wraz z trelami pianina. Dobry aperitif przed obiadem!

Donia Manuela rozstrojona muzyką, której nie rozumiała, mówiła do Visantety: — Dziś będziesz miała dużo roboty. Wolałabym doprawdy zamówić jak zwykle kilka dań w restauracji, ale zaprosiłam mego brata i ten sknera zamęczyłby mnie wyrzutami, że trwonię pieniądze. Dlatego zadysponowałam domowy obiad. Ciekawa jestem, czy mimo to znajdzie jakiś powód do narzekania.

Spojrzenie donii Manueli śledziło ręce Visantety. Dziewczyna zręczna była nad podziw. Brała każdą z adamszkowych serwetek wyprasowanych na sztywno i składała je fantazyjnie z szybkością żonglera. Ustawiała potem wszystkie na talerzach złożone w formie mitry, łódki, czepka czy kwiatu i na zakończenie wkładała do zagięcia malutki bukietek. Seniora była dumna. Ona jedna miała służącą, która potrafiła przybrać stół z prawdziwym smakiem.

Visanteta, nieczuła na pełne wdzięczności spojrzenia pani domu, odpowiadała półgębkiem, nie przerywając pracy.

Otworzyła kredens i ustawiała na stole przekąski na zielonych porcelanowych półmiskach w kształcie liści: korniszony w occie, szare oliwki z kaparkami, srebrzyste sardynki z Nantes, cieniutko pokrajane, prawie przezroczyste plasterki kielbasy i jaskrawo czerwone, świeże rzodkiewki ze sztywnymi, zielonymi pióropuszcami listków.

Stół wyglądał apetycznie. Zbyt ładnie nawet jak na dziwactwa zaproszonego. Dlatego donia Manuela żaliła się przed Visantetą:

— Nie dziw się zbytnio moim zarządzeniom, ale brat byłby zdolny odnieść się z niechęcią do jedzenia, gdyby zobaczył tu coś, co on nazywa zbytkiem. Wystarczy tego, co jest na stole. Wyjmij tylko z szuflady srebrne nakrycia. Z tych starych, naturalnie... Nie omyl się czasem. Kiedy podasz rybę, możesz wziąć srebrną łąpatkę, ale nic więcej. Mógłby nam zrobić awanturę, gdyby zobaczył, co chowamy dla lepszych gości.

Obok talerzy pojawiły się nakrycia wspaniałej, antycznej roboty, odziedziczone po Zakonniku.

Wszystko dotąd szło dobrze. Teraz Visanteta wykańczała w kuchni obiad, a pani w salonie gorliwie zabawiała don Juana, ten postrach rodziny, aby przygotować grunt dla czegoś, z czym postanowiła wystąpić podczas deseru. Pianino ciągle grało, ale teraz już nie tony sentymentalnych pieśni dobiegały z salonu, lecz arie włoskiej opery.

Come una damicella
mi trovare piu bella ...

U progu salonu donia Manuela rzuciła okiem na Juanita, który wpatrywał się w wujka, ów zaś stał patrząc w górę, jak gdyby z nudów liczył złożone kwiatki na tapecie.

— Dostyc, dziewczynki, tych smutnych piosenek, zaśpiewajcie wujowi coś wesołego.

Don Juan uczynił nieokreślony ruch ręką, który mógł oznaczać, że jest mu absolutnie wszystko jedno i że nie warto się fatygować.

— Ależ, mamusiu — odpowiedziała Amparo — przecież my śpiewaliśmy arię ze Skarbów, a to jest bardzo piękna aria...

— Daj już spokój arii. Zaśpiewaj coś wesołego. Może Duet Afrykański, który się tak podobał na wieczorku u sędziny.

— Dobrze — zawołała hałaśliwie Concha — niech będzie Duet, chociaż on już jest taki pospolity, że nawet pianole tę melodię rzepolą.

— Nic nie szkodzi. Wuj nie chodzi do teatru, więc będzie mu przyjemnie tego posłuchać.

Don Juan powtórzył swój wyrazisty gest. Co mu tam za różnica! Znow zaczął się wpatrywać w sufit i ziewając od czasu do czasu, nerwowo trząsł prawą nogą.

... Od urodzenia byłam malutka,
ale zawsze bardzo żwawa...

Niech będzie i tak. Ale mimo zwierzeń o swoim urodzeniu czynionych cieniutkim głosikiem przez pikantną Amparito, wuj don Juan, człowiek potwornie nudny i prostacki, nie dał się wzruszyć pieśni, może dlatego, że wiedział lepiej niż ona sama, jaka była Amparito od urodzenia. Zresztą z równą obojętnością odniósł się

do piosenki mówiącej o tym, że „most ma sześć przęseł”, a ona „tylko dwoje oczu . . .”

Inna sprawa interesowała go w tej chwili znacznie więcej; z niecierpliwością aż przesiadał się z krzesła na krzesło.

Wreszcie wyciągnął piękny cyzelowany zegarek z ubiegłego wieku i przerywając śpiewaczkę spytał donii Manueli:

— Wszystko bardzo pięknie, ale o której wy jadacie obiad?

— Wtedy, kiedy wraca Rafaelito. O pierwszej.

— Ale patrzaj, już jest pierwsza. Przyznam ci się, że jadam zwykle o dwunastej, i to już wielkie poświęcenie z mojej strony, że czekam całą godzinę. Nieregularny tryb życia niszczy żołądek, a w moim wieku to się równa przywoływaniu śmierci.

— Boże drogi, nie gniewaj się przecież... Dziewczynki, dostyc muzyki. Do stołu.

Śliczny taniec sewilski utknął w połowie taktu i dziewczynki weszły do jadalni za wujem, który przystanął w progu i patrząc na stół z uśmiechem powiedział:

— Manuelo, wiesz, że twój stół wygląda bardzo obiecująco. Zresztą zawsze byłaś wyjątkowo pomyslowa w tych sprawach.

Ale seniora, strapiona nieobecnością syna, nie odpowiedziała na uwagę brata.

— Ach, ten Rafaelito ... Już kwadrans po pierwszej, a on nie przychodzi. Trzeba będzie zacząć bez niego ... Visanteta, zupę!

Zasiedli do stołu. Don Juan na przydzielonym miejscu, siostrzenice z obu stron; naprzeciwko donia Manuela, po jej prawicy Juanito, a z lewej strony stało puste krzesło Rafaela. Waza z dymiącą zupą zajęła środek stołu. W okamgnieniu napełniły się talerze. Cudowna zupa! Po jej powierzchni pływały wielkie oka tłuszczu, a pośród delikatnych grzanek, przesyconych treściwym płynem, przemykały podróbki z kury, młodzietki żółtka koloru bursztynu i czarniawe wątróbki rozplywające się w ustach. Wszyscy jedli z apetytem, a szczególnie don Juan, który przy swoim skąpstwie nie dogadzał sobie zbyt na codzień, ale za to w cudzym domu był obżartuchem co się zowie. Gdy kończyli zupę, wszedł Rafaelito spocony i zdyszany, jak gdyby się bardzo śpieszył, aby przybyć na czas. — To o tej porze się przychodzi! — powiedziała mama marszcząc brwi.

Rafael była to istota niepozorna, a pretensjonalna. Chudy i wynędzniały, lśniące od pomady włosy przedzielone miał na dwie równe części od czoła do kurku. Ogromny nos, sterzące w górą wąsiki i baczki nadawały mu wygląd taniego elegancika, a pod brodą spomiędzy modnych wyłogów kołnierzyka „a la ptaszek” wystawała, niby ozdoba jego rachitycznej młodości, obrzydliwa narośl, zwana jabłkiem Adama. W ruchach i słowach tego chłopca była jakaś ospałość człowieka zmęczonego życiem, który w dwudziestej drugiej wiosnie niczego nowego już od świata nie oczekuje. Patrzył na rozmówców z zuchwałym natręctwem, a gdy ich słuchał, przybierał minę protekcyjną i wzgardliwą. Do pewnego stopnia udawało mu się tyranizować dom i uważał za swój przywilej psucie krwi wujowi Juanowi za każdym razem, gdy go spotkał.

Już od trzech lat był na drugim kursie medycyny. Bohaterskiej tej decyzji dotąd nie żałował, a tak kochał pracę, że jeśli w ciągu dnia nie zaszedł do kawiarni, żeby rozprawiać o głupstwach, to dlatego, że ten dzień z wielką częścią nocy spędzał w swoim kółku na przyjęciu, gdzie rznął w karty i przegrywał pesety, aby nikt nie mówił, że w Hiszpanii wszystko upada, nawet szanowne kółka hazardzistów.

Poza tym był to czarujący chłopiec, a gdyby ktoś miał co do tego wątpliwości, wystarczyło spytać mamy. Któż z większym szykiem nosił reglanowy płaszcz, szeroki jak worek? Któż latem równie ślicznie wyglądał w ubraniu z jasnej flaneli i słomkowym kapeluszu? Kto potrafił kłaniać się z większym wdziękiem, odrzucając przy tym do tyłu głowę i wysuwając prawą nogę? Rafaelito i tylko Rafaelito, mogły o tym zaświadczyć wszystkie mamine przyjaciółki, które w jej obecności nie przestawały wynosić pod niebiosy wrodzonej elegancji tego chłopaka.

Co do nauki... to miał jeszcze dość czasu przed sobą. W tej chwili był to dystygowany młodzieniec, wysoko ustosunkowany, a jeśli chodzi o wiedzę, to coś jednak umiał, bo ledwie zaczynała się rozmowa o toreadorach lub mistrzach piłki, potrafił zadziwić całe towarzystwo. Pod jego czaszką o wysokim czole zdobnym w dwa błyszczące kosmyki kryło się tyle, ile kryło się pod ramionami modnej marynarki, gdzie podkładki z waty wyrównywały sterzące obojczyki.

Rafael wszedł do salonu, przywitał wuja ze sztuczną swobodą, udając, że nie widzi sarkastycznego uśmiechu starego, oraz wytłumaczył swe spóźnienie przed mamą. Chciał przyjść wcześniej, ale spotkał znajomych na jarmarku. Spacer był piękny, widział dużo wspaniałych modnych kostiumów, a przede wszystkim płaszczy. Zdawał dokładną relację, był niby żywy żurnal mód dla sióstr, które słuchały go bez zmrużenia powiek, mama zaś pogrążyła się w zachwycie dla obserwacyjnego talentu syna i dowcipu, z jakim wykpiwał defekty budowy oglądanych osób. Był on żywym portretem swego ojca.

Rafael połknął błyskawicznie zupę, doganiając resztę towarzystwa przy drugim daniu podanym ozdobnie na wielkich półmiskach, w obłokach balsamicznych aromatów, które przeciskając się aż do samego żołądka pobudzały i odświeżały apetyt. Na jednym półmisku spoczywały żółtawe kartofle z dobrze wygotowaną cieciorzycą, która w pęknięciach skórki ukazywała różowy miąższ, kapusta topniejąca w ustach jak masło i delikatne, białe pietruszki o gorzkawym zapachu. Na drugim wielkie płaty cielęciny o włóknistym mięsie leżały omyte błyszczącym sosem, gorący

boczek drżał jak biała galareta, zawartość krwawych kiszek przeglądała przez cienką błonkę, a krzycząco czerwony serdelek, niby demagogiczny mówca, oblewał wszystko czerwonym sosem.

Wszyscy milczeli, słyhać było jedynie szelest poruszających się szczęk. Żuli i połykali: widelce pustoszyły talerze. Znikały pokrajane bulki, opróżniały się z przekąsek półmiski, a kieliszki napełniały się winem rzucając na biały obrus purpurowe, niespokojne refleksy.

Don Juan żuł głośno i z trudem, pracował bezzębnymi szczękami jak stara koza, a na jedzące dzieci, a zwłaszcza na Juanita, patrzył z zadowoleniem.

Niech sobie ludzie mówią, co chcą, a on, don Juan Fora, właściciel majątku i wolny od pracy człowiek, nie zmieni zdania, że najlepsza jest domowa kuchnia i najlepiej jest jadać w rodzinie. Jak te bachory pałaszują, Boże złoty Gdyby byli w restauracji, staliby się przedmiotem krytyki. Restaurator krzywiłby się, gdyby pochłaniali tak bez reszty to, co im podawano, dziewczęta jadłyby mało, aby się wydać interesujące, on sam zaś byłby skrępowany na myśl, że ktoś może zadrwić z jego śmiesznego żucia.

Tutaj byli u siebie i mogli się najeść do syta tym wszystkim, co wnoszono na stół, bez obawy, że sąsiedzi będą zachodzili w głowę, jak oni sobie dają radę z pieniędzmi przy takim sposobie życia. Najlepiej człowiekowi w domu, te głupie światowe mody tylko krępują... O! pieczona kura. Kto ją podzieli? Juanito.

Pocziwy chłopak, posłuszny woli wuja, wstał, aby ogromnym widelcem i specjalnie naostrzonym nożem zabrać się niezręcznie do krajania mięsa. Donia Manuela spojrzała na niego karcąco. Co za niezdara!

Widząc, że siostrzeńcowi jest przykro, don Juan odezwał się:

— Niech już tak będzie, na drugi raz pokrajesz lepiej ... i tak zjemy.

Podzielono kurę. Tutaj tłusta pierś, tam chrząstkowata szyja, miękkie udka i ociekający tłuszczem kuper, który wysysała donia Manuela delektując się jak łakoma kotka.

Stołownicy się ożywili. Mówili teraz wszyscy na raz. Nawet don Juan się rozweselił i patrzył na każdego z członków rodziny z takim wyrazem serdeczności w twarzy, jak gdyby nie pamiętał, które z młodzieży jest dzieckiem antypatycznego Pajaresa, i zapomniał, że jego siostra była utracjuszką.

Na Boga, teraz przydałyby się jeszcze ze dwa kieliszeczki wina, aby godnie towarzyszyły kurze w drodze do żołądka. Kieliszki napełniały się raz po raz i znów zaczęła krążyć wielka brzuchata butelka wina z piwnicy Escolapios, butla przedziwnego czerwonego produktu nizin Cuarte, który głąskał podniebienie, a gdy znalazł się w środku, to, podstępny zdrajca, palił człowieka jak sto diabłów. Dziewczęta stroiły miny przy picciu, ale wujek zagrzewał je do dalszych kieliszków i bił brawo. Nigdy jeszcze nie widziały starego wuja w tak wesołym nastroju, więc aby go nie drażnić, piły wino małymi łykami.

Nelet z powagą wytwornego maitre d'hôtel, bardzo uważny, odkąd przyszło mu obsługiwać przy stole wuja milionera, przyniósł z kuchni specjalność tego domu, majstersztyk Visantety — rybę w majonezie, którą przyjęto owacjami.

— Ależ, proszę państwa! Czegoś takiego nie dostanie się nawet w najwykwintniejszej restauracji! — pochwalił Rafael

— brawo, kucharka!

Don Juan uznał, że wykrzykniki te są w złym guście, ale sam również ocenił wytworność dania.

Była to ryba zwana merluzą, wagi trzech funtów i wyglądała jak z błyszczącego ołowiu. Brzuch omywał obfity sos, w pyszczek zatknięto jej pęk świeżej sałaty, a wokół ogona leżały pokrajane rzodkiewki, ułożone w kształcie róż.

Girlanda z plasterków twardego jajka otaczała półmisek; na żółtawej powłoce, pokrywającej apetyczne danie, trzy szeregi oliwek i kaparów oznaczały kontury grzbietu i ości. Don Juan ze srebrną łyżką w ręce spoglądał na to чудо. Naprawdę, aż szkoda niszczyć takie dzieło sztuki! Ale było ono przeznaczone do jedzenia i po chwili bielutkie płyty ryby znalazły się na talerzach, pomieszane z artystycznymi ozdobami.

— Skończyliśmy z biedną rybką, więc popijmy na tę intencję.

Wujek stawał się z minuty na minutę weselszy. Zwykła jego mina, kwaśna i lodowata, wydawała się w tej chwili siostrzenicom zjawą senną, na zawsze zapomnianą. Dobrotliwy uśmiech nie schodził teraz z jego mocno zarumienionej twarzy i don Juan coraz to nieznacznie rozluźniał pasek, aby zrobić miejsce temu, co jeszcze miało przyjść.

Następne lekkie danie było już wybitnie narodową potrawą: mostek wieprzowy i nadziewana kiszka, zaprawiona zieloną papryką i pomidorami; danie to umiała przyrządzać Visanteta w sobie tylko znany sposób z takim smacznym sosem, że wszyscy do sucha czyścili talerze kawałkiem chleba.

Don Juan i jego ulubiony siostrzeniec zabrali się do jedzenia z nowym apetytem, ale donia Manuela zaledwie tknęła swojej porcji. Rafaelito zapalił papierosa, co zirytowało wuja, gdyż nie znosił takich przerw w procesie trawienia. Panienki wyszły na chwilę do swego pokoju: musiały rozluźnić gorsety. Fiszby bowiem, mocno już powyginane, groziły pęknięciem pod ciśnieniem napęczniałych brzusków. Gdy dziewczęta przechodziły obok balkonowego okna, owiał je przeciskający się przez szpary chłód. Na dworze padał deszcz, ludzie człapali po błocie, skuleni pod parasolami. Jak przyjemnie było teraz w ciepłej jadalni przy suto zastawionym stole! Trzeba przyznać, że Pan Bóg jest dobry i zsyła szczęśliwe chwile tym, którzy mają swój dom i swoją kucharkę.

Gdy dziewczęta wróciły do jadalni, Nelet uroczyście wnosił główną atrakcję obiadu: wspaniałego pieczonego kapłona, który leżał na półmisku brzuchem do góry, z mięsistą piersią pod kruchą, przyrumienioną skórką, nasyconą złocistym masłem. Don Juan wpatrywał się w niego rozanielonym spojrzeniem. Szkoda pięknego okazu, aby go pokiereszował ten niezgrabiasz, Juanito. Przecież Rafael, jako student medycyny, powinien dać sobie z tym radę.

Dziewczęta zapiszczały na znak protestu, bo przypomniały sobie te wszystkie obrzydliwości, jakimi je straszyl opisując pracę w prosektorium.

— Nie ruszaj tego, Rafael! Jeżeli on pokraje, to my nie będziemy mogły tknąć kapłona . . .

Takie obrzydzenie potrafił wywołać w siostrach. Gdyby przynajmniej ten „honorowy” student wysłuchał więcej niż sześć wykładów anatomii!... Wreszcie sam wuj zdecydował się pokrajać kapłona, gdyż w starokawalerskim życiu człowiek uczy się wszystkiego ... To mi zdrowe apetyty! Każdy wyznawał, że się najadł i przejadł, ale kapłon był taki smaczny, mięso tak kruche i soczyste, złocista skórka tak chrupała w zębach, że wreszcie wszyscy wyciągnęli ręce po swoje porcje i dokładnie obgryzłszy mięso, zabrali się do wysysania kości. Wuj dokazywał cudów,

— Juan, weź ten kawałek — namawiała go siostra — to jest najlepsze.

— Pij, nie żałuj sobie, przecież dziś moje imieniny, masz być wesoly.

Dziewczęta naśladowały matkę, więc co chwila rozlegały się słowa: „wuju, proszę jeszcze trochę, wuju, może wuj co zje albo wypije...”, a wuj, coraz bardziej purpurowy i coraz weselszy, połykał wszystko, co znajdował na talerzu, i wypróżniał kieliszek za kieliszkiem.

Wreszcie przyszła kolej deserów. Melony krajane w plasterki, gruszki i jabłka, orzechy laskowe i włoskie. U wuja wszystko to nie miało zbyt wielkiego powodzenia: ograniczył się do paru kęsów owocu, jaki mu podsunął Juanito. Potem wniesiono klasyczną sopada, czyli kopiastrą salaterkę kremu z zatkniętymi wewnątrz drobnymi biszkoptami. Był to najlepszy przysmak dla ludzi bezzębnych. Juan rozkoszował się kremem,

ale mimo wszystko entuzjastycznie przyjął pojawienie się turrónu z Jijona i bez. Tego rodzaju smakołyki bardzo odpowiadały don Juanowi, gdyż były mięciutkie i sływały bez trudu wprost do żołądka. Mając usta pełne piankowatej masy, rozmawiał z siostrzenicami, których wesołość wzrastała, i bez oporu przyjmował niezwykle troskliwość siostry i jej zabiegi, aby go zadowolić. Teraz kazał zdjąć ze stołu wino z klasztoru Escolapios, bo nie pasuje do deseru, i z wielkim entuzjazmem powitał zjawienie się likierów różnorodnych marek, w małych i dużych butelkach.

Przesuwały się po stole rżnięte, kryształowe kieliszki, różowe jak kwiaty, już to pełne, już to opróżnione. Humory stawały się coraz lepsze. Ciepłe opary jedzenia, ciepło ciała w pierwszej fazie trawienia, przyspieszone oddechy — wszystko to zdawało się ogrzewać powietrze. Na twarzach wykwitły rumieńce i chociaż na ulicy padał deszcz i

przechodnie dmuchali w ręce z chłodu, tutaj można było się spocić. Donia Manuela z zaczerwienionym końcem majestatycznego nosa przypominała indyczkę, a zwilgotniałe od potu czoło wycierała serwetką.

— Przechodzimy do salonu — oświadczyła — tam nam podadzą kawę.

Wuj wolał zostać przy stole. Przecież kawa należy do obiadu, po co w takim razie ruszać się z miejsca? Ale siostra uważała ten szczegół za wyraz wykwintu, więc don Juan musiał się pogodzić z pić kawę w salonie i opuścić jadalnię przekomarzając się z siostrzenicami, jak gdyby był w ich wieku.

Bóg mu świadkiem, że nie jest pijany, jednak nikt nie może zaprzeczyć, że jest nieco zbyt wesóły, a to z winy tych roztrzepanych smarkul, siostry i siostrzeńców. Wszyscy byli zadowoleni. Na miękkich fotelach w salonie czuli się jak w niebie i siedzieli rozparci, wypinając pełne brzuchy, w których na ogniu trawiennego procesu gotowało się jak w garnkach. Mózgi przesłaniała delikatna mgielka, która opadała aż na oczy i tu przyjmowała bladoróżowy odcień.

Don Juan klepał się czule po brzuchu. Dzisiejsze szaleństwo może go później kosztować przykre zaburzenia żołądkowe, a nawet cały tydzień kuracji środkami przeczyszczającymi, ale — do diabła ze skrupułami! Dzisiaj ma ochotę pohulać i nikt mu tego zabronić nie może... Tak, dzisiaj jest hulaką i śmieje się ze wszy

stkiego. Na dowód tego zapalił wielkie cygaro, jakim go poczęstował Rafael, mimo że dym wzmagął jego chroniczny kaszel.

Przyniesiono kawę. Podawała ją Adela, niebrzydka, ale afektowana dziewczyna, która naśladowała swoje seniority w sposobie uczesania i robiła miny zrujnowanej arystokratki.

Don Juan zmienił przedmiot obserwacji. Z serwisu ze starej porcelany, który porównywał w myśli ze swoim własnym, piękniejszym, przeniósł wzrok na usługującą dziewczynę. Nie, niewątpliwie coś z nim jest dziś nie w porządku. Bo patrzcie państwo! Człowiekowi w tym wieku i podobnego usposobienia nagle przychodzi do głowy, że znacznie przyjemniej byłoby mieć do posług taką dziewczynę niż starą Vicentę... No, dawajcie wina chartreuse, ono użycza ognia fałszywej młodości i każe myśleć

o szaleństwach... „A pijże wreszcie kawę, stary lubieżniku!...”

i jednym haustem wypił całą filiżankę.

Zadzwoniono u drzwi wejściowych.

— To Roberto — powiedziała Concha.

— A może Andresito — zawołała Amparo — przyrzekł Juanowi, że przyjdzie na kawę.

Młodzieńcy spotkali się właśnie na schodach i zjawili się w salonie razem.

Roberto del Campo był najbliższym przyjacielem Rafaela a zarazem wyrocznią w sprawach tyczących savoir vivre'u i dobrego smaku. Był to młodzieniec wytworny, syn znacznej, zrujnowanej rodziny, jeden z tych złotych młodzieńców do niczego niezdatnych i szkodliwych dla otoczenia, jacy pojawiają się nagle w rodzinach mieszczańskich po dwóch, trzech pokoleniach żyjących w dobrobycie lub bogactwie. Swoimi szaleństwami i hulaszczym trybem życia stają się jakby narzędziem kary, jaka spotyka rodziców za egoizm i krwiożerczy wyzysk uprawiany przez przodków. Był to piękniś o smągłej cerze, orlim nosie i czarnej błyszczącej bródce; jego bardzo męska uroda, zuchwała i wyzywająca, uderzała energią. Miał twarz, jaką można spotkać często pośród koczujących szczepów cygańskich. W jego chodzie i ubiorze uderzał styl flamenco — rodzaj ludowej, wyzywającej elegancji — a przy tym był w nim też i polor zimnej mieszczańskiej układności. Staranne wychowanie domowe łączyło się w nim z obyczajami, jakich nabrał szukając łatwych przygód i prowadząc bezsen

sowny tryb życia. Ubrany jak paniczek, miał w sobie coś z Cygana; gdy się przebierał za łobuza, wszyscy poznawali w nim panicza. Była to istota o podwójnym obliczu: wahał się między przywoitością a łajdactwem.

Jego przyjaciele opowiadali, że miał silny wpływ na kobiety. Dziewczęta z przedmieść patrzyły w niego jak w obraz i wyobrażały sobie, jakie też on spustoszenie czyni pośród seniorit; senioraty zaś uważały go za istotę niezwykłą, za

rodzaj donżuana, nieodpartego zdobywcy serc. Przy tej okazji przypominały sobie wszystkie romansowe historyjki: o tym jak to uliczne śpiewaczki, zakochane bez wzajemności i szukające śmierci, połykały całe pudełka zapalek, a urocze sprzedawczynie z wędliniarni porzucały mężów, aby pójść za pięknym kochankiem.

W domu donii Manueli Roberto spotykał się z bardzo dobrym przyjęciem, zwłaszcza ze strony Conchity. Był to młodzieniec ustosunkowany, chociaż bez większego majątku, gdyż znaczna część spadku po rodzicach przeszła w szpony lichwiarzy lub leżała w lombardach, co nie przeszkadzało jednak, że mógł być uważany za rozsądną partię dla paniąki średniozamożnej. Dzięki temu małżeństwu jego żona, uwieszona u mężowskiego ramienia, zyskałaby dostęp do zamkniętego klanu, który panny Pajares uważały za raj arystokracji.

Obok tego pięknego okazu burżuazji bliskiej upadku Andresito Cuadros, syn właściciela sklepu „Pod Trzema Różami”, robił wrażenie jeszcze mniejszego, niż był. Jak gdyby spłaszczony, jaskrawo odbijał od kolegi żółtawą cerą chudej twarzy, jaką miewają chłopcy w okresie raptownego wzrostu. Miał on charakterystyczny wygląd jedynaków, wydawał się postarzały przez zbytnią i przesadną troskliwość rodziców, którzy nie pozwalali mu nabrać sił. Był synem kupca, wyemancypowanego subiekta, którego ambicją było, aby syn skończył wyższe studia. Wykształcony i zarozumiały, trochę zepsuty wyjątkowym powodzeniem w nauce i tym, że w domu słuchano go jak wyroczeni, chłopak dziwił się, iż poza domem nikt nie składa mu hołdów, do których przywykł. Wprawiało go to w onieśmienie, tak że wielu uważało go za głupca.

Nowoprzybyli najpierw pozdrowili panią domu, w stereotypowych słowach składając życzenia szczęścia, po czym usiedli

obok zarumienionych i uradowanych panienek. Rafael zawołał w drzwiach salonu, aby przyniesiono kawę dla dwojga spóźnionych przyjaciół, a Juanito z braku innego zajęcia bawił się z ruchliwą Miss, która przy każdym podskoku dzwoniła uwieszonymi u obroży brząkałkami. Rozparty w fotelu don Juan, z wygasłym cygarem w ustach i coraz czerwieńszym nosem, uśmiechał się błogo. Siostra nie odstępowała go ani na krok, zasypywała uprzejmościami i zdołała nawet namówić do wypicia kieliszka koniaku.

Visanteta podawała właśnie kawę dla nowoprzybyłych, gdy pani domu przywołała ją do siebie.

— Powiedz Adeli i Neletowi, aby tu weszli.

Służba kuchenna, jak chór z operetki, ustawiła się w komplecie przed fotelem seniory. Cała trójka na znak zadowolenia rzucała sobie porozumiewawcze uśmiechy.

Była to doroczna ceremonia. Zawsze tego dnia seniora dawała podarunki służbie. Z teatralnym majestatem donia Manuela wręczyła każdemu z nich po jednym duro, prócz tego Visanteta otrzymała jedwabną chusteczkę — dowód, że pani ocenia należycie jej kulinarne zdolności. Dopiero teraz rozpogodziło się czoło dziewczyny w ciągu dnia zmarszczone i zatroskane; cała trójka wyszła w pośpiechu, uszczęśliwiona prezentami, i aż z daleka słychać było ich radosne przytupywania i podskoki.

Ta scena przytłumiła nieco szeroki uśmiech don Juana. Doprawdy jego siostra jest szalona, zachowuje się, jak gdyby nienawidziła pieniędzy. Patrzcie państwo, wyrzuca z kieszeni trzy duros, nie wiadomo na co! Czy nie mogła im dać trzech peset?!

Ale wzmożony proces trawienia po tak obfitym posiłku nie pozwolił mu na jaskrawsze wyrazy oburzenia, słuchał więc uprzejmie słów siostry, która nachylona nad nim oparła się rękoma o fotel i mówiła pieszczotliwie jak dziewczątko:

— Tak, mój Juanie, trzeba umieć postępować z ludźmi, bo inaczej służba zamiast mieć respekt dla chlebobdawcy, obgaduje go przed wszystkimi. Rozumiem, że uważasz za niesłuszne dawanie po całym duro każdemu służącemu, zresztą i ja tak myślę. Jednak, mój kochany, trzeba szanować obyczaje, a tak to już jest, że jeśli się żyje zbyt oszczędnie, ludzie podejrzewają, że się straciło majątek, a kto mógłby być zadowolony z takiego przypuszczenia? Jak sądzisz, Juanie?

W tej chwili zgadzał się na wszystko, czego od niego chciała, byle tylko pozwoliła mu spokojnie siedzieć i trawić. Pokiwał więc tylko głową na znak potwierdzenia.

Donia Manuela zapalała się, mówiła coraz prędzej. Przecież nie jest utracjuszką, mimo że, jak Juanowi wiadomo, wpadła kiedyś w ciężkie kłopoty. Potrafi jednak ocenić wartość jednego duro. Ale należy pamiętać o własnej godności i o tym, że trzeba podtrzymywać honor domu, zwłaszcza teraz, kiedy córki są na wydaniu. Bo ty wcale nie wiesz, drogi mój Juanito, ile to przysparza dodatkowych kłopotów, ile to wymaga poświęceń! Ale co się stało Juanowi? Czyżby trawienie nie odbywało się normalnie? Z jego twarzy znikł zadowolony uśmiech, przymknięte z wyrazem błogości oczy otwarły się i lyskały złowrogo białkami. Przy tym poruszył się gwałtownie w fotelu, jak gdyby naraz ukłuły go jakieś ukryte szpilki. Cóż, wola Boska! On sam też miał dosyć kłopotów i też bywał zmuszony do poświęceń. Takie już jest życie. I próbował drzeć dalej, jak gdyby ta rozmowa bardzo mało go interesowała.

Ale siostra nie zamilkła. Przecież ona już tak oszczędza, odmawia sobie wszystkiego, byle tylko zachować pozory zamożności do czasu, aż dziewczęta zrobią dobre partie, ale bywa tak, że człowiek spotyka się z trudnościami nie do przewidzenia i nie wie, jak z nich wybrnąć.

— Ale, co ty, Juanie, śpisz, nie słuchasz mnie?

Głuchy pomruk dał znać donii Manueli, że brat jej słucha, mimo że oczy ma zamknięte. Więc mówiła dalej.

Właśnie teraz znalazła się w trudnej sytuacji: z pieniędzy otrzymanych od dzierżawców spłaciła niektóre dawne długi i — ponieważ zima pociąga za sobą dodatkowe wydatki — gwałtownie potrzebuje teraz ośmiu tysięcy realów. A że w rodzinie załagodziły się dawne niesnaski, więc ze swoimi kłopotami zwraca się oczywiście do najbliższych. A któż jest jej najbliższą rodziną? Brat i nikt, tylko brat. Jej kochany Juan, do którego zawsze była tak czule przywiązana i którego mądrych rad zawsze słuchała.

— Ty mnie nie opuścisz w potrzebie, prawda, Juan? Ty mi pożyczysz tę sumę, a ja ci ją na pewno oddam na świętego Jana, jak tylko zapłacą mi inni dzierżawcy. Zgadzasz się? ...

On się ma na to zgodzić! Trzeba było widzieć, w jaki humor wpadł nagle don Juan, któremu zakłócono spokojne trawienie.

— Nieszczęśliwa, skąd ja mam wziąć dla ciebie osiem tysięcy realów?! Ty sobie pewnie wyobrażasz, że przechowuję w domu co najmniej złoto w sztabach czy co?

Nie, donia Manuela tak nie myśli. Cóż, przecież osiem tysięcy realów to nie jest znowu taki pieniądz, który by mógł kogoś zrujnować. Zresztą przyrzeka zwrócić dług na świętego Jana, a że w tej chwili brat uśmiechnął się sardonicznie, więc położyła rękę na wyniosłej piersi i przysięgła uroczyście, że odda.

— A jeśli nawet nie masz w tej chwili ośmiu tysięcy realów (w co zresztą bardzo wątpię), to też nie szkodzi, Juanito kochany. Podżyruj mi tylko weksel, podpisz, a już ja dam sobie radę.

Przepadło całe trawienie! Teraz dopiero don Juan zrzucił z siebie resztki sennego spokoju i wybuchnął:

— Już zaczynasz pokazywać pazury! Podpisać!... Podpisać! ... Czy ty uważasz, że przyzwoity człowiek podpisuje weksel pierwszemu lepszemu lichwiarzowi? Takie rzeczy robią tylko szaleńcy twojego pokroju. Bo ty podpisałaś w swoim życiu więcej papierów niż jakiś pisarz i z całym spokojem patrzysz na to, że twoje nazwisko szarga się po świecie na wekslach wiecznie prolongowanych, z takimi warunkami płatności, jakie przyjmują jedynie osoby pozbawione kredytu i zaufania!

A zresztą jakie to osiem tysięcy realów ma dostać od dzierżawców na świętego Jana, że przyrzeka je zwrócić? Przecież to wszystko wierutne kłamstwo.

— Manuelo, pamiętaj, ja wiem wszystko. Z tej ziemi, którą odziedziczyłaś po ojcu, nie masz już ani jednego kawałka nie obciążonego hipoteką. Pieniądze od dzierżawców pójdą na pokrycie długów. Jeśli się zbiorą twoi wierzyciele i zażądadają, żebyś ich spłaciła, a dojdą jeszcze do tego te szalone procenty, jakie im przyznałaś, znajdziesz się na ulicy i sprzedasz ostatnią koszulę! No? Co ty na to? Myślałaś pewnie, że ja nie jestem wtajemniczony w twoje interesy? Donia Manuela zaniepokoiła się i zbladła. Co za nieostrożność rozmawiać o takich sprawach tuż obok młodzieży, obok Roberta i Andresita, obcych młodzieńców, którzy nic nie powinni wiedzieć o prawdziwej sytuacji tego domu. Na szczęście uwagę obu pochła

niały dziewczęta, które w tej chwili ulegając ich usilnym prośbom miały zamiar podejść do pianina.

Może muzyka ułagodzi Juana, ale... gdzie tam! Taki człowiek nie należy do istot, na które działa muzyka. Ku wielkiemu zmartwieniu siostry don Juan nie przestawał się oburzać.

— Dlatego mnie zaprosiłaś, co? Tak to sobie ułożyłaś: „damy mu dobrze zjeść, spróbujemy go upić, a potem, jak już należycie zmięknie... wymierzmy cios!” Nie, moja pani, mylisz się, ani dziś, ani nigdy nie zobaczysz nawet koloru moich pieniędzy, nie myślę palcem kiwnąć dla ciebie. Po śmierci drugiego męża przyrzekałaś mi być wzorem oszczędności i rozwagi, co więcej, byłem taki głupi, że traściłem czas, a nawet nie szczydziłem pieniędzy, aby doprowadzić do porządku twój majątek, który rozsypywał się w proch jak stare czółno... Daj mi skończyć, Manuelo, nie przerywaj. Może będziesz mnie chciała przekonać, że zachowałam dotąd to wszystko równie wolne od długów, jak w dniu, kiedy złożyłem ci w ręce resztę twych pieniędzy! Szkoda słów, moja droga! W wieku, w którym żyjemy, cudów nie ma. Jeżeli ktoś ma w majątku piętnaście tysięcy duros, to nie może utrzymywać powozu, nie może się rozbijać i szastać pieniędzmi na wszystkie strony. Wiem, co chcesz powiedzieć, ale teraz ty mnie słuchaj. Nie pomijając żadnych szczegółów, jak człowiek dobrze wprowadzony w sprawy handlowe, don Juan zaczął dokładnie opisywać siostrze stan jej fortuny.

Otóż nie ma ona ani kawałka ziemi, który by nie był obciążony hipoteką; dochody z dzierżaw wystarczają zaledwie na pokrycie procentów, nawet dom przez nią zamieszkały mało przynosi z winy próżności jego właścicielki.

— Gdy owdowiałaś i oddałaś mi w ręce swoje sprawy, mieszkałaś w jednym z dwóch pokoi na drugim piętrze, a pierwsze piętro odnajmowałaś. Jeden duro dziennie to ładny pieniądz, zwłaszcza w twojej sytuacji. Ale ty nie mogłaś przyzwycząć się do tego, aby, jak mówisz, być „seniora na wysokim piętrze”. Tobie się zachciało salonu i pojazdu, przypomniały ci się czasy dawnych szaleństw i pod pretekstem, że dziewczęta dorastają i musisz prowadzić dom na szeroką stopę, aby mydlić ludziom oczy, zeszałaś na niższe piętro. Wraz z tym spadły dochody, wydatki zaś wzrosły. Nie mogłaś już sobie pozwolić na wielki, parokonny powóz,

jak kiedyś, ale sprzedałaś kawał pola i kupiłaś powozik i konia, do obsługi zaś tego wszystkiego przyjęłaś tego nygusa, syna ciotki Quiki, który was okrada z paszy i świętojańskiego chleba ... Wiem, że nie jest ci bardzo przyjemnie wysłuchiwać tego wszystkiego, ale mówię to naumyślnie, aby ci przypomnieć, że nie jestem dzieckiem i że nie łatwo mnie nabrać... Nigdy nie miałem złudzeń, że zdołam cię odmienić. Pozostaniesz na zawsze tą sarną zwiariowaną Manuela w pretensjach i nie umrzesz, dopóki nie wydasz ostatniego szeląga. Charakter człowieka jest rzeczą wrodzoną, a ty należysz do ludzi, o których nasz nieboszczyk ojciec śpiewał tę starą piosenkę:

Kura z ryżem i powozik,
modny sączonek wcięty,
tak się ludziom mydli oczy
w wesołej Walencji.

I jak gdyby ta zwrotka starej piosenki wujowskiej była sygnałem dla rozpoczęcia muzykalnej części zebrania, w salonie zabrzmiały hałaśliwe tony pianina i żalosne próby śpiewu.

Gwar dodał don Juanowi animuszu. Sprawdził, że chłopcy przysłuchują się muzyce, i rozpoczął mówić na nowo, ale ku przerażeniu siostry coraz bardziej podnosił głos.

— Manuelo, idziesz ku przepaści. Jeżeli znajdziesz się w nędzy, nie zapomnę o tym, że jestem twoim bratem, i zawsze znajdziesz u mnie wraz z dziećmi kawałek chleba ... Ale co do pieniędzy, to wiedz, że nie dam ci ani grosza.

Donia Manuela odrzuciła dumnie głowę ku tyłowi, poczerwieniała i spojrzała bratu prosto w twarz płonącymi oczyma.

— Dziękuję ci za jałmużnę — powiedziała ironicznie — tak nisko jeszcze nie upadłam.

— Ale upadniesz, upadniesz — odparł don Juan nie tracąc spokoju. — Jesteś na najlepszej drodze. Dzisiaj jeszcze utrzymujesz się na powierzchni; skoro się przekonasz, że ja stanowczo odmawiam ci tych ośmiu tysięcy realów, pójdziesz do donii Klary, tej wiedźmylichwiarki, albo do innej osoby w tym guście i podpiszesz weksel na dwanaście albo czternaście tysięcy. Grzęzniesz w błó

cie i już się z niego nie wykaraskasz; mimo wszelkich wysiłków utoniesz w nim. Gdybym cię tak dobrze nie znał, może bym ci teraz pomógł, ale to się już nie da zrobić. „Tylko raz daje święty Tomasz” — mówi przysłowie, a ja często wspominam, jak dokładnie ty stosowałaś się do moich rad.

Seniora była do głębi oburzona brutalną tyradą brata. Widać uparł się nie na żarty, aby nie użyć jej tych mizernych groszy. Cóż, okazuje się, że jest taki właśnie, za jakiego go miała: sknera bez serca. Pięknie, w każdym razie odmowa nie dawała mu prawa, żeby ją zanudzał podobnymi kazaniami.

— Dostyc już, Juan, twoje grubiaństwa działają mi na nerwy.

— Już nic nie mówię, córko. Właściwie nie chciałem dokuczać ci w dniu imienin, muszę cię jednak ostrzec. Ludzie w twojej sytuacji chwytają się wszystkiego. Juanito ma w majątku kawał pola znacznej wartości: ogrody w Alcira, które dotąd musiały uważać za majątek nietykalny. Teraz chłopiec jest już pełnoletni i strasznie cię kocha, więc uprzedzam cię, że jeżeli zechcesz to wykorzystać i wmieszać go do twoich ciemnych finansowych machinacji, będziesz miała ze mną do czynienia. Jestem jego legalnym opiekunem z woli nieboszczyka ojca i chociaż moja misja oficjalnie się skończyła, uważam za swój obowiązek bronić jego dobra, gdyż ten pocziwina byle komu da się oszukać ... To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Między rodzeństwem nie padło już ani jedno słowo. Don Juan zagłębił się w fotelu i spoglądał na młodzież, a Manuela utkwiała wzrok w podłogę, marszcząc brwi. Jej policzki przybrały kolor fiołkowoczerwony, jak gdyby z wściekłości krew uderzyła jej do głowy.

Rafael wyszedł z salonu; Juanito bawił się z Miss coraz ruchliwszą i bardziej hałaśliwą, a Roberto oparł się na pianinie i rozmawiał z Conchą, która z roztargnionym uśmiechem uderzała w klawisze. Przebiegała klawiaturę palcami i fantastycznie płała początkowe akordy znanych melodii.

— Gdzie, do diabła, podzieli się tamci? — pomyślał wuj przebiegając wzrokiem salonu.

A tamci, czyli Amparo i Andresito, stali na balkonie z nosami utkwionymi w szybę, schowani za kotarą. Sprytnie dziewczątka wykazywało diabelską zręczność, aby postawić na swoim. To ona

użyła jakiegoś manewru, aby zaprowadzić syna kupca Cuadrosa na ów balkon, gdzie odgradzona od niedyskretnych spojrzeń i ciekawych uszu czuła się jak we własnym domu. Z początku zaczęli rozmowę o pogodzie, chichocząc obserwowali dziwaczne arabeski, jakie znaczyły na szybie spływające krople deszczu. Potem młodzieniec zbłądł i zaczął lekko drzeć, jak gdyby jakieś ukryte myśli srodze mu dokuczały. Stopniowo inicjatywa konwersacji przeszła do niego, Amparito zaś poddawała się, pewna, że jakąkolwiek drogą rozmowa się potoczy, zawsze dotrze tam, gdzie ona zechce. Wuj z uwagą przyglądał się zasłonie balkonu i zauważył wystające dołem nogi Andresita. W tej chwili Concha przestała bębnić i don Juan posłyszał jakby z daleka cichy głos Amparito, przytłumiony grubą materią kotary.

— Ale wiesz, Andresito, jesteśmy jeszcze za młodzi...

— Za młodzi? Czy to ważne? Dla miłości wiek nie ma znaczenia, tak jak nie mają znaczenia klasy społeczne.

Zapewniał ją, że jest wielce kompetentny w tych sprawach, jako poeta, co prawda jeszcze nie drukowany, ale o sławie ustalonej już pośród Młodzieży Katolickiej. Zresztą nie jest dzieckiem, za cztery lata będzie adwokatem, a potem, kto wie? ... Jego wyobraźnia rysowała mu mglisty obraz dalekiej przyszłości, jaka jest marzeniem każdego aplikanta adwokackiego. Stolec sędziowski, fotel ministerialny, wreszcie krzesło trybunalskiego pisarza . . . Wszystko jedno zresztą gdzie, najważniejsze to zasiąść gdziekolwiek, byle na stałe.

O nie, nie byli zbyt młodzi dla miłości. Wyraził jej to już najlepiej w sonecie oraz w sześciu ósmiozłuskowych poematach. Ubóstwiał ją, wzbudzała w nim płomienne uczucia, uczucia, jakie opisywali wielcy poeci; porównywał swoją miłość do miłości Dantego dla Beatryczy, Petrarcki dla Laury, Ausiasa Marcha dla Teresy. Amparito słuchała z błogim uśmiechem, ta litania wielkich imion pochlebiała jej. To pewnie wszystko bardzo szanowni panowie, ale słyszała o nich po raz pierwszy w życiu, z wyjątkiem Ausiasa Marcha, ubierała się bowiem u krawcowej, która mieszkała na ulicy jego imienia.

Andresito twierdził, że nie może żyć bez Amparito i bez jej miłości; jeżeli nie chce, aby nabrał wstrętu do życia, niech zostanie jego mężem, jego natchnieniem. Chociaż zwykły uśmiech nie schodził z dziecinnej twarzyczki Amparito, dziewczyna poczuła się dumna, urosła we własnych oczach. To nie było co stać się czyjąś żoną, takiego honoru nigdy nie osiągnie jej siostra, Concha. Pragnienie, aby być czymś lepszym od siostry, zdecydowało — i powiedziała: tak. Zresztą narzeczeństwo nie rodzi się na kamieniu i chociaż były pewne względy, które — według słów mamy — przemawiały przeciwko związkowi Andresita z córką sławnego doktora, a mianowicie fakt, że rodzice jego byli bardzo prostymi ludźmi, Amparo miała jednak nadzieję, że z czasem wspaniałe stanowisko, jakie postanowił osiągnąć narzeczony, wygładzi wszystkie nierówności.

I gdy Andresito z rosnącym zaniem mówił o swoich miłosnych cierpieniach, dziewczyna przerwała mu nagle i lekko drwiącym tonem, jakby przyjmowała propozycję jakiejś towarzyskiej zabawy, powiedziała:

— No, dobrze, bądźmy zaręczeni... tylko, na Boga, żeby się mama nie dowiedziała.

ROZDZIAŁ IV

Tegoroczny karnawał upłynął w rodzinie donii Manueli niezwykle wesoło.

Dziewczęta były rozrywane. Rafaelita zapraszano na wszystkie eleganckie wieczorki towarzyskie i zawsze gdzieś na piętrze w pokoiku z zielonymi światłami, strzeżonym jak zebranie konspiracyjne, kręciła się jaskrawa ruletka i namiętni gracze uwijali się wokół stolików, gdzie grano w „cztery karty”.

Co to były za emocje, co za niepokojąca wesołość, ile dawało to błogich oszołomień, choć później przychodziło uczucie pustki i zwierzęcego zmęczenia... Gdy rodzina wracała z balu, Juanito musiał otwierać drzwi. Zwykle około czwartej nad ranem budziło go skrzyknięcie bramy, po czym powóz wjeżdżał z wielkim hałasem w podwórze i wtedy Juanito wyskakiwał z łóżka, wciągał spodnie i wybiegał.

Powrót rodzeństwa z balu zawsze robił na nim wrażenie. Ich widok głaskał próżność biedaka. Siostrzyczki miały wieczorowe toalety, wspaniałe modele francuskiej krawcowej, zresztą jeszcze nie zapłacone, a czasem były poprzebierane w śliczne wiejskie sukienki albo za pierotki lub pasterki kalabryjskie; Rafael zawsze w nienagannym stroju balowym, w jasnym fraku o tak mocno skróconych połach, że z tyłu wyglądał jak marynarka; mama, wniebowzięta sukcesami córek, uśmiechała się mimo zmęczenia, pełna majestatu w swojej sukni z jedwabiu szumiącego przy każdym kroku i w aksamitnej narzutce. Kiedy tak szli gęsiego i w drodze do łóżka zostawiali na potracanych w przejściu krzesłach drobne części garderoby, Juanito patrzył na tę ledwie trzymającą się na nogach gromadkę z tkliwością niemal ojcowską. Mama zawsze była jego bóstwem, a widok rodzeństwa budził w nim wspomnienia z czasów, kiedy — sam jeszcze mały — opiekował się młodszymi dziećmi, gdyż matczyna lekkomyślność uczyniła z niego troskliwą niańkę młodszych dzieci, i z najwyższym poświęceniem nauczył się znosić ich kaprysy.

Wstawał z łóżka, okrywał się byle jak i choć pokaszliwał, nie zważał na chłód, tylko biegł otworzyć bramę, gdyż służące musiały się wyspać, aby nazajutrz nie zabrakło im sił do pracy. Zresztą lubił witać członków rodziny wracających z balu, jak gdyby i jemu udzielało się wtedy coś z blasku owych świetnych wieczorów: zapach perfum nasuwał mu obrazy par przytulonych do siebie w tanecznej ekstazie i przynosił echa muzyki, przenikało do niego coś z nastroju rześcisie oświetlonego salonu i toczących się w nim przyciszonych, zdyszanych rozmów. Wchłaniał ten czarodziejski wiew nieznanego świata, przynoszony w fałdach wieczorowych strojów rodzeństwa i matki, a później, poczciwina, wracał do łóżka, aby przespać jeszcze trzy godziny poranka. Gdy odbywał swoją zwykłą drogę do sklepu, w całym domu rozlegało się głośne chrapanie mamy i rodzeństwa, znamionujące pierwszy, smaczny sen pobalowy.

Potem, przy obiedzie, młodzi dzielili się wrażeniami i przy okazji dziewczęta wykrywały, że ktoś tam je obraził; wczoraj jakoś nie zauważyły tego, dopiero dziś, gdy fantazja zaczęła pracować, nasuwała im tę myśl i budziła pragnienie odwetu. Tak, tak, panny Lopez z dziwnym uśmiechem przyglądały się ich kłata

bryjskim strojom. Miały czelność śmiać się z nich, te szmaciarki! Niechby lepiej same obejrzały się w lustrze. To chyba nie jest w bardzo dobrym guście przychodzić na wszystkie bale w tym samym białym dominie, tak że gdy zjawiają się zamaskowane, chłopcy wołają chórem: „O, przysły panny Lopez!”

Prócz wspólnych przykrości, dziewczęta miały jeszcze inne, czysto osobiste. Conchita wściekła była na Roberta del Campo, tego eleganta z morskiej piany, jak nazywały go niektóre panny. Piękne słówka, komplementy, ale formalnych oświadczeń ani śladu! Tańczy z nią, a tu nagle opuszcza partnerkę, wychodzi z salonu i znika aż do pozeźgalnej, porannej galopki. Tłumaczył się zawsze w jeden i ten sam sposób: musiał coś załatwić z Rafaelitem.

— Gdzie wy się zawsze podziewacie, łobuzy? — pytała siostra nazajutrz. — Co to za rozrywki robią z was gburów? — To męskie sprawy. Wy sobie tylko tańczycie, a my mamy poważniejsze zajęcia.

Tak, były te zajęcia aż tak poważne, że Rafaelito — jak sam powiadał — musiał opróżniać kieszenie mamy, po każdym balu wyprasząc od niej co najmniej pięć duros. Nie miał jakoś szczęścia w tym karnawale. I gdy na dole wesoło rzępoliła orkiestra, jemu na górze karta nie szła i coraz musiał dorzucać nowe, mamine pesety do banku. Amparo też miała swoje kłopoty. Takich, jak ona, trosk nikt chyba nie ma. Niby to narzeczony jest, a jakby go nie było. Bo proszę: po co dziewczyna się żaręcza? Żeby pokazywać się z narzeczonym i budzić wściekłość przyjaciółek ... Czyż nie tak? Otóż ona nie mogła sobie sprawić podobnej przyjemności. Andresito nie miał grosza przy duszy i nie był przyjmowany w towarzystwach, w których ona bywała. Rodzice ubierali go dość elegancko, to prawda, ale uważali, że powinny mu wystarczyć trzy pesety tygodniowo, które dostawał co niedziela wraz z kazaniem, aby nie przyzwyczajał się do rozrzutności i hulanki i aby dobrze się zastanawiał, na co wydaje pieniądze... Zalecali mu przede wszystkim surowo wystrzegać się podejrzanych lokali. Czasem udawało się Andresitowi wyżebrać w jakiejś redakcji zaproszenie na bal, wtedy szedł, ale bawił się tylko do pierwszej. Czy widział kto coś podobnego? Musiał wychodzić z balu o pierwszej, to jest wówczas,

kiedy jej przyjaciółki dopiero zaczynały się schodzić i zabawa stawała się najbardziej pociągająca. Raz tylko udało jej się skłonić Andresita, aby pozostał do drugiej, ale nazajutrz miała poważne powody do podejrzeń, że „Pod Trzema Różami” czyhał na powracającego syna ukryty za drzwiami surowy ojciec, ze sterczącymi groźnie wąsami i drewnianym łokciem w rękę, którym na przywitanie dobrze pomacał żebra zapóźnionemu tancerzowi... I to ma być poważny konkurent! Na domiar wszystkiego — gdy jej się zdarzyło zostać nieco dłużej na balu, to nie mogła, broń Boże, przyjmować żadnego zaproszenia przystojnych i eleganckich młodzieńców, bo niech tylko szanowny pan się dowie, że ona z kimś tańczyła, to spuści nos na kwintę i zacznie ponurą przemowę o jakimś Otellu. Potem strzela sonetem i ona występuje w nim jako perfidna uwodzicielka, kobieta niewierna i zdrażliwa, która zatruwa mu życie... Nie, tak dłużej trwać nie może. Zresztą sama sobie jest winna, trzeba było słuchać mamy, która stale powtarza, że właściciele „Trzech Róż” to nie są ludzie z towarzystwa. Prawda, że Andresito jest dobry chłopak, ale ona nie może się ośmieszać, bo co ma powiedzieć, gdy coraz to inna przyjaciółka podchodzi i zapytuje jadownicie, gdzie podziewa się jej narzeczony. Niech tylko zjawi się nowy konkurent, to już będzie wiedziała, co robić: bez wahania da kosza Andresitowi.

Przysły ostatki. Rano wśród grupki studentów i gromad jednakowo ubranych masek, krążących po ulicach, przechadzały się stateczne rodziny to z jakimś dzieciakiem wciśniętym w koleczkę Lohengrina, to z pacholęciem w ciasnych pluderkach z czasów Queveda, to z chłopakiem w czerwonych spodniach a la Mefisto. Ślepcy, którzy przez cały rok sprzedają nuty z tekstami piosenek, dzisiaj szli w równych czwórkach z przewieszoną przez pierś gitarą, poprzebierani za rybaków i odaliski w wypożyczone, brudne kostiumy.

Chłopacy biegali z plikami kolorowych papierków i wykrzykiwali swoje: „Wesołe i zabawne zwrotki i śpiewki dla masek”. Były to kolekcje rymowanych, słonych kawałów i obrzydliwości, które wieczorami w alei wywoływały szaleńcze piski i głośnie zaczepki. Na straganach w rynku sprzedawano olbrzymie tekturowe nosy, wąsy i brody z końskiego włosia, kolorowe kaptury obszyte brzękadłami, fantastycznie malowane maski, zdolne konkurować z pło-

darni wyobraźni średniowiecznych rzeźbiarzy. Niektóre straszły wyrazem przerażenia, inne patrzyły jednym wysadzonym okiem i miały czerwone placki na policzkach, jeszcze inne zdumiewały wielkim czołem; były tu maski jak trupie czaszki ze ściętym nosem lub z nosem jak prasowana figa; były tam też same nosy jak trąby słoniowe lub z krostą na czubku, były maski „człowieka śmiechu” wywołujące zaraźliwe chichoty, a były też dobroduszne, okrągłe i różowe twarze z wczepioną w nie wstrętną jaszczurką.

Studenci w pelerynach zarzuconych na jedno ramię, z trójrożnym kapeluszem w ręce i wstęgą fakultetu na ramieniu, szaleli po ulicach jak obłąkane stado, okrążając przechodniów i wyciągając od nich datki. Na placyku, gdzie stał dom Pajaresów, gromadzili się medycy i prawnicy, a wokół zatkniętego pośrodku czerwonożółtego sztandaru orkiestra zaczęła rznąć wesołego walca, co w jednej chwili otworzyło drzwi na balkony i w oka mgnieniu wypełniło je ciekawymi.

Hałaśliwy tłum niekrepowanej i rozpuszczonej młodzieży zalewał plac jak banda pijaków. Trójrożne kapelusze fruwały aż na balkony: każda ładna twarzyczka wywoływała fale nieustannych komplementów. Przesada w hołdach przekraczała granice normalnej fantazji; jeden z młodzieńców, oszołomiony widocznie ostatnim zbyt dużym kieliszkiem, wzgardził trywialnym wynalazkiem schodów i wdrapywał się po fasadzie aż na balkon, aby wręczyć bukiet kwiatów pięknej panience i wyprosić jednego duro od jej mamy. Concha i Amparo były przedmiotem owacji i donia Manuela, czerwona z dumy, rozdzielała uśmiechy i pesety każdemu z tych rozwrzeszczanych i rozgestykulowanych szatanów tłoczących się pod jej balkonem. Za plecami panien stał Andresito Cuadros. Przed chwilą wszedł on do salonu w przekrzywionej pelerynie z ordynarnej materii, która farbowała na czarno koszulę i twarz. Przyniósł bukiety dla mamy i córek, a był dzisiaj wymowny i pełen inicjatywy, chociaż ku wielkiemu niezadowoleniu Amparito nie próbował tak jak inni wdrapać się po fasadzie, który to sposób wydał jej się bardzo interesujący.

Po obiedzie Nelet zaprzągnął konia do powozu i panie wyjechały na spacer w aleje, gdzie zabawa nabierała charakteru igrzysk opitych niewolników w dzień święta Saturna.

Strój chłopski stawał się dla mężczyzn pretekstem do wszelkiego rodzaju chamskich wybryków. Przy akompaniamencie brzękadeł maszerowały grupy młodzieńców w krótkich, plisowanych spodenkach, kwiecistych kamizelkach, szerokich płaszczach, z głowami obwiązanymi chustkami ze sztywnego jedwabiu. Ogłuszający chór rozkrzyczanych głosów, przecinany pojedynczymi ostrymi nawoływaniami, falował aż w nieskończoność i brzmiał jak krzyk bojowy czerwonoskórych dzikusów. Służące, ubrane jak na niedzielę, uciekały w panice, słysząc te wrzaski. Bandy studenterii galopowały ulicami, w groteskowych, okropnych maskach. Chłopcy podrzucali w górę olbrzymie noże o rękojeściach z malowanego drzewa, o ostrzach splamionych czerwoną farbą niby krwią. Wokół nich kłębiły się banalne karnawałowe maski: dziwadła w wygniecionych cylindrach i zakietach ponaszywanych kartami do gry; spod masek noworodków wyglądały gęste brody i do taktu potrząsanej grzechotki dzidzius wykrzykiwał nieprzyzwoite uwagi; zielone diabły gwizdały wściekle i chłostały ogonem poczciwych przechodniów; Cyganie jeździli wierzchem na ledwo żywych, owrzodzonych osłach, pomalowanych w pasy, niby zebry; skakały zręczne pajace, stare wiedźmy w łachmanach szalały z brudną miotłą na ramieniu, a sprzedawcy fig nakłuwali owoce na trzciny pręt i podrzucali je w górę przed oczyma łakomych urwisów stojących z otwartymi ustami.

Ta rozszała inwazja cudaków pędzących przez miasto wrzeszczała jak gromada pacjentów wypuszczonych nagle z domu wariatów. Kierując się ku alei Alameda mknęli oni przez most Real, pomieszani z ludnością, a że znajdowali się

w dzielnicy spacerowej, niektórzy szli do Lasku Plantio, gdzie pozwalali sobie na sprośne żarty zaprawiane trzaskaniem wymierzanych gęsto policzków. Powozik pań Pajares, pomimo starannego lakierowania, błyszczącej upręży i pomalowanych na żółto lekkich kół, tracił na powadze wobec wspaniałych dwukonnych karet i wykładanych aksamitem powozów, faetonów i dodży, które w ciągu całego popołudnia defilowały bez przerwy centralną aleją spacerową, kołując jak w kieracie.

Rafaelito przebrał się za kłowna. On i inni z jego bandy zajęli ogromny wóz meblowy i na dachu wyprawiali najszeptniejsze szaleństwa, po łobuzersku zaczepiali wszystkie młode dziewczyny,

czyny, których tylko osiągnąć mogły ich ochryple od krzyku głosy. Wesola to była kompania.

Zaprząg donii Manueli miał swoją eskortę. Przystojny chłopiec w czarnym dominie jechał obok na wypożyczonym koniu przez całe popołudnie i jak przylepiony do drzwiczek powozu emablował Conchitę, podczas gdy mama i Amparo przyglądały się mijającym maskom. Był to Roberto del Campo, który pomimo swego zuchwalstwa okazał się ciapą, gdyż oprócz komplementów nie mógł się dotąd zdobyć na nic bardziej decydującego. Mama przestawała stopniowo uważać za tak szalenie czarującego tego eleganta, który tylko odstraszał innych konkurentów. Bóg wie, ile małżeńskich propozycji straciła jej córka przez tego złotego młodzieńca! Korzystał on ze wszystkich praw narzeczonego, a nie uważał za swój obowiązek zadeklarować się oficjalnie jako starający. Conchita była głucha na rady matki. Sądziła, że potrafi go złowić. Mężczyźni, którzy uważają się za bardzo chytrych, najłatwiej wpadają w zastawione sidła. Nie wolno tylko tracić cierpliwości i pogodnego wyrazu twarzy.

Karnawał minął i oto donia Manuela ocknęła się w pełni postu. Nadszedł czas rachunku sumienia i oczyszczenia z grzechów, jakie przynosi z sobą radosny okres karnawału. Francuska krawcowa przysłała rachunki za sukienki dziewcząt, a na wydatki domowe nigdy nie starczało. Jednym słowem, donia Manuela potrzebowała na gwałt trzech tysięcy peset.

Jej przyjaciółka, donia Klara, pośredniczka lichwiarzy, o której takie okropności mówił don Juan, nie mogła znaleźć pieniędzy dla wdowy Pajares.

— Szczerze pani powiem, donio Manuelo: ma pani już wiele wznowionych weksli, które krążą po świecie, a że procenty nie zawsze pani płaci... Otóż moi przyjaciele nie zgadzają się dać ani centyma. Co innego, gdyby pani mogła znaleźć osobę z gwarancjami, która by chciała poprzeć pani podpis!

Ona ma znaleźć osobę z gwarancjami! Nie łatwo było znaleźć osobę, o jakiej mówili lichwiarze. Żył co prawda ów brat, którego jedno słowo mogło wybawić ją z kłopotów, cóż, kiedy nie było nawet co marzyć o pomocy ze strony tego nędznika! Wolałby on raczej oglądać zębę całej rodziny niż dobrowolnie pożegnać się choćby z jedną pesetą. Sytuacja była rzeczywiście okropna! Bo

kto to słyszał, aby dystyngowana dama, dama jej pokroju musiała łamać sobie głowę nad tym, jak wybrnąć z obrzydliwego położenia, w jakie wtrącił ją brak nędznych kilku peset! A przecież w swoim czasie miała możliwość tysiące wyrzucać oknem!... Przynajmniej przede wszystkim trzeba zapłacić krawcowej; sama myśl o tym, że krawcowa mogłaby opowiedzieć o jej długu innym klientkom, wprawiała wdowę w przerażenie, choć tamtych pań nie znała. Długo rozważała najrozmaitsze projekty, wreszcie wydało jej się, iż znalazła wyjście z sytuacji. Ma przecież pełnoletniego syna Juanita, posiadającego własny majątek. Jego podpis daje wymagane gwarancje. A co do grózb don Juana, który już przewidywał taką ewentualność, to śmieje się z nich. Czyż Juanito nie jest jej rodzonym synem?

Biedne chłopczysko nie zaznało nigdy jeszcze takich wylewów czułości i macierzyńskich pieszczot. Oczarowany matką, słuchał jej jak w oszołomieniu, delektując się samym dźwiękiem jej głosu, tak że Manuela musiała powtórzyć kilka razy swoją prośbę, nim Juanito zdał sobie sprawę, co mówiła. Mimo wyjątkowej adoracji, jaką darzył matkę, Juanito poczuł się do pewnego stopnia zaskoczony, gdy zrozumiał, że chodzi jej o podpis na wekslu wartości trzech

tysięcy peset. Nie, tego nie mógł przyrzec. Był ulepiony z kupieckiej gliny i w sprawach pieniężnych ujawniało się w nim wszystko to, co miał w sobie z dziadka i ojca.

— Ależ mamó, czy doprawdy nasza sytuacja materialna jest tak żalosna?

Donia Manuela rozwinęła swoje zdolności oratorskie. Koszty utrzymania wzrastają z dnia na dzień. Wymagania życia towarzyskiego są wysokie, a przede wszystkim niech Juanito nie zapomina, że ona jest matką czworga dzieci. Ach, te dzieci!... Czy ty zdajesz sobie sprawę, Juanito, ile wy mnie kosztujecie?

Juanito milczał, chociaż w tej chwili miałby aż nazbyt wiele do powiedzenia. Od śmierci ojca matka wydawała na własne potrzeby dochody, które przynosiło pole Juanita, a jego samego ubierała do dwudziestego roku życia w znoszone garnitury ojczyma; najstarszy syn zaoszczędzał matce wydatków na niańkę, gdyż sam zajmował się młodszymi dziećmi, z miłością i poświęceniem znosił kaprysy tych wypieszczonych i nerwowych istotek, a od dziesięciu już lat pracował w sklepie „Pod Trzema Różami”, oddając co do

grosza cały swój zarobek mamie. Jakież to więc wydatki ponosiła na niego? Co innego tamte dzieci... Ale nie, nie będzie mówił o tamtych dzieciach. Przecież kochał je gorąco, tak samo jak mamę, i dlatego martwił się nieraz, że nie zarabia dużo. Poczciwina milczał, ale cierpiał wysłuchując irytujących łgarstw donii Manuely, która cynicznie opowiadała wciąż o ponoszonych przez nią dla dzieci wyrzeczeniach. Skonstatowała w końcu, iż potrzeba jej trzech tysięcy peset, i wierzy, że jej kochany synek, Juanito, zechce wydobyć rodzinę z nieszczęścia.

— Mamó, może by jednak poprosić wuja. On nam na pewno pożyczy tę sumę bez procentów.

— Wuja? ... Nawet nie mów o tym, to by było już coś najokropniejszego. Wasz wuj to zimny egoista, człowiek bez ogłady, brutal. Pamiętaj, Juanito, nie wspominaj wujowi ani słowem o moich kłopotach. Zrobiłbyś swojej mamie straszliwą przykrość.

— A więc poproszę pryncypała. Chociaż don Antonio jest teraz mocno wciągnięty w interesy giełdowe, to jednak wierzę, że znajdzie trzy tysiące peset, aby pomóc swoim bliskim przyjaciółom.

Nie, nie chciała. Od niego tym bardziej nie chce pożyczać. Nie pożyczają się od osób tego pokroju, od... od takich... prostaków. Właśnie nie dalej jak wczoraj dowiedziała się, że Amparito nawiązała flirt z synem Cuadrosa, i bardzo ją to zmartwiło. Stosunki tego rodzaju są „zupełnie bezcelowe”. Ona by miała wydać za mąż swoją Amparito, córkę doktora Pajaresa, za syna Teresy, która kiedyś była jej służącą? Nie, tak nisko jeszcze nie upadli i chociaż z pewną przykrością, ale musi odmówić, bo nie ma zamiaru spowinowacać się z garnkotłukiem. Wszyscy już wiedzą, że Antonio Cuadros gra systematycznie na giełdzie, ale dotąd angażuje się dosyć nieśmiało. Co innego, gdyby udało mu się zdobyć wiele tysięcy duros, no to... wtedy Andresito mógłby powrócić... i zobaczylibyśmy. Ale nie, absolutnie nie chce prosić o pożyczkę ludzi stojących o tyle niżej od nich pod względem towarzyskim. Gdyby ich dopuściła do swoich intymnych kłopotów, wyobraźaliby sobie może, że znikł dzielący ich dystans.

Dowiedłszy, że ani don Juan, ani kupiec Antonio nie mogą wchodzić w grę jako wierzyciele, donia Manuela zaczęła od nowa nacierać na Juanita i skończyło się na tym, że po krótkiej pró

bie oporu, oszłomiony matczyną dobrocią i pieśczoćkami, podpisał, co mu podsunęła.

Na jego decyzję wpłynął argument matki, że część tych pieniędzy przypadnie na opłacenie abonamentu trzech foteli łoży w teatrze Principal. Bo cóż by robiły siostrzyczki bez teatru? Tam mają możliwość znaleźć dobre partie, chodzi więc o ich przyszłość i byłoby okrucieństwem z jego strony, gdyby dziewczętom zepsuł karierę.

Juanito przeżywał szczęśliwe chwile w okresie postu, gdy wieczorami przy rodzinnej kolacji dziewczęta, ubrane do teatru, drżały z niecierpliwości, podczas gdy z dołu dochodziło stukanie kopyt końskich o bruk dziedzińca i turkot powozu.

Dzisiaj właśnie miał śpiewać jakiś słynny tenor, jeden z tytanów sceny, biorących za wieczór pięć tysięcy franków; udział tych znakomitości w przedstawieniach ogranicza się do odśpiewania pieśni miłosnej i jednej partii w duecie oraz

cennej obecności podczas trwania całej sztuki. Było znakiem dystynkcji i dobrego smaku pozwalać się okradać tym wielkim gwiazdom, więc w sali opery zbierała się śmietanka towarzyska Walencji, aby zamieniać uśmiechy i ukłony. Cały następny dzień dziewczęta opowiadały z zapałem o niskim „do” tenora i o wydekoltowanych sukniach pań z siódmej łoży, o diamentach primadomny i komicznej twarzy czupryniastego dyrygenta w złotych okularach, który w trudnych momentach wymachiwał rękami jak wariat i rzucał się, jak gdyby chciał pobić muzyków, śpiewaków, a nawet publiczność.

Występ tenora i jego sukcesy były głównym tematem wszystkich rozmów, tak że wreszcie nawet skromny Juanito uległ pokusie nie tyle dlatego, aby chciał zobaczyć Otella Verdiego, ile dlatego, że pragnął obejrzyć przedziwną istotę za jednym otwarciem ust połykającą pięć tysięcy franków.

Ten sam chłopak, który bez wyrzutów sumienia podpisał weksel na trzy tysiące peset, bardzo długo ważył decyzję pójścia do teatru, związaną z wydatkiem czterech. Ale niech raz i on pohula. Popychany przez tłum, dał się unieść na górę, na galerię, gdzie każdy widz wciśnięty był siłą między dwie pary kolan bezpośrednich sąsiadów, a wszyscy razem tworzyli gęstą mozaikę zapatrzonej i zasłuchanej publiczności. Spędził cały wieczór w tłumie li

rycznych snobów, a że nie rozumiał ani słowa, nudził się straszliwie. Powiedział sobie, że grają tutaj jak w kościele. Nie śmiał ruszyć ręką ani nogą, bał się kichnąć wobec tych państwa, z półotwartymi ustami i oczyma w szept, wsłuchanych w operę. Trwali w nieruchomej ekstazie, jak fakirzy pogrążeni w nirwanie, i na najmniejszy szmer reagowali tak, jak gdyby złodziej zapuścił im rękę do kieszeni. Natychmiast zaś po skończonym przedstawieniu wszczynali alarm i wrzask, dyskutując i obrażając się wzajemnie w sposób gwałtowny a nieartykułowany, i omawiali dokładnie drzewo, metal i struny instrumentów, jak gdyby chodziło o konstrukcję okrętu.

Burzliwy nastrój galerii po pewnym czasie zaczął udzielać się Juanitowi i aż go korciło, aby krzyknąć na cały głos, że wszystko to jest nudziarstwem, a honorarium pięciu tysięcy franków zwyczajnym złodziejstwem, ale milczał ze strachu przed ludźmi ogarniętymi artystycznym szałem. Pocięszył go zresztą widok czerwonych aksamitnych foteli, na tle których bardzo efektownie wyglądały śliczne kapelusiki siostr i majestatyczna koronka mamy. Wezbrała w nim duma, gdy tak patrzył na wspaniałe ubraną rodzinę pośrodku sali pełnej światła i woni perfum, i w pewnej chwili niewiele brakło, aby zawołał po imieniu Amparito i pomachał jej ręką.

Któż by pomyślał, za cenę jakich kłopotów i trosk udawało się utrzymać ten zbytek! Któż by powiedział patrząc na te eleganckie, uśmiechnięte panie, zwłaszcza na mamę obwieszoną brylantami na szyi, w uszach i na palcach, że wołała ona raczej głodować niż pożegnać się z tym wszystkim! Idąc za logicznym biegiem myśli, chłopak postawił sobie niepokojące pytanie, czy też te wszystkie seniory z parteru, zdobne w kwiaty, biżuterię i szczęśliwe uśmiechy, tak samo muszą ubiegać się o pożyczki jak jego matka... Wspomnienie spędzonego w teatrze wieczoru pozostało w pamięci Juanita związane z dusznym gorącem sali i niesłychaną nudą.

Po podpisaniu matczynego weksla miał zamiar przyznać się przed wujem do tej słabości, gdyż nie zwykł był przedsiębrać żadnej ważniejszej decyzji nie poradziwszy się don Juana. Tym razem zwlekał jakoś z pójściem do wuja i czas mijał, a że nie nadarzała

się okazja do odwiedzin, sprawa się przedawniła i nic mu już nie powiedział.

Z drugiej strony, stosunki, jakie wytworzyły się w sklepie „Pod Trzema Różami”, przyczyniały Juanitowi ostatnio trochę przykrości i kłopotów. Odkąd bowiem jego pryncypał oddał się duszą i ciałem grze na giełdzie, podniecony zwłaszcza ostatnio sprzyjającym mu szczęściem, Juanito stał się rzeczywistym kierownikiem przedsiębiorstwa. Cały ranek spędzał zwykle don Antonio na rozmowach z agentami w tylnej części sklepu, na czytaniu wiadomości z giełdy, na komentarzach i sprzeczkach z nowymi przyjaciółmi, którzy ustawiali się półkolem przed drzwiami magazynu i z ogniem opowiadali o zwyczajach i niżkach papierów, o pesetach i centymach. Po południu szedł na giełdę, skąd powracał przed wieczorem spocony i zgrzany. W oczach miał gorączkę konkwistadora.

Ten skromny i oszczędny człowiek był całkowicie roztrzęsiony. Żył teraz tylko niepokojem, tylko nerwami, a w jego słowach i gestach odbijało się poczucie własnej wielkości: zamiast — jak dawniej — mówić o chusteczkach do nosa za dwie pesety tuzin, teraz mówił ciągle tylko o milionach. Na swoje sklepowe interesy zaczął patrzeć co najmniej obojętnie, jako ma sprawy bez znaczenia, odpowiednie dla ludzi małych duchem. Kierownictwo oddał w ręce Juanita i za każdym razem, gdy chłopiec pytał go o radę, odpowiadał z roztargnieniem:

— Rób, jak uważasz, synu. Teraz wszystko od ciebie zależy. Jeżeli nawet jakiś interes się nie uda, to mnie nie zrujnujesz. Teraz dopiero wypłynąłem na szerokie wody, teraz dopiero jestem w swoim żywiole.

Napadała go ochota do zwierzeń i przed oczyma subiekta malował tak czarujący obraz przyszłości, że rozbudzał w nim instynkty drapieżcy i dreszcz żądz posiadania przeszywał Juanita. Cóż to za płaski zawód — sklepikarz. Haruj, człowieku, od rana do nocy, narażaj się na straty, bądź przedmiotem kaprysów i nieuprzejmości klientów, a wszystko po to, aby składając centym do centyma dochrapać się w końcu roku co najwyżej kilku tysięcy realów. Kto jeszcze robi tak dobre interesy? On, Cuardos, w dzień wydaje zarządzenia agentom, wieczorem kładzie się spokojnie spać, a gdy rano wstaje, przychodzi wiadomość, że zarobił tysiąc

duros bez ruszenia palcem. Oczywiście istnieje pewne niebezpieczeństwo strat, i to nawet wielkich strat, ale gdy człowiek ma głowę na karku, jak on, dobrych przyjaciół, doskonałe informacje i jasne spojrzenie na rzeczywistość, to nie ma się czego obawiać.

I szczęśliwy posiadacz tylu wspaniałych zalet przechadzał się tam i z powrotem po sklepie, a subiekt wodził za nim oczyma, jakby urzeczony blaskiem aureoli człowieka umiejącego trzymać w garści własny los, tak aby szczęścia z rąk nie wypuścić. Źródłem tej pewności było kilka udanych operacji opartych na wzorach bardziej doświadczonych graczy, które przyniosły mu tysiące duros.

Początek jest najtrudniejszy, a don Antonio wszedł już na drogę wiodącą do fortuny, więc zapewnia swego subiekta, że przed upływem roku będzie właścicielem milionów, tak jest, milionów, i to nie wymyślonych, czysto nominalnych milionów jak te, które on sam kupuje i sprzedaje na giełdzie; zdobędzie realne i rzeczywiste miliony, za które każdej chwili można nabyć majątek ziemski lub akcje. Czyż są jeszcze głupcy, którzy twierdziliby, że giełda rujnuje ludzi? Proszę, znamy przykłady, które ich mogą łatwo wyprowadzić z błędu. Zresztą wszyscy grają. Ludzie, którzy przed rokiem nie mieli w majątku nawet tyle ziemi, ile trzeba na własny grób, teraz rozjeżdżają się powozami; kupcy, którzy nie mogli zapłacić w terminie weksła na dwadzieścia pięć paset, teraz rzucają na giełdę miliony, a żyją jak książęta. Sama zaś giełda — chociaż może nie wypada o tym mówić — jest to instytucja poważna, bo dzięki niej pieniądź przechodzi szybko z rąk do rąk, podnosi się stopa życiowa obywateli i taki na przykład subiekt ma możność przestać być niewolnikiem kontuaru i wzbogacić się w ciągu kilku dni. A jeśli Juanito w to wątpi, niech przyjrzy się panu Lopez, tak, tak, temu samemu, którego małżonka jest przyjaciółką jego mamy. A więc ów Lopez poszedł na giełdę bez grosza w kieszeni, a teraz osiemdziesiąt, a nawet sto tysięcy duros to dla niego fraszka. Jednym słowem — on, Antonio, gwizdże na cały sklep, na tę staroświecką budę, która zdolnym finansistom tyle tylko daje, że zaharowują się na śmierć po to, aby na starość jeść kartoflane zupki.

W tym samym okresie, kiedy don Antonio zaczynał coraz bar

dziej zaniebować sklep, wciągany przez poboczne interesy, Juanito dawał się porywać nieznanym uczuciom.

Pośród klientek magazynu była młoda dziewczyna, nazywana przez subiektów „świętą”. Była to osóбка nieśmiała, łagodna, cicha; mówiąc opuszczała powieki i leciutko uśmiechała się przy każdym słowie, jak gdyby przepraszała, że zabiera czas swoją osobą. Starła się mieć możliwie mało do czynienia z subiektami, niewątpliwie z powodu przesadnych komplementów, jakimi ją obsypywali, gdyż uważali sobie za obowiązek mówić każdej młodej kupującej, że jest bardzo ładna, aby zyskać klientkę. Ale panna po wejściu do sklepu szukała oczyma Juanita. Oto młodzieniec, z którego promieniuje powaga, nieśmiały jak i ona, a przy tym nienagannie grzeczny.

Młodzi mieli sobie zawsze dużo do powiedzenia i rozumieli się znakomicie. Omawiali z powagą ceny i gatunki tkanin, a z czasem wytworzyła się między nimi tak wielka sympatia, że gdy raz ten duży chłopak z wielką brodą ośmielił się powiedzieć coś wesołego, „święta” uśmiechnęła się szeroko, z całego serca, ukazując sznur pięknych, równiutkich zębów.

Panna często przychodziła do sklepu „Pod Trzema Różami”, gdyż materiały były tutaj względnie tanie. Juanito wydobywał z niej, słówko po słówku, szczegóły z jej prywatnego życia i stopniowo poznał dziewczynę dokładnie. Na imię miała Antonia. Pracowała po domach jako krawcowa, a tak była zręczna, że klientki wzajemnie ją sobie wrywały. Były to panie mniej zamożne, którym zależało na tym, aby dobrze się ubrać, a Antonia potrafiła naśladować modele wielkich domów mody. Była sierotą, ojciec jej był woźnicą u jakichś bogaczy, matka dozorczynią. Chrzestną matką Antonii była, nieżyjąca już dziś, stara księżniczka, która łożyła na jej wykształcenie w skromnym gimnazjum, i dotąd jeszcze Antonia chodziła z wizytami do „panienek”, córek protektorki, obecnie już zamężnych. Mieszkała z przyjaciółką matki, prawie ślepą staruszką, która przez dwadzieścia lat była służącą nerwowo chorego pana. Panów przed śmiercią zapewnił jej dożywotnią rentę dwóch peset dziennie, chroniąc ją tym od śmierci głodowej. Tonika — tak zdrobniale nazywały ją klientki — jadała po domach, gdzie szyla przez jedenaście godzin dziennie, a jedynym jej wytchnieniem były wy

prawy na miasto po zakup tkanin, nici i guzików. Wieczorami wracała do swego pokoju przy ulicy Gracia, mieszczącego się na trzecim piętrze starego zniszczonego domu. Sąsiadki opowiadały, że w jej mieszkanku jest czyściutko jak w pudełeczku.

Juanito obdarzał panienkę żywą sympatią. Cóż to za miłe dziewczątko ... Wystarczyło jej się przyjrzeć, jak chodziła po ulicy z woalką opuszczoną na oczy, drobniutkim, pełnym wdzięku krokiem, zawsze tuż obok ściany, jak gdyby starała się nie zwracać na siebie uwagi przechodniów.

Nie można było o niej powiedzieć, że jest wyjątkowo ładna. Miała okrągłą, bladą twarzyczkę, z nieco za krótkim noskiem, ale oczy, prawdziwie piękne, patrzyły spod wielkich długich łuków brwi, prawie zrosniętych pośrodku czoła. Co najwięcej zachwycało Juanita w twarzy jego ulubionej klientki, to uśmiech, to owe piękne zęby, błyszczące równiutkim szeregiem w obramowaniu karmazynowych warg, tak nieskazitelne niemal, jak owe reklamowe przykłady doskonałego uzębienia, wystawiane w poczekalniach dentystów.

Przyjaźń, nawiązana nad kontuarem, stawała się coraz wyraźniej potrzebą obojga. Ledwo przestąpiwszy próg sklepu, Tonika kierowała się prosto w stronę owego nieśmiałego, jak ona sama, brodacza, nie zwracając uwagi na uprzejme pozdrowienia reszty subiektów. Juanitowi nieraz drżały ręce, gdy rozwijał przed nią sztuczki tkanin. Jeśli wyszedł ze sklepu, a po powrocie mówiono mu, że była „święta” — odczuwał prawdziwą przykrość.

Przyglądał się jej z uwagą, pamiętał każdy szczegół garderoby dziewczyny i podziwiał wytworność gustu. Oto biedna krawcowa nosiła zawsze rękawiczki i zapewniała go, że nie może się bez nich obejść, gdyż w dzieciństwie wraz z innymi manierami swej chrzestnej matki nabrała i tego przyzwyczajenia dam z wyższych sfer. Gdy wracała z pracy, wolne godziny wieczorne i całe niedziele poświęcała czytaniu. Wprost pochłaniała powieści, czytała wszystko bez wyboru, byleby mogła wypłakać się do woli, a płakać przy czytaniu lubiła długo i gorzko. Osoba, która za jedenaście godzin pracy dostaje siedem realów, bywa skłonna do marzeń. Poprzez lekturę książek o nieszczęśliwych matkach, o męczennikach miłości, o białych, wielkookich i biało ubranych seniorach,

bohaterkach ulubionych romansów drukowanych jako dodatek do czasopism, Antonia nabierała swoistego, sentymentalnego stylu.

W domu donii Manueli zauważono, że z Juanitem dzieje się coś dziwnego, a przecież niezbyt uważnie na ogół mu się przyglądano. Czasem w południe przychodził w świetnym humorze na obiad i siostry słyszały, jak chodząc po pokojach śpiewa na głos, a co dziwniejsze, zwykle tak niedbały w sprawach garderoby, teraz dwa razy z rzędu

pogniewał się o źle wyprasowaną koszulę, a nawet całkiem serio poprosił mamę, żeby mu kupiła nowy krawat, bo ten stary był wytarty i niemożliwy do noszenia.

Amparito śmiała się bratu w nos. Zachciało się stroić staremu kawalerowi... A może jest zaręczony? Więc niech posłucha rady siostry, która chociaż młodsza, ma już jednak doświadczenie. Narzeczeństwo daje tylko przykrości i łzy. Ona sama ma już potąd miłostek. Z jednej strony mama wiecznie niezadowolona, to krzyczy, to szczypie ją pod stołem i rozkazuje, żeby zerwała stosunki z synem Cuadrosów, bo ponoć jest to niedobra partia i nie przynosi zaszczytu naszej rodzinie. Z drugiej strony znów — seniorito oskarża ją, obsypuje listami i to prozą, to wierszem powtarza w kółko, że ona ma serce z lodu, że jest perfidna, okrutna i tak dalej.

— Widzisz, drogi Juanito, co to za życie. Proszę cię, powiedz temu smarkaczowi, żeby mnie nie zanudzał. Ostatecznie był u nas tylko dwa miesiące, a to nie daje jeszcze takich wielkich praw. Mama już mu powiedziała, bardzo zresztą grzecznie, żeby tu nie przychodził i żeby sobie mnie wybił z głowy, ale widzisz... co wyjdę na balkon — to na rogu pojawia się mój kawaler z tak pogrzebową miną, że aż mi się śmiać chce; co wyjdę na spacer i odwrócę się za siebie, to widzę tego natręta tak zdesperowanego, że nic, tylko pewnego dnia wlezie na wieżę Miguelete i rzuci się głową na dół. Ty jesteś z nim w takich dobrych stosunkach, on cię tak szanuje, powiedz mu, żeby się mnie nie czepiał! Powiedz, że ja go zawsze będę lubiła jak przyjaciela, ale żeby mnie przestał prześladować, bo przez niego muszę znosić dokuczania mamy. Mnie to by on nawet nie przeszkadzał, ale mama wpada we wściekłość na sam jego widok, bo jej się zdaje, że mnie zależy na spotkaniach z Andresitem bez jej wiedzy. Raz tu kiedyś wróciłam ze spaceru, a mama dała mi po twarzy. Widzisz więc, Juanito, że na

wet bicie dostałam przez tego rozpustnika. Niech mi się więcej na oczy nie pokazuje. Niech się przestanie koło mnie kręcić, bo go znienawidzę.

Ale było coś, czego ta sprytna laleczka nie powiedziała: że gniew mamy nie gnębił jej znów tak bardzo, a zależało jej na usunięciu Andresita z powodów czysto osobistych. Na karnawałowych balach poznała bowiem i spotykała Fernanda, porucznika artylerii, młodzieńca wytwornego i cienkiego w pasie jak panienka, który zawsze w teatrze podczas przerw krążył niedaleko ich foteli, szukając okazji, aby ją pozdrowić z istic wojskowym szykiem, niedoścignionym według Amparito.

Był to przyjaciel Rafaela i Amparito miała nadzieję, że uda jej się wprowadzić go do domu, tak jak to się udało z Robertem del Campo, obawiała się więc, że natarczywość poprzedniego narzeczonego nie dopuści do oświadczeń, których tak bardzo pragnęła.

Przyszła dzień świętego Józefa, który tego roku był dla rodziny dniem wyjątkowym. Już od tygodnia walencjki urwisy zbierały po ulicach połamane krzesła i wykrzykiwały na cały głos, biegając od domu do domu, monotonne wezwanie: „stare maty i słomianki!”

Mieszkańcy placyku, gdzie stał dom Pajaresów, byli to ludzie ruchliwi i weseli, walencjanie czystej krwi. Żyli wyłącznie ze swego drobnego przemysłu, a w wymyślaniu nowych atrakcji świątecznych mieli niewyczerpany zasób fantazji. Właściciel baru znajdującego się naprzeciwko domu donn Manueli, osobnik flegmatyczny i brzuchaty, stał się ojcem pewnego pomysłu. W całej dzielnicy cieszył się on sławą dowcipnisa i odziedziczył po którymś ze swoich przodków przezwisko Espantagosos, co znaczy po walencu Strach na Psy. Najwidoczniej ów przodek nie był w dobrych stosunkach z tym gatunkiem zwierząt. Otóż ów Espantagosos sądził, że byłaby to hańba dla tutejszych sąsiadów, gdyby nie postawili na placyku tradycyjnego stosu „falla” mogącego konkurować z innymi, wznoszonymi w pośpiechu w różnych punktach miasta. Propozycja właściciela baru przyjęta została z entuzjazmem przez wszystkich mieszkańców suterenu.

Inicjator przywołał do pomocy dwóch szweców i jednego cieślę, do czego był upoważniony, gdyż chodziło o uczczenie świętego Józefa. Wszyscy razem stworzyli coś, co można by nazwać Komi

tetem Sąsiadów. Obowiązkiem tego zespołu było przygotowanie stosu falla. Donia Manuela była tu znana i szanowana, jej dom uchodził za najładniejszy na placu, więc zbieracze oddali się jej w opiekę chwając przy okazji bogactwo, wynosząc pod niebiosa piękność córek, a nawet i jej samej — wszystko po to, aby wyciągnąć przynajmniej pięć duros na swój cel.

Sąsiedzi nie myśleli o niczym innym, jak o przygotowującym się ognisku. Dozorcynie, właściciele sklepików, subiekci nie przestawali mówić o zbliżającym się święcie. Wszyscy się ozywili, bo ludzie o prawdziwie walenckim temperamentem są łasi na uroczystości i zabawy. Falla to prawdziwie ludowy obrządek. Obyczaj ten pochodzi od Arabów, a przekształcony i ulepszony w ciągu wieków, zmienił się w rodzaj odważnej satyry o charakterze ludowego protestu. Dawni Maurowie przy hałaśliwych modłach i nieustającym wzywaniu Allacha wnosili ogromne stosy dla uczczenia każdego święta; chrześcijanie przejęli ten obyczaj wraz z wieloma innymi, ale liczba fallas zmniejszała się z roku na rok, aż wreszcie pozostała tylko jedna, którą zapalano na świętego Józefa. Uroczystości te organizowali zazwyczaj cieśle, aby uczcić swego patrona i początek wiosny, początek sezonu, w którym już nie pracowano po zachodzie słońca. Z czasem wynalazczy duch epoki upiększył obyczaj falli, przekształcając święto ludowe w rodzaj artystycznego widowiska. Stos starych krzeseł i innych gratów układano w ramy zbite z czterech pomalowanych pali, a na szczycie umieszczano śmieszne kukły ku uciesze tłumu. Na początku figurki były prymitywne i wyobrażały sceny z życia prywatnego, ilustrowały sąsiedzkie plotki; z czasem ta ludowa satyra wzniosła się na szczybel polityki i owe fallas stały się okazją do strojenia drwin z rządu, karykaturowania władz.

Córki donii Manueli pogardliwie przyglądały się przygotowaniom do uroczystości. To zabawa dobra dla hołoty, szykowali ją sami prostacy, sami mieszkańcy suterenu. Jednakże w wigilię świętego Józefa ciekawość wyprowadziła je na balkon już wczesnym rankiem i gdy po długim okresie obojętności, jaką musiały udawać, dystygowane panny ujrzały dekorację, doznały przyjemnej, a niespodzianej emocji.

Pośrodku placu, na wysokim podwyższeniu usypanym z piasku, wznosiła się budowla obciążona płótnem pomalowanym tak, aby

imitowało kamienną ścianę. Był to równiutki, olbrzymi sześcian, a na jego górnej powierzchni stało osiem kukieł wielkości człowieka. Ze wszystkich balkonów i drzwi wychodzących na plac zwiślały setki czerwonych i żółtych proporczyków, co robiło wrażenie okrętu udekorowanego chorągiewkami. Powódź łopocących perkali zalewała też przyległe ulice. Rozlepione na murach afisze z wierszami w języku walenckim przyciągały porannych przechodniów: robotników idących do pracy, służące, zamiatacze ulic. Sylabizowali oni wolno tekst, a potem wybuchi hałaśliwym śmiechem.

Uwagę dziewcząt pochłaniał jednak stos falla. No, no, to wcale nieźle zrobione jak na prostych bywalców baru. Kukły wyobrażały siedmioro dzidziusiów wzrostu dorosłego człowieka — byli to muzycy orkiestry. W środku stał pan we fraku z dyrygentką pałeczką w ręce. Jaki ukryty sens miała w sobie ta scena? Amparito wybuchnęła natychmiast niepohamowanym śmiechem. Olbrzymia, stercząca, groteskowa czupryna dyrygenta wyjaśniła jej wszystko. Był to Sagasta, a reszta to inni ministrowie. O tak, była tego pewna. W satyrycznych gazetach, które przynosił do domu Rafael, widywała te twarze bez wyrazu, skarykaturowane ołówkiem rysownika, i rozpoczynając od tej sławetnej czupryny wskazywała siostrze każdego z dzidziusiów. Raz po raz wymieniała nazwisko jakiegoś dygnitarza i zaśmiewała się jak szalona, stwierdzając, że minister rolnictwa gra na skrzypcach.

Wesołość dziewczyny doszła do szczytu, gdy zauważyła, że kilku małych chłopców siedziało wśród połamanych gratów i pociągało za sznurek, aby wprawić kukły w ruch. Ależ to komiczne! Siostry pękały ze śmiechu, gdy pan z czupryną wyginał się na wszystkie strony, dyrygując tak gwałtownie, że przy każdym ruchu pałeczki prawie łamał się w pół, a dzidziusia ze sztywnością automatów wygrywały na swoich instrumentach niemą symfonię, przyjmowaną wrzaskiem przez zbierający się tłum.

Amparito była tak oczarowana, że rzuciła łaskawy uśmiech właścicielowi baru z przeciwka, twórcy tego dzieła, który właśnie napełniał kieliszki za kontuarem, podczas gdy jego żona, umyta

i uczesana jak na święto, zakasała rękawy ukazując tęgie ramiona, założyła biały fartuch, i siadła przed drzwiami przy żelaznej kuchence. Obok na ziemi stała gliniana misa z ciastem. Kobieta raz po raz wrzucała kuleczkę ciasta do wrzącej w wielkim rondlu oliwy. Był to rodzaj drobnych pączków z dziurką, które smażyły się w oliwie z piekielnym syczeniem i pryskaniem zapalającego się co chwila tłuszczu. Te pączki, zwane buniuelos, są tradycyjnym przysmakiem spożywanym w ogromnych ilościach w dzień świętego Józefa. Po wysmażeniu, złociste jak dojrzałe owoce, wisiały długimi sznurami na dużym drzewie laurowym, jak jabłka w ogrodzie Hesperyd.

Właściciel baru był prawdziwym człowiekiem interesu. Owa falla musi się zakończyć wysączeniem całej okowity z jego beczek i zjedzeniem wszystkich buniuelos, jakie fabrykowała jego żona dziesiątkami funtów.

Dzieci donii Manueli nie mogły oderwać oczu od owej świetnej falla. Koniecznie trzeba zawiadomić przyjaciółki. Po południu na placu będzie grała orkiestra i żadna zabawy wdowa wyobrażała sobie, jakie wrażenie wywrze na tych z dołu jej wspaniały salon, oświetlony wszystkimi lampami, gdy córki i zaproszeni goście puszcza się w tany, a godne matrony przejdą do jadalni na filiżankę czekolady, napoju odpowiedniego w takim dniu i w takim domu.

Rzeczywiście owego wieczora dom donii Manueli przyciągał uwagę widzów w równym stopniu co sama falla. Pośród chorągiewek w kolorach narodowych, gęsto barwiących balkon, ukazało się chyba tuzin wdzięcznych postaci i ślicznych główek, cały bukiet eleganckich dziewcząt, które objawiając się wespół, chichotały i bawiły się spoglądając w dół na rozkrzyczany i ruchliwy plebs. Za dziewczętami co chwila ukazywały się męskie głowy, byli to: Rafaelito, Roberto i Fernando — ów porucznik artylerii, którego brat Amparito nareszcie sprowadził do domu. Złota młodzież na balkonie także nie żałowała sobie krzyków i gestów, nie zważając na ciekawe spojrzenia ludzi z dołu; dziewczęta są nieopanowane w objawianiu wesołości tak typowej dla młodych panien, gdy przestają czuć nad sobą nadzór mamusi. Ogarnia je wtedy jakiś duch przekory, gwałtowne pragnienie wyczyniania najbardziej szatańskich sztuczek. Poczucie swobody przerzucało je bez

wychnienia z miejsca na miejsce, z balkonu do pokoju. Gdy jedna biegła z balkonu do salonu, wszystkie chichocąc i trzymając się za ręce dążyły za nią z wesołym postukiwaniem obcasów, aby po chwili rozpocząć bieg w przeciwnym kierunku. Wdzięczna gromadka stawała znowu na balkonie jak na posterunku, skąd oglądała widowisko na placu. Przenikliwa woń smażonej oliwy przesycała powietrze. Źródłem tego duszącego odoru był piecyk, na którym bulgotały buniuelos. Przykry zapach gorącego tłuszczu czepiał się nozdrzy i drapał w gardło. We drzwiach prowadzących do baru sterczał tłum urwisów z całej dzielnicy. Zbici w gromadkę chłopcy pochłaniali wzrokiem pływające po powierzchni oliwy kawałki ciasta, podzucane bąblami, a wewnątrz lokalu dorośli mężczyźni stłoczeni przed kontuarem niecierpliwie i krzykliwe domagali się swojej kolejki, gdyż kupiec nie mógł nadążyć zamówieniom, boć, jak powiadał, „nie miał stu rąk”.

Na rogu placu stało drewniane podwyższenie dla orkiestry. Wokół podłogi zwisały kawałki kolorowego materiału poplamione woskiem — wspomnienie po uroczystościach kościelnych, przy których służyły jako ozdoba. — Muzyka!... Grać! — wołali ludzie.

Pod wpływem tych nawoływań muzycy zaczęli się przepychać ku zaimprovizowanej scenie. Członkowie orkiestry, więcej grajkowie z najbliższych okolic Walencji, nieswojo się czuli w sztywnych, źle skrojonych mundurach z generalskimi pasami, w wysokich czapkach z kitami z kogucich piór. Chodzili z trudem, jak gdyby ich stopy, przyzwyczajone do noszenia na codzień miękkich alparatów, buntowały się przeciwko ciasnym, gumowym trzewikom, a wszystkie szwy obcisłych marynarek ciemniały od przenikającego obficie potu, wydzielanego przez ich mocne, zdrowe ciała.

Pierwszy mazurek hucznej orkiestry poruszył wszystkich na placu. Kilku zabijaków w białych marynarkach, o kędzierzawych czuprynach opadających na uszy, tańczyło chwytając się wespół i z kobiecym kołysaniem bioder i ramion przebiegało się bez pardonu przez ciekawy tłum, coraz to uderzając o kanty drewnianej sceny. Roześmiane tony kornetów jak gdyby rozpylały po całym placu nastrój wesela. Do widzenia, zimo! Nadchodzi wiosna i przy

nosi z sobą słodką pieszczotę ciepłych dni; z balkonów dziewczęta uśmiechają się spoglądając spod oka na mężczyzn, którzy przystanęli, aby na nie popatrzeć.

Tylko Amparito nie podzielała powszechnej radości. Bo doprawdy, jakąż ona była nieszczyśliwa! Nie ma takiego święta czy uroczystości, która nie zakończyłaby się dla niej zmartwieniem! O, znów tam stoi... On, ten nedorajda, Andresito! Odrącony, a wciąż jeszcze natrętny — jednym słowem nieznośny.

Widziała go: stał naprzeciwko, oparty o ścianę obok karczmy i coraz to wspinał się na palce, aby ponad rozkołysaną rzeką głów, która płynęła po placu jak nieustający prąd wody, rzucić ku balkonowi Amparito spojrzenie pełne bezdennej rozpacz, które ona — o niewdzięczna! — określała jako wzrok zarzynanego jagnięcia.

I kochaj tu, człowieku, spędzaj bezsenne noce wysilając fantazję i talent, aby fabrykować miłosne sonety; narażaj się na awantury ze strony ojca, który żąda, abyś chodził wcześniej spać... I po co to wszystko? Po to, aby teraz, wzgardzony i odepchnięty bez najmniejszego powodu przez kobietę wymarzoną, źródło natchnienia, dziesiątą muzę, znosić jej nieprzyjazny wzrok, w którym czytał: „precz!... precz ode mnie, śmieciu, nie naprzykrzaj się!”

A jeśli nawet Amparito nie myślała tymi słowami, jakie wkładał jej w usta były narzeczony, to jednak pełne gniewu oczy panny wyrażały coś bardzo podobnego, a jej pogardliwe gesty miały zastraszyć natrętnego nudziarza, który nie dawał jej spokoju „ni w słońcu, ni w cierniu”.

Wciąż jeszcze stoi, sztywny jak drąg, wciąż jeszcze atakuje ją zaczepnymi spojrzeniami? Nie dość, że go odepchnęła? Czekaj, ja ci pokażę! I zaczęła kokietować porucznika, owego szykownego Ferdynanda z przylizanymi czarnymi włosami, który stał obok niej na balkonie, w mundurze, i obsypywał dziewczynę przygotowanymi z góry komplementami, tak skutecznymi, gdy chce się zdobyć kobietę. Amparo i porucznik wciśnięci w kąt balkonu odwrócili się plecami do placu i oddzielili się od reszty roześmianej młodzieży. Wyglądali teraz jak prawdziwi narzeczony: on poważny i uroczy, z dłońią na trzecim guziku munduru, gdyż tam podobno znajduje się serce, spoglądał w niebo dla przydania siły

i szczerości swoim słowom; ona z nieokreślonym uśmiechem przytakiwała mu ruchem głowy, sprawdzając od czasu do czasu, czy nedorajda jeszcze tam stoi. Andresito nic ją już nie obchodził, mimo to jednak odczuwała pewne zadowolenie na myśl o tym, że on tam stoi i wszystko widzi. To tak przyjemnie dręczyć mężczyzn...

A poeta cierpiał jak jeden z owych potępieńców Dantego, którego Piekła nigdy jakoś nie zdołał przeczytać do końca. Dobrze, że Andresito był uznanym wieszczem w Kole Młodzieży Katolickiej, i szczęście, że był dobrym chrześcijaninem, bo gdyby nie to, musiałby w obliczu takiej zdrady utopić swój olbrzymi ból w jakimś straszliwym czynie, na przykład po patetycznym „żegnaj” na oczach niewdzięcznej wybranki rzucić się głową w dół do owego wielkiego rondla z gotującą się oliwą, w której pływały buniuelos.

Ale nie, nie zabije się, poezja i wiara utrzymają go przy życiu. Zresztą śmierć przez usmażenie się w oliwie nie figuruje pośród samobójstw geniuszy. Potrafi się jednak zemścić, jest przecież mężczyzną i jeżeli ów porucznik pokaże się tu na dole, porachuje mu kości. Zabije go, oczywiście, że go zabije, a potem — cóż za tragiczna scena! Porucznik leży u jego stóp przebity mieczem; łkająca Amparito z rozwianym włosiem przywołuje niebo na pomoc, a on sam, wyprostowany jak wielkie widmo z zakrwawionym mieczem w ręce, stoi nad ciałem wroga z uśmiechem gorzkim, piekielnym, szalonym. Jednym słowem będzie taki jak don Alvaro w zakończeniu ostatniego aktu. Biedny chłopczyzna trzymał w zaciśniętej pięści trzcinową laseczkę, która w jego wyobraźni była teraz „mieczem z toledańskiej stali”, i przeskakiwał myślami od Lope de Vega do Queveda, Cervantesa i Byrona. Według Andresita bowiem wszyscy ci wielcy ludzie byli popędliwi i równie chętni do pióra, jak do szpady.

Tańczcie do woli, weseli łotrzykowie i zuchwalcy; oglądajcie ognisko fallá, jowialni mieszczanie, śmieście się, gdacście jak kokoszę na widok groteskowo zeszepeconych twarzy kukieł. Nikt nie wie, że tuż, o kilka kroków, wzbiera i ryczy wulkan; nikt nie wie,

że istnieje człowiek, który obmyśla najstraszliwszą z tragedii. Jutro, gdy przeczytacie w gazetach opis wypadku, nie będziecie chcieli wierzyć, że ten tygrys w ludzkiej skórze, który zabił rywala, narzeczoną, a nawet jej mamę, gdyby się zdecydowała zejść, był owym łagodnym i sympatycznym młodzieńcem, który trupio blady stał wczoraj bez ruchu obok baru.

Tak, zabije go, a później zabije siebie — to było zdecydowane. Zerknął ku balkonowi starając się nadać swemu spojrzeniu wyraz najbardziej bezlitosny i wyzywająco groźny. Z uporem wpatrzył się w porucznika. Był to chłop mocny, szeroki w barach, jego duża, czarna głowa nie nadawała się na głowę ofiary ustępującej z placu, za pasem miał krótki miecz, a poza tym, według informacji, jakie zebrał Andresito, uchodził wśród swych kompanów za brutala. Na Boga, przecież nie ma mowy o strachu, on miałby się bać? Jednak po bliższym rozważeniu sprawy sądzi, że taka bójka na środku ulicy z jakimś zuchwałym idiotą, który nie zna innego towarzystwa prócz mułów ze swojej baterii, byłaby na wskroś wulgarna i w złym tonie. Nie, jednak nie. Tamten plan wojenny trzeba odrzucić. Co powiedzieliby w Kole Młodzieży Katolickiej o autorze, który zdołał wywołać wprost oszalamiający zachwyt ową wytworną odą do Najświętszej Pani:

O, Przeczysta, ty wiesz wszak, co swym śpiewem mówi ptak...

Człowiek, który potrafi tworzyć takie arcydzieła, nie powinien się bić z pierwszym lepszym tragarzem.

Inna będzie zemsta poety. Zamknie się w swym olbrzymim bólu, a potem ubierze go w smutne strofy i rzuci w twarz niewdzięcznej, aby omdlała pod tym najstraszliwszym ciosem... Zdecydował się. Wzgardzi światem i jego pustymi uciechami, uda się na pustkowie, zostanie zakonnikiem, ale nie takim jak ci brodaci i niezbyt pięknie pachnący żebracy w łachmanach, którzy wloką się ulicami z torbą uwieszoną na szyi. Będzie z niego zakonnik wytworny: biały melancholijny braciszek ubrany w najcieńszą flanelę, z czerwonym krzyżem na piersi, z oczyma wzniesionymi ku górze, jak gdyby prządl owe żalosne, słodkie lamenty

bez końca, lamenty zranionej duszy. Będzie naśladował Goyarre'a z ostatniego aktu włoskiej opery La Favorita. I jak gdyby już widział siebie w białej szacie, zabłąkanego w poetyckiej puszczy, z włosami uciętymi w grzywkę i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, Andresito zaintonował cichutko i żałośnie Spirto gentil...

Niektórzy przystawali i uśmiechali się słysząc ten ponury śpiew, wydobywający się jakby z głębi brzucha, ale cóż obchodzili Andresita przechodnie! Jego bolejąca dusza wznosiła się ponad poziomą ludzką ciekawość!

Spojrzał ku balkonowi. Młodych już nie było. Niegodni poszli do salonu i na pewno w tej chwili oszołomieni pierwszymi westchnieniami rodzącej się miłości zastanawiali się, czy wolno im już użyć intymnej formy „ty”. A on stał tułaj, na dole, sam ze swoją rozpaczą! Ale knuł zemstę. Marzenia o zemście wprawiały go w stan takiego wzburzenia, że czuł, iż nie uda mu się opanować łkania. I zapłakał, tak, proszę państwa, zapłakał i wskazującym palcem rozmazywał łzy po całej twarzy. Do czegoż to doszło! On, mężczyzna, płacze. O niewdzięczna. .. Ale atak suchego, spazmatycznego kaszlu przywrócił go do rzeczywistości.

Wątlý, błękitny, gryzący dym, który unosił się znad kuchenki, owionął go; wraz z nim uderzył mu w nozdrza przykry swąd prażonego tłuszczu, zdolny spowodować łzawienie oczu i kaszel nawet u szmacianych kukieł widowiska falla.

Gdy ocknął się z oszołomienia, pierwsze jego spojrzenie padło na dwóch starszusków stojących we drzwiach kawiarenki i patrzących na niego drwiąco. Byli to poczciwi klienci baru, w czapkach nasuniętych na czoło, ze szklanymi oczyma, z fioletowymi nosami. Ta para wesołych kompanów zjednoczona w braterskim jarzmie alkoholu ogłaszała całemu światu, niby doktor Pangloss, że póki na tym świecie będą istniały knajpy, pozostanie on najlepszym ze wszystkich możliwych światów.

Stali właśnie obaj, z brudnymi chustkami w rękach, przed kontuarem Stracha na Psy, gdy dziwactwa mówiącego do siebie panicyka, z głową podniesioną i wzrokiem utkwionym w balkon

z przeciwka, zwróciły ich uwagę. Z rozbijającym zuchwalstwem pijanych ustawili się więc w pobliżu i przyglądali mu się wesoło, zaśmiewając się z jego zrozpaczonych gestów.

Gdy stwierdzili, iż Andresito ich widzi, zaczęli mu dawać przyjazne znaki porozumiewawcze, jak gdyby znali go od urodzenia. Ot i szczerze ludziska... Wypije z nimi kieliszek? Nie, bardzo dziękuje, on nigdy nie pija ... Szkoda, bo musi wiedzieć, że oni go zapraszają z dobrego serca, wydało im się bowiem, że jest bardzo smutny. Życzą mu więc wszystkiego dobrego i niech zginą wszystkie troski. Mili staruszkowie, którym wystarczyło kilka kieliszków, aby stali się nieograniczonymi władcami dzisiejszej zabawy i w ogóle całego świata, weszli do baru, chcąc dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

Andresito stał w miejscu, nieporuszony, choć nogi mu mdlały i szyja bolała od wykręcania głowy ku górze, a niewdzięcznica nawet się nie pokazała. Oto jej przyjaciółki znalazły się na balkonie wraz z Conchą i jej amantem Robertem, a tamci zostali w pokoju, widocznie szukają samotności i dyskretnej cienia... O Boże! Co też za rzeczy musi jej mówić ten cham z dwiema gwiazdkami, że nie wyszła na balkon, choć muzyka zaczęła grać i cały plac szaleje!... Jak na złość dwaj dobrodusznicy staruszkowie z baru wrzeszczeli na cały głos i chociaż Andresito czynił wielkie wysiłki, aby nie słuchać ich słów, docierały one do niego i kazały mu zapomnieć o roli nieszczęsnego, wzgardzonego, zrozpaczonego poety, jaką przyjął i jaka dawała mu satysfakcję. W otwartych drzwiach kawiarenki staruszkowie zabawiali się jak dwa łobuziaki — to wymierzali sobie kuksańce w brzuch, to częstowali się świeżo wysmażonymi bunuelos zaprawiając wszystko łańskimi modłami i znakami krzyża, jak gdyby podawali sobie komunię świętą. Dobrana para wesołków, nie ma co! Wszyscy klienci zanosili się od śmiechu, nawet sam właściciel rozchmurzył czoło, mimo że z góry znał koniec takich żartów i wiedział, jak trudno będzie wyrzucić pijaków na ulicę. Po następnym kieliszku staruszkowie wpadli w melancholię. Patrzyli pod światło na okowitę, jak gdyby hipnotyzując klarowny płyn, i czynili sobie poufne zwierzenia, z trudem obracając językiem. Starszy z nich uważał, że został oszukany, że ma „zranione” serce, przysięgał na to raz po raz waląc się pięścią w pierś

jak w bęben. Kompan powinien mu wierzyć, gdyż jest człowiekiem doświadczonym i widział dużo świata. Polityka? Wszystko to głupstwo, komedia, zajęcia godne cyrkowych kłownów. Magistrat? To złodziejska spelunka, a wszyscy, którzy wchodzili do „wielkiego domu” — to zwykli rabusie. Drugi mu przerwał. Aa, magistrat! Trafił w samo sedno. On chyba najlepiej wie, co to jest magistrat. Pracował tam, jak pies, dla kandydatów partii, rozdawał papierki w drzwiach gimnazjów, pokłócił się nawet z radnym miejskim, który chciał go aresztować, ale on ścierpiął wszystko ... Wszystko dla partii i dla kandydata... A teraz jako zapłatę dają mu posadę robotnika drogowego: dziewięć godzin pracy w słońcu i płaca siedem reali. Dziękuję za taką robotę, on chce mieć takie zajęcia, przy którym człowiek jest zawsze na powietrzu i może palić papierosy. W ogóle zamiast łamać sobie grzbiet przy tłuczeniu kamieni, woli żyć bez pracy. Na głód nie jest wrażliwy ... Dopóki nie brak „rafinowanej nafty” w karczmie Stracha na Psy, żołądek dobrze funkcjonuje... Rozczarował się do wszystkiego i dopiero teraz, gdy zamknął się w „życiu osobistym”, może powiedzieć na cały głos to samo, co mówił kum, że wszyscy z zarządu miejskiego to zwyczajni złodzieje.

Aby przypieczętować ten wyrok, wypili po kieliszku jednym haustem.

— Strachu na Psy! Nalej no jeszcze!

Ani mu się śni. Bezczelni! Więcej okowity tutaj nie dostaną. Kompromitowali tylko zakład brzydkimi słowami. Policja może się przyczepić, że w jego lokalu padają bluźnierstwa przeciwko świętemu Kościołowi, a oprócz tego, i to było zasadnicze — dobrze znał tych klientów i wiedział, że jeśli sobie popiją, to niełatwo od nich wyciągnie zapłatę. A więc — dosyć! — Jeżeli chcą dalej pić, muszą zapłacić z góry.

Widział kto taki brak szacunku! Żeby w ten sposób traktować osoby, które kiedyś, nim wycofały się do życia prywatnego, brały udział w mianowaniu radnych!... I spoglądali wyzywająco na karczmarza oburzeni śmiertelną obelgą, wytrząsając równocześnie kieszenie w poszukiwaniu zapomnianych monet.

Wreszcie z kieszeni marynarki wysunął się jakiś zaśnieżony miedzianak, z wnętrza czapki wypadły dwa centymy, a przez dziury podartych butów dał się wycisnąć śliski od potu real. Poszukiwali

gorączkowo pieniędzy, które ukrywali w domu przed wiecznie głodnymi żonami, nieprzyjaciółkami jedynej godnej mężczyzn zabawy — w karczmie. Wreszcie z dumą wielkich panów rzucili garść miedziaków na kontuar, jak gdyby rzucali je karczmarzowi w twarz. Jeżeli chce więcej, to niech poprosi na czworakach, pieniędzy mają dość i mogą go nimi zasypać, jeśli im się tak spodoba! Wypowiadali to z olimpijską pogardą, jak gdyby mieli w ręku wszystkie miliony Banku Hiszpańskiego rozmięte na drobne. Do uszu Andresita rozmowy te i śmiechy klientów dochodziły jak przez mgłę. Niewdzięczna nie pojawiła się, a on czuł się wyczerpany cierpieniem i stanem bez ruchu przez tyle godzin. Niezłe byłoby usiąść, bodajby i w karczmie, ale nie, będzie stał dalej niewzruszony, choćby miał nawet umrzeć stojąc, jak starożytni Rzymianie.

Zmierzchało. Na placu roilo się od ludzi; z wylotów ulic wysypywały się coraz to nowe tłumy, siłą łokci zdobywając miejsce. Wydawało się, że mury domów są z elastycznej masy. Wokół stosu kotłowała się ciżba ulizanych elegancików w czapkach z żółtymi daszkami, w białych marynarkach. Panie kryły się w bramach i wspinały na palcach, żeby lepiej widzieć. Mężczyźni ujmowali za zgięte łokcie dzieci i podnosili je w górę, aby mogły dobrze się przyjrzeć ostatnim konwulsyjnym skrętom kukieł. Noc nie zapadała, a tłum zaczynał się niecierpliwić. — Ognia!.. Ognia!... — krzyczał chór w białych marynarkach.

Dwaj starszankowie, pijaniuteńcy zupełnie, trzymając się w braterskim uścisku mocno za ramiona, z nosem przy nosie, wychodzili przed karczmę, a złośliwy uśmiezek krasił ich twarze na myśl o tym, jak dokuczają właścicielowi lokalu. — Ognia!... Ognia!...

Po każdym wykrzykniku spiesznie wchodzili do karczmy z powrotem, udając, że strach ich ogarnął; byli jak małe urwisy, gdy coś zbroją.

Organizatorzy uroczystości opierali się. Trzeba zaczekać, aż zrobi się ciemno. Ale tłum opanowała prawdziwie lewentyńska niecierpliwość, która natychmiast zaraża wszystkich, gdy tylko ktoś niebaczny wyrazi ją głośno.

— Ognia!... Ooognia!.. . Ooognia!... — rozległo się wycie ze wszystkich czterech stron placu.

Z głębi uliczki wyleciał w górę dobrze wymierzony kamień i nim spadł na bruk, wprawił w drzenie środkową kukłę i zerwał jej połowę peruki. Wydarzenie powitano oklaskami i chóralnymi wybuchami śmiechu. W ciągu kilku minut wszystkie dzidzisie z orkiestry stały się celem dalszych rzutów. Trzeba zaczynać natychmiast. Karczmarz wydał ten rozkaz na cały głos, stojąc w drzwiach lokalu, a jego kompani łokciami torowali sobie przejście i wrzeszcząc aż do ochrypięcia prosili o spokój, podczas gdy jeden z kumów przeciskał się pod płócienny pokrowiec falli z dwiema butelkami nafty w zanadru. Gdy przez płótno zaczęła przeświecać wielka czerwona plama, która gwałtownie rosła rzucając snopy iskier, tłum wydał głośne westchnienie zadowolenia. Płomień obejmował stare wyplatane krzesła, kulawe stołki, przeróżne graty pozbierane na strychach całej dzielnicy i ustawione we wnętrzu falli. Czerwona łuna oświetlała dolne części figur.

— Grać Marsylianę! — huknął władczo jakiś anonimowy głos.

Przez tłum przebiegł wielki dreszcz i gorączka przeniosła się na balkony.

— Marsylianę! Grajcie Marsylianę! — powtórzyły tysiące głosów tonem groźby, może w przewidywaniu oporu. Muzycy, którzy właśnie stroili instrumenty, spoglądali z przestrachem na groźny ludek. Próbowali odmówić, ale przypomnieli sobie, że na ulicach dość jest jeszcze kamieni, i ta myśl odwiodła ich od zamierzonego oporu. Zagrali. Zakwiliły flety, zahuczał bęben, zagrzmiały miedziane krążki jak daleka burza, a nad placem rozpostarł się nastrój błogości, który odbił się na wszystkich twarzach.

Marsylianka... I rząd monarchii na stosie. Czegóż więcej trzeba? Zapal ludzi Południa rozgrzewał umysły, rozżarzał w źrenicach iskry radości. Wszystkich opanował optymizm. Języki ognia zaczynały już lizać ubranie kukieł.

— Bravo!... Zwycięstwo!

Nikt nie myślał o tym, że jest to zwycięstwo nad drzewem i tekturą. Entuzjazm łączył się z okrucieństwem, wydawało się, że oto mieszczanie przy dźwiękach Marsylianeki prawdziwy rząd

pałą na stosie. Przemysłowców rozmarzyła już nadzieja obniżki podatków, panów w białych marynarkach nadzieja zniesienia cła i podatków od win, a rozrzucone do łez kobiety wierzyły, że obowiązek służby wojskowej skończył się raz na zawsze.

Orkiestra grała wciąż Marsyliariką, gdy nagle ktoś z tłumu, widząc jakiś zapalenię oszołomiony iluzją i dźwiękami hymnu, wierząc, iż rzeczywistość dojrzała już do tego, zawołał z całych sił: „Niech żyje Republika!” Na ten okrzyk strażnicy zaczęli się rozglądać w popłochu, szukając miejsca, któreby umknąć.

Ogień przybierał na mocy. Niespokojne płomienie kołysały się z boku na bok, jak wachlarzem potrząsały połami fraków, sukniami z białego muślinu i aksamitnymi wstążkami dzidziusiowych czepeczków. Nim je pożarł, ogień igrał ze swymi ofiarami jak dziki zwierz. Upatrzył sobie ich stroje, pochłonił je w ciągu jednej sekundy, a potem wypluł szerniałe łachmany, które zawirowały nad głowami tłumu. Kukły trzymały się jeszcze na stanowiskach, ale już płonęły jak wielkie pochodnie z rozdygotanym pióropuszem płomieni.

Andresito wspominał dawnych chrześcijan, jak owinięci w płachty oświetlali płonącymi ciałami drogę Neronowi. Nadeszła pora niszczenia. Trzeba było pomóc pożarowi i organizatorzy falli żelaznymi palami uderzali w ramy lub dawali straszliwe cięgi płonącym kukłom, aby wpadły do czerwonego krateru.

Potomkowie ludu, który dwa wieki temu asystował przy autodafe, teraz z zapalem pełnym dzikiego okrucieństwa oklaskiwali spadanie kukiel w ogień. Za każdym razem, gdy marionetka robiła koziołka rozrzucając osmalone ręce i nogi, nim ginęła w płomieniach, zrywała się nowa fala śmiechów i chichotów.

Falla z całym swoim na wpół zwęglonym rusztowaniem runęła wreszcie, a w powietrzu zawirowała smuga iskier i sadzy unosząc się ponad dachy domów. Olbrzymie ognisko przemieniło plac w nagrany piec i zaprawiało wszystkie barwy kolorem krwi. Posmoleni ludzie, niejednokrotnie w dymiącym ubraniu, wycofywali się na sąsiednie ulice, a mieszkający na parterze zamykali drzwi i okna, aby odgrodzić się od żaru, który piekł w oczy i powodował swędzenie skóry. Zamykały się z trzaskiem drzwi balkonów i niejedna szyba pękła od gorąca.

Bezkształtny stos szerniałych patyków palił się wielkim płomieniem przez pół godziny, po czym zwęglone drzewo pokryło się warstwą czerwonych łusek. Niektóre z dłuższych pali jarzyły się rzędem małych ogników, niby rura gazowa.

Tłum odchodził, rzedniał, ludzie chcieli obejrzeć jeszcze inne stopy. Temperatura opadała, pożar przygasał i nocny chłód zaczął przenikać na plac. Drzwi balkonów i okna otworzyły się znowu.

Gdy skończyła się publiczna zabawa na placu, w mieszkaniu donii Manueli rozpoczął się tańczący podwieczorek i elegancka wdowa kazała podać gościom wspaniałą czekoladę. W salonie zapalono wielką lampę przeznaczoną na wyjątkowe okazje i Andresito śledził z placu przesuwaną się w wykroju oświetlonych drzwi balkonu postacie w jasnych sukniach zdobnych w kwiaty (rozedrgane w rytmie tańca).

Chłopiec stał ciągle na dawnym miejscu. Pożar zmusił go do usunięcia się w kąt placu, ale gdy tylko się ochłodziło, powrócił na swoje stanowisko obok drzwi baru przy laurowym drzewku obwieszonym nawleczonymi na nitkę pączkami. Gałęzie lauru osmalił miejscami ogień, sama falla płonęła jeszcze, a trzaskanie drzewa brzmiało jak wystrzały.

Plac dostał się teraz we władanie małych łobuzów, chłopaków w łachmanach, którzy rozpoczęli swoje zawody. Skakali przez ognisko, niby zręczne małpki, po czym padali na ziemię osypani pyłem iskier. Strażnicy miejscy próbowali ich powstrzymać od tak niebezpiecznych ćwiczeń gimnastycznych, ale dwaj dorośli mężczyźni okazali się bezsilni wobec gromady diabłątek. Uznali więc za najrozsądniejsze przyjąć tolerancyjnobierną postawę i z uśmiechem wycofali się do bramy.

Andresito smętnym spojrzeniem śledził ewolucje ruchliwych istot, które skakały przez ogień, niby salamandry niewrażliwe na ten straszny żywioł, i otrząsały się z iskier jak mokre pieski.

Placyk opustoszał, a stojąca nad nim czerwona luna pogłębiała jeszcze ponurą ciemność przyległych ulic. Coraz to jakiś zręczny łobuz rzucał do ogniska pęki ogni sztucznych, które wytryskiwały jak kolorowe promienie z długim, węzowym ogonem iskier i przelatowały od muru do muru wielkimi łukami, sięgając nieraz balkonów pierwszego piętra, aby tam wybuchnąć niby wystrzał z fuzji. Strażnicy miejscy nie widzieli ogni sztucznych, gdyż prze

straszyli się zuchowatych uliczników i przez cały czas kryli się w bramie, głusi i ślepi na wszystko. Andresitowi przemknęło przez myśl, że gdyby jeden z tych tanich fajerwerków dosięgnął jego głowy, straciłby na jakiś czas ochotę do marzeń o białym zakonnym habicie i żalów nad utraconą miłością swojej pięknotki; jednak nie ruszał się z miejsca. Odejść stąd znaczyłoby zrezygnować z zemsty. A on oczekiwał czegoś, sam zresztą nie wiedział czego, ale czekał zapatrzony w ów balkon, nie zważając, że ledwie się już trzyma na zdrętwiałych nogach, że w głowie czuje jakąś bezmierną pustkę i męczą go mdłości.

Na górze śpiewano. To Amparito mordowała swoim jedwabnym głosikiem jakiś romans Tostiego przy akompaniamencie pukania fajerwerków i wrzasków uliczników, którzy naśmiewali się z tych muzycznych lamentów przypominających piski przestraszonej myszy.

Płomienie przygasły, plac ciemniał, nawet chłopcy grupkami uciekali ku innym, jeszcze niezupełnie zagasłym ogniskom.

Dwaj mężczyźni trzymając się pod rękę wyszli z karczmy powolnym, chwiejnym krokiem. Były to owe stare pijaczyny w czapkach odrzuconych na kark, z wielkimi chustkami lnianymi w ręce. Staruszkowie ustawili się twarzą do drzwi i niby bohaterowie starożytnej tragedii cisnęli jakieś straszliwe przekleństwo na głowę Stracha na Psy, łajdaka bez krzty miłosierdzia, który wyrzucił na ulicę dwóch uczciwych ludzi tylko dlatego, że nie mieli pieniędzy.

Gęsty i przenikliwy dym, jaki unosił się ze stosu, pobudzał ich do kaszlu, ale przystanęli przed pogorzeliem wielkim niby kuchnia olbrzymów.

Rozluźnili uścisk i sami zaczęli skakać przez fallę jeden za drugim, z niespodziewaną zręcznością, a tak komicznie, że nawet strażnicy miejscy się zaśmiewali, niepokieszony poeta zaś przestał zerkać ku balkonowi. Karczmarz i jego klienci stali we drzwiach baru i przyglądali się groteskowemu, a nieoczekiwanemu widowisku.

Śmiechy publiczności dodawały zapału pijanym, wbijały ich w dumę, więc coraz to wzmagali ilość podskoków i gestów. Drobnym kroczeniem obiegali wkoło przygasający stos i teraz już każdy z osobna skakał, jak mógł i gdzie mógł, aż w ferworze zabawy jeden zapomniał o drugim.

Teraz dopiero było wesoło. Obydwaj staruszkowie podrygiwali równocześnie w dwóch różnych miejscach, aż w pewnej chwili zderzyli się w powietrzu; ich ciała stuknęły o siebie jak dwa pociski, po czym runęli siedzeniem w tlejący żar dogasającego ogniska.

Placyk ożywił się znów na chwilę Wybuchami serdecznego śmiechu. Strażnicy miejscy kopiąc i szturchając staruszków wypchnęli ich z popiołu i wyrzucili z placu. Do domu albo do przytułku ... Tutaj nie mają czego szukać. Andresito wodził oczyma za staruszkami, którzy oddalali się ukazując jasne plamy świeżych dziur w wypalonych na siedzeniu spodniach i pieczętując masą uścisków i całusów swój ostatni wspólny bohaterski czyn. Obaj kompani od kieliszka zapewniali się nawzajem głośno, na całą ulicę, że „wielki dom” jest niczym innym jak jaskinią złodziejską, z którą oni więcej nic wspólnego mieć nie chcą, więc wycofują się do życia prywatnego. Nieszczęsny poeta pozazdrościł starcom dobrego humoru. Długo trwał na posterunku, oświetlony ostatnimi drgnieniami ogniska, aż osłabiony z głodu i z przejęcia, zapłakał naprawdę. Oto znalazł się sam w Ciemnościach, czekał nie wiadomo na co i drżał bezradny wobec dochodzącego tutaj nikłego głosiku, który jak jedwabna nitka zrywał się przy wysokich tonach pieśni, a wtedy dobrze wychowani goście mamy zagłuszali piski rześistymi oklaskami.

ROZDZIAŁ V

Juanito był szczęśliwy. Bliski okresu, w którym kończy się młodość, w trzydziestym roku życia, o którym powiadał Espronceda, że jest wiekiem przeklętym, zamiast smutnych rozczarowań odkrył błogą prawdę, że poza adorowaniem

własnej matki i ustępowaniem kaprysom młodszego rodzeństwa istnieją na świecie sprawy i uczucia, dla których warto żyć.

Z wyjątkową siłą przyszła w nim do głosu żądza życia. Doj

rzewał niby spóźniony owoc na drzewie, które przeżywało zimę za zimą, a nigdy jeszcze nie zaznało wiosny. Gdy zbierał i porządkował własne wspomnienia, nie potrafił zdać sobie sprawy z tego, w jaki sposób nastąpiło w nim to wielkie przeobrażenie. Niewątpliwie miłość okazała się silniejsza od wrodzonej nieśmiałości. Gdy samotnie rozmyślał o Tonice, ogarniało go uczucie zawstydzenia podobne do tego, jakie towarzyszy wspomnieniom o karygodnych czynach. Nieraz drobna aluzja, która wymknęła mu się w rozmowie z dziewczyną, stawała się potem źródłem cierpienia i wyrzutów, jakie sobie czynił, uważając swoje słowa bądź to za śmieszne, bądź też za zbyt śmiałe. — Boże drogi... Co ta dziewczyna sobie o mnie pomyśli!

Ale gdy się znalazł obok niej, ginął rumieniec i rosła zdumiewająca go samego odwaga.

Już nie zadowalał się czekaniem, aż Tonika przyjdzie do sklepu „Pod Trzema Różami”. Dowiedział się, gdzie pracuje, i z naiwną chytryością wychodził jej naprzeciw z rana, gdy szła do roboty, i wieczorem, gdy wracała do domu. Udawał, że ją spotyka przypadkiem, i rozpaczliwie walczył z własnym nieposłusznym, bojaźliwym językiem, który nie chciał być wiernym tłumaczem jego myśli.

Minął jeden i drugi tydzień i Juanito nie poczynił wielkich postępów na drodze do swego celu. Tonika rozmawiała z nim jednak jak z przyjacielem i zwierzała mu się ze wszystkiego: opowiadała o wymaganiach klientek, o radach, jakich jej udzielały „panienki”, córki jej nieboszczki opiekunki, a nawet o cierpieniach ślepej kobiety, która z nią mieszkała i zastępowała jej matkę. Wyznania te pomogły Juanitowi poznać stopniowo życie dziewczyny i pozwoliły z czasem patrzeć na nią jak na kogoś bliskiego, mimo że szelma język nadal nie chciał mu być posłusznym.

W pewnych chwilach Tonika robiła na Juanicie wrażenie naiwnej, co mieszało chłopca, ale zawsze z przyjemnością słuchał jej zwierzeń.

Opowiadała, że w dzieciństwie doznawała chwil wyjątkowej rozkoszy, gdy klęczała całymi godzinami przed wizerunkiem Chrystusa odmawiając modlitwę za modlitwą. W tym okresie najmiłą rozrywką było dla niej chodzenie pod opieką starszych do kaplicy Matki Boskiej Pocieszycielki Strapionych, gdzie modliła

się z takim zapamiętaniem, że wszystkie stare dewotki zasypywały ją pocałunkami i zapewnieniami, iż będzie z niej kiedyś święta.

— Dziwne to były czasy — mówiła dziewczyna z lekkim uśmiechem — dzisiaj wydają mi się nieprawdopodobne, ale wspominam je nie bez żalu. Obrazki z książki do nabożeństwa przemawiały do mnie, a nocami z wizerunku Najświętszej Pani, który wisiał w moim pokoju, schodziła Matka Boska i kołysała mnie do snu. Pan na pewno śmieje się z mojej głupoty... Zresztą, to była dziecinada. Moja chrzestna matka, księżna, widząc jednak we mnie tyle pobożnego zapału, pragnęła, bym została mniszką, i nawet jeszcze niedawno „moje panienki” przypomniały mi plany matki i oświadczyły, że mnie wyposażą, jeżeli zechcę wstąpić do zakonu.

— I pani się zgodziła? — zapytał młodzieniec ze strachem w głosie.

— Nie ... Ani mi to teraz w głowie. Moja dawna świętość zginęła, zdaje się, na zawsze. Zresztą teraz jestem niedobra, bardzo niedobra. Modłę się tylko wtedy, kiedy jestem bardzo smutna, co niedziela chodzę na mszę, bardzo boję się diabła, ale równocześnie ten świat zaczyna mi się podobać. Staję się coraz bardziej bezbożna, czasem nawet przechodzi mi przez myśl, że świat nie jest taki najgorszy, jakim go opisują kaznodzieje... A zresztą, kto zająłby się biedną Michaelą, samotną, ślepą kobietą? Przecież byłoby to ogromnym grzechem niewdzięczności, gdybym ja po to, aby zbawić własną duszę, zostawiła Michaelę samą. Nie, nie myślę wstąpić do zakonu, wolę pozostać grzesznicą i pielęgnować chorą przyjaciółkę.

Juanito miał już na ustach odważne pytanie. Powie czy nie powie? ... Zadrzał. Wreszcie wyjąkał zdławionym głosem:

— Czy nie ma pani zamiaru wyjść za mąż? Tonika odpowiedziała wybuchem śmiechu:

— Ja mam wyjść za mąż? ... A gdzie szukać takiego bohatera? Trzeba by mieć dużo dobrej woli, aby wziąć na swoje barki utrzymanie kobiety, której jedynym majątkiem jest igła, a jedynym bagażem — stara, chora przyjaciółka. Juanito już, już miał krzyknąć, że właśnie on jest tym bohaterem, ale na swoje nieszczęście opanował się. Tonika spoważniała i rzekła z naiwnym smutkiem:

— Wyznam panu, że gdybym spotkała uczciwego człowieka, pracowitego i bez wielkich ambicji, jak ja sama, a który zgodziłby się na wspólne życie z moją nieszczęśliwą przyjaciółką, uważałabym, że wygrałam wielki los. Ale wreszcie — po co mówić o głupstwach i rozważać, co by było, gdyby ...

Zmieniła temat rozmowy tak zręcznie, że Juanito nie zdołał wydobyć z siebie ani jednego słowa i nim zdobył się na odwagę, aby wyznać, że chce zostać jej mężem i wziąć na siebie troskę o utrzymanie niewidomej, stanęli przed wejściem do ubogiej kamienicy na ulicy Gracia.

Ciężka była ta noc dla Juanita. Nie zmrzął oka, przewracał się z boku na bok i mówił do siebie w głos, że jest największym tchórzem na świecie. Rzecz po prostu nieprawdopodobna — brodaty mężczyzna, który niejednego może przestraszyć swoim wyglądem, jest nieśmiały jak seminarzysta. Pomyśleć tylko — przecież w tych sprawach chyba nikomu nie brakło odwagi, nawet niedoradzie Andresitowi bez trudu przyszły oświadczyzny o rękę Amparito. Chryste Panie! Siostry miałyby nie lada powód do drwinek. Cały dom mógł śmiało uważać go za idiotę ... Ale nie, dowiedzie, że nie jest do niczego. Zrodzone nagle z miłości postanowienie tak podnieciło jego ambicję, że cały następny dzień przeżył w oszołomieniu, nie myślał o klientach, lecz o zbliżającej się godzinie, w której będzie mógł odprowadzić do domu swoją Toikę.

Gdy stanął na rogu ulicy Serranos w pobliżu domu, w którym pracowała dziewczyna, padał drobniutki deszcz. Była ósma, gdy zobaczył, że wyszła z bramy domu i przemyka się pod murem lekkim, pełnym wdzięku krokiem. Cień jej postaci zlewał się z cieniem domu, gdyż blask ulicznej latarni był tak błydy, że prawie przestawała być źródłem światła.

Spotkali się. Tonika wzbraniała się przyjąć od Juanita parasol. Nie chciała dla własnej wygody narażać młodego człowieka na zmoknięcie, a sama myśl o tym, że jedwabna kopułka parasolki ma im służyć za wspólny dach, wywołała rumieniec na jej policzkach i pobudzała do obrony przed tak groźnym niebezpieczeństwem.

Wyraz błagalnej prośby w twarzy Juanita zdołał ją jednak przekonać.

Dobrze, przyjmie zaproszenie, bo wie, że Juanito jest rozsądnym i poważnym młodzieńcem. Tylko, na Boga! co powiedzą ludzie! ... Nieśmiała i zmieszana, poszła jednak z Juanitem nie mniej wzruszonym od niej. Nigdy jeszcze nie czuł jej tak blisko. Idąc, chwilami ocierał się o nią i cały był jak w obłoku woni jej zdrowego ciała. Tuż przed oczyma miał jej młodzieńczą twarzyczkę, jej świeże wargi ukazywały w ślicznym uśmiechu sznur błyszczących zębów.

Juanito, zachwycony powodem, nie myślał już o postanowieniu, które w ciągu całego wczorajszego dnia tak go dręczyło. Słyszał jej głos drżący ze wzruszenia, uświadamiał sobie intymny charakter tego spaceru i czuł się szczęśliwy i pewny swojej władzy nad Toniką.

Nagle jak gdyby obudził się ze snu. Cóż, u diabła! Przebyli już prawie połowę drogi, są blisko rynku, a on wciąż milczy i nie może się zdobyć na odwagę wypowiedzenia tak dokładnie obmyślanych słów. Przekłęta nieśmiałość pod śmiesznymi pretekstami starała się opóźnić oświadczyzny.

Zaraz, zaraz powie jej wszystko przy następnym rogu, choćby nawet miał przerwać Tonice najważniejsze spośród zwierzeń.

Właśnie dochodzili już do rogu. A więc!... Ale nie, nie powie teraz. Za nimi idzie jakiś pan, kryje się pod murem, aby go deszcz nie zmoczył — mógłby usłyszeć ich rozmowę ... Kto wie, do czego może być zdolny człowiek, który lubi drwić z miłości i uważa ją za przedmiot żartów.

Poczeka, aż uciążliwy przechodzień skręci w inną ulicę. A tymczasem przysłuchiwał się słowom Toniki, osłaniał ją troskliwie parasolem i co chwila zerkał jak urzeczony ku ziemi, gdzie spod uniesionej sukienki coraz to błyskał śnieżnobiały rąbek koronkowej halki i para maleńkich trzewiczków, które ukazywały się, gdy panna z wdziękiem i lekkością ptaszka przeskakiwała przez kałuże.

Opowiadała mu tymczasem o wszystkich przykrościach, jakie znosi ze strony klientek. Doprawdy, tylko talia biedna dziewczyna, jak ona, mogła ścierpieć podobne wymagania. Tonika była zwykłą domową krawcową, a te panie chciały, aby pracowała niby właścicielka wielkiego domu mody. Za dwie pesety dziennie klientki wyzyskiwały ją w sposób doprawdy irytujący. Z iście szaleńczą zaciekłością wydobywały z niej wszystkie siły i uzdolnienia: ka

zały jej kroić i od razu mierzyć na figurze, jak to robią mistrzynie sztuki krawieckiej, a równocześnie żądały, aby wszystko sama fastrygowała i zeszywała, niby początkująca uczennica pracowni. Złościły się i aż wargi do krwi zagryzały, gdy im się wydało, że Tonika nie dość pilnie przykłada się do tego, aby ze starego łacha zrobić wieczorową toaletę. A gdy je już obszyła, każda z takich klientek wypowiadała jej robotę z dnia na dzień, jak gdyby wystawiała z mieszkania niepotrzebny mebel, żadna nie powiedziała jej cieplejszego słowa. Potem ukazywały się te panie na spacerach i w teatrach w uszytej przez nią sukni, ale nigdy nawet nie wspomniały jej imienia, zapewniały bowiem swoje znajome, że suknia, która w rzeczywistości kosztowała je kilka peset, to najnowszy model jakiejś wielkiej firmy francuskiej.

— Prawda, panie Penia, że to bardzo nieładnie? — pytała z ożywieniem Tonika, która w ferworze rozmowy zapomniała o skrupułach przechadzki pod jednym parasolem.

Juanito potwierdził i oburzył się, ale jego myśli bujały daleko. Oczywiście, to niegodne i niewdzięczne osoby, niewarte żadnego poświęcenia. W pewnej chwili obrócił się za siebie i stwierdził z przyjemnością, że niepowołany przechodzień znikł z widoku.

O, teraz już na pewno powie, niech tylko przejdą przez rynek, niech znajdą się na ulicy Gracia, tam się oświadczy.

Tonika mieszkała na tej ulicy i niewiele już zostało mu czasu, ale rzecz dokładnie obmyślana nie wymaga wielu słów. I gdy chwiejnym krokiem przechodzili przez środek rynku, ślizgając się po kleistym błocie, Juanito słuchał Toniki z tak fałszywą uwagą, jak aktor na scenie słucha swego partnera przypominając sobie tymczasem tekst własnej kwestii.

Oczywiście, Juanito oburzał się, ale niezupełnie dokładnie wiedział, z jakiego powodu. Naturalnie, że owe seniory po prostu wyzyskują biedną Tonikę! To nie do zniesienia! Gdy takimi wykrzyknikami przerywał relacje dziewczyny, myślał równocześnie ze zgrozą, że przecież są już na ulicy Gracia, a on ciągle jeszcze dławi w gardle nie wypowiedziane oświadczenia. Na następnym rogu zdecydował, że przerwie potok zwierzeń Toniki, nawet gdyby miał w ten sposób popełnić nietakt. I oto byli na rogu, ale czy to doprawdy musi się stać właśnie tutaj... Powie pod latarnią, do kto

rej się zbliżają. Powie na pewno, bez żadnych wykrętów. Powie albo wyrwie sobie ten przeklęty język.

Mijali wszystkie kolejno wyznaczone punkty, a okrutna nieśmiałość wciąż jeszcze zamykała Juanitowi usta. Odniosł nagle wrażenie, że zmieniono tę dobrze mu znaną ulicę, amputowano jakąś jej część, bo tak dziwnie krótka się stała, iż widać już było dom i małe drzwiczki wejściowe, w których zniknęła Tonika każdego wieczora.

Na domiar złego dziewczyna nie przestawała mówić. Juanito zadrzał na myśl, że za chwilę może pozostać sam, aby rozpaczkać nad własną nieśmiałością. Nagle powziął męskie postanowienie.

— Tonika! — zawołał głosem tak przestraszonym i zdławionym, że dziewczyna umilkła nagle i rozglądając się na wszystkie strony, jak w obawie przed groźącym niebezpieczeństwem, spytała:

— Co się stało?

— Ja panią bardzo lubię ...

— A! Tylko to chciał pan powiedzieć!... — uśmiechnęła się Tonika. — Ja także pana lubię jak najlepszego przyjaciela, bo uważam pana za młodzieńca uczciwego i przyzwoitego. Czyż inaczej zgodziłabym się na to, aby mnie pan tak często odprowadzał? Przecież to może wywołać plotki. Bo nawet tu kiedyś mówiły mi sąsiadki...

— Nie, to nie o to chodzi. Ja nie tylko lubię panią jako przyjaciela, ja panią kocham... Rozumie pani, kocham panią. Jestem tym bohaterem, o którym pani mówiła: decyduję się pojąć panią za żonę i nie żądam, aby pani opuściła biedną Michaelę.

Tonikę wprawiło to w oszłomienie. Był czas, że się tego spodziewała, ale potem doszła do wniosku, że to wielkie nieśmiałe dziecko nie odważy się na oświadczy. Próbowwała się teraz uśmiechnąć, obrócić w żart słowa Juanita, ale tylko się zarumieniła i uporczywie patrzyła w ziemię. Oboje stali pośrodku ulicy do tego stopnia zmieszani i roztargnieni, że parasol wysunął im się z rąk i deszcz omywał twarze.

Zapadło ciężkie milczenie, powaga Toniki przestraszyła Juanita. Po chwili namysłu dziewczyna przemówiła.

Jest bardzo wzruszona oświadczeniami, ale nie może ich przyjąć. Dla niej nadawałby się człowiek uczciwy i skromny; gdyby

senior Penia był jedynie subiektem, może by się zgodziła... Ale czyż ona nie wie, z jakiej rodziny on się wywodzi? Pewna klientka, zaprzyjaźniona z jego matką i siostrami, mówiła jej o rodzinie Juanita. Tonika wie, że te seniory lubią zbytek, cóż to dla nich domowa szwaczka, one mają własny powóz... Krótko mówiąc, pan Juanito pochodzi z dobrej rodziny — słowa te wymówiła tonem podziwu i szacunku — i to nie byłoby w porządku, gdyby ona, biedna wyrobnica, miała tak wysokie aspiracje.

Juanita ubawiło to przemówienie, a równocześnie przejęło współczuciem. Ucieszył się stwierdzając, że nie jest obojętny Tonice i że jedynie jego sytuacja rodzinna stoi na przeszkodzie ich związkowi. Ładna to zresztą była sytuacja! Dobrze, że to biedactwo nic nie wie... W pewnej chwili gotów był jej nawet wyznać, że ów sławetny zbytek jest tylko objawem idiotycznej próżności i chęci imponowania, ale jako naiwnie posłuszny syn, zaraz się opanował, ba, nawet w bładym świetle pobliskiej latarni przywidziało mu się coś niby odbicie macierzyńskiej twarzy z czołem zmarszczonym majestatycznym oburzeniem.

Nie zaprzecza, że jego rodzina jest zamożna, ale czy to ma jakieś znaczenie? On ją kocha i to jest najważniejsze. Nie myśli zmieniać swego kupieckiego zawodu, w przyszłości chce zostać właścicielem sklepu. Cóż może być lepszego niż ożenek z kobietą pracowitą, zaprawioną w szkole trudu i oszczędności, kobietą, która potrafi być panią domu. Pocziwina zerwał hamulce nieśmiałości i mówił teraz z wylaniem, gwałtownie, gestykulując szeroko dla podkreślenia prawdy swoich słów i nie zauważył nawet, że parasol wprawiony w szalony taniec o mało nie wybił oka jego towarzysze.

Tonika nie dawała się przekonać. Oddziaływał na nią co prawda szczerzy ton młodzieńca, nie mogła jednak opanować pobożnego szacunku, jaki budziła w niej sławna rodzina, znana z bogactwa i elegancji. Dlatego na wszystkie argumenty Juanita odpowiadała przeczącymi ruchami głowy.

W ten sposób spędzili kwadrans stojąc pośrodku ulicy. Padał gęsty deszcz i nieliczni przechodnie zaczęli im się przyglądać, a nawet czynić złośliwe uwagi pod adresem parki, która tak wyraźnie zapomniała o całym świecie.

W końcu młoda krawczyni jak gdyby zmiękła. Pomyśli jeszcze

nad tym, możliwe, że jutro da mu ostateczną, odpowiedź. Przyrzeczenie to wprawiło Juanita w stan szczęśliwości. Tonika zakolatała do bramy i znikła zamykając za sobą drzwi wiodące na schody.

Juanito był oszłomiony. Ostatni uśmiech Toniki migał mu przed oczyma, jak motyle o złocistych skrzydłach oświetlające drogę. Niewysłowny czar dziewczyny spowijał go jak obłok i Juanito chodził ostrożnie i lekko, jak gdyby przywarło doń coś niezmiernie drogiego, a kruche, co obawiał się stracić nieogłędnym ruchem.

Owładnęła nim słodycz odwzajemnionej miłości. Tonika nie powiedziała mu wprawdzie nic konkretnego, ale mimo to młody człowiek z jakąś instynktowną ufnością uwierzył w swoje szczęście. Tego wieczora po raz pierwszy położył się spać zadowolony, spokojny, bo oto skończyła się niepewność i zmagania wewnętrzne, spowodowane jego zamknięciem się w sobie. Dopiero dziś stał się prawdziwym mężczyzną w poczuciu dumy, jaką daje odwaga.

Nazajutrz Tonika okazała się jednak nieugięta. Nie opuszczała jej myśl o wspaniałej sytuacji rodziny Juanita. Ona, biedna szwaczka, jest wprawdzie osobą przyzwyczajoną do znoszenia impertynencji i nie może sobie pozwolić na luksus ambicji czy godności własnej, ale wyjść za mąż po to, aby stać się ofiarą otoczenia, pokorną, zrezygnowaną owieczką karmioną wzdargą rodziny — nie, to ponad jej siły.

— Niech pan nie przeczy, zgaduję, co by się stało, widzę to. Siostry pańskie, prawdziwe seniority, będą się wstydyły, że szwagierką ich została osoba, która przerabiała suknie ich przyjaciółek; mama pańska, wielka seniora, będzie mnie uważała za coś odrobinę lepszego od służącej. Jestem co prawda biedna, ale nie czuję w sobie sił do znoszenia upokorzeń. Gdybym miała porzucić stan paniński, chciałabym, aby rodzina męża przyjęła mnie serdecznie i z szacunkiem. Czy żądam zbyt wiele? Czy nie mam racji?

Nie, to nieprawda, że grożą jej te wszystkie niebezpieczeństwa, jeżeli wyjdzie za niego za mąż. Przysięga jej na wszystko! Jego rodzina!... Czyż oni sobie w ogóle coś z niego robili? Juanito może się ożenić, z kim zechce, ze strony krewnych nie obawia się przykrości ani protestów. On stoi na uboczu, wie, że jest obcy dla rodziny.

Biedak chyba dopiero w tej chwili zrozumiał prawdziwy tragizm swojej sytuacji i mówił tonem pełnym gorczy, ze łzami w oczach. Tonika dała się wzruszyć i zaczęła ustępować.

Bardzo szanuje Juanita i czuje się zaszczycona jego względami; niewiele ona sama wie o miłości, gdyż zna te sprawy tylko z powieści, ale pozwoli mu nadal widywać się ze sobą raczej jako przyjacielowi niż narzeczonemu. Dopiero gdy przyjaźń wytrzyma próbę czasu, jeśli okaże, że potrafią się wzajemnie zrozumieć, że ich charaktery się zgadzają, wtedy ...

Rumieniec dziewczyny dopełnił słów. Wystarczyło tego zresztą Juanitowi, aby wyzwolić potok dotychczas hamowanej wymowy; mówił teraz szybko, chaotycznie. Malował z płomiennym zapalem obrazy przyszłości. Miał trochę pieniędzy... Sprzedadzą ziemię w Alcira... Kupią sklep, choćby nawet sam magazyn „Pod Trzema Różami” ... Pobiorą się ... Będą mieli dzieci, dużo dzieci, ponieważ on, jak wszyscy ludzie nieśmiali, uwielbia małe dzieci... Będzie wzorem małżonka... Tu przerwał nagle, widząc, że twarz Toniki pokryła się ciemnym rumieńcem, a jej oczy patrzyły na niego z niemy wrzutem, iż tak swobodnie formułuje swoje marzenia. Zresztą, ciągnął dalej, przekona się sama, że będzie dla niej dobry i że ich pożycie ułoży się szczęśliwie. Jak się pobiorą, głupie pretensje i próżne ambicje jego rodziny nie osiągną ich.

Życie Juanita nagle przestało być przykre. Cały dzień rozmyślał o swojej Tonice, opuszczał sklep w porze, w której ona wychodziła po sprawunki dla klientek, towarzyszył jej na ulicy, dumny jak triumfator. Bał się przy tym trochę, że spotka mamę, a równocześnie pragnął, żeby siostry zobaczyły go, nauczyły się cenić i przestały uważać za niedorajdę, który nie umie sobie znaleźć narzeczonej. Za sprawą Toniki pokłócił się z prasowaczką, gdyż dotąd tak nieuważny i niedbały, teraz ku wielkiemu zdziwieniu siostrzyczek chciał nosić tylko sztywne kołnierzyki, twarde i błyszczące jak marmur. Równocześnie wychodził spod kurateli mamy, skąpej, jeśli chodziło o jego wydatki, i kazał sobie uszyć takie samo ubranie, jakie miał jego brat, Rafael.

Juanito promieniał. Stał się jak gdyby młodszy i silniejszy. Jakaś nowa krew zaczęła krążyć w jego żyłach, gorąca i spieniona

jak wino, które zmywało i wypędzało dawną orszadę. Uzyskał już tyle, że Tonika nazywała go po imieniu i porzuciła śmieszny, ceremonialny zwrot „senior Penia”, jednakże nie zdecydowała się jeszcze, aby używać w stosunku do niego

formy „ty”, zapewniając, że brak w wołaczu słówka „senior” musi wywołać rumieniec na policzkach panny... Naiwne, dobre dziewczę! Jak gdyby on sam nie był synem subiekta z rynku! Ale w końcu wszystko przecież musi się ułożyć. Jedyne, co niepokoiło Juanita pogrążonego w całkowitym szczęściu, to niezwykła fala troskliwości mamy, jej czułe spojrzenia, jej pochlebne „synku drogi”, aksamitne, pieszczotliwe nuty w głosie. Coś niedobrego się święci! Młodzieniec drżał na myśl, że to może zapowiedź jakiejś prośby żalostnej, a ostrej jak cięcie szablą, prośby, której towarzyszyć będą lzy i wzruszające skargi, ile to ją kosztuje wychowanie dzieci... Rzeczywiście w początkach Wielkiego Tygodnia petycja została wreszcie sformułowana, w chwili gdy Juanito po spiesznym spożytym obiedzie wybierał się na spotkanie z Toniką przed rozpoczęciem pracy w sklepie. Pocziwiec był wstrząśnięty matczynymi zwierzeniami ... Do diabła! Sytuacja była o wiele poważniejsza, niż sobie wyobrażał. Tu już nie chodziło o dziesięć czy dwanaście tysięcy realów, które by mogły wyciągnąć matkę z topieli, teraz wchodziły w grę tysiące peset, tysiące duros. Trzeba było natychmiast spłacić długi, gdyż w przeciwnym razie katastrofalna sytuacja rodziny mogła dotrzeć do wiadomości publicznej. Wierzyciele, ludzie grubiańscy i bez sumienia, ludzie, których jedyną namiętnością są pieniądze, zdolni byli zdyskredytować szanowną seniorem, gdyby im została dłużna choć jeden grosz.

— Wołałabym umrzeć, Juanito drogi, nie potrafię załatwić takich spraw, Boże, Boże! Ileż to trzeba się nacierpieć, zanim się wychowa dzieci, jeśli człowiek weźmie sobie za cel utrzymanie wysokiej pozycji rodziny! Tylko ty, synu, tylko ty jeden możesz wybawić matkę z kłopotu... Chodzi o trzy tysiące duros! Orientujesz się, ile to pieniędzy?! Otóż natychmiast po Wielkanocy muszę mieć te trzy tysiące duros. Grozili mi, nazwali mnie oszustką,

a wszystko dlatego, że nie mogę zapłacić... Pomyśl tylko — ja oszustką! Seniora z mojej sfery nie może ścierpieć takiej hańby. Jeśli dzieci mnie opuszczą, umrę. Tak, przeczuwam, że te nieprzyjemności wpędzą mnie do grobu ... Mimo że Juanito miał się na baczności, że starał się być odporny na pochlebstwa mamy i przyrzekał sobie solennie nie podejmować żadnych zobowiązań, podniósł się w nim teraz jakiś bunt wewnętrzny, gorąca fala krwi uderzyła mu do twarzy. Jego matka — oszustką! Określenie nie było dalekie od rzeczywistości, ale ślepa miłość synowska, ubóstwienie dla matki powstawało przeciwko tej obeldze, która wzburzyła go do głębi. Jego spokojne, dobronudne oczy zaszkliły się łzami gniewu.

Słuchał potakując głową. Tak, te sprawy należało załatwić; honor rodzimy nie może być uzależniony od kilku bezczelnych lichwiarzy, którzy posługując się papierkami podpisanymi przez donie Manuelę zażądali piętnastu tysięcy peset z tytułu spłaty długu wynoszącego jedenaście tysięcy. Trzeba go spłacić. Tak, ale skąd wziąć pieniądze? Gdy przyszło do tej konkluzji, wdowa patrzyła uporczywie w twarz syna, jak gdyby dawała mu do zrozumienia, że tylko on może uratować sytuację.

— Trzeba postarać się o pieniądze, mamó. Może by mama pomówiła z donią Klarą? Z tą maminą znajomą, o której wuj powiada, że załatwia tego rodzaju interesy.

— No, no, z donią Klarą, rzeczywiście!... Innej rady dla mnie nie masz! Ach, synku, ty jesteś pocziwina i nie znasz się na ludziach. Ta cała donia Klara tam się tylko zjawia, gdzie może dla siebie wyciągnąć spory kasek, a gdy kto przywoity znajdzie się w opałach, po prostu odwraca się do niego tyłem. A nasza sytuacja jest zła, jest okropna! I popłynęła długa seria przykrych, krępujących Juanita zwierzeń czynionych głosem drżącym i przytłumionym bynajmniej nie wskutek wyrzutów sumienia, ale z powodu uczucia poniżenia, jakiego doznawała matka opowiadając domowe tajemnice własnemu synowi. Majątki ziemskie wszystkie obciążone są hipoteką i gdyby je sprzedała, ich wartość nie pokryłaby nawet połowy długów. Jej podpis figurujący na niezliczonej ilości weksli jest już tak zdyskredytowany, że lichwiarze z większym zaufaniem pożyczyliby pie

niądze stróżowi ich kamienicy niż jej. Jednym słowem, jeśli nie chcemy, aby rodzina straciła opinię, należy zaspokoić żądania dłużników. A tymczasem nie ma na to ani grosza; nie ma żadnych środków, które by mogły uratować sytuację.

Potrzeby domu pochłaniały wszystko. Próbowwała już uciekać się do najbardziej przykrych, naruszających jej godność procedurów. Gdyby teraz wypadł okres przedstawień w operze, ani ona, ani córki nie mogłyby obnosić biżuterii, którą tak podziwiał i z której tak dumny był poczciwy Juanito. Rodzinna biżuteria jest w lombardzie. A skrzynka ze srebrem, która nadawała jadalni prawdziwie pański wygląd, i wielkie kandelabry z salonu — wcale nie do pobieżenia zabrane zostały z domu, lecz towarzyszą w tej chwili biżuterii. Wszystko to oddała za marnych kilka tysięcy realów, które jak woda przeciekły przez sito doraźnych długów i nieuniknionych wydatków.

— Tylko tobie to mówię, Juanito, bo ty jesteś najrozsądniejszy z całego naszego domu i twoje rady są dla mnie cenne. Zaklinam cię na Boga, nie mów ani słowa dziewczętom, nie chcę, aby te biedaczki orientowały się w naszej prawdziwej sytuacji. Człyby się poniżone, a ja nie chcę, aby moje córki uważały się w gronie przyjaciółek za coś niższego.

Juanito najmniej się trapił tym, co mogą sobie pomyśleć jego siostry. Jako uczciwy kupiec, uznający jedynie życie porządne i umiarkowane, buntował się wewnętrznie przeciw hańbiącym sposobom, jakimi matka zdobywała pieniądze. W jego oczach lombard był ciemną spelunką, złodziejską meliną i zwrócić się tam znaczyło dla niego tyle, co zarazić się nędzą moralną i stracić godność osobistą.

— Czy mama sama tam chodziła? — spytał z boleścią. — Mama przekroczyła próg takiego domu!

Donia Manuela odpowiedziała wyniośle. Cóż on sobie myśli?! Ona miałaby sama!... Za kogo ją miał? Prawda, że była zrujnowana, ale honoru jeszcze nie straciła. Do takich właśnie misji odpowiednia była donia Klara, miała ona przyjaciół pośród właścicieli lombardu i dokonywała tych transakcji opowiadając, że przedmioty, jakie składa, należą do pewnej wytwornej damy, której nazwiska wyjawiać nie może. Donia Manuela przemilczała jednak wobec syna podejrzenia, jakie w niej powstały: najprawdopodobniej

przyjaciółka wykorzystywała jej przykrą sytuację i z sum otrzymanych od lombardzistów urywała zawsze coś dla siebie. Ale dumna wdowa miała ten wielkopański gest, który zezwala okradać się bezczelnie swoim sługom, uważała nawet, że to jest w dobrym tonie.

Opis ich stanu majątkowego skończył się i matka czekała już tylko na odpowiedź syna. W nim jedyna nadzieja. Własny brat jej nienawiądział, do kogóż mogła się więc zwrócić z takimi kłopotami? Tylko do Juanita, do swego kochanego syna, Juanita. Rafael, biedactwo, zamknięty w kręgu eleganckiego świata, nie wie nic o materialnej stronie życia, zresztą nie posiada własnego majątku tak jak jego starszy brat.

Dobroduszny właściciel ziemski okazał się jednak znacznie twardszy, niż się tego matka spodziewała. Miłość przekształciła go, ale zamiast skłonić do marzycielstwa, wzmocniła w nim instynkt oszczędzania, wydobyła na wierzch cechy nieboszczyka ojca, o którym jego wuj i don Eugenio powiadali, że miał w sobie kupiecką krew.

Nikommu nie pozwoli ruszyć swego majątku w Alcira. Nie dlatego, aby był jakoś specjalnie przywiązany do tego skrawka ziemi, który widywał zaledwie dwa razy do roku. Chciał jednak jak najprędzej zamienić majątek na gotówkę; tych osiem tysięcy duros, na które liczył ze sprzedaży — to podstawa jego przyszłości, to niemal urzeczywistnienie jego marzeń. Dzięki tym pieniądzom uczyni z Toniki właścicielkę wielkiego sklepu z tkaninami.

Donia Manuela zdziwiła się niepomiarownie natknąwszy się na opór, jakiego dotychczas nigdy w Juanicie nie przeczuwała. Otóż kategorycznie odmówił on podżycowania drugiego weksla, a do zahipotekowania swojej ziemi za trzy tysiące duros okazał się jeszcze mniej skłonny.

— Nie mogę, mamó — mówił nieśmiało, ale stanowczo. — Z czasem mama się dowie, że to naprawdę jest niemożliwe. Mój majątek jest mi teraz potrzebny, a poza tym mam wstręt do tych historii z hipotekami, do weksli i lichwiarskich pożyczek. Zgadzam się pod tym względem z wujem i uważam, że na takie machinacje pozwalają sobie tylko straceńcy.

Niemniej jednak pragnął wybawić matkę z kłopotu i serce mu się ścisnęło, gdy ją widział tak piękną, tak pańską, z oczyma peł

nymi łez i czołem pooranym zmarszczkami cierpienia. Szukał więc w myśli jakiegoś wyjścia.

Może by don Antonio Cuadros, który talk szybko się bogaci... Nie, nie! Energiczny ruch matki dał mu do zrozumienia, że nie zgodzi się na żadne źródła pomocy, które mogłyby zranić jej miłość własną. Może w przyszłości, gdyby ich przyjacielskie stosunki stały się ściślejsze — teraz jednak, od kiedy Andresito spotkał się z odmową, ich wzajemne stosunki ochłodziły.

Juanito nie śmiał już wymienić imienia wuja, zaprzestał więc dalszych propozycji.

— Nie zgadzam się na naruszenie mego majątku . . . Ale niech mama nie płacze... Ojoj, niech mama nie płacze... Do diabła, przecież na wszystko można znaleźć lekarstwo i gdyby u nas w domu tyle się nie wydawało!... Niech mama się nie gniewa. Ja wiem dobrze, co mi mama odpowie: blask zewnętrzny jest potrzebny rodzinie, chodzi o zachowanie dobrego imienia, o dziewczęta na wydaniu i ich ewentualne partie... Cóż, faktem jest, że teraz trzeba skądś wydobyć trzy tysiące duros, których nie uda się złożyć przez kilkudniowe oszczędności. Powtarzam raz jeszcze, że mojej ziemi tknąć nie dam... Nie chciałbym jednak, żeby mama była smutna, i sam zajmę się tą sprawą. W jakiś sposób to załatwię i albo naprawdę do niczego nie jestem zdatny, albo w przyszłym tygodniu będziemy mieli pieniądze.

Juanito był zakochany i to spowodowało, że nie dotrzymał przyrzeczenia na czas. Przeżywali z Toniką okres pierwszej, świeżej, gorącej miłości. Juanito towarzyszył jej wszędzie, opowiadał o wspólnej przyszłości i miłość tak odsunęła od niego wszystko, co było poza nią, że chociaż nie zapomniał całkowicie o zobowiązaniu, odkładał je z dnia na dzień. Matka przy obiedzie to rzucała mu pytające spojrzenia, to odwoływała go na stronę i pytała, jak idą interesy, a gdy Juanito wymawiał się zajęciem w sklepie, donia Manuela dawała wyraz swojej bolesti. Wtedy Juanito aż drżał z żalu. Był właśnie Wielki Czwartek, gdy zdecydował się załatwić te ciężkie sprawy. Sklep był zamknięty. Tonika pewnie wyszła z przyjaciółką, więc czas miał wolny i wybrał się do wuja.

Znalazł się na ulicy o jedenastej. Mama z siostrami kończyły świąteczną toaletę przystosowaną do okoliczności; suknie z szumią

cego jedwabiu, koronka na włosach, w ręce różaniec ze złota i kości słoniowej. Szły do jednego z największych kościołów w porze, kiedy elegancyjny ludzie wyśpiewują Gorzkie żale, i siadały za stolikami, gdzie wytworne panie zbierały datki na cele zagranicznych bractw religijnych.

Mimo iż tak bywało rokrocznie, Juanita uderzył wygląd miasta. Sklepy zamknięte, ulice spokojne, nie widać powozów, ludzie ubrani na czarno, uroczyście. Jak gdyby jakaś epidemia padła na miasto, wyludniła domy i przytłumiła gwar ulic. Głęboką ciszę przerywały od czasu do czasu kantyczki ślepców, którzy szli gromadkami, trzymając się pod ręce, i uderzali w ziemię łaskami dla orientacji. Ciągnęli środkiem ulicy, nie obawiając się przejechania i wyśpiewywali poetyczne Gorzkie żale, opiewali mękę i śmierć Zbawiciela. Kroki przechodniów dźwięczały na trotuarze energicznie i hałaśliwie, tłumy zbierały się u wejścia do kościoła w otwartych drzwiach na tle czerni wnętrza, z której wydobywało się na zimną ulicę gęste tchnienie dusznego powietrza.

Żołnierze w galowych mundurach, z dłońmi wciśniętymi w sztywne bawełniane rękawiczki, obchodzili stacje Męki Pańskiej mącąc ciszę rytmicznymi krokami i nasycali powietrze zapachem zdrowia — mieszaniną woni spoconego ciała, skóry i surowej wełny. Kawalerzyści pysznili się swymi ciemnymi mundurami, kawalerowie Zakonu Świętego Jana świecili czerwonym krzyżem, a nawet oficerowie rezerwy z batalionu weteranów wieszali na piersi odznaczenia wojskowe błyszczące i świeżo wyczyszczone, aby godnie towarzyszyć swojej seniorze do kościoła. Odbywała się tu prawdziwa defilada miejscowych znakomitości i mundurów podziwianych przez pospólstwo; między nimi gromadki małych chłopców i kobiet rozpychały się ku wizerunkom Zbawiciela, wystawionym na podwyższeniu na rogach ulic. Każda z tych figur wyobrażała Chrystusa w cierniowej koronie na zakurzonych włosach, które rozwiewał wiatr, z krwawymi ranami pomalowanymi cynobrem, z trzcina niby berłem królewskim w ręce i każda u stóp miała tackę z centymami, a obok stał żebrak.

Gdy Juanito znalazł się w dzielnicy Escuelas Pias, wszedł w wąską ulicę, na której był stary dom jego dziadów. Brzydki, wydłużony, z fasadą pomalowaną na bladoniebiesko, miał w grubym murze niesymetrycznie i z rzadka wycięte otwory na balko

ny i okna, tak odległe jedno od drugich, jak gdyby je tu rozrzucono z litości. Juanito przypomniał sobie dzieciństwo, ujrzał siebie jako chłopczynę z wygoloną głową, który zaproszony przez wuja na obiad, bawił się tu z dziećmi z sąsiedztwa w ogromnej ciemnej bramie, gdzie pośród kamieni muru sączyła się wilgoć. Wspomnienia dzieciństwa nie opuściły go, gdy szedł po zniszczonych schodach z drewnianą poręczą zakończoną głową lwa, startą już i wyglądzoną. Schody były ułożone z barwionych kafli, zgodnie z modą zeszłego stulecia. Na kaflach wymalowano statki na tle fioletowego nieba, z banderą większą niż cały kadłub, zamaskowane postacie w spiczastych kapeluszach, z nieforemnymi, grubymi nogami w białych pończochach, wieśniaczki z koszami pełnymi owoców — wszystko w krzyczących, jaskrawych kolorach.

Otworzyła mu stara służąca wuja, Vicenta. Juanito był jedynym krewniakiem pana domu, którego tolerowała. Przywitała go uśmiechem zeschniętych i bezzębnych ust i jak zwykle nie spytała o zdrowie mamy ani sióstr. Nienawidziła rodziny swego pana, wiedziała bowiem, jakie jest jego o tej rodzinie mniemanie. Don Juan był na górze, na strychu, karmił teraz gołębie i kury. Służąca i siostrzeniec pana rozmawiali w drzwiach wejściowych, skąd widać było pokoje. Juanito znał doskonale mieszkanie wuja i pamiętał je dotąd ze wszystkimi szczegółami. Wyczuwał woń nie otwieranych latami pomieszczeń, odór zjełczałego tłuszczu, wilgoci i pyłu, który przy codziennym sprzątanii zmieniał miejsce nie opuszczając domu i wypędzany szczotką z kątów osiadał o krok dalej.

Namiętność don Juana do brania udziału w licytacjach i zakupywania wszystkiego, co było niedrogie, przekształciła jego dom w graciarnię. Pokoje ogromne jak place miejskie, alkowy takie, że mogły służyć jako sale do tańca — nie miały miejsca wolnego, gdyż wszystko było zastawione meblami i zawieszono ozdobami. Znajdowały się tu całe tuziny olbrzymich szaf ze starego dębu, o równie skomplikowanych rzeźbach, jak zanikach; obrazy — lepsze i gorsze — sięgały sufitu, krzesła z różnych kompletów i rozmaitych kolorów nie miały już wolnego miejsca pod ścianami i gromadziły się pośrodku pokoju. Dom ten wyglądał jak gniazdo drapieżcy, który nagromadził tu swe przypadkowe łupy, a chociaż pokoje były nabite rzeczami, wszystko zionęło pustką, samotność budziła w murach tajemnicze echa opuszczonego domostwa.

Te kolosalne salony o wyglądzie naw kościelnych nasuwały myśl o nocy. Kiedy ciemności opadały na pokoje, w nikłym, chybocącym się blasku świecznika, którego używał skąpiec, kroki starca i jego służącej musiały tu dźwięczeć jak w krypcie, a cisza tego domu, przerywana tylko skrzypieniem starych mebli i gonitwą szczurów, musiała budzić lęk.

Mania kupowania tanich przedmiotów dawała temu domowi groteskowy wygląd. Na drzwiach wejściowych wisiała wyschnięta głowa byka z rogami takich rozmiarów, że dreszcz człowieka przechodził. Juanito przypomniał sobie ogromne małpy wspinające się po pnium, z wyjedzonym przez mole grzbietem i łysym zadem, piękne kolorowe ptaki, które przy każdym odkurzeniu gubiły pióra — wszystko to były zdobycze licytacji, które pozwoliły przemienić w arkę Noego wielki salon z malowanym sufitem, gdzie zabawiały się wyblakłe amorki, pokryte pleśnią całego stulecia. Na ogromnych konsolach z połączanego drzewa pyszniły się stopy pogniecionych woskowych owoców, winogron i brzoskwiń, którym pył mijających lat odebrał barwy życia.

— A więc wuj jest na górze?

— Znajdziesz go na strychu, Juanito... Wejdz, ja pójde do kuchni. Boję się, że mi się zupa przypali.

Chłopak wchodził po schodach, które tutaj nie były już ułożone z wykwinnych kafelków, lecz z palonych cegieł. Schody te stanowiły przed pięćdziesięciu laty bardzo uczęszczaną drogę. Liczni robotnicy codziennie rano wspinali się po nich na górę i schodzili w dół znosząc ze składu kwieciste adamaszki, błyszczące atłasy, cienkie jedwabie, wszelkie wspaniałe tkaniny orientalnego przemysłu jedwabniczego, które zdobyły Walencji sławę i dobrobyt. Teraz wchodziło się tu, niby do muzeum i aż przykro było słuchać, jak echo powtarzało i pomnażało samotne kroki.

Strych był bardzo obszerny. Spełniał kiedyś rolę hali fabrycznej tak ogromnej, że z jednego końca nie dojrzałeś drugiego. Zajmował całe najwyższe piętro domu i stanowił las drewna i sznurów, osnuty pajęczyną natłok drewnianych warsztatów, które martwe teraz i beczynne, wyglądały na niesamowite gilotyny lub skomplikowane narzędzia tortur. Nie od razu Juanito dostrzegł wuja, wciśniętego między warsztaty, jak z zakasanyimi rękawami koszuli zakładał pułapkę na

myszy. Nie opodal dobry dziesiątek kur dziobał ziarna zsypane do wielkiej glinianej miski, a ponad warsztatami i pajęczyną latały gołębie gruchając monotonnie.

— To ty, Juanito? — zawołał wuj podnosząc głowę. — Nie myślałem, że przyjdiesz. Chciałeś pójść razem ze mną na nabożeństwo? Ale ja dziś po obiedzie nie wychodzę.

Don Juan odłożył pułapkę i szedł ku siostrzeńcowi z ojcowskim, dobrotliwym uśmiechem na ustach, jaki ten twardy i dla wszystkich przykry człowiek miał jedynie dla Juanita.

Ciekawe i pytające spojrzenie siostrzeńca uderzyło go.

— Kiedy byłeś u mnie ostatni raz? ... Zdaje się, że od czasu kiedy jako mały urwis chodziłeś na strych ze swymi kolegami, nie widziałem cię tutaj. To już blisko dwadzieścia lat temu... Dobrze tu sobie urządziłem, prawda? Okna zamknięte, lufciki odrutowane, żeby dochodziło słońce i powietrze... Wydałem strasznie dużo pieniędzy, co najmniej dwanaście duros, ale mam za to teraz gołębnik, w którym mogą się doskonale pomieścić wszystkie ptaki, które w ciągu pół roku nawiedzają plac Redonda. Jedyna rzecz niemiła to te przeklęte szczury. Ani pułapki, ani trutki nie mogą im dać rady. Zdaje się, że żyją całymi gromadami wewnątrz warsztatów. A jakie są zuchwałe! Nieraz zagryzają kurczątko i pożerają pisklętą; może kiedyś zejda na dół, żeby zeżreć mnie samego i Vicentę! Bezczelne!... O patrz... Patrz! — Wskazując palcem w głąb hali, wziął w drugą rękę kawał drewna i rzucił go z całej siły tam, gdzie, jak mu się wydawało, dojrzał ogromnego gryzonia. Strzała przemknęła między warsztatami, odbiła się o deskę i padła u stóp wuja.

— Uciekł!... Wyobraź sobie, co te szczurzyska wyprawiają, kiedy są same. Pożerają więcej gołębi niż ja, tłuką jajeczka i okazuje się wreszcie, że utrzymuję te szczury własnym kosztem, i to po królewsku! Ale kiedyś się zdecyduję, zabiję wszystkie bestie i będzie po zabawie.

Mówiąc to, aby nie stać beczynnie, wziął z jednego warsztatu miskę z ziarnem i przywołując ptaki wołaniem „glu glu glu” rzucał garściami ziarna na podłogę, a kury i gołębie otoczyły go ze wszystkich stron. Gruchając i gdacząc, napastowały się wzajemnie i wydierały sobie z dziobków pożywienie.

Juanito przyglądał się zaniedbanej rozpaczliwie hali: z sufitu zwisały chorągwie pajęczyn, same warsztaty, pokryte na wszystkich płaskich powierzchniach grubą warstwą kurzu, kazały się domyślać całych dziesiątków lat beczynności, o tym samym mówiły zardzewiałe klamki u okien. Górą, przez maleńkie zakratowane otwory słońce rzucało słupy światła, w których tańczyły konstelacje drobnych cząsteczek pyłu.

Młodzieniec wspominał z uczuciem zmieszania to, co wiedział z ust don Eugenia o wielkich czasach tej fabryki, sławie kunsztu jedwabniczego, o znakomitej pracy aksamitników zwanych po walencku velluters, którzy przed pięćdziesięciu laty kazali od wschodu słońca do wieczora tańczyć zwinnym wrzecionom — i opanowało go uczucie chłodu i przykrości, jak gdyby znalazł się w obliczu gruzów padającego miasta i słyszał jeszcze ostatnie huki walących się murów.

Przypominało to grobowiec, z którego nie zdjęto rusztowania. Zapanowało tu milczenie ruin, skamieniały warsztaty, niegdyś tak hałaśliwe i ogłuszające.

Przygnębienie młodzieńca jak gdyby udzieliło się don Juanowi, który przestał rzucać ziarna ptakom.

— Jakie tu wszystko smutne, prawda? Dla ciebie jeszcze nie tak, bo ty nie pamiętasz tych dobrych czasów, kiedy od samego wschodu słońca panował gwar i stuk piekielny, a na dole twój dziadek i ja czuliśmy, jak sufit się trzęsie, płaciliśmy rachunki i wyciągaliśmy z szaf sztuki wspaniałego jedwabiu, żeby je pokazać klientom ... Były, były kiedyś dobre czasy ...

Staruszek, wzruszony, aż poczerwieniał z przejęcia i gestykułował z zapalem, a oczy jego błyszczały, jak gdyby patrzył na sto rozedrganych warsztatów i tłum uwijających się robotników.

— Tutaj, na tych warsztatach tkalo się bogactwo i honor Walencji. Tutaj pracowali aksamitnicy, mistrze, którym ich uczony sposób mówienia dawał pozór zarozumialców, ale którzy byli godni szacunku, bo przez nich zachowywały się tradycyjne obyczaje walencje i sami byli prawdziwymi walencjanami: zawsze trzeźwi, weseli, bystrzy i dowcipni; nie, takiego dowcipu teraz się nie spotyka. Co to byli za ludzie! Mieli co prawda swoje wady, ale przecież wszyscy je mają. Cóż, ja w każdym razie chętnie bym zamienił dzisiejszych ludzi na tamtych. Mieli usposobienie mięk

kle jak sam jedwab, a przyzwyczajeni do pracy trudnej, dokładnej i skomplikowanej, byli wyjątkowo pedantyczni w robocie i znani z czystości i zamięłowania do porządku. Opowiadają na przykład o pewnym czeladniku, że zatrzymał całą procesję po to, aby podnieść z trotuaru winne grono, które spadło z okna. Oczywiście to śmieszne, ale mnie to się strasznie podoba. Z takimi ludźmi można pracować, człowiek się nie boi, że go okradną. Tkacz wstępował do fabryki jako uczeń, a opuszczał ją dopiero, aby iść na cmentarz. Robotnicy mojej fabryki znali mnie od urodzenia. Jak gdyby należeli do rodziny... Ach, cóż to były za czasy ... Don Juan rozgrzany entuzjazmem przeszłości wywracał oczy, jak gdyby chciał lepiej zobaczyć jej piękny obraz.

— Teraz— ciągnął dalej, podkreślając słowa nerwowym przytupywaniem — teraz wszystko przepadło, i to z winy przeklętego Lyonu, z winy tych podłych katanów, którzy zrujnowali nas swoimi diabelskimi maszynami... Na chłopskich polach nie widzi się już gajów morwowych, po chałupach zginęła pamięć o zbieraniu kokonów, umarł cały przemysł... Nie, nie przemysł, a sztuka, którą my, choć z dawna chrześcijaństwo, odziedziczyliśmy bezpośrednio i legalnie po naszych dziadach Maurach ... Czyż na tym polega postęp? Że jeden naród zabiera drugiemu środki do życia? ... Jeśli tak, to gwizdź na cały postęp i na tych, którzy go bronią.

Stary, zawsze tak opanowany i spokojny, dał się unieść oburzeniu i energicznie wymachiwał rękami, aby jak najsilniej podkreślić swoją pogardę dla przeklętego postępu.

— Nie to, żebym narzekał na same wynalazki — dodał potem, jak gdyby się tłumaczył — na przykład bardzo mi się podoba, że można się dostać do Madrytu w czasie krótszym niż jeden dzień, podczas gdy za moich czasów trzeba było jechać dziewięć dni powozem, a przedtem pisało się testament. Wściekam się tylko, że to, co było dobre i rozsądnie pomyślane, rozwała nagle jakiś „Pan Postęp”, który ze swoim rewolucyjnym zapałem kładzie wszystko na obie łopatki. Nie powiedziałbym ani słowa, gdyby sam kunszt jedwabniczy zyskał coś na naszej ruinie, ale wszystko się we mnie przewraca, kiedy widzę, że to, co oni robią za granicą, nas pozbawia pracy, a nie jest ani sztuką, ani w ogóle niczym. Ordynarny przemysł, oszustwo i nic więcej. Gdzież podziały się grube tka

niny z czystego jedwabiu, których nie można było przebić sztyletem? Gdzie aksamity, które przechodziły z babek na wnuczki w takim stanie, jak gdyby wyszły wprost ze sklepu? Tamto się skończyło, teraz mamy tylko lionkie jedwabie z rodzaju tkanin „patrz na mnie, a nie rusz mnie”, podłe bawełny i inne towary, które ani roku wytrzymać nie mogą, świństwa, w które się stroją dzisiejsze senioraty ... Czy nie mam racji, Juanito?

Siostrzeniec odpowiadał na wszystko twierdzącym skinieniem głowy i mocno zaniepokojony, rozważał, w jaki sposób wyłożyć wujowi sprawę, z którą przyszedł. Aprobata Juanita ułagodziła gniew starego.

— Niech ci się nie zdaje, że robię sobie jakieś złudzenia. Wiem, że to, co minęło, nie wróci. Nie jest to nawet wina zagranicy, tylko nasza. Po prostu ludzie już nie kierują się dobrym gustem. Wszystko, co ma wygląd wspaniały i bogaty, odstrasza: panowie ubierają się jak ich służący, wszyscy na ciemno jak zakrystianie. Kamizelka, która nadaje osobie majestatu i głosi, do jakiej klasy przynależy, bywa teraz szyta z tego samego materiału co spodnie. Dzisiaj nikt już nie obciąża brzucha kwiecistym aksamitem, piękną prążkowaną materią mieniącą się setkami kolorów, która za czasów mojej młodości zachwycała wszystkich — dzisiaj nawet chłopci noszą obcisłe marynarki i piłśniowe kapelusze, jak adwokaci, a gdy czasem wyciągną z dna kufra atlasowy sączek dziadka, jedwabny pas lub chustkę w kwiaty, tak lubianą na wiejskich zabawach — sami śmieją się do rozpuku... A kobiety? Lepiej nie mówić... Zwariowane idiotki! Takich sylwetek nie spotyka się nawet wśród karykatur pism humorystycznych... Ubierają się, jak mężczyźni, w

angielską wełnę; jakżeż obrzydliwie wyglądają w tych diabelskich pogrzebowych kolorach, ponurych i przykrych; w lecie kupują perkaliki po trzy reale i wydaje im się, że są bardzo eleganckie. Za moich czasów było jednak lepiej! Nie sprawiała się tak często, różnorodność była mniejsza, ale nosiło się dobre, solidne tkaniny, które mogły przeleżeć dziesiątki lat w kufrze i nawet mole nie miały odwagi się ich czeptać. Takich materiałów już nie ma! Żegnajcie, portierey z adamaszku! Adios, chińskie jedwabie! Teraz pokoje ozdabia się szorstkimi, ordynarnymi portierami albo dla nadania salonowi charakteru (też mi

słowo!) sięga się po wełniaki z Jerezu i robi się w mieszkaniu karczemną dekorację.

Staruszek najeżył wąsy, a jego mongolskie oczy rzucały iskry, gdy parskał z gniewu, jak gdyby całe swoje oburzenie chciał wyładować na jakiejś niewidzialnej istocie. Jego głos budził echa na olbrzymim strychu, cichszym dzisiaj niż zwykle przy panującym na ulicy spokoju, i mimo że kury i gołębie uwijały się i dziobały wokół niego, ujmując scenie powagi, don Juan wyglądał jak postać z Biblii, jak zrozpaczony prorok lamentujący na ruinach kochanego miasta.

Ten chciwy człowiek nie potrafił jednak pozostawać przez czas dłuższy w stanie lirycznego oburzenia.

— No i co, chłopcze ... Po co przyszedłeś? ... Coś cię do mnie sprowadza, zgaduję to, bo widzę, że jesteś zatroskany.

Juanito zaczął się jąkać, zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem. Tak... Miał właśnie coś do powiedzenia wujowi...

Przenikliwe oczy starego wprawiły go w pomieszenie, a spokój, z jakim tamten oczekiwał odpowiedzi Juanita, mącił jego myśli i chłopak nie wiedział, co mówić.

— Właściwie to są mamine sprawy... Ach, gdyby wuj wiedział ... Mama jest w ciężkich kłopotach.

Nagle jednym tchem wypowiedział wszystkie żądania donii Manueli, jak gdyby chciał pozbyć się przygniatającego go ciężaru. Chodziło o piętnaście tysięcy peset, które uratowałyby honor rodziny.

— No dobrze, chłopcze, ale cóż ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— Myślałem, że jako brat... Że jako mój wuj, mógłby...

— Nic nie mogę, rozumiesz? .. Nic, absolutnie nic nie mogę, zwłaszcza że tu chodzi o twoją matkę.

Ton starego nie dopuszczał żadnych wątpliwości. Nie można się było spodziewać, że ustąpi.

— Jeszcze nie poznałeś swojej matki? Czy nie mówiłem ci tysiące razy, jaka ona jest... I cóż, że się zadłużyła? ... Niech więc płaci, a jeżeli nie ma czym, to niech cierpi, niech ponosi skutki swojej lekkomyślności. Przysiągłem, że jej nie pomogę, choćby tonęła w długach. Gdyby była człowiekiem jak Pan Bóg przykazał, osobą oszczędną i przyzwoitą, krwi własnej nie poskapiłbym;

ale ta utracjuszka tylko wtedy przypomina sobie, że ma brata, kiedy się znajdzie w kłopotach, a póki ma w kieszeni swoich kilka groszy, za nic ma jego rady. Nie dam jej nawet tyle.

I zahaczył paznokciem wielkiego palca o przednie zęby, co wywołało charakterystyczny trzask.

— To na pewno ona cię do mnie przysyła!

— Nie, wuju, niech mi wuj wierzy. Przychodzę z własnej woli.

— A więc — powiedział uśmiechając się chytrze staruszek — ona musiała cię prosić o pieniądze, a ty próbujesz je wyciągnąć ode mnie.

Juanitowi krew uderzyła do głowy: wuj częściowo odgadł prawdę.

— Nie wypieraj się, chłopcze, twoja twarz cię zdradziła... Posłuchaj: jeżeli jesteś taki idiota, że pozwalasz się wykorzystywać matce, nie licz na miłość twego wuja. To, co ojciec zostawił

dla ciebie, jest przeznaczone dla ciebie, a nie dla twoich siostrzyczek i braciszka, dla bękartów Pajaresa. Chcę jednak dowiedzieć się prawdy: czy matka wciągnęła cię w swoje kombinacje? Nie kazała ci czasem podżyrować jakiegoś weksła? No, mów prawdę, całą prawdę.

Uporczywe, inkwizytorskie spojrzenie starego przeszywało go do głębi, ale Juanito znalazł w sobie dość odwagi, aby skłamać.

— Nie, wuju, nic nie podpisywałem.

— Wierzę ci i cieszę się. Uważaj, chłopcze, twoja matka jest pozeraczką pieniędzy i na pewno nie traci z oczu twego mająteczku. Nie chcę, aby cię okradano. Kiedy umrę, będziesz miał więcej niż samą ziemię w Alcira, nie zostaniesz bez dachu nad głową, jak twoja mama, siostry i kogucik Rafaelito... Ale powtarzam ci jeszcze raz: nie chcę, aby cię okradano. Radzę ci, nie bierz sobie zbyt do serca matczynej historii o ruinie majątkowej. Dla niej machinacje pieniężne to jak dla ryby woda i sama wybrnie z tych kłopotów, tak jak wybrnęła z innych. To, co jeszcze ma, wystarczy na życie, a ona wtedy dopiero wyda ostatnie tchnienie, kiedy wyprzeda wszystko do ostatniej koszuli, o to bądź spokojny. Należy do ludzi, którzy nie umierają, zanim nie wydadzą ostatniego szeląga.

Przykro było Juanitowi słuchać tego, co tak bez ogródek wypowiadał wuj i co raniło go do głębi, niwecząc obraz matki, jego bóstwa; dla wuja miał zawsze największy szacunek i przywiązanie. Teraz jego uczucia ważyły się. Milczał. Przeszło od pół godziny słuchał obelg rzucanych przez don Juana na siostrę, obelg zrodzonych z nienawiści, która wyłoniła się w dniu małżeństwa Manueli z doktorem Pajaresem i przetrwała do dziś.

— Do widzenia, Juanito. Nie przejmuj się za bardzo kłopotami matki — powiedział mu na pożegnanie don Juan — powinieneś w ogóle jak najmniej zajmować się rodziną, która nigdy nie interesowała się tobą, myśl raczej o własnej przyszłości. Postaraj się dobrze urządzić, a gdybyś spotkał jakąś dobrą, pracowitą, skromną dziewczynę, to nie będzie od rzeczy, jeżeli się ożenisz. Kupiec powinien mieć rodzinę. Do widzenia, chłopcze. Przyjdź wieczorem, pójdziemy razem na nabożeństwo.

Chłopiec wyszedł dźwigając z trudem głowę ciężką jak ołów, w której czuł nieznośny szum. Wuj mówił prawdę. Matka chciała go wykorzystać. To on opłacał zbytek i szumne życie rodziny, on, który w domu zajmował miejsce pośrednie między służbą a resztą rodzeństwa! Nie, nie da ani grosza, niech matka radzi sobie sama. Nic jej nie był winien, oddawał jej co miesiąc cały zarobek ze sklepu, co pokrywało z nadwyżką wydatki na jego utrzymanie. Wszystkie jednak najenergiczniejsze postanowienia zaczynały się chwiać wobec błagalnych spojrzeń matki. Jakaż ona piękna. Czułe, mokre od łez olbrzymie oczy były jak oczy Matki Boskiej Bolesnej. Nie, nie może jej opuścić, byłby złym synem, gdyby odpowiadał oschłością na czułe macierzyńskie uczucia, które seniora z takim wylaniem umiała okazywać wtedy, kiedy miała finansowe kłopoty.

— Dostyc, mamó, niech mama nie płacze. Jakoś nie udało mi się znaleźć nikogo, kto by się zgodził nam pożyczyć, ale jestem gotów podpisać wszystko, co mama chce, dając jako gwarancję mój skrawek ziemi w Alcira. Niech mama wierzy, że jest to związane z wielkim poświęceniem z mojej strony.

— Ja ci zwrócę te pieniądze, synu kochany, ja ci je wkrótce oddam — odpowiedziała dumnie seniora, wzięła w ramiona Juanita i twarz oblała mu łzami.

Mówiła to z głębi serca, z całą dobrą wiarą lekkomyślnych ludzi, którzy w chwili gdy uważają się za uratowanych, natychmiast zaczynają ślepo wierzyć w lepszą przyszłość i nieoczekiwane łaski losu.

— Dobrze, mamó — powiedział Juanito rozczulony, ale nie wyzbyty resztek trzeźwości. — Podpiszę, ale tylko na piętnaście tysięcy peset.

Nastąpiło dłuższe milczenie, po czym donia Manuela dodała w zamyśleniu:

— Widzisz, dzieciątko, piętnaście tysięcy może nie starczy. A gdybyś podpisał na szesnaście tysięcy? Nie odmawiaj, kochanie. Poświęć się jeszcze odrobinę. Potrzebuję też jakichś pieniążków na opłacenie kilku rachunków, a oprócz tego Wielkanoc mamy przecież spędzić w naszym domku w Burjasot, gdzie przyjadą goście i trzeba będzie ich odpowiednio przyjąć. Dobre imię naszej rodziny powinno być dla nas najważniejsze, nie wolno nam narazić się na śmieszność. Nie umniejszaj więc twego gestu, dziecko kochane, i zgódź się na szesnaście tysięcy... Ach, synu, zdjąłeś mi kamień z serca!...

ROZDZIAŁ VI

Gdy zaczęli przybywać goście, wszyscy członkowie rodziny wstali już od stołu, choć brzmiały jeszcze hymny pochwalne na cześć wspaniałej paelli przyrządzonej przez Visantetę.

— Mamo! — wołała Amparito od drzwi wejściowych — panny Lopez w powozie. Patrzcie! Tramwaj stanął na rogu ... Tak, to sędzianki! Aaa, jedzie też papa Andresita, sam prowadzi swoją francuską bryczkę! Jakby się umówili! Wszyscy przyjeżdżają równocześnie ... Chodźcie, Conchita, mama, patrzcie, jak ślicznie wygląda senior Cuadros z lejcamy w rękę! Prowadzi ten powozik, jak gdyby całe życie nic innego nie robił...

Goście donii Manueli weszli do domu wymieniając powitania i wykrzykniki. Kobiety strzelały całusami i wynosiły pod niebiosy

piękność i wykwiłt „wiejskiej posiadłości” wdowy Pajares. Był to domeczek jak wyjęty z pudełka z zabawkami. Zbudowany na zamówienie, był równie ładny, jak kruchy. Miał czerwony dach i taras zdobny w gipsowe wazy. Stał w samym środku małego ogródka usypanego na skale, gdzie kilkanaście anemicznych drzewek wegetowało melancholijnie, czepiając się umęczonymi korzeniami twardych kamieni, na które natrafiały już o kilka stóp pod powierzchnią ziemi. Mimo że sprawiał wrażenie dekoracji operowej, co tak strasznie podobało się donii Manueli, ów domek miał jednak charakter zwykłego mieszkalnego domu i stał obok innych willi tego typu, kruchych i pretensjonalnych, otoczonych ogródkami nie większymi od prześcieradła, a u wejścia na żelaznej furtce widniały wszędzie napisane złotymi literami szumne nazwy: „Willa Teresa”, „Willa Maria” i tak dalej, zależnie od imienia właścicielki.

Wdowa zastawiła, a następnie straciła na zawsze spory kawałek pola ryżowego, który przynosił doskonale dochody, aby nabyć tę wspaniałą i kruchą pułapkę na myszy. Potem ochrzciła ją „Willą Conchitą” nie bez protestów i wściekłości Amparo. Donia Manuela uważała, że letnia willa jest nieodzownym rekwizytem dystyngowanej rodziny posiadającej powóz. Była w siódmym niebie mogąc opowiadać przyjaciółkom o ślicznym pałacyku w Burjasot i o jego nadzwyczajnych wygodach.

Domek był lichy, ale krajobraz wspaniały. Pałacyki — tak trzeba je było nazywać, aby nie narazić się donii Manueli — zajmowały łagodne zbocza skalistego pagórka, skąd otwierał się widok na rozległe, cudownie zielone pola!

Naprzeciw Burjasot wystrzelała ku górze, niby dzida, ostra wieża dzwonnicy. Dalej, za ciemną linią piniowego lasu, leżała Walencja zmniejszona przez oddalenie, jak gdyby sprowadzona do dzieciennych rozmiarów, niczym miasto dla lalki, najeżone smukłymi wieżami i ostrymi rzeźbionymi dzwonicami w stylu [mauretańskich minaretów, wreszcie na horyzoncie, pomiędzy zielenią pól a błękitem nieba, widniał port jak ogród zimowy i rysował na tle przejrzystego powietrza sylwetki masztów okrętowych.

Była piękna, prawdziwie wielkocna niedziela. Wiosna burzyła krew i wszyscy mieszkańcy miasta, aby uczcić powrót ciepłych dni, wyruszali na wieś, brzęcząc jak roje pszczół.

Goście donii Manueli patrzyli na leżący niedaleko sławny Silos pod Burjasotem, olbrzymią platformę wykutą w kamieniu, rodzaj sztucznego kwadratowego płaskowzgórza, którego boki podziurawione były miejscami ujściami głębokich piwnic; dawniej służyły one za spichrze. Mrowił się tu wesoły, hałaśliwy tłum: formowały się kółka, w których gitary, harmonie i kastaniety grały do taktu niezmiernie skocznych tańców, starsi, poważni ludzie oddawali się bez rumieńca dzieciennym zabawom, kilkanaścioro dziewcząt popisywało się umiejętnością obracania długim, pomalowanym w śmieszne wzory trenem u sukni. Gdy unosiły go, ruchem bioder podrzucając ku górze, jak fantastyczny ogon ptaka, odbijały od tła nieba niby kolorowe plastry przyklepione na błękitnej skórze nieskończoności. Sceny te nadawały krajobrazowi coś z chińskiego pejzażyku z wachlarza albo wzoru szala z Manilli.

Seniory zdjęli kapelusze i mantyle, mężczyźni zapalili papierosa. Poczuli się tu od razu jak u siebie w domu i z balkoników przed otwartymi oknami obserwowali świąteczną wesołość mieszkańców.

Wystarczyło obrócić głowę, aby wzrok spoczął na ogromnej równinie uprawnych pól, cichych, a pysznych nieskończonym bogactwem zieleni, tu i ówdzie w promieniach wiosennego słońca migocącej jak brylant. Miasteczka i osiedla gęsto skupione wydawały się z daleka jedną miejscowością i zaprawiały bielą i żółtością ową ogromną szachownicę, której jeden kwadrat odróżniał się od drugiego odmiennym tonem zieleni. W oddali na horyzoncie biegł równy, a wąski rąbek morza z grzbietem najeżonym białymi szczytami żagli niby płetwami srebrnej ryby. Po lewej stronie wzrok napotykał pobliskie wsie. Godela ciemną linią pionowego lasu stawiała tamę mieniającej się zieleni warzywnych pól, a w głębi wznosił się łańcuch gór Espadan, nieregularny, wielki, zębaty. W południowych godzinach nabierał on delikatnej barwy stopionego karmelu. Pożłobiony cieniami wąwozów i jarów, pochylał się ku morzu, aby nim opadnie ostatecznie, ukazać na najniższym tarasie zamek — twierdzę Sagunto. Zamek ten ze swymi rozłożystymi, nieregularnymi basztami podobny był do sfalowanej, nieruchomej żmii, uspięnej w słońcu. Wspaniałość krajobrazu zrobiła wrażenie na gościach donii Ma

nueli, mimo że byli to ludzie na ogół mało dostępni wzruszeniom pozbawionym praktycznego znaczenia.

— Jak tu pięknie! — zawołała sędzina. — Kiedy mój nieboszczyk mąż był członkiem trybunału, mieszkaliśmy w Granadzie, ale tamte okolice nie umywają się nawet do tego, co tu widzimy.

— Nie ma żadnego porównania — potwierdził uczony giełdciarz, pan Lopez. — Kiedy Ferdynand VII przybył do Silos, oświadczył, że Silos to okno Hiszpanii.

— Jeżeli Silos ma być oknem Hiszpanii — dodała donia Manuela, aż zarumieniona z radości, gdyż pochwały te obejmowały także i jej dom — to czymże jest „Willa Conchita”, która stoi na samym szczycie Silos?

— Bez żadnej wątpliwości oknem Europy, donio Manuelo.

Po wydeklamowaniu tego odważnego frazesu, senior Cuadros spojrział wymownie na żonę, jak zwykle pełną podziwu dla męzowskiego rozumu.

Tymczasem córki donii Manueli, panny Lopez i sędzianki spacerowały po ogródku z Rafaelem, który niecierpliwie oczekiwał swego przyjaciela, Roberta.

Andresito, przygnębiony i smutny, stał bez ruchu w kącie dużego balkonu, nie mieszając się do rozmowy starszych. Wiedział z pewnego źródła, że kokietka Amparito nawiązała flirt z artylerzystą, ale mimo wszystko uważał za dobry znak, że donia Manuela zaprosiła całą rodzinę Cuadrosów, kładąc tym kres poprzedniemu chładowi. Zuchwała dziewczyna przyjęła jednak Andresita drwiącym i złośliwym uśmieszkiem na dziecinnej buzi, po czym wzięła pod rękę przyjaciółki, odwróciła się i zostawiła go samego. Stał teraz, jak drąg, w rogu balkonu, cierpliwy i zrezygnowany, jak gdyby uważał za swoje przeznaczenie znosić objawy wzgardy wybranki, którą w myślach przeklinał i obrażał całym zapasem słów odpowiednich do okoliczności. Aby ukryć zmieszanie, udawał, że wpatruje się w uśmiechnięty krajobraz rozpostarty przed jego zmętniałymi oczyma. Niewiele brakowało, aby się rozplakał, więc starał się ukryć wzruszenie mrużąc do siebie tonem zmanierowanego artysty:

— Cóż za widok! Toż to prawdziwa symfonia, prawdziwy koncert kolorów!

Symfonia kolorów! Frazes ten wyłowił u jednego z modnych

krytyków, który tak uparcie lansuje pojęcia barwy i rysunku w muzyce i na każdym kroku stosuje określenie harmonia lub akordy, gdy mówi o malarstwie.

Młodzieniec po maniaczku powtarzał swój frazesik, jak człowiek cierpiący na bezsenność powtarza bezustannie tę samą modlitwę, aby wprawić się w stan oszołomienia i zasnąć. Stopniowo jednak wspaniały krajobraz zahipnotyzował go i wtrącił w milczącą kontemplację.

Na Boga! Owo szczęśliwe wyrażenie o symfonii kolorów nabierało teraz rzeczywistego sensu, przestawało być pustyni frazesem. Wszystko było jak gdyby rozśpiewane: zielona równina i Morze Śródziemne, góry i niebo. Nasz poeta wpadł w słodkie osłupienie i wsparty o balustradę balkonu poddawał twarz pieścizom łagodnego wiatru, który umiał tak wesoło podrzucać w górę papierowe latawce ... Oto symfonia, klasyczna muzyka na wieczny temat... Młodzieniec chłonał wzrokiem jakiś tajemniczy śpiew, jak gdyby wzrok i słuch zjednoczyły się przedziwnie.

Pierwsze, pojedyncze, nieskoordynowane tony introdukcji — to zielone plamy pobliskich ogródków, czerwone skupienia dachów ponad białymi ścianami, a wszystko — narzucone odważnymi ruchami pędzla nie troszczącego się o zharmonizowanie tematu z tłem. Po introdukcji rozproszonych tonów zaczynała się potężna, zwarta, grzmiąca symfonia.

Falowanie powierzchni wód w kanałach, drżące w słonecznym blasku — to łagodne i nieśmiałe trelowanie melancholijnych skrzypiec; pola, barwy przyćmionej zieleni zadźwięczały w uszach młodego wizjonera jak czułe westchnienia klarnetów — „ukochanych kobiet” w muzycznym języku Berlioza; żółtawe, niespokojne trzciny i jaskrawo zielone grzędy warzywnych pól, świetliste i błyszczące jak jeziora płynnych szmaragdów, to namiętne skargi zakochanych skrzypiec lub romantyczne frazy wiolonczeli; w głębi obrazu długi jasnoblękitny pas morza nasuwał na myśl przeciągły, metaliczny dźwięk, rzucany w przestrzeń żalosnym wibrowaniem strojowych widełek.

Andresito utwierdzał się coraz bardziej w realizmie owej wizji. To nie były złudzenia. Krajobraz tworzył klasyczną symfonię, której główny temat — zieleń — powtarzał się w nieskończoność, już to rozwijając się całą pełnią barw, już to zwijające i przyj

mując mleczny odcień. Chwilami znów gęstniał i ciemniał przechodząc prawie w szafir i fiolet. Jak w orkiestrze temat zasadniczy przeskakuje z jednego instrumentu na drugi, aby potem wszystkie razem powtórzyły go w najrozmaitszych tonach, tak wieczna zieleń grała w symfonii krajobrazu, wznosiła się i opadała, wzmacniała się i słabła, tonęła i wibrując w głębi, jęczała na strunach instrumentów smyczkowych, po czym układała się na polu z rozkosznym przeciąganiem, ze słodkim gruchaniem fletów, rozplywała się błękitniejąc ponad morzem i wtapiała w nieskończoność metalicznym akordem trąbki. I tak jak grzmiące dudnienie bębnowi cieniuje najbardziej interesujące miejsca muzycznego dzieła, tak słońce rzucając garście bladego światła nadawało ton panoramie, wydobywając pewne elementy błyskami złota, inne spowijając w łagodny półmrok.

Andresito, przejęty grą własnej wyobraźni, słuchał w sobie przedziwnej symfonii rozpostartej tylko przed jego oczyma. Białe zmije wijących się dróg były jak pauzy w muzyce. Temat — zieleń — stawał się coraz bardziej intensywny w miarę oddalania się ku brzegom morza; tam symfonia dosięgała szczytu i tryskając w niebo rozjaśniała się bladym błękitem, aby pomknąć ku finałowi. Niby ostatni jęk skrzypiec rozplywała się w bladości horyzontu, jak znika cieniutka fala dźwięku wibrująca coraz słabiej, tak że ucho nie zdoła wyczuć, kiedy spłaszczy się zupełnie i dźwięcząc przestanie.

To czyste szaleństwo, ale młody wizjoner widział śpiew pól i słuchał niemej symfonii kolorów, a nawet w owej cichej, przedziwnej muzyce wyczuwał podobieństwo do... nie mógł sobie przypomnieć, do czego. Wreszcie z jego pamięci wynurzyło się nazwisko Wagnera. Tak, to Tannhäuser, którego słyszał kilkakrotnie. Tam także wyzywające plamy krzykliwych kolorów przytłumiały inne, przygaszone i smutne, jak śpiew syren drażniący, władczy i gwałtowny próbuje zagłuszyć mistyczne pieśni pielgrzymów. A owo światło, które rozsypywało złoty pył na wszystkie przedmioty, owo niebo nabrzmiałe słońcem, owa przezroczystość wibrującej przestrzeni czyż nie były hymnem opiewającym chwałę bogini Wenus, bezwstydną, a wspaniałą pieśnią turyngijskiego trubadura, pieśnią o rozkoszach życia ziemskiego? Tak, to było to samo. Upojony pięknem natury, zahipnotyzowany własną

kontemplacją, Andresito potrząsał śmiecznie głową niby lunatyk i rozmyślając nad tym, że wszystko to warto opisać wierszem, mrucał cicho melodię sławnej uwertury z takim uczuciem, jak sam Tannhäuser, który swoim hymnem wzburzył cały dwór Landgrafa.

— Andresito ... posłuchaj ... Niech pan słucha...

Któż to mówi do niego? ... Może Elżbieta, przeczysta ukochana śpiewaka? Nie, to Amparito, owa rezolutna a złośliwa dziewczyna, która uśmiecha się teraz onieśmielona i lekko zmieszana, jak gdyby nie wiedziała, jak zacząć rozmowę. Siedząca nie opodal donia Manuela spowijała parkę najtkliwszym spośród macierzyńskich spojrzeń.

Seniora ta zawsze wiedziała, co czynić należy. Zauważyła, że biedny chłopczyna stoi sam na balkonie i gestykuje jak głuptak. Zawołała więc małą i poleciła sprowadzić Andresita na dół do młodzieży — równie despotycznie, jak dwa miesiące temu kazała jej z nim zerwać. Ta zmiana mogła się wydawać dziwna, ale przecież senior Cuadros, który jeszcze niedawno odmierzał tkaniny w sklepie i nie miał większych aspiracji, teraz posiadał własny powóz i pozostałe rekwizyty pretensjonalnego kandydata na milionera.

— Chodź, Andresito. Przejdziemy się.

— Idź — dodała mama. — Idźcie razem. Twoje miejsce, Andresito, jest wśród młodzieży... Cóż to się z tobą dzieje? ... W twoim wieku...

Chłopak poszedł za dawną narzeczoną. Czuł się jak obudzony z długiego snu i niezupełnie przytomnie patrzył na świat. W uszach brzmiały mu jeszcze ciągle dalekie echa przedziwnej symfonii.

W ogrodzie krzykliwe panny otaczały Rafaela i Roberta, który właśnie przyszedł. Juanito siedział przez cały czas w domu na dole, gdzie służba miejscowa hałasowała ze służbą zaproszonych gości.

Amparito ciągnęła za rękę swego dawnego narzeczonego.

— Co będziemy robić ... Może byśmy poszli na spacer w góry? Wesoła gromadka wyszła z ogrodu przez furtkę w kierunku

tak zwanych „górk", czyli na wierzchołek łysego pagórka, łagodnego wzniesienia terenu, jak zepsuty ząb gęsto podziurawionego dołami po kamieniołomach i kopalniach kaolinu.

Rozkrzyczane towarzystwo pięło się powoli ku wapiennikowi

na szczycie. Grupki innych spacerowiczów wyglądały stąd jak rozbiegane mrówki.

Andresito i Amparo zostali z tyłu, szli bowiem powoli, zatrzymując się co chwila i gestykując gwałtownie.

— Wcale ci nie wierzę. Flirtowałaś z artylerzystą, wystrychnęłaś mnie na dudka ... Złamałaś mi serce, a teraz chcesz, żebym dał sobie wmówić, że kochałaś mnie wtedy i że kochasz mnie nadal?

— Ależ, głuptasku, ja to robiłam, żeby cię wypróbować!... Dobre sobie! Artylerzystą! Taka mała! Ja cały czas kochałam tylko cię, ale mama przeciwna była naszym zaręczynom, uważała ten krok za nierozważny, więc musiałam być posłuszna ...

— A co myśli twoja mama teraz?

— Teraz to co innego. Sama nie wiem, jaka mucha znowu mamę ugryzła. Dawniej nazywała cię pajacem, a teraz nagle uważa cię za coś lepszego. Myślę, że twój papa odegrał tu jakąś rolę.

— Mój papa! — krzyknął Andresito z dziecięcym przestraszeniem, jak gdyby zamajaczyła przed nim ojcowska ręka, zbrojna w karzący bat.

— Cicho bądź, głuptasie, czegoś się przestraszył? Ja widać rozumiem więcej od cię, bo mi się zdaje, że i moja mama, i twój ojciec zgadzają się już na nasze małżeństwo.

— A więc ...

— A więc, szanowny panie, możemy się kochać jak dawniej, bez żadnego strachu, ale muszę cię uprzedzić, że teraz nasze narzeczeństwo nie będzie mogło już być wstydlivym sekretem. Po co dziewczynie narzeczonej, jeśli go nie może pokazywać? ... Aha, jeszcze coś. Kategoriecznie ci zabraniam, żebyś mnie obrzucał takimi wierszykami jak te, które mi przysłałeś po naszym zerwaniu. Też mi kawaler, który się zabawia w taki sposób. Wiecznie grobowa mina i język jak u węża. „Niewierna, wyrafinowana kokietka ... Zdrajczyni..." Dlatego na złość tobie udawałam, że flirtuję z tym porucznikiem. Teraz koniec z wierszykami, a jeżeli mi wystrzelisz jakimś sonetem, to ci nim natrę pyszczek jak kotkowi, kiedy jest brudas. Rozumiesz, chłopczyku?

Andresito uśmiechał się oszołomiony urokiem rozkosznego dziewczątka. Naśladowała jego gruby głos, cytując ustępy z wier

szy podkreślała słowa łobuzerskimi gestami; jakaż to przylepna istotka, chcąc nie chcąc trzeba było jej uwierzyć! Więc zamknął oczy i przelknął wszystkie gorzkie pigułki, przyjął nawet za dobrą monetę, że kokietowała porucznika jedynie jemu na złość.

— Państwo nie idą z nami?

Wzywały ich suche panny Lopez, „wieszaki”, jak je nazywała Amparito, bo wszystkie eleganckie suknie, jakimi obdarzał je bogaty tatuś po każdej udanej operacji giełdowej, zwisały z nich żałośnie i bez wdzięku.

— Państwo doszli do porozumienia — dodała jedna z nich uśmiechając się zjadliwie do Amparito.

Ona się jeszcze porachuje z tymi indyczkami... I zostawiając Andresita samego, przyłączyła się do gromadki dziewcząt, które szły rzędem trzymając się w pół i ze śmiechem zbiegały ze zbocza z górki na pazurki. Wolne od matczynych pytających i surowych spojrzeń, były teraz wesołe i wdychały świeże powietrze pól, które przemieniało je w niegrzeczne dzieci. Pomimo wysokich fryzur i długich spódnic podskakiwały jak chmara ptasząt, z furkotem nakrochmalonych haleczek, ukazując ładne nóżki. Zaróżowiły się buzie, z których opadał ryżowy puder. Bieganie i baraszkowanie rozgrzewało je i nadało oczom świeżego połysku. Panny poddawały się nastrojowi zabawy, a w ich wzajemnych pieszczotach, w przytulaniu różowych policzków i wymienianiu głośnych pocałunków wyczuwało się trochę pogardy dla mężczyzn, którzy szli z tyłu. Rafael, jego przyjaciel oraz Andresito kroczyli powoli z filozoficznymi minami i z daleka biernie przyglądali się pięknej grupie dziewczątek.

Tymczasem Juanito spędzał popołudnie w kuchni. To zamiłowanie najstarszego syna do kuchennego towarzystwa bywało często powodem zawstydzenia donii Manueli. Niech tylko w kuchni zbierze się kilka służących, a on już tam jest, jak gdyby przyciągany jakąś tajemniczą siłą. Może to atawizm? Przodkami jego byli przecież aragońscy górale, którzy lubią kobiety tęgie, mocne, wiejskie baby o szerokich dłoniach spękanych od szorowania i stwardniałych od łopaty, mające w sobie coś z juczych zwierząt. Odezwała się w nim chyba natura ojca; kuchenne zapachy dawały mu jakieś rozkoszne zadowolenie i lubił patrzeć na opalone dziewczuchy o muskularnych ramionach i szerokich biodrach; krew na

plywała mu wtedy do serca, jak gdyby spotkał wymarzony ideał swego życia. Uwielbiał jednak Tonikę, stworzenie wątłe, a pełne wdzięku, i chyba mocą kontrastu u siebie w domu nie potrafił walczyć z uczuciem lubienia kuchni, jak powiadał Rafael; coraz tam szedł, by pozartować, nie przekraczając nigdy granic przyzwoitości, gdyż był młodzieńcem cnotliwym. Czysto platonicznie podziwiał zdrowe piękności wiejskie, pachnące cytryną i ziemią, z upodobaniem słuchał ich rozmów, chętnie i z przyjemnością oddawał im drobne przysługi, cierpliwie znosił nawet ich grubiaństwa, byle tylko móc usiąść w kąci, z miną nieśmiałą i uśmiechniętą, i przyglądać się ich herkulesowym ramionom, wymownym spojrzeniom i rysującym się dyskretnie pod długą spódnicą łydkom grubym jak kolumny.

Pod wieczór na najwyższym piętrze willi odezwało się stare pianino i cały domek zadrżał od przytupywań przy zwawym mazurku. Panny i paniczki powrócili już z wycieczki w „góry” i tańczyli, aby uprzyjemnić sobie czas. Seniora zarządziła, aby podano podwieczorek, i Visanteta zabrała się do dzieła krzątając się po całym domu; przyjaciółki wysłała do ogrodu, żeby jej nie przeszkadzały.

Gdy Juanito wszedł na górę, tańczono już na dobre. Rafael i Roberto zapraszali do tańca jedną pannę po drugiej, a senior Cuadros, ku zdziwieniu wszystkich, także dał się uprosić. Pośród oklasków i śmiechu tańczył z Amparito, podczas gdy jego syn ze wzruszeniem obserwował tę scenę i pewnie żałował w tej chwili, że jako poecie, marzycielowi i wrogowi pustoty, nie wypadało mu wtajemniczać się w sztukę poruszania nogami w walcu. Pan Cuadros pomimo swych lat i wielkich wąsów tańczył jak sam diabeł! Tak przynajmniej twierdziła donia Manuela i jego żona, Teresa, obie błogo uśmiechnięte, całkowicie pogodzone i zrównane w tej chwili w pozycji społecznej. Spoglądały na siebie wymownie. Teraz, kiedy już obydwie rodziny tak się kochały, trzeba było koniecznie pomyśleć o szczęściu dzieci. Popołudnie miało się ku końcowi. Przez okna i balkony wdzierał się czerwony blask zachodu i wielkie słońce tonęło w horyzoncie jak w krwawym jeziorze.

Pianino umilkło, ucichły jego starcze, ochryple nieco i drżące tony, a młoda gromadka popychając się i spiesząc pobięła do ja

dalni. Na Boga, jak przyjemnie było przy tym stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem, przy otwartych oknach i balkonie, za którymi rozciągał się szeroki, rozległy krajobraz w pomarańczowym świetle przedwieczera, gdy wszystkie błyski i jaskrawości matowiały i jak gdyby pogrążały się we śnie.

Spacer i taniec podniecił apetyt młodzieży i wszyscy zerkali w stronę drzwi, skąd miały wejść służące z jedzeniem. — Na wstępie muszę państwa przeprosić za skromne przyjęcie — oświadczyła donia Manuela tonem gościnnej kasztelanki — pamiętajcie, że jesteśmy na wsi i że tutaj trzeba się zadowalać tym, co przynoszą. Nie dostaniecie nic nadzwyczajnego. Trudno, będziecie musieli pocierpieć.

Wszyscy grzecznie zaprzeczyli wielomówiącym „och!” — zakładając starannie serwetki pod brodę. Wiedzieli, że ta gospodyni potrafiła przyjmować gości. Każdy brał w rękę widelec, jak gdyby dawał do zrozumienia: „Dajcie, co macie, zgodzimy się na wszystko!”

Ułożone przez Visantetę menu nie było bynajmniej najuboższe; składały się na nie same miejscowe potrawy we wspaniałej oprawie tradycyjnej uczy: mostek wieprzowy z młodym bobem zmielonym na purée, którego sam zapach wzbudzał rozkosze podniebienia, młode langusty w szkarłatnych płaszczkach i spiczastych kapturkach, jak czerwone kłowny, pocięte na kawałki kurczaki w różowej potrawce z pomidorami, nieskończona ilość plasterków kielbasy, cała szynka grubo krajana i ogromna piramida gotowanych jajek w pomalowanych na żółto i czerwono skorupkach — wszystko w takiej obfitości, że potrafiło zniszczyć najdzielniejszy żołądek. Ale goście donii Manuela mieli zdrowe apetyty. Tylko sędzianki i „wieszaki” Lopez jadły z umiarem i rzucały przerażone spojrzenia, gdy im dolewano wina; reszta biesiadników pochłaniała z zapałem, co im dawano, i odgłosy ich żucia brzmiały wśród milczenia jadalni jak chór głoszący: „Jedźmy, pijmy, używajmy ...”

Rafael i Roberto starali się nadać wspólnemu posiłkowi ton dystynkcji, który donia Manuela tak bardzo miała w cenie. Udane chłopaki! ... Jak oni potrafią obsłużyć dziewczęta!... „Niech pani nie pogardzi tą oliwką... Panno Lolito, klę się na Boga, że pani

przyjmie ode mnie plasterk kielbasy... — Proszę bardzo, jeszcze kawaleczek, niech pani mi nie daje kosza!”

Dziewczęta, grzeczne i dobrze wychowane, niezdolne obrazić bliźniego ani dać mu kosza, przyjmowały poczęstunki z rumieńcem i spoglądały z góry na przyjaciółki.

Donia Manuela była zadowolona. Bo doprawdy, czy to nie przyjemność zebrać u swego stołu serdecznych przyjaciół? Patrząc na nich i przysłuchiwać się, co mówią? Chciałaby widzieć wśród nich swego brata, przeklętego skąpca, niezdolnego zaprosić do siebie kogoś choćby na zwykłą sałatę. Co za radość dla duszy widzieć własną rodzinę w otoczeniu bliskich w sam dzień Wielkanocy, przy tradycyjnej kolacji. Prawda, że to dosyć dużo kosztuje, a osoba zadłużona nie powinna sobie pozwalać na tak wielkie wydatki, ale cóż, u diabła! Trzeba umieć żyć, a taka uroczystość — jeśli spojrzeć na nią z właściwego punktu — może się doskonale opłacić w przyszłości. Na pana Lopeza nie ma co zbyt liczyć, bo to człowiek wyrachowany i chociaż wydaje niemało na stroje dla dziewcząt, robi to jedynie po to, aby utrzymać swoje dobre imię giełdjarza. A Cuadros? Temu powodzenie przewróciło w głowie, rozpięta go pycha. Zarówno on, jak i jego małżonka będą dumni, że żona byłego pryncypała skłonna jest przyjąć Andresita do swojej rodziny. Tacy przyjaciele krwi własnej nie poskąpią, byle ulżyć Manueli w jej kłopotach. Podobne myśli i marzenia uśmierzały obawy donii Manueli, która obrzuciła biesiadników spojrzeniem pełnym nieskończonej dobroci i serdeczności. Wszystko dobrze się układało. Andresito i Amparo szczypali się pod stołem, Roberto przysuwał się w sposób nieprzyzwoity do Conchy — mama widziała to, ale uśmiechała się łagodnie i tolerancyjnie. Dzisiaj wszystko wolno, trzeba dać młodzieży to, czego pragnie; ona sama — ach! — pamięta jeszcze i ze wzruszeniem wspomina, jak to doktor Pajares za swoich studenckich czasów siadywał przy niej za stołem.

Biesiadnicy się ożywili. Nelet zapalił lampę, wokół której od razu zaczęły krążyć ómy, a wielkie muchy, zwabione światłem, latały bezładnie, coraz to uderzając o porcelanowy klosz. Na stole ukazały się złociste pomarańcze o gładkiej skórce i specjalność Alberique — ciastka zwane „palonym chlebem”, posypane drobnymi kruszynkami na ciemnej, lśniącej powierzchni, z paskiem kremu pośrodku; tace, na których rozłożono suche kandyzowane owoce,

mięsiste i lepkie słodczyce walencjie: zielonkawe gruszki twarde jak karmel, małe cytryny z klasztoru pod Sagunto, pokrajane w kawałki melony, a obok kolorowe bezy w karbowanych papierkach. Wszystko to, osypane cukrem, przyciągało krążące wokół lampy owady.

Przy stole atakowano teraz gotowane jajka. Każdy starał się je stłuc na czole sąsiada; tradycyjny ten żart udawał się zawsze, mimo wszelkich środków ostrożności. Trzeba było widzieć panienki, jak zakrywając twarz rękoma, piszczały, niby przestraszone kokoszki, ze strachu przed ciosem, trzeba było słyszeć brawa i wiwaty, którymi nagradzano zręczność i odwagę panny, jeżeli udało jej się stuknąć kawalera.

Gdy na chwilę zapadała cisza w jadalni, słychać było odgłosy zabawy tłumu: dźwięki gitary, wystrzały sztucznych ogni, chichotanie kobiet, czasem docierał też hałas z kuchni, gdzie rozlegał się gruby głos Neleta i piskliwy chór służących. Tam także tłuczono jaja.

Starsze towarzystwo zabierało się już do deseru i senior Cuadros otwierał butelki z likierami w jaskrawych kolorach, o tak piekielnym smaku, że skręcały żołądek. Różowe kieliszki całowały usteczka dziewcząt zostawiając na czerwonych wargach smakowite kropelki płynnej słodczy. Przy deserze zabawiano się długo i hałaśliwie. Nikt nie patrzył na stojący w jadalni zegar, którego wskazówki przesuwają się obojętnie, na nic nie zważając. Gdy wybiła dziewiąta, zaczęto jednak zrywać się z krzesel. Na zewnątrz przed „pałacym” gwar także ucichał.

Donia Manuela obiecała przyjaciółkom, że zaszczyci je odwiedzinami w ciągu pozostałych dni Wielkanocy, i zaczęły się przygotowania do odejścia. Zjawiły się czerwone i spocone służące. Widocznie dobrze się ubawiły z Neletem i woźnicą państwa Lopezów. W zamieszaniu szukano porzuconych na meblach płaszczy, panie nie wiedziały, gdzie zostawiły kapelusze, wyciągały podarte woalki zaplątane w stos odzieży, a po dobrej półgodzinie wszyscy byli gotowi do wyjścia.

Senior Lopez zaofiarował się odwieźć do domu sędziarki własnym powozem. Będzie im trochę ciasno, ale takie niewygody należą do zabawy. Pan Cuadros wyprowadził z „pałacowej” stajni

swój powozik, z którego był tak dumny, po czym załadował doń małżonkę, syna i dwie służące.

— Dobranoc!... Do widzenia, do jutra! Spijcie dobrze!... Heta, wio!...

Obydwa powozy, rozpylając w ciemnościach czerwone światło latarni, wyjechały truchcikiem, przerywając ciszę łagodnej, gwiazdzistej, ciepłej nocy. Rodzina Pajaresów stała we drzwiach „pałacu”, dopóki goście nie znikli z oczu. Naprzeciwko Silos kotłował się jeszcze tłum przepychając się w ciemności ku platformom tramwajów; tu i ówdzie targowano się z ponurymi dorożkarszami. Rozlegały się gwizdki. Wokół zaczerwienionych oczu dorożkarskich latarek kłócono się w głos, a publiczność niecierpliwie oczekiwała, aż wszystko to ruszy z miejsca i będzie można rozpocząć chóralne śpiewy. Na tle pijackich ryków wyróżniały się czyste soprany młodych dziewcząt.

Gdzieniedzie rozlegały się krzyki i bieganie — oto ukazywało się jakieś wzniesione ramie z laską lub gitara z żalonym jękiem rozbijała się o czyjąś głowę. Gdy wszystko ucichło, wybuchały śmiechy i pełne ironii oklaski dla zuchów, którzy znużeni czekaniem, zdecydowali się na pieszy marsz. Ci puszczali się drogą w dół, trzymając się pod rękę, a nie zawsze szli po prostej linii, często się zataczali, jak gdyby spacerowali po pokładzie statku w czasie burzy. Każdy mówił co innego, starając się przekrzyknąć kompanów, lub z natchnienia alkoholowej muzy wszyscy razem wyśpiewywali fałszywym chórem żalose pieśni.

Trzy dni Wielkanocy splotły się ze świętem rodzinnym Pajaresów. Zaręczyny Amparito i Andresita były sprawą dokonaną. Młody wierszopis przestał się obawiać, że wspomnienia porucznika żyją jeszcze w pamięci jego wybranki, i

pozbył się wszelkich skrupułów. Wszystko zostało wyjaśnione, gdyż każdą pretensję młodzieńca odpierała Amparito niewinną minką i żartobliwym tonem:

— Ty głuptasku!... Przecież ja go nigdy nie kochałam... To było tak na żarty, po prostu kaprys, tobie na złość!... Ja tylko ciebie Kocham, gwałtowniku!...

Więc Andresito przymyka oczy, odgania od siebie przykre wspomnienia dnia wczorajszego, aż wreszcie czuje się szczęśliwy równie jak Conchita, która podczas roztańczonych podwieczorków

wielkanocnych zdołała doprowadzić Roberta do takiego stanu zapomnienia, że wreszcie wydusił z siebie tak upragnione przez pannę oświadczenie. Nareszcie miała już oficjalnego narzeczonego, mogła się z nim spotykać o każdej porze, nie obawiając się drwin, jakie przynosi przestawanie z młodym człowiekiem bez żadnych widoków na małżeństwo.

Jedynie Juanitowi nie było wesoło w ciągu tych dni. Mama odnosiła się do niego wciąż bardzo serdecznie, równie tkliwiej nigdy jej jeszcze nie widział. Zebrana u stołu rodzina nastrojała ją sentymentalnie, więc Juanito, aby jej nie robić przykrości, pozostawał w Burjasot i jako ofiara przeciwności własnych upodobań to dawał się wciągać w „lubienie” kuchni, to zapamiętywał się w błogiej tęsknocie za ukochaną Toniką.

Dlatego gdy powrócił do Walencji i do swoich zajęć w sklepie „Pod Trzema Różami”, był radosny jak człowiek, który przybył z wygnania. Starał się w pełni korzystać z krótkich spotkań z ukochaną i oczekiwał Toniki na ulicy, aby do późnego wieczora prowadzić z nią długie rozmowy. Chciał wiedzieć ze wszystkimi szczegółami, co robiła przez święta. Otóż czytała sentymentalne powieści w swoim cichym, smutnym mieszkanku, podczas gdy Michaela, jej wierna przyjaciółka, zajmowała się kuchnią.

Spotkania z tą zrównoważoną i rozumną dziewczyną dodawały mu nowego zapału do pracy. Dotąd żył spokojnie, nieczuły na wszystko, co nie było ciężką pracą subiekta, i nie myślał o przyszłości. Teraz obudziła się w nim ambicja, marzył, aby zostać wielkim kupcem, aby wraz z Toniką osiągnąć wyższą pozycję społeczną. Na sklep „Pod Trzema Różami” patrzył z takim uczuciem, z jakim przyszyły dziedzic patrzy na przedmiot swoich tęsknot, który stanie się wkrótce jego własnością. Plan miał już gotowy. Poczeką do końca roku, sprzeda ogród w Alcira i namówi don Antonia, aby mu odstąpił sklep za kilka tysięcy duros.

Stary jest tak uszczęśliwiony swym powodzeniem na giełdzie i tak znienawidził sklep i drobny handel, że nie będzie rzeczą trudną nakłonić go do odstąpienia „Trzech Róż” za tyle, ile młodzieniec zdecydował mu się dać. Cóż znaczy dla Cuadrosa tysiąc duros więcej czy mniej! Powodzenie uczyniło go odważnym, hazardował się w sposób niezwykle śmiały, zresztą z uderzająco dobrym wy

nikiem, i w miarę jak rósł jego majątek, sama osoba ulegała zasadniczym zmianom. Starał się przebywać w sklepie jak najmniej, gdy nie szedł na giełdę, spędzał czas w kawiarni, gdzie brał udział w hałaśliwych sprzeczkach teoretyków giełdy. Zwolennicy teorii na „zwyżkę” klócili się z tymi, co stawiali na „zniżkę”, z którymi on sam rozmawiał tonem wyższości. Potem zaprzęgał konia do powozu i odjeżdżał wystrojony, aby w alei pośród wspaniałych pojazdów obwozić swój nowy nabytek. Niech się ludzie dowiedzą, że on także — chociaż może nie wypada o tym mówić — należy do arystokracji, do arystokracji pieniądza, która obecnie najbardziej jest ceniona. Nawet we własnym domu zaczął wprowadzać zasadnicze reformy, od przeciętnej wygody przechodząc do bijącego w oczy zbytku. Bankiety na cześć wielkich wygranych na giełdzie wydelikatniły jego podniebienie i talent kulinarny Teresy już go nie zadowalał; przyjął więc kucharkę, która pracowała przedtem w arystokratycznym domu. Nowobogactwo odbijało się na panu Cuadros w jego wyglądzie: nabrał manier człowieka pewnego siebie i fanfaronu. Rywalizował z żoną w ilości pierścieni na palcach, z tą różnicą, że jego pierścienie nie były tanimi ozdobami, lecz wykuto je z ciężkiego złota, a wielkie szlachetne kamienie rzucały oślepiające błyski. Dziurki kamizelki zrywał ogromnym, grubym łańcuchem z brelokami i on, który dawniej starannie przestrzegał zwyczaju wychodzenia z możliwie małą ilością miedzaków w

kieszeni, w strachu przed niepotrzebnymi zakupami i pokusą wejścia do kawiarni, teraz rzucał na prawo i na lewo ułożone w wielkim portfelu banknoty i niejednokrotnie wzbudzał sensację wśród kelnerów, gdy płacąc za szklanke limoniady wyciągał banknot tysięcypesetowy.

Sklep „Pod Trzema Różami” leżał na obydwie łopatki, jak ponuro szeptał zmartwiony Juanito. Bogactwo pryncypała wszystkim w sklepie przewróciło w głowie. Wolni od dozoru subiektu robili, co im się podobało; towar znikał z półek nie zostawiając na pamiątkę swego istnienia pieniędzy w kasie; służące na górze okradły dom pod samym nosem donii Teresy całkowicie oszołomionej zasadniczymi zmianami w gospodarstwie. Cóż, mały kłopot, pryncypał wszystkiemu zaradzi. Braki w kasie obliczone pod koniec miesiąca były jednak nawet jak na rozrzut

ność pryncypała bardzo wysokie i ów okręt bez sternika zaczął się chylić ku zgubie i przepuszczać wodę ze wszystkich stron.

Jedynym człowiekiem, który energicznie i gwałtownie protestował przeciwko tym wszystkim bezsensownym wydatkom i reformom, był don Eugenio. Kupiecweteran oburzał się na cały głos i trzeba było słyszeć, jak rozmawiał podczas rzadkich spotkań z właścicielem „Trzech Róż”, który ostatnimi czasy przychodził do domu tylko jak do restauracji.

Don Eugenio oskarżał go w imię uczciwości i kupieckiego umiarkowania i niby Kasandra prorokował największe nieszczęścia. Takie opilstwo pieniądzem musi się źle skończyć. Wygrać osiem albo dziewięć tysięcy duros w ciągu miesiąca przez czysty hazard to rzecz nieprzyzwoita i niesprawiedliwa, giełda to nic innego jak dom gry, gdzie chodzą straceńcy; takie zdobywanie pieniędzy jest przestępstwem, gdyż to, co ktoś zyskuje, tracą inni.

Don Antonio odpowiadał uśmiechając się ironicznie i wprawiał w rozpacz poczciwego staruszka. Co za zmurszałe poglądy! Jak don Eugenio w ogóle śmie mówić w ten sposób o tak legalnym i przyjętym przez wszystkich sposobie zarabiania pieniędzy? Prawda, że szczęściarze rujnują nieraz pechowców, ale cóż robić!... Trzeba się przystosować do wymagań świata, brać udział „w walce o byt”, tak już jest zbudowane społeczeństwo. Aby jedni żyli, muszą pożerać innych. Senior Cuadros tonem niedopuszczającym dyskusji powtarzał takie i tym podobne frazesy posłyszane na giełdzie z ust rozmaitych spryciarzy w smokingu, modną „walką o byt” usprawiedliwiających legalny rozbój, za który należałoby się więzić. Rozpacz ogarniała staruszkę, gdy pan Cuadros zaczynał wynosić instytucję giełdy pod niebiosą. Jedynie stary sknera mógł być jej wrogiem. Chcąc zachować konsekwencję w krytykowaniu, trzeba by narzekać również na koleje, telefony i wszystkie inne zdobycze postępu. Długo będzie czekać na urzeczywistnienie swoich marzeń, na owo zjednoczenie uczciwych ludzi w walce przeciwko giełdowym interesom.

Ludzie giełdy cieszą się przecież coraz większym szacunkiem, stają się coraz popularniejsi! Na giełdzie nie grywają już sami tylko kupcy i emeryci, przychodzą tam też biedacy, skromni ludzie biorą udział w jej operacjach. Aby tego dowieść, wystarczy

wskazać pana Raniona Morte. Filantrop ten puszcza w obrót giełdowy drobne kapitały instytucji dobroczynnych.

Martwe kapitały zaczynają przynosić dochody, przy tym własne wygrane przeznaczają on na cele dobroczynne.

Don Eugenio chłodno wysłuchał tego, co mówił don Antonio o sławnym bankierze, którego nazwisko codziennie powtarzały wszystkie dzienniki, ale Juanitem wstrząsnął dreszcz podziwu. Bo też pan Ramon Morte był to człowiek niezwykły. Na sto mil z daleka potrafił zwężyć zarobek, umieszczał cudze kapitały bez wahania; posiadał kolosalny majątek, a mimo to jakiz był skromny! Z jaką prostotą i uprzejmością traktował maluczkich. Niskiego wzrostu, schorowany od pracy nad siły, miał złote okulary i pociągający uśmiech, uśmiech niewinny, którego sekret posiadają tylko wielcy ludzie interesu lub członkowie bractw religijnych. Dwa razy już przychodził tutaj do sklepu pytając o pryncypała, a że go nie zastał, raczył rozmawiać z Juanitem. Zachowywał się w stosunku do niego tak serdecznie, jak gdyby należał do jego klasy, istic po ojcowsku wypytywał go o projekty na przyszłość; ach! cóż to za człowiek! Od razu budził zaufanie! Za jego to radą senior Cuadros robił swoje wspaniałe interesy i gdyby nie to, że Juanito pragnął z

całych sił stać się właścicielem sklepu „Pod Trzema Różami”, byłby sprzedał swój ogród warzywny i wszystkie uzyskane stąd pieniądze oddał w ręce don Ramona.

Przykład szalonego szczęścia pryncypała zaraził subiekta. Mimo flegmatycznego usposobienia zapalił się do hazardu, który pozwala człowiekowi zdobyć majątek w ciągu kilku miesięcy, jeżeli go przedtem doszczętnie nie zrujnuje. Gdy w samotności puszczał wodze fantazji, przerażał się nieraz odwagą swych myśli, potem jednak pod wpływem pryncypała jego wrodzona stateczność i nieśmiałość ustępowała miejsca żądzy awanturniczych przygód.

Ciągle nieporozumienia don Eugenia z dawnym subiektem doprowadziły do rozluźnienia stosunków i choć żyli pod jednym dachem, nie rozmawiali ze sobą całymi tygodniami. Staruszek czuł się bardzo samotny w tym domu. Teresa go nie rozumiała, Andresito zaś, rozentuzjasmowany powodzeniem papy, przejawiał coraz większe ambicje: zwykle nieśmiały i pozbawiony samodzielnego sądu, stawał się coraz bardziej wymagający w kwestiach ubrania i opowiadał, że ma zamiar kupić karego konia, na którym będzie

towarzyszył na spacer jadącej w powozie narzeczonej. Co dzień po obiedzie brał lekcje konnej jazdy w ujeżdżalni pikadorów.

Don Eugenio pocieszał się w swoim strapieniu jedynie rozmową z wujem Juanita, wobec którego szczerze wylewał oburzenie, które budziły w nim interesy pana Cuadrosa. Don Juan zaśmiewał się ze szczęścia giełdowych graczy. Niech szaleją na zdrowie. Niejeden już się do niego zwracał chcąc namówić go na takie zarobki, ale on jest stary wyjadacz i woli mieć swoje pieniądze pewnie ulokowane. Wyrzucanie pieniędzy przez okno w nadziei wygrania szalonych sum dobre jest dla głupców, którzy wyobrażają sobie, że pozjadali wszystkie rozумы w dziedzinie sekretnych sposobów gry. Był zupełnie tego samego zdania co don Eugenio. Powodzenie tego rodzaju to kaprys losu, groźna dla nowicjuszy dobroć przeznaczenia: pierwsze drobne wygrane uwodzą ryzykanta, a gdy już uwierzył, że fantazje przypadku służą jego szczęściu, przychodzi nagle ruina, klęska całkowita i piorunująca.

Jak daleko sięgało oburzenie zacnego don Eugenia, dowiedział się Juanito w dzień świętego Wincentego.

Dzień tego popularnego świętego obchodzono ze zwykłą w takich wypadkach pompą. W kilku punktach śródmieścia wznoszono tak zwane ołtarze, czyli ogromne budowle z drewna i dykty, sięgające dachów, z architektonicznymi dekoracjami w stylu gotyckim lub korynckim, a wszystko to najeżone gazowymi palnikami. W samym środku na głowicy kolumny stał twórca ugody w Caspe w swoim dominikańskim habitcie, z palcem wzniesionym ku górze, pośród woskowych świec i białych lilii. Niżej znajdowało się coś w rodzaju estrady, na której odgrywano tak zwane po walencku milacres, czyli „cuda”. Były to sztuki dramatyczne treści równie naiwnej jak strofki, którymi przemawiały. Akcja ich toczyła się zawsze w obrębie tych samych tematów: feudalne waśnie pomiędzy Centellesem i Villaragusem, rozmowa dwóch Maurów z Granady lub podstępny napad niewiernych na wymownego apostoła — wszystko to ukoronowane nieuniknionym cudem świętego i zakończone kazaniem ułożonym jedenastozgłoskowcem.

Tłum przepychał się między ołtarzami, aby lepiej słyszeć aktorów, którymi byli łobuzy z dzielnicy. Pyszni się swymi wypożyczonymi kostiumami i do ochrypięcia wykrzykiwali wiersze, z dumą dźwigając kapelusze z piórami i szpadę, której dobywali, gdy tego wymagał „cud”. Trzeba było widzieć, z jaką uwagą przysłuchiwano się kazaniom świętego Wincentego, którego zawsze odgrywał bladej, ponury, pyszałkowaty chłopak, trzeba było słyszeć wybuchy śmiechu, jakimi tłum reagował na błazeństwa braciszka zakonnego w nowicjacie. Błazenek ten już to połykał kawały chleba, już to zażywał tabaki, a potem głośno smarkał wycierając nos w wielką jak prześcieradło, a podziurawioną jak sito chustkę. Opowiadał przy tym niewybredne, tłuste kawały, a wszystko to dla większego zbudowania wiernych i przyczynienia chwały świętemu Wincentemu. Przed estradą falowało morze głów. Był to rodzaj prymitywnego teatru, który chwilami przypominał scenę Ajschylosa, chwilami zaś wędrowną trupę Lope de Ruedy.

Między jednym a drugim przedstawieniem orkiestra wygrywała wesołe polki, a miejscy ulicznicy obejmując się w pozach wymyślnych i nieprzyzwoitych puszczali się w tany, coraz to potracając długie stoły, przy których kilka

przystojnych dziewcząt w nakrochmalonych sukniach i jedwabnych chusteczkach okalających rumiane twarze sprzedawało pieczoną cieciorzycę, suszone morele i śliwki.

O trzeciej po południu Juanito poszedł na spotkanie Toniki w kierunku jej domu; chciał zdążyć, zanim dziewczyna wyjdzie z Michaelą na miasto obejrzyć ołtarze. Sąsiadka Toniki zawiadomiła go, że panie już wyszły, więc młodzieniec puścił się na ich poszukiwanie biegając od jednego ołtarza do drugiego, jednak nie udało mu się ich spotkać.

Na placu Konstytucji zauważył don Eugenia. Z daleka przyglądał się on „cudom”, wsparty na starej lasce, uśmiechnięty, okryty granatową peleryną, którą nosił aż do późnego lata. Pocziwiec przywitał Juanita z radością.

— Ach, chłopcze, jakże się cieszę, że cię widzę!... Jesteś teraz chyba wolny, prawda?

Juanito odpowiedział przecząco, ale natychmiast pożałował i zmienił zdanie.

— To świetnie. Przejdziemy się. Moi przyjaciele wyszli, zostałem sam. Zupełnie sam.

Staruszek wypowiedział to z naciskiem, jak gdyby chciał kogoś uczynić odpowiedzialnym za swoje opuszczenie.

Poszli w kierunku alei Serranos, dokąd zwykle chodził na spacer don Eugenio. Po drodze starowina opisywał Juanitowi swoją smutną sytuację bacząc na to, aby zbytnio się nie żalić. Przybyli w aleje: był to szeroki pas ogrodu ciągnący się brzegiem rzeki, o oszałamiającym bogactwie roślinności, ale bardzo cienisty i ponury, co w pełni usprawiedliwiało nadawaną mu zwykle nazwę alei zrozpaczonych. Spotykało się tutaj zwykle tych samych ludzi.

Przechadzały się tu matrony z gromadkami krzykliwych dzieciątek, księża i zwolennicy stanu duchownego, których grupki plamiły czernią zieloność krzaków. Przytłumionymi głosami rozmawiali o złych czasach, jakie nastały, o więźniu Watykanu i o prawdziwym królu, który żyje w Wenecji.

Don Eugenio pozdrowiał widywanych co dzień znajomych nie przerywając rozmowy. Juanito słuchał go z uwagą i szacunkiem należnym osiemdziesięcioletniemu staruszkowi.

— Powiem ci krótko, chłopcze: nie uznaję tego sposobu życia. Może te skrupuły są niemądre, ale cóż robić? Po tylu latach uczciwej, kupieckiej pracy, po latach stopniowo, bez ryzyka rosnącego dobrobytu nie mogę się przyzwyczaić do nastroju ciągłego zdenerwowania i niepewności, jaki wszędzie panuje, nie mogę nawet spokojnie patrzeć na dochody, które uważam za niemoralne i skandaliczne.

— Po co właściwie pan się tym tak zamartwia — powiedział uspokajająco młodzieniec — najlepiej pozostawić rzeczy własnemu biegowi. Don Antonio zarabia zbyt wiele pieniędzy, aby miał zwracać uwagę na pańskie słowa. Prócz tego nowe czasy przynoszą nowe obyczaje i niesłusznie skarży się pan na zmiany, jakie zaszły od czasu pańskiej młodości.

— Masz rację, synu. Teraz są inne czasy. Ja już jestem trupem, mimo to nie zejść dobrowolnie do grobu, chociaż mnie już stamtąd wołają i boleśnie odczuwam własną starość. Cóż za czasy, Boże drogi, co za czasy!

Staruszek patrzył w niebo, a jego ręka skubała nerwowo liście różanych krzewów.

— Ty także — ciągnął stary — zaraziłeś się troszeczkę gorączką bogactwa, chociaż rujnuje ona wszystkich. Nie obwiniam cię zresztą, jest to gorączka epoki, a młodzież zawsze z zapalem przyjmuje nowe idee. Masz rację: nie mogę, nie powinienem wtrącać się do spraw don Antonia, po prostu nie mam do tego prawa. Bo czym ja jestem w tym domu? Nieprzydatnym do niczego gratem, meblem, który zawala drogę, a jeszcze usiłuje pozostać cały, mimo że wszyscy pragną widzieć go rozbitym w drzazgi, które można by zmieść do kąta.

— Ależ tak nie jest, don Eugenio. W tym domu wszyscy pana kochają. Jestem o tym najgłębiej przeświadczony.

— Ja także — powiedział ciepło staruszek — ja także kocham ich z całego serca. Przecież nie mam innej rodziny. Ale widzisz, chłopcze, właśnie dlatego że ich tak bardzo kocham, martwię się i przejmuję ich losem, i nie mogę patrzeć spokojnie, jak Antonio wikła się w takie niebezpieczne awantury. Mój biedny sklep! Drzę na myśl o tym, że może zostać zniesławiony na zawsze. Słyszałem, że starzy marynarze namiętnie kochają statek, na którym spędzili życie. To samo jest ze mną i z „Trzema Różami”. Sam założyłem ten sklep, twój nieboszczyk ojciec umiał zachować dobre imię

tego uczciwego przedsiębiorstwa, a teraz... Drzę na myśl, co się stanie, jeżeli Antonio zrujnuje się grą na giełdzie, jak tyłu innych ...

Wtedy wszystko będzie stracone, sklep pójdzie na długi i okryje się hańbą na zawsze... Wielki Boże! Nie chcę nawet myśleć o tym.

— Eee! — odezwał się Juanito pełen młodzieńczej ufności. — Dlaczegoż miałoby się tak stać. Na giełdzie rujnują się tylko głupcy, a mój pryncypał ma dobrego doradcę, jest nim don Ramon... Zna go pan? Don Ramon Morte, wybraniec losu i wielki filantrop.

— Nie bądźże dzieckiem. Powiedz, czy wierzysz w mądrość swego wuja? Zapytaj go więc, co myśli o tym panu Ramonie. To lotr, jakich mało, posługuje się pozorami filantropii i robi sobie reklamę w gazetach, aby łatwiej oszukiwać naiwnych. To złodziej

kuty na wszystkie cztery nogi! Ciągłe chodzi do spowiedzi i zostawia pieniądze po zakrystiach, opowiadając, że dostały się do niego przez omyłkę, więc chce je oddać dla biednych, a nawet chodzą słuchy, że to on jest tym sławnym nieznanym, który pod pseudonimem „Ktokolwiek” posyła pieniądze do Towarzystwa Oświecenia Robotników, gdy owo Towarzystwo jest w kłopotach. Ta skromność, to pół incognito, jest metodą zwrócenia na siebie uwagi, metodą taką samą, jak każda inna reklama, a kupiec, który tak się stara o własną popularność, nie może mieć dobrych zamysłów. On coś knuje. Przygotowuje sobie bandażę, zanim jeszcze odniósł rany.

Bardzo przykro było Juanitowi słuchać tych wypowiedzianych bez ogródek obelg, którymi staruszek starał się obalić bóstwo, jakim był dla Juanita kupiec Ramon, ale przez szacunek dla don Eugenia milczał.

— Jeżeli to ma być człowiek — ciągnął dalej don Eugenio — który ma uchronić Antonia od ruiny, tośmy dopiero wpadli. Ja patrzę na sprawy trzeźwo, dlatego tak narzekam i utyskuję aż do znudzenia. Nie znam się na tych piekielnych interesach, jestem przyzwyczajony do zwykłych, prostych transakcji handlowych na dawną modłę, ale wiem także coś o tym, jak łatwo jest giełdziarzom zostać bez dachu nad głową, i to od razu, z dnia na dzień. Więc czyż mogę zachować spokój? Początkowo Antonio był ostrożny i nie ryzykował wielkich sum, ale widoki wygranej oślepiają go. Wiesz... według tego, co mi mówiono ostatnio, Cuadros tak się pogrążył w swych machinacjach, że w wypadku gdyby mu szczęście nie dopisało, w ciągu dwudziestu czterech godzin zostaje goluteńki, bez możliwości dopełnienia zobowiązań, no i prócz wszystkiego skompromitowany. Zrozum, co to oznacza, chłopcze. Gdyby twój ojciec żył, na pewno dobrze by mnie zrozumiał. Zimno mi się robi na samą myśl, że właściciel „Trzech Róż” miałby pewnego dnia okazać się niewypłacalny niby zwykły oszust, prawie złodziej. Powiedz sam: czy ja mogę na to pozwolić, czy sądzisz, że ja mógłbym znieść coś podobnego?

Don Eugenia ogarnęło podniecenie. Wsparty na łasce prostował przygarbione plecy, sprawa kochanego sklepu zabarwiła rumieńcem jego starczą, ale czerstwą twarz.

— Nie, nie mogę milczeć, to by mnie zabiło. W moim wieku człowiek pragnie spokoju, a ja dzień w dzień kładę się spać mniej lub bardziej rozstrojony. Nie mogę zrozumieć, po co, na Boga, ten człowiek zapuszcza się w marzenia o błędnym rycerstwie? Czy nie może żyć uczciwie jak ja, pracując na spokojną starość bez narażania się na ryzyko? ... W dzisiejszych czasach ambicja pożera ludzi. Za moich lat nim wydaliśmy miedziaka, oglądaliśmy go ze wszystkich stron, ale kontentowaliśmy się tym, co mamy, i żyliśmy szczęśliwie. Dzisiaj każdy rozmyśla tylko o tym, jak w legalny sposób wydrzeć portfel swemu sąsiadowi. Ambicja pożera nawet zdrowie tych ludzi. Taki typ po czterdziestce wygląda starzej ode mnie; czepia się słomki w nadziei zgarnięcia wielkiej sumy po to, aby ją strwonić, aby zadowolić obłąkańczą manię wielkości, jaka dziś wszystkich opanowała. To ich gubi. Byle smarkaczowi nie wystarcza już stanowisko uczciwego subiekta, a od razu myśli o tym, żeby się stać właścicielem, no... i co dalej? Antonio wstydzi się, że jest kupcem, i co dzień rozjeżdża po alei tym swoim śmiesznym kabrioletem, a powozi nie gorzej od woźnicy. Dawniej marzył, ażeby jego syn został adwokatem, a teraz patrzy spokojnie, jak Andresito opuszcza się w nauce, i

chwali się zdolnościami syna do konnej jazdy. Powiada, że syn odziedziczył spadek, który mu pozwoli żyć nie pracując. Chce z niego zrobić złotego młodzieńca i pewnie zamierza go ożenić co najmniej z księżniczką asturyjską... Przy tych słowach staruszek uśmiechnęła się z politowaniem, jak gdyby czuł się wyższy ponad ludzkie ułomności. — Rozumiem, synku, że moje narzekania cię nudzą, ale trzeba umieć znosić dziwactwa starszych. Czuję potrzebę mówienia, muszę przecież zwierzyć się przed kimś z tego straszliwego niepokoju, który mnie gnębi tak, jak gdybym to ja sam we własnej osobie mieszał się do awantur. Powtarzam ci raz jeszcze, że to się źle skończy. Twój wuj jest tego samego zdania. Przyjrzyj się pryncypałowi: to identycznie ten sam typ co twoja mama. Dawniej myślałem o nim inaczej, ale trzeba bardzo długo obserwować człowieka, jeśli się chce go poznać. Dopiero okoliczności pokazują go takim, jakim jest. Teraz znam już Antonia na wylot. On i twoja matka byłiby doskonałą parą. Są zupełnie jednakowi. W głowie im tylko posiadłości, błyszczenie w towarzystwie, pożera ich ambicja

dostania się do wyższej sfery i nie zważają na to, że okrywają się śmiesznością. Twoja matka idzie ku ruinie, Antonio zaś jak szalenciec puścił się na drogę hazardu, ale to ludzie jednacy. Oboje zdolni są do zaprzepaszczenia największej fortuny, ona na to, co nazywa szczeblem towarzyskim, a on — żeby dostać się pomiędzy ludzi, którzy niewątpliwie wyśmiewają się z niego... To nie może trwać długo... Będziemy świadkami katastrofy ... Ach, serce mi mówi, że mój biedny, kochany sklep tonie jak okręt we mgle, i umieram z żalu. Staruszka ogarnęła tak głęboki smutek, jak gdyby ta ruina była już sprawą dokonaną, a śmierć krążyła wokół niego. Juanitowi było przykro ... Cóż ... Na starość człowiek łatwo poddaje się obawom.

ROZDZIAŁ VII

Co niedziela Juanito wychodził z domu już o siódmej rano z uczuciem beztroskiego ucznia, który w dniu świątecznym wszystko widzi na różowo.

Wyprostowany i zadowolony, przechadzał się w nowym ubraniu z angielskiej wełny, trochę skrępowany sztywnym kołnierzykiem i mankietami, ale jedno spojrzenie na lakierki i nowy krawat, zawsze teraz bardzo kolorowy, pozwalało mu zapomnieć

o niewygodach tej zmiany i cieszyć się nią. Mama i siostrzyczki przyglądały mu się ze zdumieniem. Dawał im dużo do myślenia. Dzisiejszy Juanito to zupełnie inny człowiek niż Juanito sprzed trzech miesięcy. Dziś wszystkie stare marynarki nieboszczyka ojczyma Pajaresa, które oszczędna w tych wypadkach matka przeznaczała na ubrania dla niego, mogły być użyte już tylko jako ścierki do podłogi.

To miłość tak odmieniła Juanita. Jego dusza przybrała się także w nowy strój — od czasu gdy został narzeczonym Toniki, wydawało mu się, że spojrzął na świat po raz pierwszy, że rozumuje i odczuwa inaczej. Dotąd nie był widocznie wrażliwy na zapachy, bo jakże to się mogło stać, że wszystkie dotychczasowe wiosny mijały dla niego tak niepostrzeżenie, a przecież zawsze wiosną powietrze bywa przesiąknięte zapachem kwitnących pomarańczy

i cytryn. Teraz, gdy szedł na spacer w aleje, zapach ten oszalał go, zagrzewał krew i spowijał wszystkie myśli obłokiem woni. Najwidoczniej i słuch musiał mieć dotąd nieczuły. Gdy teraz siostry siadały do pianina, Juanito słuchał grania nie tak jak dotąd, niby bębnienia deszczu o szyby. Teraz muzyka wgryzała mu się gdzieś głęboko w serce, a gdy Amparito zawodziła jakiś smętny włoski romans, nawet łzy napływały mu do oczu.

Przedtem zawsze spokojny i zrównoważony, teraz stał się drażliwy i skłonny do płaczu jak kapryśne dziecko, a mimo to czuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Całe jego dotychczasowe życie wydawało mu się czymś w rodzaju zimowego snu zwierzęcia, którego jedyną troską jest jedzenie i spanie. Teraz miłość z jednej strony, a wiosna z drugiej

uczyniły z niego inną istotę. Spod twardej skorupy kupieckiego bytowania przebijało się na świat nowe stworzenie, w którym odżywała romantyczna młodość jego własnego ojca.

Juanito lubił się przechadzać w niedzielne poranki po walenckim rynku, gdzie zjawiał się w nowym ubraniu, stawał przed straganami kwiaciarek i przyłączał się do grupy młodzieńców wypatrujących ładnych kobiecych twarzy. Za każdym razem, gdy mijała ich wracająca z kościoła wytworna panienka z książką do nabożeństwa w ręku, rozstępowali się szarmancko, a wystrojonym na niedzielę służącym rzucali niewymyślne komplementy, gdy uginając się pod ciężarem pełnych koszów przechodziły przez żelazną barierę ku stoiskom kwiaciarek po bukiet.

Jakże tu było przyjemnie! Poranne słońce zaczynało przygrzewać plac napelniając powietrze miłym zapaszkiem rozparzonych jarzyn, tutaj jednak, pod blaszanym cynkowym dachem rozpostartym nad kwiatowymi stoiskami, pod osłoną obejmującej cały rynek kwiatowy pasiastej materii, panował przyjemny, piwniczny chłód, świeżość wilgoci otulającej podlewane obficie doniczki i skrapiane kwiaty. Cóż za rozkosz dla powonienia wdychać takie powietrze! Jak w sklepie z perfumami, gdzie już u wejścia uderza w nozdrza mieszanina najrozmaitszych, uszeregowanych na półkach zapachów.

Na zielonych stołach leżały stertami kwiaty niby jarzyny, a obok na podstawie z tektury piętrzyły się monumentalne, fantastycznie kolorowe piramidy bukietów. Za każdą ladą stała ogrodniczka. Były tu piękne dziewczyny, efektowne typy silnych bru

fretok, były też kobiety stare, pomarszczone, uderzające swą wiedźmowatą brzydota, charakterystyczną dla ras południowych, gdzie piękność młodości kończy się raptownie i nieoczekiwanie. Przywykłe do stałego obcowania z kwiatami, odnosiły się do nich szorstko i bez szacunku. Rozmawiając z kupującymi, okrutnymi cięciami krajały delikatne łądźki, po czym krępowały je bez litości nitką. Fala zapachów, która unosiła się z kwiatów, niby protest przeciw takiemu traktowaniu, nie robiła na nich żadnego wrażenia.

Oślepiająca mozaika kolorów rozsypywała się po stołach. Lilie w białym atlasie stały proste, ciche, bojaźliwe i wzruszone jak dziewczyny, które przed pierwszym baleem przymierzają wieczorową suknię; kamelie koloru ciała kazały myśleć o słodkich tajemnicach haremu i półnagich, różowych, przeciągających się rozkosznie sułtankach; bratki, gnomy ogrodów, wystawiały spośród liści swoje brodate, drwiące twarzyczki z aksamitnym puszkim; fiołki kokietowały patrząc z ukrycia, a zapach mówił za nie: „jestem tu”. Wreszcie — wszędzie rozpościerała się demokratyczna masa jaskrawo czerwonych kwiatów i wskakiwała na stoły niby nawołujący do rewolucji lud w czerwonych czapkach.

Tutaj wyczekiwał Juanito na Tonikę, która korzystała z niedzielnego święta, aby robić zakupy. W ten sposób zaoszczędzała pracy coraz mniej widzącej towarzysze. Ubrany jak na niedzielę młodzieniec i dziewczyna, która wyskoczyła na rynek w domowej sukience, tworzyli dziwną parę, ale Tonika nawet w niedbałym stroju nie traciła dystynkcji nabytej w dzieciństwie i obnosiła swój koszyk z łobuzerską swobodą i wdziękiem uczennicy.

Już dobrą chwilę rozmawiali u wejścia na rynek kwiatowy, nie zwracając uwagi na złośliwe i ciekawe spojrzenia ani na potracenia przelewającego się tłumu. Juanito kupił narzeczonej najpiękniejszy z bukietów, jakie tu widział, i towarzyszył jej od straganu do straganu, po czym odprowadził ją do domu powolutku, kłaniając się wysiadującym w oknach sąsiadom, którzy uważali już Juanita za swego znajomego i nie szczydzili plotek na temat młodej pary. Zwłaszcza kobiety szeptały o romansie szwaczki, a wszystkowiedzący lokatorzy zapewniali, że ta ciepła kluska złowiła bogatego narzeczonego.

Juanitowi udało się wreszcie zadzierzgnąć serdeczniejsze więzy z Toniką. Co prawda nie odwiedzał jej w domu, bo cóż powiedzie

liby sąsiedzi? Jednak w niedzielne popołudnia oczekiwał, aż zejdzie z góry po wąskich schodach, które mu się wydawały drogą wiodącą do tajemniczego sanktuarium, i razem z Toniką i jej przyjaciółką spędzał czas aż do wieczora.

Młody subiekt zaprzyjaźnił się z Michaelą, tą istotą bez znaczenia, która chodziła po świecie jak widmo pozbawione woli, a zawsze pełna żalu, że nie może prowadzić takiego trybu życia, jaki wiodła w młodości — że nie może być służącą w wielkich domach. Juanito miał dużo serdecznej sympatii dla tej prawie ślepej kobiety o wielkich, bezbarwnych nieruchomych oczach, wyrażających nieustanne zdziwienie. Zadzierzgnęła się między nimi więc oparta na podobieństwie usposobień. Oboje byli istotami słabymi, cierpliwymi, bezwolnymi: ona przyzwyczajona do posłuszeństwa w służbie, on — uległy we wszystkim ubóstwianej matce.

Michaela aprobowała spotkania Juanita z przyjaciółką. Subiekt wielkiego sklepu był dla niej istotą z wyższej kasty, towarzyska pozycja jego rodziny wzbudzała w niej głęboki szacunek i chociaż Tonika nazywała go po imieniu, ona, była służąca, nie potrafiła zwracać się do niego bez ceremonialnej, zaczerpniętej z teatru formy „senior de Penia”. Piękne były popołudnia owej wiosny. Wychodzili z domu o tej porze, kiedy po ulicach biegały wystrojone służące w nakrochmalonych spódnicach, z kolorowymi jedwabnymi chusteczkami na szyi, a za nimi gonili z głośnym tupotem kawalerzyści brzęcząc ostrogami i wlokąc za sobą kłopotliwą szablę niby ciężki bicz.

Rozrywki Toniki i Juanita były zawsze jednakowe. Przechadzali się pośród ludzi, którzy spędzali wolny czas nie wydając pieniędzy; widywano ich więc to na bulwarze nadrzecznym, to na drodze do Monteolivete. Szli zatopieni w cichej rozmowie, pieszcząc się wzajemnie spojrzeniem, a za nimi postępowała Michaela ze swoją twarzą bez wyrazu, pogrążona w wiecznym zmierzchu, z głową wzniesioną ku niebu, albowiem jej piękne, zagasłe oczy nie reagowały na promienie popołudniowego słońca.

Przystawali, aby przyjrzeć się, jak strzelano do gołębi, co odbywało się na dnie ogromnego, kamiennego łożyska wyschłej rzeki, oplatanego zielonymi archipelagami traw i poprzecinanego drobnymi żyłkami wody. Ustawieni półkolem ludzie objawiali właściwą im południową hałaśliwość i zamięłowanie do prochu.

Stały tu setki zbrojnych w dubeltówki mężczyzn: strzelec w wytwornej marynarce celował obok sportowca w robotniczej bluzie. W samym środku mieściły się olbrzymie klatki, gdzie fruwały niespokojnie wielkie ptaszyska z Albufery i szare gołąbki drżące przy każdym wystrzale, strwożone, że za chwilę na nie przyjdzie kolej i będą musiały lecieć wśród deszczu ołowiu. Obok klatek uwijał się bohater tej całej zabawy, gołębiarz — po walencku: colombaire, chłopak w rozchełstanej koszuli, o herkulesowych bicepsach; ocierał nieustannie pot z twarzy, kręcił się w kółko i robił dziwaczne miny, wykrzykując swoje sakramentalne „już!”, nim wypuścił z rąk gołębia. Już leci!... Była to nieomal prawdziwa bitwa. Najpierw rozlegał się pojedynczy wystrzał tego, kto najwięcej zapłacił, po czym sypała się drobna pukanina, wreszcie huczcząca salwa. Gołębiarz, miotany gorączką niszczenia, rzucał się jak wariat i wył na cały głos: „bierz! bierz!”, co brzmiało jak szczekanie sfory psów. Strzelców spowijał rudawy dym, a w górze na tle czystego błękitu widać było, jak padał zbezczeszczony przez zbrodnię gołąb, skurczony, przesyty dwudziestu kulami — nędzna garstka piór. Ciekawscy, rozpaleni strzelaniną, w napięciu śledzili wzrokiem ptaki, którym udawało się uciec, i przysłuchiwali się zawziętym klótniom myśliwych, upominających się o tego samego ptaka. Nikt nie zwracał uwagi na deszcz zimnego śrutu, który przesywał wokół powietrze, a gdy przypadkiem zostało wybite czyjeś oko albo zraniona ręka... Cóż robić? To należało do zabawy.

Zakochana parka spacerowała, a z tyłu sunęła cicha Michaela. Przybywali do Monteolivete, siadali na jednej z kamiennych ław wykutych gdzieniegdzie w niskim wale, otaczającym owalny plac; chusteczka Toniki pęczniała od orzeszków ziemnych i palmowych. Później ruszali dalej, wzdłuż łożyska rzeki. Brzeg jej był obficie porośnięty i stały tu rzędy stuletnich topoli, obok szerokich pasm zielonej trzciny drżącej i szumiącej na wietrze szeptem pełnym skargi. Idąc zajadali w roztargnieniu orzeszki. Wydawało im się, że posuwają się w jakiejś nierealnej przestrzeni, nie czuli ziemi pod stopami. Na dnie oczu Toniki chłopiec widział zmniejszone odbicie świata: zielone strugi rzeki, trzcinę, drzewa, błękitne niebo, po którym ślizgały się szybkie obłoczki. W takim zwierciadle oglądał duszę swojej ukochanej rozkołysaną na dnie źrenic i spowitą w eteryczne szaty. Ach, jak dobrze mu było u boku najdroż

szej kobiety! Mógł dotykać jej ramienia przy każdej nierówności terenu, wdychać zapach jej ciała, swoisty, a miłszy od wszystkich perfum świata. Zapominał w jej obecności o rodzinie, o przeszłości, a nawet o nieszczęsnej Michaeli, która za ich plecami żuła orzeszki. Wszystkie jego myśli biegły ku czarnym oczom Toniki, które w miarę jak przechodzili z miejsca na miejsce, odbijały coraz to inny rąbek krajobrazu, a także ku jej pięknym, błyszczącym, białym zębom, które przy uśmiechu jak gdyby rozjaśniały smagłą twarz dziewczyny.

Przy tym wszystkim rozmowy ich były banalne. Tonika miała silny zmysł praktyczny i nawet w chwilach szczególnego napięcia uczuć nie zapominała o tym, że aby uchronić się w przyszłości od nędzy i kłopotów, trzeba myśleć o nich już od dziś. Niewrażliwi na uroki krajobrazu ani na błogie szmery samotnej natury, snuli plany na przyszłość, kiedy to staną się właścicielami sklepu w rynku i ona będzie musiała rozwinąć swoje zdolności gospodarskie. Zapewnia go — zresztą dowie się o tym w swoim czasie — że żonka da sobie radę ze wszystkim. W tej chwili ładna szwaczka stawiała się nagle poważną, dojrzałą i roztrofną kobietą, a omawiając punkt po punkcie plany wspólnego pożycia zachowywała w wyrazie twarzy coś z tego sennego rozmarzenia, z jakim mówiła o miłości. Będzie wstawała rano wraz z mężem, bo to zdrowo, a kiedy on będzie doglądał sprzętania sklepu, ona będzie pracowała co sił ze służącą na górze, aby jak najwięcej zaoszczędzić. Potem, wieczorem, przy jedzeniu... jak przyjemnie będzie rozmawiać o interesach, zającąc walenczką pieczeń z tym wspaniałym apetytem, jaki daje życie czynne i pracowite! Subiektów będą mieli niewielu, ale dobrych, a traktować ich będą, jak gdyby byli członkami rodziny. W ich domu zapanują stosunki patriarchalne: wszyscy będą jadali przy wspólnym stole. A magazyn tymczasem urośnie, urośnie. Będą się bardzo kochali, zbierając grosz do grosza, aby zapewnić sobie na starość jaki taki mająteczek w tym przytulnym gniazdeczku, wyścielonym sztukami towaru i jedwabiem. Ale tak będzie tylko z początku, nim zajdą zmiany w rodzinie, bo potem ... Pomyśl tylko! Przyjdzie to, co zwykle w małżeństwie ... Je, dno, dwoje albo więcej, kto wie? Gdy Juanito, już jako szanowany kupiec don Juan Penia, będzie wracał do domu na

obiad, na progu uwiesi się jego ramienia kilka kędzierzawych, pucołowatych aniołeczków, które nie dadzą mu spokojnie jeść.

Tutaj Tonika milkła i rumieniła się, jak gdyby powiedziała za wiele, i spoglądała na narzeczonego w pomieszaniu i zawstydzeniu, a on chwycił jej białą rączkę, aby wycisnąć na niej serię szybkich pocałunków, nie krępując się obecnością Michaeli.

Młoda szwaczka pozwalała na takie pieszczoty, bo dobrze знаła Juanita. Nie obawiała się, że przekroczy granice przyzwoitości. Całował jej ręce, ale jego wargi nie zostawiały na nich płomiennych znamion powstrzymywanych pragnień, pozwalał sobie co najwyżej chwytać leciutko zębami stwardnienia naskórka powstałe od zetknięcia z nożyczkami lub od ukłuć igłą. Te ślady codziennej pracy Toniki czczył Juanito jak oznaki szlachectwa i z przejęciem całował stwardniałe różowe poduszeczki jej palców, jakby ssał karmelki.

Tonika dawała mu ręce do całowania z niewinną zalotnością. Jeśli kiedy przeskakując przez rów ukazywała rąbek białej pończoszki, widziała, jak narzeczonego odwracał wzrok z wyrazem zaskoczenia i niesmaku. Kochał ją, a jego miłość graniczyła z ekstatycznym uwielbieniem. Tonika była dla niego niby malowidło o przepięknej twarzy, wyobrażające Najświętszą Panienkę, która pod wspaniałą materią sukni ma tylko podporę zbitą z trzech patyków. Juanito, który w domu rumienił się po czubki włosów, ilekroć przypadkiem dotknął w kuchni którejś z tęgich służących, nie pomyślał dotąd nigdy, że Tonika prócz swojej ślicznej twarzy ma i resztę ciała.

Podczas gdy narzeczeni rozmawiając o przyszłości siedzieli na przybrzeżnej szkarpie, pod osłoną szuwarów, i pośród niewinnych pieszczot w sielankowej harmonii dogryzali ostatnie orzeszki, Michaela, nieruchoma, wpatrywała się matowymi oczyma w słońce, które jak rozpalona kula ślizgało się po olbrzymiej jedwabnej płachcie nieba. Nie obejmowało go płomieniem, ale skłaniało się majestatycznie ku linii horyzontu, nim utopiło się w krwawym jeziorze zachodu.

Chwilami biedaczka uśmiechała się, jak gdyby przed jej gasnącymi oczyma przesuwwały się jakieś piękne wizje.

— O czym myślisz, Michaelo? Czy widzisz coś? — pytała Tonika.

— Nic nie widzę, córko, tylko słońce, niczego innego dojrzeć nie mogę.

Kłamała. Słuch zastępował jej oczy. Słowa młodej pary, zwierzenia spokojnej miłości cieszyły ją. Jej fantazja tworzyła obrazy na nieżywych siatkówkach oczu. Widziała teraz starą panią Antonię, matkę szwaczki, taką, jaką była przed piętnastu laty, gdy Michaela przychodziła na przyjacielskie rozmowy do portierni. Staruszka przestała już robić pończochy na drutach i nie siedziała przed kominkiem rozzagarniając pogrzebaczem żar ogniska. Teraz Michaela widziała ją w niebie, gdzie na pewno się znalazła po tylu cierpieniach i życiu pełnym nędzy. Ubrana na biało jak wszyscy błogosławieni, wyglądając przez okienko w obłokach rzucała młodym opiekuńczy uśmiech, jak gdyby mówiła: „dzięki ci, Michaelo, czuwaj nad moją córką, poświęć się jeszcze troszkę, nie opuszczaj jej, dopóki nie zostanie żoną tego dobrego chłopaka, Juanita. Ja ci się odwdzięczę i kiedy tu przybędziesz, dam ci kącik obok siebie”. Kobięcina do tego stopnia wzruszyła się własnymi marzeniami, że łzy zabłysły jej w oczach i ożywiły martwe spojrzenie.

— Płaczesz? — spytała Tonika — co się stało?

Ależ nie, doprawdy nic się nie stało, płakała z radości, ze szczęścia, z wdzięczności za dobroć Boską. Juanito patrzył ze zdziwieniem nie wolnym od zazdrości na tę prawie ślepą kobietę, która po latach najbardziej monotonnej i nieszczęsnej egzystencji, jaką można sobie wyobrazić, opuści świat równie niewinna, jak nań przyszła. Zawsze wprzęgnięta do domowego pługa, uległa i bezwolna, promieniowała wdzięcznością, jak gdyby uważała zwierzęcą roślinę, jaka była teraz jej udziałem, za szczęście, którego nie czuła się godna.

Była to najpiękniejsza wiosna w życiu Juanita.

Kochał, był kochany, wierzył w swoją przyszłość, wydawało mu się, że jest o sto mil oddalony od rodzinnych kłopotów, a szczęście było tym pełniejsze, że wuj Juan dowiedział się o jego zaręczynach i uznał je zastrzegając sobie, że ostateczną aprobatę da dopiero, kiedy pozna Tonikę.

Pewnej niedzieli, wezwany przez dzierżawców, musiał Juanito pojechać do swojej posiadłości w Alcira, gdzie spędził dzień jak wygnaniec, posyłając tęskne spojrzenia ku Walencji. Niby małe

dziecko boczył się na słońce, że zbyt powoli przesuwa się po niebie i nie przyspiesza godziny powrotu. Z jaką przyjemnością wypadł wieczorem na peron i rozpychał się ku wyjściu! Wysiadł zakurzony i brudny, w obu rękach trzymał gałęzie pomarańczy obwieszone pachnącymi, złocistymi owocami. Szedł krokiem człowieka zadowolonego z życia i przeciskał się pośród pilnujących wyjścia strażników i celników, by co prędzej znaleźć się na ulicy Gracia. Dopadł wreszcie wąskich schodów, wbiegł na górę i zadziwiony własnym zuchwałstwem stanął przed drzwiami Toniki. Michaela wybaczyła „seniorowi de Penia” to naruszenie umowy, zachwycona, że powrócił, i oczarowana prezentem; odtąd zakochany korzystając z jej względów składał wybrane wizyty w domu.

Przestał się obawiać myśli o tym, co powie mama, gdy dowie się o jego miłości. Był najgłębiej przekonany, że musi już ona wiedzieć o wszystkim.

W dzień święta Matki Boskiej Pocieszycielki Strapionych Juanito poszedł z Toniką i jej przyjaciółką na ranną mszę do kaplicy. W kościele rozbrzmiewały dźwięki organów, a tłum stłoczony w małej rotundzie wytryskał na plac aż do samej studni, na szczycie której stał miniaturowy wizerunek pogańskiej świątyni, przypominający ozdobę tortu. Ci, którzy znajdowali się na zewnątrz, z całego obrządku widzieli jedynie czarną głębię otwartych drzwi, gdzie płomyki świec na ołtarzach błyskały jak złociste iskry. Czuli owiewający ich odkryte głowy leciutki, wiosenny wietrzyk niby pieściznę dobrej, pachnącej, niewidzialnej ręki. Gdy Juanito, ściśnięty ze wszystkich stron, starał się utorować łokciami drogę dwóm towarzyszącym mu kobietom, spostrzegł niedaleko swoją rodzinę i rodzinę pana Cuadrosa. Od Wielkanocy serdeczna przyjaźń z Cuadrosami zacieśniała się coraz bardziej i poprzedniego dnia wieczorem obilo się o uszy Juanita, że dzień jutrzejszy, dzień imienin Amparito, spędzą razem od samego rana, które rozpocznie się nabożeństwem. Po mszy w kaplicy Matki Boskiej Pocieszycielki Strapionych (donia Manuela bowiem, jako dobra walencjanka, uważała, że żadna msza

w ciągu całego roku nie jest równie skuteczna) wypiją razem filiżankę czekolady przy stole ustawionym między grządkami truskawek, w altance obrosniętej powojem, wdychając zapachy polnych kwiatów i opary czekolady z wanilią.

Donia Manuela zauważyła syna. Juanito wytrzymał jej wzrok ciekawie i pytająco utkwiony w Tonikę. Dumna seniora udawała potem, że nie widziała dziewczyny, ale po powrocie do domu Juanito w niepewności i zmieszaniu czekał, co powie mama, tak czujna w sprawach dotyczących honoru rodziny.

Przeszedł dzień następny i wiele innych dni, a donia Manuela nie powiedziała ani jednego słowa o zaręczynach syna. To jej milczenie przynębiało chwilami Juanita. Było jednym dowodem więcej, jak niewiele uczucia miała ta matka dla syna, który ją ubóstwiał. Juanito, intruz niższego pochodzenia, był parnasem rodziny, jej członkiem jedynie przypadkowym. Wszystkie partie mogące wchodzić w grę dla Rafaelita i siostr wydawały się matce zbyt mało znaczące, ale gdy rozstrzygał się los syna Melchiora Penia, kupca z rynku, matka nie miała specjalnych wymagań. Ten syn mógłby się ożenić choćby ze służącą, a wrażliwość na parantelę, tak wielka u donii Manueli w odniesieniu do innych dzieci, tutaj nie istniała.

Nareszcie, nareszcie zaczęła napomykać o tym, na co syn czekał tak niecierpliwie. Wie już o jego skłonności, a nawet zasięgnęła informacji, kim jest Tonika. Co prawda nie widzi w niej nic nadzwyczajnego, ale jeżeli Juanito uważa, że partia jest dla niego odpowiednia, wszyscy się na to zgodzimy. Ta obojętność boleśnie dotknęła młodzieńca i mimo że nikt z domowników nie objawiał zainteresowania dla jego spraw miłosnych — prócz uszczypliwej Amparito, która sobie na to czasem pozwalała — nadal ukrywał swoje spotkania, jak gdyby w dalszym ciągu obawiał się macierzyńskiej kontroli.

Od tego wieczora, kiedy Juanito wszedł do mieszkania Toniki, jego przyjaźń z obydwoma kobietami zacieśniła się. Tak dalece nabrał śmiałości, iż nieraz zostawał aż do dziesiątej wieczór, a że obecność Michaeli przydawała rozmowie powagi, Juanito mówił o interesach, o wielkich możliwościach gry na giełdzie, o powodzeniu pryncypała, a przede wszystkim o don Ramonie Morte, człowieku, którego cenił nade wszystko i coraz więcej podziwiał.

Gdyby czuł się na siłach, poszedłby jego śladem, wstąpiłby do lego batalionu śmiałków, którzy pod wodzą pana Morte kroczyli od jednej wygranej do drugiej, drogą wiodącą do milionów. Gdy o tym mówił, ogarniała go gorączka zdobywania fortuny, którą się zaraził w sklepie słuchając rozmów giełdjarzy. Gorączka ta udzielała się w takich chwilach obydwu kobietom wsłuchanym w jego słowa, jakby był wyrocznią.

Właściwie tylko brak wysiłku z jego strony utrzymywał go na stopniu przeciętnej zamożności, bo co do widoków powodzenia, to był ich pewny. Jeśli w tej chwili nie zmierza do bogactwa, to dlatego, że mu na tym nie zależy. Zadowolony swoim niewielkim majątkiem i wierzył, że mądre rady pana Morte pewnego dnia uczynią go milionerem.

Tonika słuchała nie odrywając wzroku od twarzy Juanita, ze zmarszczonymi brwiami, zacisnąwszy wargi, jak gdyby nurtowała ją jakaś uparta myśl, podczas gdy Michaela w nieżywych, szeroko rozwartych oczach nie miała nic prócz zdumienia dziecka, któremu opowiadają bajki.

Owe fantastyczne miliony tak hojnie sypały się z ust Juanita, że nastrój prawie przytłaczającej obfitości stawał się w skromnym pokoiku jak gdyby dotykalny i niemal dawał się słyszeć dźwięk przesypywania złotych monet. Po kilku takich rozmowach wyłoniła się ze strony kobiet propozycja, która wprawiała Juanita w wielkie zakłopotanie. Chociaż bowiem był zwolennikiem odwagi w sprawach finansowych, to jednak — może na skutek cech, jakie odziedziczył — za każdym razem, gdy pomyślał o konkretnej możliwości urzeczywistnienia własnych entuzjastycznych planów, pojawiała się, jako przeciwwaga, ostrożność i nieufność — skrupuły nieodłączne od kupieckiej praktyki. Dlatego z niepokojem wysłuchał prośby Michaeli, która zapagnęła włożyć swoje pieniądze w ten tak niezawodny interes. Było tego osiem tysięcy realów — plon drobnych oszczędności, zbieranych grosz do grosza i wrywanych systematycznie z zarobków Toniki i skromnej pensyjki Michaeli. Aby zdobyć tę sumę, co najmniej przez dwa dni w tygodniu karmiły się wyłącznie ryżem, uparcie cerowały stare suknie, dopóki nie rozpadły się w rękach, wieczorami nie zapalały lampy.

Juanito zawahał się. Propozycja była właściwie rozsądna: po

co chować pieniądze na dnie szafy, zamiast uczynić z nich kiełkujące ziarno, zamiast dać im możliwość zdobycia szczęścia. Powtarzał sobie w myśli to zdanie tylekroć słyszane z ust pryncypała.

— Ale... — dodał z akcentem wątpliwości — sam nie wiem, czy powinniście ryzykować pieniądze, zebrane z takim trudem. Don Ramon jest człowiekiem nieomylnym, to prawda, ale kto wie, czy los nie odwróci się przeciw nam? Chcecie mnie posłuchać? Nie oddawajcie się hazardowi. To jest dobre dla mego pryncypała i jego przyjaciół, dla ludzi odważnych. Sądzę, że rozsądniej będzie dać te pieniądze seniorowi Morte i poprosić go, aby nabył za nie państwowe papiery wartościowe. To wspaniały typ. Zawsze odgaduje, które akcje pójdą w górę, a które spadną. Jeżeli zechce, wasz kapitalik zostanie dobrze umieszczony; dostaniecie co kwartał rentę i bardzo możliwe, że to, co teraz kupicie po pięć realów, wkrótce będzie warte dziesięć. Dobrze więc, pójdziemy razem do don Ramona.

O, szczęśliwy śmiertelnik! Odtąd imię jego nasycało atmosferę pokoju, a osoba zaprzętała myśli obu kobiet, które wyobrażały go sobie jako potężną, pełną nieskończonej dobroci istotę, która zgarniała miliony, by biednych czynić bogaczami.

— Kiedy pójdziemy do don Ramona? — zadawały chóralne pytanie, ledwie Juanito przestępował próg ich mieszkania. Zdecydowali wreszcie, że tyle wyczekiwana wizyta odbędzie się w niedzielę rano, kiedy Tonika wolna jest od pracy, a jej narzeczony nie musi tkwić w sklepie „Pod Trzema Różami”. Cóż to była za emocja! Już na placu de la Reina Michaeli nogi drżały ze wzruszenia, gdy ścisnęła zmięty, szmaciany portfelik, w którym leżały starannie ułożone brudne banknoty. A co dopiero, gdy pomyślała o tym panu, który był teraz na ustach wszystkich!

Weszli na wspaniały dziedziniec upiękuszony nie tyle sztuką architekta, ile sprytem przemysłowca, gdzie gips imitował marmur lub wyciskany maszynowo udawał antyczne freski. Gabinet don Ramona znajdował się na pierwszym piętrze. Poczekalnia robiła wrażenie poczekalni ministra. Na ustawionych wzdłuż ścian kanapkach wyściełanych aksamitem coraz to nowi petenci niełatwo znajdowali kawałek wolnego miejsca. Wszyscy z rezygnacją wyczekiwali swojej kolejki. Większość stanowili księża, gdyż don Ramon był człowiekiem pobożnym i lubił dawać

jałmużnę za pośrednictwem Kościoła. Uważano go za bankiera kleru i we wszystkich zakrytych jego imię otoczone było nimbem szacunku.

Czarne ubrania i szare oświetlenie pokoju przyćmionego zasłonami pogrążało freski poczekalni w łagodnym cieniu, a panująca tu dyskretna cisza użyczała temu miejscu coś z błogiego, klasztorowego spokoju.

Podczas godzinnego czekania Juanito i towarzyszące mu kobiety przyglądali się z zainteresowaniem wchodzącym i wychodzącym klientom, którzy poruszali się cicho, dyskretnie, jak gdyby i im udzielił się panujący tutaj seraficzny nastrój. Wpatrywali się w tych, którzy dostąpili zaszczytu rozmowy z wielkim człowiekiem. Wreszcie i oni znaleźli się w biurze, gdzie ślęczało pół tuzina zgarbionych nad papierami urzędników, którzy podnieśli głowy i obrzucili Tonikę przelotnym spojrzeniem. Otwarto przed nimi czarne drzwi i weszli do ciemno wytapetowanego gabinetu, gdzie na półkach leżały stosy zielonych teczek, a w niszach stały francuskie figurki świętych, tak starannie wyczyszczone, że wyglądały, jak gdyby, świeżo uperfumowane, wybierały się na bal. Za ministerialnym biurkiem, na którym wszystkie przedmioty ułożone były z kokieteryjną pedanterią, ukazał się sławny bankier. Tonika była rozczarowana, wyobrażała go sobie bowiem jako człowieka majestatycznego i imponującego, a oto siedział przed nią mizerny, zgarbiony człowieczek z żółtą twarzą, siwą głową i przystrzyżonym wąsikiem, jak gdyby przyklepionym do tej twarzy kleryka. Mówiąc uderzał rytmicznie jedną dłonią o wierzch drugiej, a jego szare oczy błyszczały za szkłem złotych okularów przyjaźnie i dobroduszenie. Jako dobry fazonomista, don Ramon od razu poznał Juanita.

— Siadajcie, państwo... Siadajcie — powiedział spokojnie, przeciągając sylaby. — Co słyhać, chłopysiu! Co pana do mnie sprowadza?

Subiekt, czerwony i zmieszany uważnym spojrzeniem wielkiego człowieka, wysławiał się z trudem.

Don Ramon ze szlachetną skromnością przyjmował objawy zaufania swego wielbiciela i prawie że się roztkliwił, gdy Tonika i jej przyjaciółka w kilku prostych słowach poprosiły go, aby raczył przyjąć ich pieniądze.

— Jestem co prawda straszliwie zajęty i obciążony, trudno mi więc brać na siebie nowe obowiązki, i to dla nieznanym osób ... Jednakże, ponieważ przyszły panie z tym młodzieńcem, którego bardzo szanuję, decyduję się przyrzec wam pomoc w ramach moich skromnych możliwości... Powiada pani, dziewczeczko, że tu jest osiem tysięcy realów? Dobrze, więc kupimy akcje Kuby, to pewne papiery. Dzisiaj stoją na dziewięćdziesiąt osiem, ale zapewniam państwa, że mają tendencję zwykłą. Tak, tak, kupimy akcje Kuby ... Ja nic nie przyrzekam, jestem tylko człowiekiem i mogę się mylić, sądzą jednak, że prawdopodobnie... Prawdopodobnie w ciągu roku podwoimy ten kapitalik. O tak, przypuszczam, że podwoimy.

Mówił uśmiechając się chytrze i zacierał ręce z wyrazem zadowolenia, jakby wystarczyło jedno jego mrugnięcie, aby dwa tysiące peset rozmnożyły się do miliona.

Całą trójkę przebiegł prąd entuzjazmu. Gorączka zysku, która ogarniała ich po nocach, przy rozmowie o interesach ocknęła się w nich znowu. W tej chwili Tonika przestała widzieć w don Ramonie mizernego człowieka, ujrzała go w aureoli geniusza.

Szmaciany portfelik, zawierający całe lata wyrzeczeń i nadziei obydwu kobiet, został na stole. Było w nim osiem tysięcy realów. Don Ramon może z nimi robić, co chce. Miały do niego zaufanie niby do własnego ojca.

— Dobrze więc, kupię papiery Kuby. Młodzieniec wstąpi tutaj, jeżeli będzie miał ochotę, aby się dowiedzieć, co się dzieje z kapitalikiem.

Don Ramon odprowadził ich aż do wielkich drzwi, pieszcząc istic ojcowskim spojrzeniem swoich młodych klientów. Pieniądze zostały u niego, przyjęte bez kwitu i bez żadnej gwarancji, prócz gwarancji niezachwianego zaufania, jakim cieszyła się szanowna osoba miłosiernego bankiera.

Wychodząc otarli się o następnego klienta, w zniszczonej marynarce i czapce, o wyglądzie robotnika. Przed chwilą musiał opuścić warsztat pracy, aby zamienić parę słów z finansowym bóstwem.

— Chodźmy na górę — powiedział wesoło bankier nie pozwalając mu dokończyć powitalnego zdania. — Pański kapitalik wzrósł

o pięćdziesiąt procent. Posiada pan w tej chwili trzydzieści tysięcy peset.

Człowiek pobałdł z wrażenia i całą siłą powstrzymywał się, aby nie rzucić się don Ramonowi na szyję i nie obsypać go pocałunkami.

— Dzięki, gorące dzięki! Jest pan dla mnie jak ojciec.

I aby więcej nie zajmować swoją osobą wielkiego człowieka, wybiegł z biura cały drżący, oszołomiony myślą o dzieciach i żonie, której za chwilę wszystko opowie.

Nowi klienci don Raniona przeszli przez biuro tak samo wzburzeni jak ich poprzednicy. Ależ to był święty człowiek — powtarzał w hallu drobny ludek w wytartych marynarkach i roboczych bluzach. Wszyscy oni, pełni wiary, przynosili oszczędności do tego sanktuarium i czekając swojej kolejki opowiadali sobie szeptem o cnotach wielkiego pana. Przed dwoma dniami don Ramon przy sprawdzaniu miesięcznych rachunków spostrzegł, że ma o pięćset peset za dużo, niewątpliwie skutek jakiejś pomyłki. Zwierzył księdzu to swoje nieumyślne nadużycie i oddał sumę w jego ręce, aby duszpasterz rozdał je pomiędzy ubogich.

Nowina przechodziła z ust do ust, rosła, olbrzymiała i wyciskała łzy z oczu. Cóż to za człowiek! Nie tylko pieniądze, krew własną można mu oddać z całym zaufaniem.

Znalazłszy się na ulicy Michaela i Tonika westchnęły z ulgą. Boże drogi! Kamień spadł im z serca.

Niedawno jeszcze odczuwały pewien niepokój na myśl o oddaniu swoich oszczędności komuś obcemu. Teraz jednak fakt, że ich mająteczek został w rękach człowieka, którego imię widniało codziennie na szpaltach gazet, opatrzone epitetem „szczęśliwy i dobroczynny bankier”, napawało je błogą nadzieją.

ROZDZIAŁ VIII

Z wysokich wieżyczek na placu Najświętszej Panny widać było wielki namiot rozpostarty na procesję Bożego Ciała, w otoczeniu białoniebieskich, pasiastych sztandarów.

Świątecznie ubrany tłum kłębił się wokół tak zwanych „skał” podziwiając tradycyjne, wielkie wozy, które corocznie ukazywały się publiczności. Ciężkie landary, idealnie wymyte i błyszczące, nie zdołały się jednak pozbyć staroświeckiego wyglądu, przeciwnie, z pewną dumą podawały na deskach służących do oparcia ręk, kiedy zostały wykonane, niby datę chrztu, przypadającą na wiek XVII.

Wozy te przypominały olbrzymie budowle z malowanego drzewa; ich dyszle wyglądały jak maszty okrętowe, a koła jak młyńskie kamienie. Pojazdy te przywodziły na myśl święte pojazdy indyjskich bóstw lub wozy wojenne, którymi posługiwali się w bojach Welfowie i Gibelinowie.

Z ciekawością, nie pozbawioną czci, oglądali ludzie ustawione rzędem „skały”, które widać budziły w nich wzruszające wspomnienia.

Oto „skała” Walencja, niby kolosalna złocista iskra błyszcząca od podłogi wozu aż do hełmu dostojnej matrony, która symbolizowała chwałę tego miasta. Obok pysznili się ustawieni na piedestałach święci opiekunowie innych „skał”: patron Walencji, święty Wincenty, z palcem wyciągniętym w rozkazującym geście zapewniał o jedności Boga, święty Michał wzniesionym ku górze mieczem wściekle groził diabłu nie decydując się go uderzyć; Wiara, biedna staruszka, z kielichem mszalnym w ręce ofiarowywała napój błogości, jaką osiągamy przez wyrzeczenie, Bóg Ojciec z Inianą brodą patrzył ze zmarszczonymi brwiami na Adama i Ewę w możliwie najlżejszych szatkach, bo fartuszki z liści ledwie zakrywały im wstydlive miejsca, wreszcie Najświętsza Panienska w bładoniebieskiej sukience, z rozpuszczonymi włosami, spoglądała w niebo, skrzyżowawszy ręce na piersi. Na końcu groteskowy, błazeński, satyryczny element przedstawienia dawał świadectwo sympatii, jaką w tamtych czasach otaczano sprawę piekła. Był to wóz „diabelski”: królował na nim Pluton w koronie z zielonych żmij, z czerwonym prętem w prawej ręce. Od jego stóp, spośród węży i kłębiących się języków ognia wychylały głowy grzechy główne,

rozczochrane maskary, które straszyły dzieci i śmieszyły dorosłych.

Wszystkie te „skały” — dokumenty naiwnej pobożności — były przedmiotem podziwu tłumu, który z prawdziwie południowym zapałem cieszył się głośno myślą o poobiedniej zabawie. Potężne muły, zdobne w pióropusze, pójda w zaprzęgu u olbrzymiego dyszla, ulicami z głuchym warkotem kół potoczają się wozy unosząc krzykliwych młodzieniaszków, którzy zakasawszy rękawy będą bombardować tłum cukierkami.

W miarę jak upływały godziny, coraz więcej ludzi mrowiło się wokół „skał”, które z daleka wyglądały jak prawdziwe występy skalne wznoszące się nad morzem głów. Pierwsze słońce lata powlekało lustrzanym blaskiem lakierowane deski wozów, rozsypywało złoty pył po całym placu i nadawało olbrzymiemu obozowi przezroczyistość karmelu. Ten nasycony słońcem obrazek Południa łagodziły białe plamy ubiorów, stroje ludzi były bowiem na ogół jasne, a głowy osłonięte nowymi, słomkowymi kapelusami.

O dwunastej, w porze największego tłoku, panie Pajares wyszły z katedry z książkami do nabożeństwa i różańcami z kości słoniowej i złota w rękach. Wracały do domu po mszy i gdy znalazły się na wprost gmachu trybunału, zauważyły bieganinę i usłyszały zbliżające się bicie bębnow.

— Jeźdźcy jadą! Jeźdźcy! Jeźdźcy! — krzyczały łobuziaki biegnąc ulicą Caballeros.

Mur gapiów, stłoczonych wzdłuż ulicy, zatrzymał panie Pajares. Na przedzie pochodu pędzili chorążowie z proporcami, ubrani w białe jedwabne tuniki z wyhaftowanym herbem aragońskim, w blaszanych koronach na głowach, z długimi brodami z konopi; za nimi galopował proboszcz, sławny „Kapelan skał”, na wspaniałym koniu nakrytym żółtym czaprakiem, a jego jedwabna peleryna opadała aż na ogon koński. Unosząc okrągłej czapeczki, ukazywał czystą, białą tonsurę kłaniającej mu się z balkonów publiczności. Przed nim podrygiwali „tancerze”, poprzebierani w brudne łachy za Turków i Katalończyków, za Indian i Walencjan; całe gromady urwisów skacząc potrząsały do taktu tamburynami; za nimi płynęły górą chorągwie bractw rzemieślniczych, dziś już historyczne strzępy dźwigające cztery wieki chwały, oraz proporce bojowe ruchów rewolucyjnych czeladzi z XVI wieku. Dalej sunął

fragment świętej legendy równie niezręczny, jak wzruszający; ucieczka z Egiptu, upersonifikowane grzechy główne w ekstrawaganckich strojach, wymalowanych jak kostiumy średniowiecznych błaznów, z Cnotą na czele, ochrzczonej dziwacznym imieniem Moma; za nimi Trzej Królowie Magowie popisywali się kawaleryjską jazdą; obok jechali Heroldzi na koniach, a miejscy ogrodnicy dreptali pieszo z wielkimi bukietami. Wszystko to niby triumfalny pochód kłębiło się i mieszało — przepych strojów i gestów był jak groteskowa defilada karnawałowa, radosny nastrój podkreślało gardłowe dudnienie piszczałek, rytmiczne dzwonenie tamburyn i marsowe dźwięki orkiestry. Za tym wszystkim w magistrackich powozach majestatycznie sunęli wyfraczeni panowie, oparci sztywno na wypchanych poduszkach, z czerwonymi wstęgami, emblematem władzy magistrackiej, na brzuchu, jak gdyby milcząco zapraszali całą publiczność na zabawę, której przydują. Kłaniali się na wszystkie strony, uchylając kapelusza protekcyjnym gestem.

— Cofnijcie się, dziewczynki! — powiedziała donia Manuela do swoich córek — bo idą te dzikusy!

Dzikusami byli ci, którzy zabarwiali brutalnym akcentem zakończenie uroczystości, banda zuchowatych łobuzów z usmolonymi twarzami, w fantastycznie pomalowanych płóciennych płaszczach, w koronach uplecionych z trawy. Ci zamykali pochód. Chlastali batem uderzając ciekawych z pierwszych szeregów, a swoimi biczykami z płótna sprawiali więcej hałasu aniżeli bólu.

Panie Pajares przepuścili pochód z bębenkami i piszczałkami, po czym szły ku domowi ulicą posypaną grubą warstwą piasku — tędy bowiem miały przejeżdżać wozy „skały”.

W porze obiadu do państwa Pajares przyszedł Andresito, przysłany przez rodziców, aby, jak rokrocznie, zaprosić panie na balkon. Wiadomo bowiem było, że balkon nad sklepem „Pod Trzema Różami” jest najlepszym punktem obserwacyjnym w całym rynku. Niezależnie od tego państwo Cuadros bardzo się ucieszą z wizyty przyjaciół, zwłaszcza że szczęśliwy giełdciarz umebłował na nowo mieszkanie według gustu tapicera. Te pokoje, ciemne niegdyś i prawie nagie, przybrane były teraz z krzykliwą wulgarnością, charakterystyczną dla prowincjonalnych restauracji i knajp.

Donia Manuela i jej córki chętnie przyjęły zaproszenie. Pewnie, że pójdą! Wdowa Pajares, która z taką pogardą wyrażała się niegdyś o swej dawnej służącej, Teresie, teraz rozplywała się nad jej zaletami i otaczała ją taką serdecznością, jak gdyby przyjaźniły się od dzieciństwa.

Punktualnie o trzeciej wszyscy poszli w kierunku rynku. Concha i Amparito zwracały uwagę jaskrawością sukienek i słomkowymi kapeluszami, które były jak łączki pełne kwiatów i mchu.

Mama szła za córkami i oglądała je jak artysta zadowolony ze swego dzieła. Jej to bowiem osiągnięciem był cały ów zbytek i trzeba było przyznać, że dziewczynki umiały go obnosić. A jednak, mój Boże! Na myśl o tym, ile to wszystko kosztowało i ile niepokoju gotowało w przyszłości, wstrząsała nią dreszcz zgrozy. Ach, te pieniądze, pieniądze, których przecież tak wiele wydawała. Pieniądze jak wieczna zmora obrzydzały jej życie.

Juanito zostawił matkę i siostry pod bramą domu „Pod Trzema Różami”, a sam poszedł do narzeczonej. Panie weszły do mieszkania państwa Cuadros i znalazły się w kółku przyjaciół domu; towarzystwo składało się z rodzin giełdziarzy i

byłych kupców naśladowujących niezręcznie sposób zachowania i ruchy, jakie udało im się podpatrzeć na spacerze w alei, gdy ich powozy ocierały się o powozy rodowej arystokracji. Panie mówiły o modach letnich, o tym, co się będzie nosiło, panowie zaś grupowali się przy oknach i rozprawiali, że przy zakupowaniu papierów hipotecznych Kuby płacono z góry cztery procent dochodu.

Pani Cuadros uśmiechała się z przymusem do przyjaciółek, ale wyglądała na zmartwioną jakimiś tajnymi myślami. Rzuciła się na szyję donii Manueli gniotąc ją w uścisku i obsypując głośnymi pocałunkami. Wyglądała jak człowiek zrozpaczony, który nareszcie znalazł wyjście z ciężkiej sytuacji.

— Tak bym chciała z panią pomówić, donio Manuelo — szepnęła jej na ucho. — Nie teraz, później wszystko pani opowiem. Ach, gdyby pani wiedziała...

Sławny giełdziarz towarzyszył pannom Pajares, pannom Lopez

i przyjaciółkom pani domu, które wyszły na balkon i świergotały między prętami jak ptaki w klatce.

Plac był wielobarwnym morzem głów. Ze wszystkich balkonów zwisały staroświeckie dywany o trwałych kolorach. Przech

nice wysypywały na plac zbite gromady ludzi, przed którymi uciekały ptaki ukryte w gałęziach, wystraszone najbardziej gwizdami i wrzaskami małych łobuziaków poczynających sobie na drzewach jak u siebie w domu. Letnie słońce ogrzewało spacerujący tłum, pośród którego przemykały z głośnym tupotem rozczochrane dziewczęta; każda z wielkim dzbanem opartym o biodro zachwalała świeżość sprzedawanej wody. Barczyste chłopaki o herkulesowych mięśniach, z zakasnymi rękawami, w jedwabnych chustkach na głowie, podtrzymywały jedną ręką korkowe naczynia z lodem, zapraszając krzykliwie do picia mrożonej orszady i wody.

Wybiła czwarta. Na balkonach ukazały się barwne parasolki jak olbrzymie kolorowe kwiaty, trzepotały wachlarze niby skrzydła ptaków, a na dole przelewał się niespokojny tłum zawadzając o ściśnięte szeregi krzesel ustawionych wzdłuż jezdni.

Nagle gdzieś z kąta placu podniósł się ryk, któremu natychmiast odpowiedziały zbiorowe krzyki.

— Jada!... Jada!...

Teraz dopiero zaczęło się popychanie, torowanie drogi łokciami wśród kołowrotu rozdygotanych głów, byle bliżej, byle wyprzedzić tych z pierwszych szeregów.

W perspektywie ulicy ukazała się zmniejszona przez odległość pierwsza „skała”, a tłoczący się i krążący wokół niej żołnierze, którzy mieli torować jej drogę, wyglądali jak ołowiane wojsko. W pewnej chwili wszystkie inne hałasy zagłuszyło wesołe pobrząkiwanie dzwonek na szyjach mułów i nawoływania przedniej straży. — Wio! Wio! — pokrzykiwał jakiś człowiek w wiejskim stroju, z wyjątkową zręcznością kierujący dziesiątką zaprzęgu. Teraz ruszyły wszystkie „skały”: jedna za drugą przesuwały się wzdłuż placu, a każda z nich wywoływała prawdziwą burzę entuzjazmu. Dziesiątki tęgich mułów o błyszczącej sierści, które dopiero co wyszły z młynarskich stajen, ze wstążkami wplecionymi w warkoczce ogonów, paradowały w bogatych czaprakach, ze sztywnymi lub falującymi pióropuszcami. Uczepieni u lejc pędzili młynarczy — prawdziwi atleci o zwinnych ruchach, w rozchełstanych koszulach, z zakasnymi rękawami, a na komendę „stać!” wieszali się u wędzideł, by w jednej chwili opanować rozbrykane zwierzęta. Za deski tylnego siedzenia chwyтали się mali psotnicy, przy najlżejszym zakolysaniu się wozów padając na piasek, zawsze

jednak jakimś cudem zdołali wygramolić się spod końskich kopyt bez szwanku. Na wozach jechali ludzie Giędzy Jedwabiu, handlarze zbożem, młynarze — jowialni i lubiący hałas; bez marynarek, wystrojeni w kamizelki zdobne w brylantowe guzy, pysznili się oni grubymi złotymi łańcuszkami od zegarka i z całej siły ostrzeliwali balkony wilgotnymi bukiecikami oraz twardymi jak granaty torebkami pełnymi cukierków, w których było więcej krochmalu niż cukru.

Ukazanie się każdej ze „skał” wywoływało wybuchy trwogi i radości zarazem. Ruchliwa bateria wzniesionych ramion wyrzucała wśród okrzyków swoje pociski sięjąc zniszczenie: pod gradem zabójczych cukierków pryskały stłuczone szyby, a nawet firanki rozsypywały się w strzępy.

Na balkonach panienki zasłaniały twarze wachlarzami, zadowolone z powodzenia, ale w strachu przed tak brutalnie składanymi podarunkami. Na ulicy grupowali się odważni, którzy pragnąc okazać swą zuchowatość, za nic mieli jeden guz mniej albo więcej i obrzucali stekiem obelg ludzi z wozów, kiedy tamtym zabrakło amunicji. Na te prowokacje tamci odpowiadali ciskając im na głowy puste pudła i kosze. Za każdym razem, gdy bukiet lub ładunek cukierków spadał w tłum, podnosiło się tysiące rąk gotowych do walki o jego posiadanie.

Wreszcie przyszła ostatnia „skała”, zwana „diabelską”. Ludzie parli ku niej grząc okrzykami, coraz okrutniejsi w sposobie dawania podarków, coraz bardziej uparci w dostarczaniu zarobku szklarzom. Stopniowo, w miarę jak tłum rzedniał, spokój powracał na plac.

U państwa Cuadrosów seniory, zmęczone tak długim wystawianiem na balkonach, wchodziły do pokoju, aby sięść na miękkim krześle. Tylko pani Manuela z panią Cuadros zostały same na balkonie. Siedziały przytulone do siebie pod parasolką i udawały, że patrzą na przechodniów, ale w rzeczywistości zwierzały sobie szeptem jakieś ważne sekrety. Wdowa Pajares dawała przyjaciółce macierzyńskie rady tonem nieznacznej wyższości. No, proszę, teraz są już same. Co się takiego stało? Czy to kłopoty rodzinne? Z nią może mówić zupełnie szczerze, wie przecież, jak bardzo interesuje ją wszystko, co dotyczy rodziny państwa Cuadros. Mimo opanowania i poczucia

wyższości, pani Manuela nie potrafiła ukryć niespodziewanego wrażenia, jakie wywołały na niej wyznania przyjaciółki.

Dobry sobie, ten pan Cuadros! Nigdy nie przypuszczała czegoś podobnego!... Okazuje się jednak, że wszyscy mężczyźni są jednacy. Nie należy im zbyt ufać, szczególnie jeżeli w okresie pierwszej młodości byli wyjątkowo skromni, gdyż wiadomą jest rzeczą, że „to, czego się nie robi przy wejściu, robi się przed wyjściem”. To samo przecież przeżywała ona sama ze swym doktorem. Wysłała za niego sądząc, że to już człowiek stateczny, no i wydawał się taki zakochany. Nawet na myśl jej nie przyszło, aby mógł jej być niewierny, a tymczasem — niejedno by mogła opowiedzieć z ostatnich lat ich pożycia.

— Nawet sama święta Rita, kochana Tereso, nie cierpiała tyle, ile ja z tym diabelnym chłopem. Zresztą co tu mówić, pani wie sama ... No, no, ale niechże pani sobie nie przerywa. Moje już przeszło i nikogo nie interesuje.

Pani Manuela, jako osoba doświadczona w tych sprawach, wysłuchiwała z uwagą zwierzeń nieszczęsnej Teresy, która jękając się łykała łzy. Właśnie dzisiaj rano wszystko się wykryło. Co prawda ona już coś przeczuwała, zwróciła uwagę na opryskliwy ton, jakim do niej mówił Antonio. Kto by jednak pomyślał, że ten człowiek mógł zabrać aż tak daleko. Uważała go dotąd za mężczyznę zajętego wyłącznie robieniem pieniędzy, a otóż dziś rano, gdy czyściła jego marynarkę, znalazła w wewnętrznej kieszonce list, który z wielkim trudem przeczytała, bo przecież nie jest bardzo biegła w tej sztuce.

— Od kogo był ten list? — spytała wdowa w napięciu.

— Od jakiejś Klarity. Ale cóż to był za list, pani Manuelo, ile tam było nieprzyzwoitości! Doprawdy, trudno wymagać, aby osoba uczciwa, żona i matka, była zmuszona do czytania takich świństw.

Biedna kobieta zaczerwieniła się i na jej obwisłej, papierowo białej twarzy zakonnicy ukazało się takie zawstydzenie, jak gdyby ona sama była autorką tego listu.

— Co to za Klarita? Chyba jakiś dobry numer!...

— Chwileczkę. Kiedy się o tym dowiedziałam, Antonio jeszcze leżał, więc miałam ochotę iść z powrotem do łóżka i rozdrapać mu twarz do krwi... Niech się pani nie śmieje, pani Manuelo, w tej chwili chciałam być mężczyzną i zrobić coś najgorszego...

Ale kobieta to słabe stworzenie!... Zresztą jeśli jest uczciwa i kocha swego męża, to go szanuje i nie ośmieliłaby się na coś podobnego. A Antonio jest bardzo mądry i mógłby mnie przekonać, że białe jest czarne.

Pocziwa Teresa mimo bolesnego oburzenia wpadła w podziw dla swego wspaniałego, po prostu wzorowego męża, chociaż może i nie wypada o tym mówić.

— I co pani zrobiła?

Po pierwsze postanowiła dowiedzieć się, kto to jest Klarita, a ponieważ ona w swoim liście poleca mojemu, aby poszedł do gospodarza domu i zapłacił za kwartał komorne podając adres tego gospodarza, więc poszłam tam dziś rano zaraz po mszy. Dowiedziałam się, że owa lokatorka ma na ulicy del Puerto mieszkanie na parterze i że w rozmaitych czasach rozmaici panowie z giełdy, tacy sami idioci jak mój Antonio, opłacali za nią komorne.

— I nic więcej nie zdołała pani sprawdzić?

— Ja nie mam zwyczaju porzucać nieskończonej roboty! Poszłam też na ulicę del Puerto i rozmawiałam z dozorczynią... Ach, donio Manuelo, jakich ja rzeczy się dowiedziałam! To po prostu nieprawdopodobne, że takim kobietom pozwala się żyć na świecie. Ta Klarita to jest nierządnicą, wie pani, co to znaczy, pani Manuelo? Ja powtarzam, co mi powiedziała tamta kobieta. Boże, ratuj, co też ona mi nagadała! Podobno cała ulica wyśmiewa się z tej Klarity, wszyscy drwią z jej strojów i z jej pretensji. Dozorczyńni mówi, że jeszcze dwa lata temu sprzedawała na rynku trykoty — tu niedaleko miała stragan, a teraz zadziera nosa i udaje księżniczkę. Wszystkim opowiada o swojej mamusi, która jest zwyczajną przekupką i stale krzyczy z podwórka, żeby jej córunia rzuciła pieniądze przez okno, a jak tamta nie chce, to matka wrzeszczy i robi awantury na całą ulicę. Ach, donio Manuelo. Co za nieszczęście, że mój mąż wpadł w takie błoto!... Gdyby pani ją zobaczyła, zdumiałaby się pani, że mężczyźni dają się skusić takiej zgniliźnie. Dozorczyńni mi ją pokazała. Stała na swoim balkoniku we wspaniałym szlafroku, o którym można by słusznie powiedzieć, że mnie go ukradła. Ale co za brzydactwo, donio Manuelo, co za brzydactwo! Skóra i kości, a w oczach coś tak bezwstydnego... Ale może właśnie to podoba się mężczyznom... Mój Antonio, który był zawsze taki poważny, teraz zadaje się z tą

diablicą! Ach, donio Manuelo kochana, boją się, że ja tego nie przetrzymam!

Biedna kobieta, rozżalona do ostateczności, przesłaniała wachlarzem zapłakane oczy, podczas gdy pani Manuela starała się ją uspokoić łagodną perswazją.

— Niech pani nie płacze, Tereso, mój na przykład bardzo lubił, kiedy ja płakałam, mężczyźni mają satysfakcję, kiedy nas ponizają. Wszystko, tylko nie łzy. Kiedy pani będzie mówiła z Antoniem, niech pani będzie poważna i dumna. Żadnych czułości, bo inaczej ci nicponie czują się jeszcze pewniejsi siebie.

— Ja mam z nim mówić? Niemożliwe, tyle odwagi w sobie nie znajdę. Drzę na samą myśl, co by się stało w tym domu, gdybym mu powiedziała, że wszystko wiem. Jak zareagowałby na to don Eugenio, który jest samą uczciwością? Chociaż mówiąc prawdę, powinnam rozmówić się z moim mężem, żeby mu otworzyć oczy, bo chociaż w domu wydaje się taki chytry, to poza domem na pewno pozwala robić z siebie głupca. Tamta baba na pewno go oszukuje i kpi z niego. Napomknęła mi coś o tym dozorczyńni, i podobno cała ulica o tym śpiewa. Wszystkie wydatki na jej utrzymanie pokrywa mój mąż. Ale jak tylko od niej wyjdzie, to do tej dziewuchy złażą się wszystkie młode nicponie, wszyscy smarkacze z giełdy przyprawiają rogi memu mężowi. Boże, Boże, co za hańba! I takie rzeczy potrafi robić najspokojniej w świecie człowiek, który ma żonę i syna, no i nazwisko szanowane na całym rynku!...

Teresa popłakiwała za wachlarzem, co donii Manueli znudziło się po chwili, więc zainteresowała się wydarzeniami na placu.

A tam przygotowywano już procesję. Na przyległych ulicach huczały wojskowe orkiestry wygrywając skoczne pasodoble, a żołnierze maszerowali przebijając się przez tłum, w pięknie wyczyszczonych galowych mundurach. Czerwone pompony chwiały się w rytm ich kroków, bagnety połyskiwały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Spiesznie przechodziły osobistości zaproszone na procesję, wyraźnie zadowolone, że skupiają na sobie uwagę i podziw tłumu. Niektórzy z tych ludzi byli we frakach, udekorowani najdziwniejszymi odznaczeniami, inni — w mundurach mistrzów zakonów krzyżowych, cudacznie poubierani w spiczaste kapelusze i jaskra

we, krótkie płaszczyki nadające sylwetkom coś z egzotycznych ptaków.

Przyjaciółki powróciły do rozpoczętej rozmowy. Donia Manuela udzielała macierzyńskich rad zrozpaczonej małżonce: ona sama, gdyby była na miejscu Teresy, zrobiłaby awanturę niewiernemu mężowi, rzuciłaby mu w twarz wszystko, co wie o jego prowadzeniu się... Cóż to, nie ma odwagi? Ona, donia Manuela, tak właśnie postępowała z nieboszczykiem doktorem Pajaresem... Zresztą — trudno komuś radzić, to zależy od usposobienia.

Teresa przyznawała we wszystkim słusność przyjaciółce, jednakże myślała, że ma otwarcie zarzucić mężowi niewierność, przejmowała ją strachem. Ach, gdybyż miała kogoś bliskiego, komu by leżał na sercu los jej i jej rodziny! Gdybyż mogła komuś powierzyć misję ostrego skarcenia tego człowieka, który przecież mimo wielkich wąsów i jowialnego obejścia był jak dzieciak i jak dzieciaka można go było oszukiwać! Ten, komu udałoby się przywieść tego człowieka z powrotem na łono rodziny, dać mu możliwość, by na nowo stał się dobrym mężem i ojcem, dokonałby prawdziwie miłosiernego uczynku!

Teresa wypowiadała te pobożne życzenia błagalnie patrząc w oczy dumnej przyjaciółce — i donia Manuela rozumiała. Otóż ona sama podejmie się tego, sama będzie broniła honoru rodziny Cuadrosów i rzuci niewiernego męża w objęcia przebaczącej małżonki. Ofiarowując swoje usługi, wdowa rosła we własnych oczach. Przybrała teatralną pozę i zapewniła uroczyście, że czynu tego dokona, choćby jej przyszło poświęcić na to wiele wysiłku i czasu. Balkon nie był odpowiednim miejscem do manifestowania uczuć, więc kobiety nie mogły paść sobie w objęcia, wzięły się tylko za ręce i w głębokim wzruszeniu pozostawały tak przez dłuższą chwilę, aż krzyki młodzieży z sąsiedniego balkonu wyrwały je ze smętnych rozpamiętywań.

— Procesja idzie!

Krzyk ten był sygnałem, na który w salonie wszystkie starsze panie poderwały się z foteli i rzuciły się na balkony, przytulone jedna do drugiej, a zza ich pleców wystawiali głowy kawalerowie, którzy aż wspinali się na palce, aby lepiej widzieć.

Na końcu placu ukazały się chorągiewki z herbami Aragonu, rozlewnie i majestatycznie zadźwięczały flety w melancholijnej melodii tanecznej z czasów mauretańskich. Za chorągiewkami kroczyły „karły”, czyli ludzie z olbrzymimi głowami z tektury, wznoszącymi się do balkonów, ku którym spoglądały martwymi oczyma bez blasku. Przy klaskaniu kastanietów i biciu w bębny postępowały tanecznym krokiem cztery pary „olbrzymów”: były to wielkie maskary, których fryzury sięgały pierwszego piętra; okręcając się wkoło rozrzuciły spódnice niby kolosalne spadochrony. Na placu ukazały się chorągwie bractw czeladniczych — rzemieślnicy dźwigali obrazy świętych opiekunów swego zawodu. Trzeba było widzieć zapał, z jakim publiczność oklaskiwała żonglerskie talenty młodzieńców, którzy niosąc obraz wyczyniali z nim rozmaite cyrkowe sztuczki: to opierali go na rozpostartej dłoni, to poruszali nim w takt huczenia olbrzymich starych bębnow, które towarzyszyły zapewne szeregom wojujących rzemieślników w rewolucyjnych buntach „Germamas”.

Teraz zaczęła się najnudniejsza część procesji. Ponad sto obrazów świętych niesionych przez bractwa i przytulki i ponad tysiąc kędzierzawych, wysmarowanych oliwą głów przepłynęło pod balkonami. W takt walców i marszów żałobnych, wygrywanych przez orkiestry, kołysali się pobożni z woskowymi świecami w rękach; defilada świętych sunęła z ponurą monotonią; jedni nadzy, ze skrawkiem lekkiej materii wokół bioder, ukazywali krwawiące rany, inni byli ustrojeni w ciężkie szaty przetykane drogimi kamieniami i złotem. Szli święci męczennicy z twarzami znaczonymi bólem i cierpieniem, mistycy w ekstazie wyciągali ręce nad głowami tłumu, duchowni w złocistej mitrze i białej marszczonej komży wyglądali jak bojownicy w stalowych hełmach.

W tłumie zakotłowało się od wesela. Trysnęły wykrzykniki radosnej ciekawości, bo oto zaczynała się komiczna część procesji, zachowana dla tradycji, jako wspomnienie czasów największej pobożności w naszej historii, kiedy humor zawsze towarzyszył praktykom religijnym. Jedne za drugimi ukazały się teraz najwy

bitniejsze postacie bohaterów wielkiego poematu, Biblii: dowcipnymi słówkami przyjmując wybuchy śmiechu i wesołe zaczepki publiczności, siedł brodaty, majestatyczny król Dawid w blaszanej koronie i kwiecistej pelerynie, która wlokła się po bruku, i potraçał struny drewnianej harfy. Za nim zgarbiony Noe opierał się całym ciałem na cienkim kijku, wskazując głową gołębia, którego niósł na prawej dłoni, a tłum zaśmiewał się jak szalony z tej karykatury starości. Jozue przepasany sznurem, ubrany jak rzymski centurion, mierzył zaśnieżoną szablą w blaszane słońce, stawiając wielkie kroki, niby czapla. Pochód zamykały bohaterki Biblii, silne kobiety Starego Testamentu, które ratowały naród wybrany ścinając głowy i przebijając gwoździem skronie wrogów; w roli kobiet występowali gołowąsi młodzieńcy z policzkami usmarowanymi bielidłem i czerwoną farbą, w strojach odalisek. Ich ukazanie się wzbudziło wrzaski i śmiechy. Śmiały się nawet kobiety, a mężczyźni rzucali tym straszylom pieprzne i zaczepne żarty, jak gdyby przyglądali się rzeczywistym, dziwacznie poprzebieranym, młodym niewiastom.

Zbliżała się poważna część procesji i gwar ucichł w jednej chwili.

Kler parafialny ukazywał wszystkim swoje złote krzyże, przechodzili seminarzyści z opuszczonymi ku ziemi oczyma i skrzyżowanymi na piersiach rękoma. W blasku woskowych świec, które teraz na tle zmierzchu świeciły jakby jaśniej, sunęły poprzez plac dwa szeregi oślepiająco białych postaci w marszczonych komżach z jedwabnymi koronkami. Jak na fali białej piany płynęły górą, niesione na drewnianych feretronach, relikwie we wspaniałych urnach, srebrne posążki z okienkiem na piersiach, gdzie majaczyły kości i czaszka błogosławionego.

Potem znów wróciła teatralna część uroczystości. Niezwykle wizje marzyciela z Patmos, halucynacje, jakie zostawił światu w swojej Apokalipsie święty Jan Ewangelista, przesuwały się przed ludźmi, którzy nie rozumieli ich znaczenia, mimo że oglądali je od tylu lat. Dwudziestu czterech starców w długich białych szatach, z białymi brodami, niosło wieloramienne lichtarze, a tkwiące w nich żółte świece iskrzyły się spluwając na bruk gorącym deszczem wosku; za nimi złociste orły, olbrzymie jak kondory z Andów, poruszały upudrowanymi skrzydłami z tektury;

w brzuchu każdego z orłów krył się wyrostek, którego nogi w czerwonych butach wystawały spod piór. Pochód zamykali apostołowie, towarzysze Jezusa, ubrani w wypożyczone szaty, tak brudne, że deseń ich zniknął pod tłustymi plamami. Apostołów otaczały dzieci z nie gasnącymi na wietrze lampkami oliwnymi, ubrane jak Indianie z operetki. Umocowane na ich plecach blaszane skrzydła miały wpoić w widzów przekonanie, że są to aniołowie.

Procesja zbliżała się ku kościołowi. Szli teraz zaproszeni goście. Wyłoniła się cała lawina łysych lub oczekujących od pomady głów nad sztywnymi półkoszulkami błyszczącymi jak pancerze. Na czarnych frakach panów widniały z daleka ordery nieznanego pochodzenia. Kroczyli wojskowi w mundurach wszelkich kolorów i krojów, poczynając od płaszczyka kryjącego ozdobną szpadę z rękojeścią z kości słoniowej, jakie noszono w zeszłym stuleciu, a kończąc na galowym mundurze oficerów marynarki. Prostaczkowie otwierali szeroko oczy na widok białych płaszczy i czerwonych krzyży kawalerów mieczowych, z których każdy był na codzień godnym i spokojnym, często brzuchatym mieszczuchem. Patrząc na nich niesposób było oprzeć się pytaniu, w jakim kłopotcie znaleźliby się ci rycerze, gdyby wskutek jakiegoś czarodziejskiego cofnięcia się czasu musieli wsiąść na konia i ścigać niewiernych psów — Maurów. Tłum był oszołomiony. Pompa aparatu kościelnego, srebrne posągi, kler zawodzący hymny urozmaicone solowym śpiewem, pochody bractw religijnych — wszystko to nie wywarło na ludziach tak silnego wrażenia jak owa defilada znakomitości. Błyszczącymi oczyma patrzył ludek walencki na przepływające niby spieniony potok kolorów generałskie pasy, lśniące jak słońce blachy, haftowane srebrem w skomplikowane arabeski galony mundurów, opasujące piersi wstęgi z mory.

Na górze, na balkonach, ciekawi wskazywali sobie znane osobistości oświetlone blaskiem świec. Dumne głowy zaszczyconych skłaniały się przed damami, ale gest ten nie odbierał im wymaganej przez okoliczności powagi.

Zbliżał się epilog. Z daleka dobiegały poważne, uroczyste dźwięki marsza kościelnego, wygrywanego przez orkiestrę wojskową. Ustawieni w szereg trębacze pułkowi odtrąbili swój marsz

i podczas gdy żołnierze zdejmowali karabiny, aby paść na kolana przed świętym sakramentem, tłum zakołysał się ku przodowi, również osuwając się na klęczki.

Na niebie zabłyśły kolorowe ognie. W białych, to znów czerwonych błyskach ukazywała się za podwójnym szpalerem duchownych ze świecami w rękach grupa kapłanów w złocistych pelerynach. Pobrzękując srebrnymi łańcuszkami palili oni kadzidło. Na tle błękitnawego, wonnego dymu, pod przesuwającym się powoli, niby namiot z jedwabiu, baldachimem promieniała złocista i drżąca w obłokach kadzidła, porażająca blaskiem świętość nad świętościami, która kazała ludziom opuszczać głowy ku ziemi, jak gdyby niczyje oczy nie mogły znieść bijącej od niej wielkiej jasności. Tłum uległ poetyckiej sugestii kultu. Kobiety podnosiły ręce ku oczom nagle pełnym łez, staruszki były się fanatycznie w piersi, wzdychały konwulsyjnie i powtarzały swoje „O Panie Boże!” zwracając na siebie uwagę najbliższych sąsiadów.

Z balkonów sypały się różane płatki, fruwały confetti jak obłok mielonego szkła, na wszystkich rogach zapalały się kolorowe ognie, a ostry dźwięk trąbek przeszywał pachnące chmury kadzidła. Kwiliły srebrne dzwoneczki, kapłani zawodzili monotonne psalmy, baldachim przesunął się w deszczu kwiatów i świetle bengalskich ognii, a wykute ze złota słońce, ustawione pośrodku skomplikowanego urządzenia, wprawiało patrzących w stan szaleńczej ekstazy. Tłum lewentyński entuzjazmuje się wszystkim, co go olśniewa, tłoczono się więc bez pamięci, jak gdyby każdy chciał wyciągnąć rękę ku złotej, świętej gwiazdzie. Żołnierze, którzy stanowili straż baldachimowi, odpychali napierających kolbami karabinów, aby utorować drogę świętemu sakramentowi.

„To dodaje zapału, a w sercu budzi nadzieję”; pan Cuadros od czasu, gdy został szczęśliwym graczem, pozwalał sobie na idee konserwatywne.

— I niech kto powie, że u nas nie ma wiary — mruknął teraz tonem wyroczeni. — Na szczęście, religia naszych ojców żyje i będzie żyła wiecznie. Niechby tu spróbował się pokazać jakiś niepobożny człowiek. Religia jest jedyną siłą, która potrafi utrzymać w karchach ludzi z dołów.

Inni giełdjarze potakiwali głową, a małżonka obrzuciła go spojrzeniem pełnym podziwu i wyrzutu równocześnie. Niewątpli

wie przypomniawszy sobie znów o Klaricie i zachodziła w głowę, jak człowiek, który wypowiada takie imponujące, szanowne prawdy, może w ten sposób deptać obowiązki rodzinne.

Za świętym sakramentem postępowała znów grupa duchownych w złotych pelerynach, nad którymi górowała spiczasta mitra i błyszczący pastor. Za nimi starali się maszerować w takt muzyki radni miejscy, każdy z zatkniętym za czerwony pas świecznikiem, wreszcie na granicy światła i ciemności przelewała się czarna masa wojska, w której tylko miejscami metale instrumentów muzycznych oraz ostrza bagnietów i szablów rzucały blade błyski.

Gdy procesja opuściła plac, a po bruku zadudniła eskorta kawalerii, państwo Cuadros i ich przyjaciele weszli do rzęsiście oświetlonego salonu.

Zmęczone długim stanem mieszczyki o obfitych kształtach i krótkim oddechu padały na fotel, gdy tymczasem panienki co chwila wbiegały na balkon, niby to w roztargnieniu, aby stwierdzić, czy na ciemnym, pełnym woni kadzidła placu nie pozostał jeszcze jakiś adorator.

— Proszę państwa — powtarzała pani Teresa krążąc wokół przyjaciółek, które nie przejawiały ochoty ruszenia się z miejsca — panie będą łaskawe pójść za mną. Przejdziemy do jadalni, tam znacznie chłodniej.

Wszyscy odgadywali, co znaczyły te zaprosiny. O nie, droga pani, bardzo dziękujemy. Po co tyle kłopotu. Mimo to leniwe mamy wstały z krzeseł, obciągnęły zmięte jedwabne suknie i poszły przed pannami do jadalni, gdzie oczekiwał już pan Cuadros z przyjaciółmi.

Cóż za niespodzianka! Co prawda powtarzała się ona co roku i nikt z zaproszonych nie wątpił, że ją przygotowano. Trzeba jednak było wymienić uświęcone zwyczajem zdania, wymawiać się, zapewniać, że wcale nie ma się pragnienia, zapytywać gospodarzy, po co zadają sobie tyle trudu. Tymczasem wyschnięty z upału język jak gdyby przyłgnął do podniebienia, a oczy same wodziły za błękitnymi fajansowymi filiżankami z dymiącą czekoladą uwieńczoną kolorową pianką i za malowanymi tacami pełnymi kandyzowanych owoców. Aby nie urazić gospodarzy, goście ulegali ich namowom i rozsiadali się w przyjaznym nastroju dookoła

stołu, na którym wnet pozostały tylko okruszyny z biszkoptów i puste filiżanki po czekoladzie. Teraz zabierano się do chłodzących napojów zanurzając w szklance słodkie wafelki.

Donia Manuela rozmawiała z panem Cuadrossem. To Teresa posadziła ją obok męża w nadziei, że uda jej się doprowadzić go do wyznania i skruchy. Wielka pani ze swoim doświadczeniem życiowym, nabytym w niedoli pożycia małżeńskiego, była jej jedyną nadzieją.

Wdowa Pajares, uprzejmie uśmiechnięta, rozmawiała z dawnym subiektem. Jakże zmienił się ten człowiek. Donia Manuela знаła się na mężczyznach i wyczuła w nim jakiś zuchwały opór, charakterystyczny dla młodzieńców, którzy zaczynają wylamywać się spod macierzyńskiej opieki, aby rzucić się w światowe życie pełne szaleństw.

Uśmiech nie schodził z twarzy pani Manueli; nie bez zdziwienia słuchała dwuznaczników pana Cuadrosa, zauważyła łobuzerskie mruganie, jakim podkreślał pewne słowa, a nawet wydało jej się — o, jaką moc mają złudzenia — że roztaczał wokół siebie jakiś dziwny, a podniecający zapach, który drażnił jej nerwy przywodząc na myśl ulicę Puerto i ową „diablicę”.

Tymczasem Teresa, krzątając się troskliwie wokół gości, nie traciła z oczu męża i ofiarnej przyjaciółki. Ilekroć donia Manuela spojrzała na twarz sponiewieranej małżonki, budziło się w niej głębokie współczucie. A tu ani marzyć o szczerej rozmowie z mężem Teresy. Pan Cuadros był na zawsze stracony dla rodzinnego życia, jak wygłodzony nędzarz, który raz popróbował zakazanego owocu. Przez wszystkie lata swej ponurej i pracowitej egzystencji harował jak zwierzę juczne, nie znał zapałów młodości ani jej szaleństw. Taki mężczyzna raczej umrze, niż miałby zrezygnować z nasycenia swoich apetytów. Nic nie osiągnie żona odrywając go od Klarity. Pięćdziesięcioletni lowelasi są niebezpieczni, jeśli w przeszłości byli cnotliwi. Izolujcie takiego od przedmiotu jego pragnień, a zakocha się choćby we własnej służącej.

Z minuty na minutę pani Manuela nabierała o tym coraz głębszego przekonania. Czyżby to noga tak natrętnie uciska pod stołem jej pantofel? Czyżby to kolano tak odważnie ociera się o jej jedwabną spódnicę? Niewątpliwie pana Cuadrosa, szanownego ojca

rodziny, który przemawiał do niej miodowym głosem, rozplamionymi oczyma mierząc ją od stóp do głów. Biedna Teresa! Pewnie wyobrażała sobie, że donia Manuela zdoła swoim rozsądkiem zmiękczyć grzesznika, że zmusi go do opamiętania i do żalu za grzechy. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że mąż powodowany dziwnym kaprysem zmysłów i wygórowaną ambicją może stracić głowę dla nieco przywidłej piękności małżonki swego dawnego pryncypała.

Wdowę oburzyło to zuchwalstwo; zaczęła kręcić się na krześle, milcząc jednak i uśmiechając się nadal. Uświadomiła sobie, że musi zachować pozory, gdyż przyjaźń małżeństwa Cuadros jest jej bardzo potrzebna, jeżeli chce wydobyć się z długów, tak niebezpiecznych dla jej pozycji społecznej. Poza tym w grę wchodziła przyszłość córki, przyszłość Amparito. Manuela rzuciła zatroskane macierzyńskie spojrzenie na koniec stołu, gdzie jej córka siedziała przy Andresicie i mizdrzyła się jak kotka, przyjmując od narzeczonego słodycze i czułe słówka.

Po półgodzinie podwieczorek dobiegał końca. Panowie szukali kapeluszy, a panie całowały się w obydwa policzki, mrużąc na pożegnanie te same, utarte życzenia:

— Do zobaczenia następnego lata. Niech Bóg zachowa wszystkich państwa w zdrowiu, abyśmy znów razem oglądali procesję.

Goście żegnali się i wychodzili po kolei, wreszcie zostały tylko panie Pajares czekając na Juanita i Rafaela, aby pójść z nimi do domu.

Pan Cuadros nie zaprzestał swych ataków. Nie ustąpił nawet, gdy dama wstała uciekając od zuchwałych pieszczot, na które giełdziarz pozwalał sobie pod stołem, i poszedł za nią. Teraz oboje stali obok Teresy i pan domu wyrecytował kilka okrągłych i uprzejmych zdań, w których mówił o wielkiej przyjaźni od dawien dawna łączącej obydwie rodziny.

— Chłopcy się spóźniają — odezwał się don Antonio — Rafael jest na pewno u swoich przyjaciół, a co do Juanita, to ma on teraz bardzo miłe obowiązki. Podobno szaleje za swoją narzeczoną. Ach młodość, młodość! Znamy to dobrze, prawda, Tereso?

Jak gdyby przeczuwał, o czym myśli w tej chwili jego żona, i z góry chciał ją ułagodzić, rzucił swojej tęgiej pani tak tkliwe

Spojrzenie, jakim winien obdarzać małżonkę uczciwy mąż o nieskazitelnych obyczajach, wspominając miodowy miesiąc.

Donia Manuela była zdumiona. Ta Klarita dokonała cudu. Zmieniła człowxeka nie do poznania. Cuadros stał się zwykłą szelmą. Zamiast jednak oburzyć się na okrucieństwo, z jakim okłamywał żonę, wdowa zaczęła odczuwać do niego pewnego rodzaju sympatię. Ujrzała w nim cechy swego drugiego męża; nicpoń doktor, którego kiedyś tak kochała, jak gdyby w nim zmartwychwstał.

— Jeżeli panie pozwolą, odprowadzę je do domu wraz z Andresitem.

Poczucie wstydu nakazało donii Manueli odmówić.

— Ależ tak, Antonio panią odprowadzi — poparła męża Teresa.

Oszukiwana żona wzrokiem prosiła donie Manuelę o przyzwolenie, jak gdyby z rozmową tych dwojga wiązała wielkie nadzieje. Oto wymarzona okazja, aby przyjaciółka skarciła jej męża.

Pani Pajares nie mogła się wymówić i razem z córkami wyszła w towarzystwie Andresita i don Antonia. Teresa odprowadziła ją ufnym wzrokiem. Boże wielki, niech jej się uda zmiękczyć serce tego człowieka, żeby przestał ją męczyć, żeby przestał ją kompromitować wobec rodziny i przyjaciół!

Przechodząc przez zamknięty sklep na dole towarzystwo natknęło się na don Eugenia w niezmiennej jedwabnej czapeczce, który ponurym skinieniem odpowiedział na powitanie dawnego subiekta.

Całe towarzystwo minęło rynek — panienki z Andresitem szły pierwsze, Concha rozdrażniona i zła, bo przez cały dzień nie widziała eleganckiego Roberta, Amparo znów zadowolona, że na złość siostrze może chępliwie się przed światem swoim narzeczoną. Za nimi sunął pan Cuadros z donią Manuelą, której ofiarował ramię. Wymachiwał rękami i nogami, niby tokujący ptak, gdy rozwiera skrzydła, osaczał ją mnóstwem pieprzonych półsłówek i z odwagą nieodpartego zdobywcy serc zahaczał łokciem o jej krągłe biodro.

Ojciec i syn nie tylko odprowadzili panie Pajares do domu, ale złożyli im jeszcze całogodzinną wizytę, podczas której Amparito śpiewała dla swego przyszłego teścia, a gdy potem obaj mężczyźni

znaleźli się na ulicy, kroczyli obok siebie jak koledzy złączeni braterstwem wspólnych przeżyć.

Dopiero kilka miesięcy minęło, od chwili kiedy poczciwy kupiec o surowych obyczajach, oburzony, że syn chodzi na bale, oczekiwał go z drewnianym łokciem w ręce, a jakże odległe wydawały się dziś panu Cuadrosowi te czasy!

ROZDZIAŁ IX

O czwartej po południu panie Pajares ukazały się na spacerze w alei. Była piękna, prawdziwie letnia niedziela i ulica kipiała gwarem i charakterystycznym świątecznym ożywieniem. Na niebie bez chmurki wisiał niby strzępek cieniutkiej i ledwie widocznej mgielki cierpliwy księżyc i czekał, aż przyjdzie na niego pora zabłysnąć. Posadzone szeregiem różane krzewy, jak wielkie bukiety, zoperowane i podstrzyżone przez ogrodnika, pod ciepłym tchnieniem popołudnia trysnęły zielenią i rozwierały pąki. Swojski zapach kwiatów splatał się ze smugami woni, które płynęły za uperfumowanymi seniorami.

Środkiem jezdni ciągnęły to w jedną, to w drugą stronę powozy, jak przesuujące się ogniwa nieskończenie długiego różańca. Stare wieże strażnicze wznosiły swoje lakierowane dachy ponad wierzchołki drzew, a na dwóch krańcach alei rysowały się na zielonym tle zmniejszone przez odległość ogromne studnie, ozdobione nagimi postaciami z mitologii. O tej porze w alei spotykało się najwięcej ludzi. Wspaniałe konie unosiły w galopie karety i powozy, po chodnikach defilowały powolutku, jak na procesji, całe rodziny odświętnie wystrojone.

Zielone ławki zajęte były do ostatniego miejsca. Na tej ulicy, zazwyczaj cichej i pustej rano, teraz szumiało jak w ulu. Tu i ówdzie jacyś najwidoczniej prostytutki rozmawiali krzykliwie, co wywoływało uśmiech politowania na ustach panów, którzy uchylając eleganckich sportowych czapek kłaniali się sztywnym gestem za każdym razem, gdy z okienka karety wyjrzała jakaś głowa. Uwagę wszystkich pochłaniał nieprzerwany rząd powozów, gdyż w kraju, w którym gorączka bogactwa znajduje swój wyraz w pragnieniu

niechodzenia pieszo, pojazd staje się symbolem szczęścia i dobrobytu.

Konie rżały i toczyły pianę z pysków napełniając powietrze zapachem słomy i obory. Od czasu do czasu takie rżenie zarażało inne ogniste ogiery, które odpowiadały niecierpliwym tupaniem na owo żądanie wolności. Woźnice w białych liberjach ukazywali z wysokości kozła ogolone, pyzate twarze otyłych komików lub wypielęgowanych księży, z wyraźną pogardą spoglądając na cały ów tłum, który zmuszał ich do siedzenia na koźle przez kilka godzin. W długim szeregu wehikułów widziało się staroświeckie landa, niby ogromne trumny, mieszczące w swym wyłożonym poduszkami wnętrzu całą rodzinę łącznie z mamką i kołyszące się na wysokiej karoserii. Widziało się lekkie bryczki o czerwonych lub żółtych kolach, karety w kształcie gondoli, chybotające się przy najmniejszej nierówności bruku, wreszcie najmodniejsze tutaj pojazdy, będące elegancką odmianą chłopskiej, krytej płótnem dwukółki, zwanej po walencku tartana. Taka tartana stała się symbolem drobnej burżuazji, która zatrzymując się w połowie swej społecznej metamorfozy, jedną nogą tkwi jeszcze w ludzie, z którego się wywodzi, ale drugą już w arystokracji, ku której podąża. Pomiędzy pieszymi spacerowiczami a ludźmi wystawiającymi głowy z okienek karek wydawała się istnieć jakaś niewidzialna, a nieprzebyta zaporą. Wychylone z okien głowy przyjmowały z niezmiennym uśmiechem pozdrowienia znanych sobie osób. Między powozami sadzili na koniach wytworni panowie i młodzi oficerowie kawalerii; wszyscy oni krążyli wokół okien i drzwiczek, aby skłaniając głowę ku szyi konia zamienić słówko z osobami w powozie. Ze smutkiem banitów przyglądały się panie Pajares tej defiladzie pojazdów.

Boże wielki, co za smutny dzień. Będą go pamiętały przez całe życie, bo dziś pierwszy raz spacerowały po alei pieszo. Pomimo eleganckich sukien panienki miały wrażenie, że uśmiechnięte spojrzenia znajomych pełne są pogardliwej litości, więc pani Manuela tym wyżej wznosiła głowę i jej wyniosłość miała w sobie coś z dumy Napoleona na wyspie Świętej Heleny.

Wdowa zaczęła przeczuwać swoją ruinę. Już nie tylko długi i kłopoty pieniężne, które obrzydzały jej życie, wchodziły w grę.

Teraz, jak powiadała, sam los wystąpił, aby ostatecznym, okrutnym ciosem pozbawić ją jedynych, skąpych środków koniecznych dla utrzymania pozycji. Dzień dzisiejszy już od samego rana zapowiadał się źle. Przestraszony stangret zbudził panie rano, aby je zawiadomić, że koń zachorował. Jego stan budził poważne obawy. Biedny, nieświadomy nosiciel prestiżu całej rodziny wił się w strasznych bólach. Leżał na ziemi w kącie ciemnej i wilgotnej stajni, brzuchem do góry; jego nogami wstrząsały konwulsyjne dreszcze. Sytuacja była dziwaczna i wzruszająca zarazem. W ciągu wielu lat wiernej służby zwierzę zdołało wzbudzić przywiązanie właścicieli, którzy uważali je niemal za członka rodziny. Donia Manuela uniosła tren wytwornej sukni i zeszła do stajni, ale nie odważyła się zbliżyć do cierpiącego konia, tylko zastraszona stała przy drzwiach.

Wezwali najlepszego weterynarza, ale nic nie pomagało choremu zwierzęciu i po obiedzie ostatnie nadzieje przejażdżki powozem rozproszyły się. Panie ogarnęła bolesna pewność, że biedny koń z tej choroby nie wyjdzie. Co teraz będzie?

Czy rzeczywiście będą musiały spacerować pieszo pośród tłumu ordynarnych ludzi? Co powiedzą przyjaciółki, gdy piękny powozik, z którego panie Pajares były takie dumne, utknie w kącie stajni? Mimo to bowiem, że mama starała się ukryć przed córkami prawdziwy stan rzeczy, aby ich nie martwić, panny zdawały sobie w pełni sprawę z kłopotów finansowych i nie spodziewały się, że w najbliższym czasie będzie można zastąpić starego co prawda, ale pięknego konia innym, równie efektywnym.

Po obiedzie matka i córki spędziły ponad godzinę w salonie, milczące i zasępione. Dzień jest wspaniały, ale one nie wyjdą z domu, wolą żyć jak zakonnice niż obwieścić światu swój upadek, niż przyznać się do tak zżęcznie dotąd skrywanej konieczności wyrzeczeń.

Nie potrafiły jednak pozostawać przez cały dzień w zamknięciu, zwłaszcza że przez otwarte okna i balkony wdzierało się słońce, a lekki wietrzyk przynosił podniecające zapachy lata. Chcąc nie chcąc myślały o zielonych polach, o spacerujących ludziach, o tym, jak miło jest sunąć powolutku pod osłoną kolorowej parasolki i oglądając nowe twarze odpowiadać na ukłony przyja

ciół. Wreszcie nie mogły dłużej wysiedzieć w domu i wszystkie trzy zaczęły się ubierać do wyjścia.

— Nie przesadzajmy — odezwała się donia Manuela — przecież wszyscy nas dobrze znają i jak raz zobaczą nas pieszo, nie muszą zaraz myśleć, że już nie mamy powozu. Dziewczynki, chodźmy na spacer!

Wyszły, ale z niezłomnym postanowieniem, że nie pokażą się w alejach, na oficjalnej promenadzie, i przechadzały się najpierw bez celu, wreszcie jednak deptak zaczął je przyciągać i nie wiedzieć kiedy znalazły się na rogu alei.

Ciężki to był dzień dla pań Pajares! Na zewnątrz nic się niby nie zmieniło; dziewczynki odpowiadały z wdziękiem na pozdrowienia przyjaciół, mama, wyniosła i majestatyczna, ogarniała wszystkich protekcjonalnym spojrzeniem.

Przeżywały jednak prawdziwe męczarnie. Jakaś siedząca w powozie przyjaciółka pozdrawia je serdecznym uśmiechem, a one już widzą w tym uśmiechu litość i rumieniec występuje na ich upudrowane policzki. Ktoś znajomy przystaje, aby z nimi porozmawiać, a już wszystkie trzy zapewniają chórem, że wyszły na spacer pieszo, bo piękna pogoda. Przez cały czas ogarniała tęsknym spojrzeniem długi rząd powozów z takim uczuciem, z jakim nasi biblijni przodkowie musieli patrzeć na drzwi raju zamknięte przed nimi na zawsze.

Miały zresztą dość powodów do smutku. Trapiła je przede wszystkim choroba konia; spadła ona na nie jak cierpienie kogoś bliskiego. Żałowały już niemal, że wyszły z domu, przejęte fałszywym złudzeniem, iż przez samą obecność można pomóc bliskiej istocie wydobyć się z choroby. Rozdawały ukłony na prawo i lewo, przystawały, aby uścisnąć ręce znajomym, wspominały o pogodzie i najwytworniejszych na spacerze sukniach, ale mimo woli wciąż wodziły oczyma za końmi. W każdym z tych zwierząt odnajdywały coś znanego: to maść, to głowa, to sylwetka przypominała im nieszczęsnego konia, który opanował ich myśli.

Niektóre spotkania tego popołudnia były bardzo przykre. Oto Andresito, syn Cuadrosów, przeciska się między dwoma szeregami powozów na olbrzymim koniu, którego dostał od ojca. Widać szuka narzeczonej, aby ją eskortować i chełpiąc się swą zżęcznością jeźdźca krążyć wokół jej powozu. Wyraz niewinnego zdumie

nia, który ukazał się na twarzy chłopca, gdy zobaczył panie Pajares idące pieszo w tłumie niedzielnej hołoty, był prawdziwym ciołem dla wszystkich trzech kobiet.

Były one doprawdy zbyt przewrażliwione. Roberto del Campo, mijając je z grupą przyjaciół, rzucił im najbardziej uwodzicielski ze swych uśmiechów, one jednak doszukiwały się w wygięciu jego warg śladu ironii. Niewątpliwie ten bałwan Rafaelito musiał donieść Robertowi o chorobie konia. Były najpewniejsze, że wszyscy znajomi na deptaku wiedzą już o przykrym wypadku, i przewidywały dalsze skutki tej wieści. Oszołomione bólem zranionej próżności, wspominały chyba własne kpinki skierowane pod adresem innych i coraz to przystawały zmieszane świadomością, że spogląda na nie tysiąc krytycznych oczu, a seniorzy w powozach rzucają im pogardliwy uśmiech niby służącym przebrany od święta. Na myśl, że ktoś za plecami może je palcem wytykać, wstrząsała nimi zimny dreszcz.

Uparcie prześladował je obraz, który widziały w stajni przed spacerem: koń leżący brzuchem do góry, w drgawkach, z wyciągniętymi nogami. Same zadawały sobie udręki, wszędzie węsząc kpinę i litość, gotowe nieraz przypuszczać, że znajomi naumyślnie odwracają głowy, by ich nie widzieć.

— Chodźmy już, dziewczynki — powiedziała mama z wyrazem bólu i wściekłości. — Chodźmy do domu, zobaczymy, co tam słychać. Zresztą dziś na deptaku jest sama hołota.

Córki zgodziły się skwapliwie. Rzeczywiście dziś przyszła sama hołota. I wszystkie trzy, przygnębione, pokonane, rozpoczęły odwrót po klęsce. Gdy wspiwały się pochyłą ulicą na most Real, raptem odsunęły się od jezdni i koronkowymi chusteczkami otrzepały kurz, jakim pokrył je przejeżdżający w zuchwałym pędzie otwarty powozik. Oto nowa niespodzianka. Z kozła powoziku na dwóch kołach, lekkiego jak łupinka orzecha, pozdrawiał panie senior Cuadros ściągając ze wszystkich sił cugle ognistego konia.

Obok na błękitnym aksamitnym siedzeniu Teresa ukazywała w głębokim wycięciu sukni swoje zbyt białe i zbyt pełne wdzięki, a wyraźnie skępowana ogromnym kapeluszem pełnym róż i liści, kiwała im głową.

— Do widzenia do wieczora... Do widzenia, panienczki! Dziś wieczorem przyjdę.

Teresa uśmiechała się znacząco do swej dawnej chlebobawczyni, a uśmiech ten wyrażał błaganie, aby nie zaniedbała wypowiadać jej męża.

Pod dobrym adresem zwracała się Teresa z prośbą o taką przysługę! Pani Manuela rozumiała, co oznaczały stałe wizyty pięćdziesięcioletniego donzuana, który odwiedzał ją to po południu, to wieczorem. W tej chwili jednak nie o tym myślała. Co innego ją zaprzętało: oto dawny służący przejechał powozem i osypał kurzem panią Manuełę, córkę milionera, idącą pieszo wdowę po doktorze Pajares. Teraz sama musi znosić wyniosłe miny ludzi, których zawsze traktowała z góry. Nie, nigdy do głowy jej nie przyszło, że czeka ją taki los! Pograżona w długach, przewidywała klęskę, ale przecież nie tak hańbiącą. Nie myślała, że tak nisko upadnie.

To było ponad jej siły. Zraniona w swej wyniosłej dumie, nie mogła powstrzymać łez, które gorącą falą cisnęły się jej do oczu. Przyspieszyła kroku. Uciekała od światowego spaceru i od zbytku, w którym jeszcze przed kilku dniami pławiła się jak we własnym żywiole. Dziś odczuwała go jak szykanę.

Gdy panie weszły na plac, przy którym mieszkały, ponury widok domu, zamkniętej na klucz furtki, okien zasłoniętych okiennicami, całej fasady pograżonej w cieniu zapadającego zmierzchu przepoił je smutkiem i nasunął myśl o koniu.

— O Boże, co się dzieje z biednym Brylantem? — Odczuły nagle gwałtowne zainteresowanie losem zwierzęcia, uczepliły się nieprawdopodobnej nadziei jakiegoś cudu, który by konia uzdrowił, a im wrócił prawo do niezbędnej przejażdżki. Wiedzione przyzwyczajeniem, miały ochotę modlić się, aby nieszczęsne stworzenie wyzdrowiało. W ich smutku było coś z tkliwości i wdzięczności za wierną służbę, ale nad wszystkim górowała żądza powrotu na stanowisko powozowych dam; brak tego tytułu wprost je poniżał.

Udały się przez podwórze do stajni. W przejściu musnęły ręką opuszczony powozik, wytworny jak piękna zabawka, osłonięty lekkim płóciennym dachem, z dużymi, cienkimi, pomalowanymi na żółto kołami. Ze ściśniętym sercem i strachem w oczach wsunęły głowy w otwarte drzwi stajni, po czym weszły. Było tam ciemno i przykra woń napępiała powietrze. Uniosły fałd długich spódnic,

a ich eleganckie trzewiki zapadały w miękką i wilgotną podściółkę.

Dziwacznie wyglądała ta scena. W błyskach jedynej latarki, ustawionej przy żłobie, dziewczęta w jasnych sukienkach i w kapelusikach z kwiatami, obok nich obwieszona wspaniałą biżuterią matka, tworzyły przez kontrast z brudnymi ścianami, z osnutym pajęczyną dachem, z kupami nawozu i ostrym zapachem nie oczyszczonej stajni obraz prawie nierealny. Światło latarki było tak nikłe, że wchodząc tu donia Manuela o mało nie zraniła się sierpem zawieszonym na ścianie, i dopiero po dłuższej chwili kobiety dostrzegły Neleta w głębi stajni.

Pomimo swego prostactwa chłopiec odczuwał najwidoczniej głęboki żal, gdyż wpatrywał się w Brylanta ze ściągniętą brwią, jak gdyby powstrzymywał łzy. Cóż, byli przecież najlepszymi przyjaciółmi, Nelet cieszył się zawsze z szaleństw tego ognistego, choć niemłodego zwierzęcia, z dumą opowiadał, że to koń dziki i że tylko jemu daje się okiełznać: a oto teraz patrzył na niego, jak wyciągnięty na słomie leżał brzuchem do góry, nieruchomy, jakby martwy, i tylko co chwila ochryple rzenie wstrząsało jego krągłą piersią. Wtedy podnosił głowę i rozglądał się wokół gasnącymi, pełnymi łez oczyma.

— Oj, niedobrze... Niedobrze — powtarzał Nelet przez zęby i każdy spazm długiej, męczącej agonii Brylanta czuł jak uderzenie pięści we własne serce.

Na widok pań Nelet postąpił kilka kroków naprzód i przemówił zdławionym głosem. Właśnie odszedł weterynarz, powiedział, że nic pomóc nie może. Brylant umiera na jakąś dziwną chorobę, nawet podał nazwę tej choroby, ale Nelet nie pamięta; weterynarz stwierdził, że koń już zdycha.

Biedne zwierzę, jak gdyby potwierdzając słowa przyjaciela, a może na widok swoich pań, podniosło ciężką głowę i zarżało rozpaczliwie. Serce kobiet ścisnęło się.

— Brylant! Kochany, biedny Brylant!

Wszystkie trzy rzuciły się ku nieszczęsnemu zwierzęciu, zapominając, że sukniami zmiatają brud z ziemi. Pani Manuela prawie uklękła w błocie nawozu i nie myśląc o eleganckim stroju wzięła w ręce głowę Brylanta, który właśnie unosił ją z trudem, jakby w ostatnim pozdrowieniu dla gospodarzy. To szklane, zamierające

spojrzenie, utkwione z wyrazem wdzięczności w twarzach kobiet, zerwało tamę. Wybuchły płaczem. Łkały w głos, zawodziły rozpaczliwie, choć czuły, że to oplakiwanie śmierci konia ma w sobie coś śmiesznego. Gdyby ktoś opowiedział im, że tak zachowały się jakieś ich przyjaciółki, drwinom i śmieszkom nie byłoby końca. Mimo to płakały, bo dopiero teraz oceniły w pełni, jaką rolę odgrywało w ich życiu biedne zwierzę i ilu nie zrealizowanym marzeniom kładło kres swoją śmiercią.

Żegnaj, towarzyszu dobrych czasów! Rodzina zachowa o tobie wdzięczną pamięć. Umierasz niby symbol utraconego szczęścia i szacunku, podeptanej dumy, a gdy cię stąd zabiorą późną nocą na brudnym wozie, aby zawieźć cię tam, gdzie ludzie wyczekują cię po raz ostatni, zamieniając twą skórę na buty, kości na guziki, a mięso na nawóz — przez tę samą bramę wejdzie bieda, rozpacz skrzętnie ukrywanej nędzy i ... kto wie? może i hańba, wieczna towarzyszka tych, co pną się z uporem na wyżyny i spadają strąceni w połowie drogi. Żegnaj, Brylancie! Żegnaj, szczęście minione na zawsze!

Oszołomione naporem splątanych myśli, przybite bólem, trzy kobiety wstępowały na schody ciągnąc za sobą treny pięknych sukien, teraz pachnące stajnią.

Lekkomyślna śmieszka Amparito zanosila się łkaniem. Matka siłą wyciągnęła ją ze stajni szarpiąc za ramię.

Dziewczyna zawodziła:

— Ach, Brylant, mój biedny Brylancik!...

Swoją śliczną główkę dużego dziecka przytulała do czarnych nozdrzy zwierzęcia i całowała je.

Do późnej nocy panie Pajares siedziały pogrążone w rozpacz, bez słowa, w kącie ciemnego salonu, i tylko skąpe światło ulicznych latarni sączyło się przez otwarte okna. Owinięte w lekkie szlafroki, postacie ich rysowały się na tle ciemności jak nieruchome posągi. Dziewczęta rozmyślały o przyszłości, którą widziały teraz mglistą i ciemną; przeczuwały, że oto dziś wstępują w nowy okres życia, w którym kończy się pusty śmiech, w którym chłód troski o dzień jutrzejszy zwarzy wszelką radość.

Myśli donii Manueli były jeszcze smutniejsze. Wodziła wzrokiem po salonie, wywoływała w pamięci bliskich ludzi. Nic, ani jednego promienia nadziei. Potrzebne jej są pieniądze, aby powe

tować ostatnią stratę mogącą wywrzeć przemożny wpływ na dobre imię rodziny. Potrzebne jej są też pieniądze na pokrycie pewnych zobowiązań, które — jak to zwykle u niej — były sprawą pilną. Mimo jednak wielkiego kręgu przyjaciół, nie wydobywała z pamięci nikogo, kto by mógł jej pomóc.

To nie do wiary, że ją, która tyle tysięcy duros wydała w życiu i przecież błyszczała w świecie, dziś brak głupich kilku tysięcy realów wprawia w taką rozpacz!...

Coraz to przychodził jej na myśl brat. Przeklęty skąpiec! Trzeba mieć rzeczywiście serce z kamienia, żeby pozwolić rodzonej siostrze tak się męczyć, wiedząc, że można usunąć wszystkie jej kłopoty kilkoma brudnymi papierkami, których całe stopy leżały w starym sekretarzyku w alkowie. Ale nie ma czym sobie głowy zaprzętać, znała go dobrze, przecież już niejedną raz upokorzył ją swą bezwzględną odmową.

Drugą osobą, na którą nie mogła liczyć w tej ciężkiej sytuacji, był syn Juanito. Wiele lat donia Manuela rządziła nim wedle swej woli, ale ostatnio zdumiewała ją nieugięta postawa Juanita manifestującego wobec matki własną niezależność. Odmieniono jej syna, skarżyła się zrezygnowana Manuela. Stwierdziła tę odmianę ostatnio, gdy Juanito kilka razy z rzędu odmówił jej pieniędzy na opłacenie drobniejszych długów.

Donia Manuela była oburzona. Tymczasem w chłopcu zaczęła się budzić gorączka zdobywania pieniędzy. Odezwała się w nim kupiecka krew ojca, a może też odziedziczony po wuju Juanie instynkt gromadzenia. Uległ epidemii gry, skusiła go atmosfera wygranej, wreszcie widok milionów, stopy banknotów w biurku pryncypała spowodowały ostatecznie, że Juanito wzgardził uczciwym, spokojnym sposobem zdobywania dóbr materialnych i uległ gorączce giełdy. Jednak dopiero wtedy, gdy jego narzeczona ze swą starą przyjaciółką zdobyła się na odwagę i okazując bezgraniczną ufność wszechmocnemu panu Ramonowi Monte — oddała w jego ręce własne oszczędności, Juanito zdecydował się na podobny krok. Czyż miał się okazać większym tchórzem niż dwie słabe kobiety?

Sprzedął ogród w Alcira i uzyskane za niego osiem tysięcy duros zaokrągliły sumę, którą impuls ślepego zaufania rzucił do szuflady filantropijnego bankiera. Znakomity protektor za część tej

sumy kupił państwowe papiery wartościowe, pozostała zaś część, znacznie mniejszą, Juanito włożył w grę na giełdzie, a wszystko to czynił pod czujnym okiem pana Cuadrosa, choć bez zuchwałej odwagi tamtego.

Chwilami ogarniało go wahanie, nieraz opanowywał go niejasny strach na myśl o tym, że zdał swój los na kaprys przypadku, ale wszystko to nie odbierało mu wiary. Nie zarezerwował też sobie żadnej sumy ze swego kapitaliku na pokrycie weksli podpisanych pod naciskiem matki. Bo i na co taka ostrożność? Przecież słyszał nieraz, co opowiadał pryncypał i ów potężny bankier. Jego osiem tysięcy duros wkrótce podwoją się i potroją, a wtedy z łatwością spłaci długi matki i ożeni się z Toniką. Jednakże nim to się stanie, matka nie może liczyć na niego. Kocha ją bardzo, ma dla niej cześć niemal religijną, ale pieniędzy nie da, nie da ani grosza.

Donia Manuela wiedziała o tym dobrze i dlatego stawiała swego syna na równym poziomie z bratem. Ładna rodzinka, nie ma co mówić! Choćby miała zdychać pod płotem, na pewno nikt bliski pomocy jej nie okaże.

Opanował ją gniew; zaciśnięte dłonie szarpały nerwowo kokardę szlafroka. Pozostawała jeszcze jedna tylko furka, ale tej donia Manuela nie śmiała przekroczyć, gdyż z głębi jej sumienia podnosił się krzyk protestu.

Nie miała wątpliwości, że wystarczyłaby najlżejsza nawet aluzja, aby tamta osoba pożyczyła jej pieniędzy, których brak pogrążał ją w rozpacz. Niewątpliwie pan Cuadros bez trudu wyratowałby przyjaciółkę z kłopotu kilkoma tysiącami realów, był przecież człowiekiem, który co miesiąc obliczał swoje dochody na tysiące duros. Ledwie jednak taka myśl nawiedziła donie Manuelę, osaczały ją skrupuły, gdyż pewną dziedzinę przeżyć od wielu lat uważała dla siebie za zamkniętą.

Znała, życie. Rozumiała, czym grozić może taka przysługa i co może za sobą pociągnąć. Jeszcze miesiąc temu nie zawahałaby się zwrócić z prośbą o pomoc do swego byłego subiekta, pomimo pewnego upokorzenia, na jakie by się naraziła. Dziś jednak po wszystkim, na co z całym zuchwałstwem pozwalał sobie pan Cuadros w dniu Bożego Ciała i później, podczas swoich codziennych wizyt, donia Manuela zawstydzila się na samą myśl tak silnie, że gdyby

w salonie paliła się teraz lampa, każdy dojrzałby rumieniec na jej policzkach.

Poczuła nagle, że duch pierwszego męża, Melchiora Penia, którego przez tyle lat nie wspominała wcale, krąży wokół niej niby Anioł Stróż strzegący jej uczciwego wdowieństwa. W tej chwili osoba drugiego męża, doktora, przestała dla niej istnieć, ten hulaka i dziwkarz nie miał chyba prawa żądać, by zdawała mu rachunek ze swych postępów.

Ze zdziwieniem porównywała skrupuły, które ją ogarnęły teraz, z okresem, kiedy w pierwszych dniach wdowieństwa tak łatwo i prawie nieświadomie wpadła w ramiona Pajaresa. Wówczas miłość zdusiła wszystkie inne względy, obecnie jednak wchodził w grę uwłaczający czci interes — sprzedanie się, i dość było, aby dopuściła w myśli możliwość podobnej transakcji, a okrywała się purpurą wstydu. Właściwa jej duma przychodziła do głosu. Pomimo swego majątku Cuadros nie przestawał przecież być jej dawnym subjektem, mężem jej własnej służącej, poczciwiną, którego zawsze traktowała z pogardą. Czyż dla takiego człowieka warto stracić kosztem tylu ofiar i w ciągu tylu lat pielęgnowaną sławę uczciwej kobiety? Nie, już woli nędzę.

Donia Manuela, upojona własną energią i siłą postanowienia, zaczęła myśleć o nędzy jako o rzeczy co prawda nieznannej, ale miłej przez to, że ratuje przed hańbą. Ona i córki zabiorą się do pracy. Były przecież różne hrabiny, księżniczki, ba, nawet królowe, które kiedyś nagle wpadały w nędzę i znosiły ją z godnością. Pani Manuela, czyniąc pośpieszny przegląd skąpych wiadomości z dziedziny historii, pochlebiała własnej dumie stawiając siebie na piedestale zdetronizowanej i ubogiej królowej. Wystarczyło to, aby utwierdzić ją w powziętym postanowieniu.

Gdy Rafael i Juanito wrócili do domu, wszyscy zebrali się w jadalni. Smutna to była kolacja. Wydawało im się, że rozpostarte na dole w błocie stajni zwłoki leżą przed nimi na stole i szklanym nieruchomym wzrokiem spoglądają na swych dawnych chlebodawców.

Po kolacji obaj bracia wyszli, każdy w swoją stronę.

Juanito zmienił zupełnie przyzwyczajenia. Do domu nie wracał przed jedenastą. Po krótkiej wieczornej wizycie u Toniki i Michaeli szedł zawsze do kawiarni, gdzie zbierali się ludzie giełdy

i gdzie uczył się codziennie oceniać metody i przepowiednie zwolenników gry na „zwyżkę” i na „zniżkę”. O dziewiątej wieczorem panie Pajares przyjmowały zwykle Andresita w towarzystwie papy. Tego dnia przy spotkaniu ze swym dawnym subjektem donia Manuela zarumieniała się gwałtownie, jak gdyby mógł on przeniknąć myśli, które nurtowały ją przedtem.

Pan Cuadros wszedł radosny i rozpromieniony. Można by pomyśleć, że smutna wiadomość, jaką usłyszał na podwórzu od Neleta, sprawiła mu najwyższą przyjemność. A, więc koń zdechł? No, teraz rozumie, dlaczego dziś po południu panie wyszły na spacer pieszo. Oczywiście, szkoda wielka, bo koń, który mógłby godnie zastąpić Brylanta, będzie kosztować dobre pieniądze, ale cóż, u licha! Cztery czy pięć tysięcy realów nikogo jeszcze nie zrujnowało. Pan Cuadros mówił o pieniądzach z taką pobłażliwą pogardą, tak zadzierał nosa i wypinał brzuch, jak gdyby cały wypchany był banknotami. Panienci rozmawiały z Andresitem przy pianinie, a donia Manuela, poważna i już całkowicie opanowana, utkwiała wzrok w twarzy swego dawnego subiekta. Oburzał ją ton lekceważenia, z jakim ten człowiek mówił o pieniądzach. Jak krwawa drwina brzmiało w jej uszach przypuszczenie, że cztery czy pięć tysięcy realów — to dla niej wydatek niewielki. Gdy nad tym rozmyślała, jej wzrok zatrzymał się na marmurowym blacie złoczonej konsoli, gdzie przedtem pyszniły się wspaniałe, srebrne kandelabry, dzisiaj zastawione w lombardzie, po czyni przebiegał po taniutkich oleodrukach zdobiących ściany salonu, zamiast odziedziczonych po ojcu wielkich obrazów pędzla Juana de Juanes, za które dostała sumę potrzebną na miesiąc życia dla rodziny.

Oszołomiony powodzeniem, don Antonio najwidoczniej sam nie wiedział, co mówi. Przed kilku laty ona też była podobna do niego. Miała wtedy folwarki na sprzedaż i wyrzucała pieniądze garściami. Teraz jednak wstydliwie skrywane ubóstwo nauczyło ją cenić wartość pieniądza.

Ciągle jeszcze nie zdając sobie sprawy z prawdziwej sytuacji pani Manueli, Cuadros dręczył ją okrutnie. Pragnąc okazać się usłusznym i miłym, zaczął czynić propozycje, które dla niej brzmia

ły jak drwina. Sam zajmie się kupnem nowego konia. Potrafi to zrobić dobrze i tanio; zwierzę nie ustępujące pięknnością Brylantowi nabędzie za sumę nie więcej niż trzech tysięcy realów. Jest w dobrych stosunkach z najślawniejszymi handlarzami bydła. Koń, na którym jeździ jego syn, kosztował go doprawdy drobnostkę. Ma nadzieję, iż tym razem niegorzej mu się powiedzie.

— Dobrze by jednak było, gdyby kupiła go pani jak najprędzej, bo jeżeli znajomi będą panią spotykać na spacerze tak jak dzisiaj, wnet zaczną to złośliwie komentować. My, ludzie z wyższych sfer, musimy zwracać baczną uwagę na pozory.

W tym miejscu zadufany głupiec aż przymknął oczy, jak gdyby spoglądając na ludzkość z owej nieosiągalnej wysokości doznał zawrotu głowy.

Wypowiedziane głośno twierdzenie, że znajomi zaczną komentować jej niezwykle sposób pokazywania się w miejscach publicznych, trafiło do przekonania donii Marnieli. Właściwa tej kobiecie duma kazała jej drzeć na samą myśl o upokarzającej litości, z jaką będą rozprawiali o jej ruinie.

Nie, ona absolutnie nie nadaje się do rezygnacji z życia, do nędzy. Musi utrzymać się na powierzchni, na wyżynie, nie przebijając w środkach. Jeżeli wyczerpie wszystkie jej dostępne, nie cofnie się nawet przed tym ostatecznym, na wspomnienie którego rumieniła się po uszy.

Aby utwierdzić się w swoim postanowieniu, dumna seniora szukała w myśli odpowiednich wzorów. Przypominała sobie skandaliczne sprawy, o jakich panie opowiadały szeptem podczas zebrania towarzyskich: stawiała jej przed oczyma długa lista mężatek równie szanowanych jak ona, przyjmowanych w najwyższych towarzystwach, a które dla uratowania pozycji rodziny czyniły podobne ofiary. Wzmocniona tym zabójczym przykładem kobiet, które niegdyś sama potępiała, rzuciła na swego dawnego subiekta spojrzenie, w którym zabłysnął bezwstyd rozsądny i spokojny. — Cóż — pocieszała się — ostatecznie pan Cuadros, chociaż człowiek zupełnie prosty i trochę cham, jako mężczyzna jest całkiem do rzeczy. — Jej sytuacja była więc bądź co bądź lepsza od sytuacji kobiet, które musiały szukać oparcia w ramionach jakiegoś ohydneho zdechlaka.

Głędziarz dostrzegł coś nowego w spojrzeniu małżonki dawnego pryncypała. W swej naiwnej próżności starego lowelasa wyprostował się z dumy, jak gdyby przekonany, że to jego zalety osobiste składają mu w ręce tak wspaniałą zdobycz.

Wizyta zakończyła się dopiero o północy. A gdy ojciec z synem skierowali się ku drzwiom w towarzystwie odprowadzających pań, donia Manuela zamieniła ostatnie słowa z seniorem Cuadrossem.

— A więc zgoda. Pan bierze na siebie obowiązek zakupu konia. Mam nadzieję, że zechce pan już jutro się tym zająć.

— Ależ oczywiście... Nie muszę pani zapewniać, że wszystkie pani sprawy leżą mi na sercu tak jak moje własne.

— A więc niech pan łaskawie zgłosi się jutro o trzeciej po pieniądze.

— O, to nic pilnego. Będziemy jeszcze mieli dość czasu na rozrachunki ... Pozwolę sobie jednak przyjść, bo nie chcę się wyrzekać przyjemności rozmowy z panią.

Zadowolony z siebie wyszedł pan Cuadros na ulicę. Aż parskał z radości, bo poczuł się nagle młody, i z pewną litością spojrzął na syna, na to nieśmiałe, skurczone stworzenie, podrygujące obok niego. Gdyby tak zamiast pięćdziesiątki na karku miał lata tego niedojdy, pokazałby światu, co potrafi. Ach, ogarnięty falą radosnego optymizmu, zapomniał prawie, że jest ojcem młokosa.

Nazajutrz pan Cuadros przyszedł bardzo punktualnie. Wchodząc do mieszkania zdziwił się przyjemnie, stwierdzając, że seniora jest sama w salonie. Siedziała tam w najelegantszej ze swoich domowych sukien, uróżowana i upudrowana wytwornymi kosmetykami córek. Głędziarz poczuł się odmłodzony. Przypomniały mu się czasy młodzieńczych zapałów, kiedy to jako pierwszy subiekt żartował ze służącą Teresą i gonił za nią po kątach składu „Pod Trzema Różami”.

Mama posłała córki z wizytą do sędziny, Juanito był w sklepie; Rafael nie zjawi się pewno przed północą.

Z jadalni dochodził brzęk wycieranych przez Visantetę nakryć stołowych. Visanteta była jedyną osobą w domu, która wiedziała o wizycie pana Cuadrosa. Wizyta zresztą trwała bardzo długo. Dziewczyna słyszała przytłumiony śmiech swojej pani i przesuwanie mebli jak gdyby gwałtownie popychanych, ale była sprytna, dyskretna i przyjęła jako zasadę, że nie będzie się wtrącać.

cać do spraw, które jej nie dotyczą, i osądzać czynów innych ludzi.

Nazajutrz rodzina Pajares mogła wyjechać na spacer powozikiem; opustoszałe miejsce u dyszla zajmował teraz koń młodszy i lepszej krwi niż Brylant. Wszystkie niedzielne troski i zmartwienia utonęły w nowej fali dobrobytu, jaka nieczęsto nawiedzała ostatnio ten dom. Donia Manuela miała pieniądze; zaczęła płacić rachunki, dostawcy przestali nachodzić ją z żądaniem uregulowania dawnych długów, francuska krawcowa otrzymała swoich kilka tysięcy realów, które uważała za stracone, i uszyła pannom Pajares nowe sukienki na lipcowy jarmark. W rodzinie donii Manuli zapanował spokój i zadowolenie, które odbiły się echem „Pod Trzema Różami”, gdzie poczciwa Teresa uważała się znów za szczęśliwą małżonkę. Dowiedziała się bowiem, że mąż jej zerwał definitywnie z Klaritą, „diablicą” z ulicy Puerto. Przestał płacić za nią komorne, nie pokrywał jej szalonych wydatków. Co więcej: jakaś litościwa dusza zawiadomiła go, że owa rozpustnica przyprawia mu rogi ze smarkaczami z Giełdy, więc don Antonia ogarnęła skrucha i przestał zajmować się kobietami tej kategorii.

Biedaczka Teresa na myśl o swojej dawnej chlebobawczyni, która zdołała dokonać cudu i skierować męża na drogę obowiązku, odczuwała dla niej tyle wdzięczności, że łzy stawały jej w oczach. Donia Manuela to osoba niezwyklej dobroci. Tylko ona potrafiła przywieść do opamiętania pana Cuadrosa.

ROZDZIAŁ X

Juanito żył teraz w ciągłym niepokoju i trwodze, jak człowiek, który swoją przyszłość powierzył kaprynowi przypadku. Tak systematyczny i skrupulatny dotąd w spełnianiu obowiązków, zaczął zaniedbywać sklep i w towarzystwie pryncypała chodził na giełdę oraz odwiedzał lokale, gdzie zbierali się współnicy jego finansowych operacji. Cóż zresztą mógł go teraz obchodzić sklep „Pod Trzema Różami”. Przestał myśleć o sobie jako o przyszłym właścicielu firmy. Pierwsze wygrane, zdobyte z dziecinną łatwością, zawróciły mu w głowie. Pragnął zostać milionerem, by ujarzmić los, i już zaczynał kpić z czasów, kiedy marzył z Toniką

o monotonnej, spokojnej egzystencji mieszczkańskiej i o ciułaniu kapitaliku mającego im zapewnić beztronską starość. Narzeczona starała się studzić jego zapęły finansisty. Nie "trzeba kusić losu; teraz szczęście im sprzyja, byłoby więc szaleństwem, gdyby się nie wycofali w porę.

Ale Juanito nie chciał jej słuchać. Co kobiety wiedzą o interesach? Po co ma stawać w pół drogi, kiedy może dojść za swoim pryncypałem aż do rajy milionerów? Coraz bardziej zakochany w Tonice, pieścił w sobie myśl jak najszybszego małżeństwa, a równocześnie ta sama miłość kazała mu czekać. Warto na kilka miesięcy czy na rok powściągnąć miłosne zapęły, aby tymczasem kapitał przetoczył się przez giełdę jak kula śniegowa i powiększył; gdy Juanito posiadał wreszcie upragniony milionik, postawi dalszy krok ku pełnemu przekształceniu dotychczasowego życia. Co to będzie za przyjemność obserwować, jak pod kierunkiem próżnej teściowej biedna szwaczka przemieni się w elegancką seniorkę, panią wielkiego domu z powozem, otoczoną całym pięknem życia, jakie daje bogactwo. Pragnienie jak najszybszego osiągnięcia tego kuszącego celu dodawało mu odwagi i kazało ukrywać strach przed możliwością ruiny.

Ci, którzy go znali z dawnych czasów, zdumiewali się radykalną zmianą, jaka zaszła w jego usposobieniu. Wuj don Juan przestał z nim rozmawiać. Pewnego dnia oświadczył, że wszelkie więzy rodzinne między nimi uważa za zerwane, i mało brakowało, aby go uderzył.

— Jesteś idiota, Juanito — powiedział stary skąpiec i usta drżały mu z wściekłości, gdy podkreślał szczotkowate wąsika. — Zawsze myślałem, że odziedziczyłeś raczej charakter ojca niż mojej siostry, i dlatego cię kochałem. Widzę jednak, że się myliłem. Złe towarzystwo zgubiło cię, podziałała na ciebie atmosfera kłamstwa, w której żyjesz, przykład twojej rozrzutnej matki i rady zarozumiałego pryncypała, który uważa się za wyrocznik w interesach tylko dlatego, że ślepy kaprys losu pomaga mu zdobywać pieniądze. Ale kiedyś będzie musiał zapłacić za wszystko i jeszcze

dożyję tej przyjemności, że roześmieję mu się w nos, jak zostanie bez koszuli. I na ciebie przyjdzie kolej. Oj, przyjdzie, przyjdzie!... Gdybyś sprzedał ogród po to, żeby zostać właścicielem sklepu

„Pod Trzema Różami” i ożenić się z tą dziewczyną, która jest podobno przyzwoitym człowiekiem, uradowałbyś swego wuja. Gdyby ci tylko czegoś zabrakło, miałbyś mnie. Wystarczyłoby, abyś powiedział: „Wuju, potrzebne mi jest to i to”, a już bylibyśmy w mieście i robili zakupy. A teraz przepadło, wiedz o tym. Nie licz na mnie w niczym. Przestałeś być moim siostrzeńcem. Widzę, że jesteś taki sam jak twoja rodzina, więc już nie mogę cię kochać. A tak w ciebie wierzyłem, tak marzyłem, że to ciebie zobaczę leżąc na łożu śmierci, że przeliczywszy moich kilka groszy powiem: „wszystko to jest dla mojego chłopaka”. Ale rozczarowałeś mnie. Idź sobie, wygrywaj miliony na giełdzie, ale jeżeli zostaniesz w końcu żebrakiem, to nie proś mnie o pomoc, bo ja ci się tylko w twarz zaśmieję i jeszcze raz powtórzę, że jesteś głupi.

Zerwanie z wujem głęboko zmartwiło Juanita. Don Juan był mu przecież prawdziwym ojcem, a ponadto w swych kupieckich obrachunkach Juanito zawsze liczył na spadek po wuju. Ale burzliwe życie giełdjarza i mnożące się wygrane zatarły z czasem żal.

Gdy pod koniec miesiąca podejmował należne mu różnice kursu, mówił do siebie zdumiony:

„To rzeczywiście nie do wiary, że można nam brać za złe korzystanie z tak pewnych dochodów. Ale trudno, kto by tam zwracał uwagę na gadania dusigroszów!”

Do dusigroszów zaliczał Juanito już nie tylko wuja, ale i don Eugenia, założyciela firmy „Pod Trzema Różami”, gdyż on także wyrażał wielkie niezadowolenie, że Juanito obrał takie źródło dochodów. Za każdym razem, gdy młodzieniec znalazł się w sklepie razem ze starym kupcem, ten rzucał mu spojrzenie jednocześnie współczujące i pogardliwe.

Nieraz nawet mamrotał tonem wyrzutu:

— Oj, Juanito, Juanito!... Widzę cię nad przepaścią. Ten diabelski Cuadros ciągnie cię do zguby.. Nie próbuj go bronić ani usprawiedliwiać. Teraz ci się dobrze wiecie, więc nie dasz się przekonać, ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. — Staruszek odchodził najgłębiej przekonany, że bieg wypadków potwierdzi jego przewidywania.

Jedynie we własnym domu znajdował Juanito poklask i szacunek. Widząc syna tak całkowicie pochłoniętym interesami, matka kochała go jakby więcej. Juanito nie był już tylko subjektem, stał

się giełdjarzem, a to daje człowiekowi wyższą pozycję społeczną. Ponadto jego wygrane utwierdzały nadzieje wdowy, która mimo że wszystkie jej obecne potrzeby były zaspokajane, nie przestawała się troszczyć o przyszłość. Powodzenie Juanita mogło umocnić pozycję rodziny.

Zbliżał się jarmark lipcowy i w domu pani Pajares wszyscy żyli pod jego znakiem. Nigdy dotąd nie spędzano tu tak przyjemnych wieczorów. Po kolacji przychodził zawsze pan Cuadros z Teresą i synem na wieczorne, wesołe pogawędki.

Przez otwarte okna i balkony wdzierały się słodkie zapachy letniej nocy, pełne podniecających woni. Placyk się ożywiał. Upał wypędzał ludzi z suterren, z dusznych izb. Przed drzwiami domów wysiadywały na niskich, ciasno zestawionych stołkach jasno ubrane postacie zasapanych kobiet. W górze nad dachami rozpościerało się letnie niebo, przedziwnie, mętnawo przezroczyste niby jedwabny, pocięty przez mole pokrowiec, sączący światło niezliczoną mnogością dziurek. Na ciemnych balkonach wyższych pięter, pomiędzy doniczkami kwitnących kwiatów i krągłym, glinianym dzbanem z wodą, rysowały się sylwetki w lekkich strojach. Z innych, na oścież otwartych i oświetlonych, przesączała się, jak u Pajaresów, muzyka pianina, której towarzyszyło rytmiczne bębnienie kropel kąpiących ze świeżo podlanych doniczek.

Wśród gromadek stojących na placu rozkrawano olbrzymie arbuzy i kobiety pożerały soczyste półksiężycy, osłaniając pierś chustką do nosa, aby zabezpieczyć się przed płamami, jakie zostawia ściekający z kątów ust czerwonawy sok. Z

jakiejś sieni dochodził szept gitary potrącanej ręką stęsknionego młodzieńca, z innej odpowiadała harmonia ostrym, gładzącym skrzeczeniem.

Gwar placu, śmiechy, nawoływania, brzękanie gitary i pieśni — wszystko to, jak głuchy akompaniament do towarzyskiej konwersacji, wdzierało się przez balkon do salonu państwa Pajares wraz z chłodnym podmuchem nocy. Panienki rozmawiały z Andresitem; snuły plany zabawy na zbliżający się jarmark. Wspominały coroczne kontredanse w pawilonie rolnictwa i wesołe walce w pawilonie handlu; omawiały nowe suknie nadesłane przez francuską krawcową, które będą czekały nietknięte, aby zabłysnąć w alejach dopiero pierwszego świątecznego wieczora. Radość panienek nie była pozbawiona złośliwości, przewidywały bowiem

wrażenie, jakie wywoła na przyjaciółkach ich niezwykła elegancja.

Tak, spokój i szczęście powróciły w progi tego domu.

Nawet Conchita, z natury raczej zapalczywa i kapryśna, przeżywała okres zadowolenia, gdyż, jak stwierdziła, Roberto „wrócił jak koza do woza” i wydawał jej się bardziej zakochany niż kiedykolwiek. Wieczorami, zaniedbując swego przyjaciela Rafaela, dotrzymywał towarzystwa paniom Pajares. Najwidoczniej jednak nawet te długie wieczorne rozmowy z narzeczoną nie wystarczały już Robertowi, gdyż składał jej dodatkowe wizyty z rana, gdy Amparo zajęta była poranną toaletą, służące szły na rynek po zakupy, a mama leżała w łóżku. Wtedy czuł narzeczoną wchodził na schody i przez nie domknięte drzwi rozmawiał z Conchitą dłużej niż godzinę; oddalał się dopiero wtedy, gdy donia Manuela była już na nogach i zaczynał się ruch w domu.

Największym zainteresowaniem rodziny cieszyły się przewidywane trzy walki byków, centralny punkt świątecznej zabawy. Wspólna narada rodzinna skonkretyzowała projekty związane z tą imprezą. Pan Cuadros zakupił dobrą łożę dla wszystkich i zarówno panny Pajares, jak Teresa miały zamiar przyćmić własną elegancją wszystkie wykwintne toalety publiczności.

Sukienki panienek wisiały już w szafie. Były to charakterystyczne stroje dziewcząt madryckich; nieskończoną ilość razy panny przymierzały je przed lustrem i uczyły się z naturalną elegancją zarzucać na głowę białe, koronkowe mantyle. Mamy zamierzały się ustroić w ciemne jedwabne suknie i kosztowne czarne mantyle podarowane obydwoj przez pana Cuadros.

Nadszedł dzień pierwszej corridy, w atmosferze wyczuwało się szalone napięcie, nie wolne od brutalności. Od samego rana potrącano się i przepychano łokciami ku sprzedawcom, którzy na placu San Francisco sprzedawali bilety krzykując na przemian: „w słońcu” i „w cieniu” ... Do miasta zjeżdżali masowo ludzie z okolicznych podwalenckich gospodarstw warzywnych i z dalszych wsi, ubrani w aksamitne spodnie i kolorowe płaszcze lub też, jak znani z chytrności mieszkańcy Ribery, w stroje z cienkiego, czarnego sukna. Marynarkę zarzucali na jedno ramię ukazując

biały rękaw koszuli i stąpali ciężko w swoich gumowych butach, z zuchwałą napastliwością okręcając w palcach dziecinną na pozór, cieniutką laseczkę.

Mieszczanie ze wszystkich ulic wyglądali tak jednakowo, jak gdyby całe miasto ubrało się według tego samego modelu: sztywne, szerokoskrzydłe kapelusze kordobańskie z białego filcu lub ze słomy, jasne marynarki i czerwone krawaty, a w każdych ustach ćwierćmetrowe cygaro.

Z placu San Francisco prowadziła pochyla ulica, po której płynął bez przerwy gwałtowny potok ludzi. Wspaniałe pamplońskie konie w fantazyjnych czaprakach pobrzękiwały dzwoneczkami i jak błyskawice przewijały się przez tłum, ciągnąc za sobą lekkie, jasne powoziki arystokracji i ciężkie, angielskie powozy, gdzie na ławeczkach tkwiły, niby chwiejące się na wietrze kwiatki, dziewczątka ubrane na różowo i niebiesko, z białą koronką zarzuconą na oczy.

Drobny ludek miejski, ci, co będą siedzieli w „słońcu”, ciągnęli gromadami niosąc buty na ramieniu, z kijem liryjskim w ręce, woniejący winem i rozkrzyczani, jak gdyby już teraz pijani czekającą ich spiekotą.

Małe obdartusy przedzierały się przez tę falę ludzką, namawiając do kupna ilustrowanego życiorysu sławnego toreadora Lagartijo oraz wizerunków sześciu byków, które dziś wystąpią w walce, a także ich przodków. Chłopcy reklamowali też drewniane, zakurzone wachlarzyki, na których niezręczna ręka wymalowała byka o kształtach bukłaka z winem i toreadora jak rozdeptana zaba.

Gapie spragnieni wrażeń tłoczyli się przed zajazdami, w których ulokowały się zespoły cyrkowców, i czekali cierpliwie na wyjście toreadorów, aby bodaj dotknąć szanownych galonów mistrza. Tłum rozstępował się ciekawie za każdym razem, gdy przyklejony do siodła pikador z siedzącym na zadzie konia pomocnikiem przejeżdżał na kościstej, ledwo żywej szkapie, drobnutkim truchcikiem unoszącej go na plac.

Pośród pojazdów z turkotem pędzących ulicami miasta był i powazik Cuadrosów, a tuż za nim sunął wynajęty powóz, w którym siedziały panie Pajares. Donia Manuela, rozparta na głównym siedzeniu, była upudrowana i podmalowana z takim kunsztem, że jej twarz wyglądająca spośród czarnej koronki robiła wrażenie

skończenie pięknej. Naprzeciwko niej siedziały panienki, śliczniutki i pełne wdzięku, niby laleczki wycięte z czasopisma poświęconego walkom byków. Miały płytkie pantofelki, ażurowe pończoszki, wążutkie sukienki kryte siatką zdobną w pomponiki i spoglądały śmiało spod białego obłoku cieniutkiej mantyli otaczającej ich urocze główki i spiętej na piersiach bukietem goździków.

Cóż za cudowny dzień! Nigdy jeszcze panie Pajares nie były tak uszczęśliwione życiem. Gdy wysiadały z powozu, spadła na nie burza komplementów, tak że wystarczyło ich nawet dla mamy, która dyszała głośno i czerwieniła się z zadowolenia. Niewątpliwie ze wszystkich pań obecnych na placu one zwracały na siebie największą uwagę. Trzeba je było widzieć w łoży, gdy wachlowały się niedbałym, a pełnym wdzięku gestem. Kobiety siedzące pod gołym niebem aż wstawały z miejsc i odwracały się plecami do areny, aby je obrzucić zazdrosnym spojrzeniem.

Pana Cuadrosa rozpierała duma. Rzeczywiście nie mógł się uskarżać na los. Zarabiał, ile tylko chciał. W swoim jasnym ubraniu i czerwonym krawacie, z wielkim cygarem w ustach, z którego nie zdjął papierowej obrączki, aby wszyscy zdawali sobie sprawę z jego ceny, wyglądał jak młodzieniaszek. Z jednej strony miał Teresę uszczęśliwioną, bez cienia podejrzeń, z drugiej — donię Manuelę dumną z podziwu, jaki swoim ukazaniem się wzbudziły na placu jej córki i ona sama.

Zadowolony i dumny był więc senior Cuadros, a zachwycone spojrzenia utkwione w jego łoży uważał za hołd dla siebie. Czyż można żądać czegoś więcej od życia? Wypełniał obowiązki względem sumienia, więc nie szczędził sobie przyjemności. U jednego boku legalna małżonka, u drugiego — donia Manuela, zaspokojenie zmysłów i próżności. Obydwie rodziny, które łączył własną osobą, były zadowolone, błyszczały zbytkiem i przykuwały uwagę publiczności. Wszystko to zawdzięczał dobremu losowi, który pozwalał im zgarniać pełnymi garściami tysiące peset. Giełdziarz rozkoszował się własnym szczęściem i stwierdzał w duchu, że łaskawy Bóg spełnił już wszystkie jego życzenia, więc nie miał nawet czego pragnąć, pewny, że i tak wkrótce zostanie milionerem.

W głębi łoży siedzieli młodzieńcy: syn Cuadrosów i synowie donii Manueli; z lornetkami przy oczach rozglądali się po placu.

W ocienionej przestrzeni amfiteatru na wszystkich wysokościach panowały białe kapelusze, których fala opadała aż do samej bariery. Monotonię szeregu białych punktów przerywały czasem kolorowe kwieciste szale lub gdzieś tam na tle haftowanej chustki z Manilli błysnęła lakierowaną czernią gładkie uczesanie. Gdy drzewiczki łóż otwierały się z trzaskiem i za żelaznymi sztachetkami, owiniętymi sztandarem narodowym, ukazywały się, jak symbol wiosny, roześmiane twarzyczki pod białą koronką mantyli na ukwieconych włosach, zrywały się krzyki entuzjastów z dołu, którzy aż stawali na ławkach.

Siedzącym naprzeciwko areny słońce marszczyło skórę na twarzy, oblewało ją potem, nakładało na głowy ognisty hełm słońca. Tutaj panoszył się plebs, żywioł hałaśliwy, pełen niecierpliwości, równie skory w hołdzie dla mistrza do

rzucenia mu w głowę własnego kapelusza, jak ławki lub ciężkiego kija, gdy mu się corrida nie podoba. Z tych szeregów tryskały zawsze obelżywe słowa pod adresem zbyt ostrożnych pikadorów, którzy na widok rozjuszonego byka myśleli o żonie i dzieciach. W tej części widowni nie było śladu monotonii w strojach, jaka panowała w cieniu. Tutaj całe bogactwo barw układało mozaikowy obraz, gdzie zestawienie kolorów zmieniało się wraz z ruchem publiczności.

Jaskrawe kolory wiejskich strojów przeplatały się tam z białymi plamami koszul, z czerwonymi spodniami żołnierzy; olbrzymie parasolki z fioletowego jedwabiu, jak gdyby skradzione z dawnej zakrystii, rozpościerały się obok wielkich, papierowych wachlarzy trzepoczących bez ustanku. Nad głowami tłumu wirowały podawane z ręki do ręki wory z winem; ludzie krzyczeli, narzekali, że późno — wszystko to wywoływało w tej części placu nastrój rozpasania, pogoni za brutalnym użyciem. Z górnej galerii, ocienionej występem muru otaczającego arenę, zwisały miękko i bezwładnie chorągiewki w żółte i czerwone pasy. Od czasu do czasu wstrząsał nimi leniwie powiew morskiego wiatru przelatującego nad niziną. Wietrzyk ten odświeżał ludzi znużonych upałem i pozwalał głębiej odetchnąć ich zmęczonym płucem. W górze, niby sklepienie nad areną cyrku, rozpięte było błękitne niebo bez obłoku, przecinane od czasu do czasu wężowym sznurem nie wzruszonych tym dziwnym zgromadzeniem gołębi. Była już czwarta po południu i ludzie niecierpliwiili się coraz bardziej. Za barierą

młodzi pomocnicy pikadorów krzatali się w czerwonych bluzach, uginając się pod ciężarem stosów czerwonych płacht, używanych do drażnienia byków i obrzydliwie poplamionych krwią. Sprzedawcy wody sodowej biegali z tacą na głowie, przeciskali się przez stłoczony tłum i krzykliwie zachwalali limoniadę i piwo. Sprzedawcy leśnych orzeszków altramuces i fistaszków wsypywali miarką swój towar do rozpostartych chusteczek, które im spuszczano z galerii, po czym z zonglerską zręcznością odrzucali właścicielom nabite tłumoczki.

Zagrała muzyka, zabiły serca przepelnione oczekiwaniem, wszystkich ogarnęło wzruszenie.

Panie Pajares lubiły ten moment. Sama walka nudziła je lub przerażała, ale wyjście na arenę bohaterów dnia przykuwało zawsze ich uwagę. Aż przechyliły się przez barierę, aby jak najlepiej widzieć defiladę wytwornych, pełnych wdzięku postaci, błyszczących w słońcu przepychem galonów, ozdób, epoletów.

Gdy pierwsze chwile entuzjazmu minęły, gdy złożone peleryny ustąpiły miejsca brudnym płachtom, muzyka przestała grać, a na arenę wpadł galopem mistrz ceremonii w staroświeckim stroju, panie Pajares przygotowały się na nudy.

Pierwszy byk... doskonały. Początkowo z zainteresowaniem przyglądały się walce mistrzów zręczności, podziwiały odwagę, z jaką smukłe postaci, co chwila ocierające się prawie o krzywe łuki rogów, umiały wyrwać się z rąk śmierci; zaledwie jednak zaczęła się brutalna część widowiska, kiedy niby ciężkie worki z piaskiem zaczęły padać na ziemię nieszczęsne żółto ubrane kukły, gdy ugodzone konie uciekały depcąc po krwawych strzępach własnych wnętrzności — panny odwróciły głowy z obrzydzeniem i przestały patrzeć na arenę. Po co tu w ogóle przyszły? Po to, co wszyscy — aby się pokazać i aby zobaczyć innych, aby zabłysnąć na chwilę, a potem blednąc ze wzruszenia i strachu i wreszcie krzyknąć z przerażenia, gdy rogata głowa bestii parska tuż nad karkiem uchylającego się zręcznie toreadora. W miarę jak walki się przedłużały, większość publiczności wydawała się

coraz bardziej znudzona. Nawet ci „w słońcu”, jeśli nie ze wstrętu, to z nudy siedzieli cicho, pozwalając, aby krwawe wypadki na arenie rozgrywały się pośród upartego milczenia. Może, wyczekując jak najszybszego końca walki, obawiali się jakimś odezwaniem ją przedłużyć. Tylko grupki zapalonych amatorów takich igrzysk podtrzymywały walczących; ci oklaskiwali frenetycznie swoich bogów, wywoływali ich nazwiska, wiedli krzykliwe spory. Po skończonym przedstawieniu ludzie opuszczali cyrk powoli i leniwie, odmiennie, niż doń wtargnęli. Wydawali się zmęczeni, szli noga za nogą, zamknięci w sobie, jak gdyby padli ofiarą oszustwa lub stracili jakieś złudzenia. Nastrój świątecznego wesela podtrzymywali jedynie ci, którzy wychodzili przez furtę „ze słońca”, wypieczeni i spoceni.

Poklepując przyjaźnie zmarszczone buklaki i puste butle z dyni, zapewniali krzykliwie, że zawartość tych naczyń znalazła się w odpowiednim miejscu i spełnia dobrze swoje zadanie.

Rodziny Cuadros i Pajares, poszturchiwane przez tłum, wyszły z placu kierując się ku konnym policjantom, regulującym ruch powozów. W poszukiwaniu pojazdu obie mamy i panienki musiały unieść długich jedwabnych spódniczek i uwały sobie pończochy błotem świeżo skropionej jezdni.

Wreszcie spotkali Neleta, który pilnował powoziku pana Cuadrosa. Nie miał liberii, lecz własną marynarkę, ponieważ jego panie przyjechały dziś wynajętym powozem, z obcym stangretem.

Pan Cuadros gramolił się właśnie na kozioł i brał do rąk lejce, gdy mrukowaty chłopak podrapał się w głowę, jak gdyby miał coś do powiedzenia, i podał panu Antoniowi złożony i zalepiony niebieski papiererek. Był to telegram. Juanito, wyczuwając ważność chwili, odszedł od matki i stanął u boku pryncypała, jak nakazywała mu solidarność. — Na pewno nic takiego! — powiedział obojętnie pan Cuadros — to chyba depesza od naszego agenta z Madrytu. Powodowany siłą przyzwyczajenia, natychmiast otworzył depeszę i przebiegł oczyma jej treść.

Jego twarz powlokła się nagłą błądzącością. Tupnął nogą i zaklął tak ordynarnie, że policzki Teresy pokryły się rumieńcem, a donia Manuela, nieubłaganie tępiąca grubiaństwa, zmarszczyła czoło. Spoglądając nad ramieniem pryncypała, Juanito odczytał tekst de

peszy. Zbladł także i zaczął szybko mrugać powiekami, jak gdyby mu coś wpadło do oka.

— Widziałeś, Juanito — powiedział zdyszany mistrz — nagle poszło w górę aż o trzy... Co to jest? Musimy natychmiast zobaczyć się z don Ramonem. Ładnie wyszliśmy tym razem!... Ale nie, on by się chyba tak nie pomylił! W tym coś jest! W każdym razie musimy natychmiast naradzić się z tym panem. Chryste Panie! To nie błądostka!... Wsiadł do powoziku i zaciął konie, zdenerwowany i niecierpliwy, chcąc jak najszybciej dojechać do domu i schronić się pod opiekuńcze skrzydła niezawodnego protektora.

Juanito nie znalazł w sobie dość przytomności umysłu. Błady, oblany zimnym potem, zaczął coś mówić gestykulując gwałtownie, po czym odszedł bez pożegnania. Pobiegł wprost do biura wszechmocnego pana Morte jak do Mekki.

Widok ludzi spokojnych i niezaaferowanych, widok błękitnego nieba, świadomość, że wszystko jest jak zwykle, budziły w nim ogromne zdumienie. Nic na zewnątrz nie wskazywało, że oto wielki geniusz omylił się po raz pierwszy, radząc gnać na zniżkę.

ROZDZIAŁ XI

Klęska była zupełna.

W dwa dni później nie wątpił już o niej żaden z giełdjarzy, którzy dotąd uważali sławnego don Ramona za wyrocznie. Sam bankier przyznał, że tym razem się pomylił, mimo to jednak nie przestawał się uśmiechać i zapewniał, że tak samo jak mogła przyjść nagle nieprzewidziana zwyczajka, mogła nastąpić nieprzewidziana zniżka, gdyż czasy, jak wiadomo, się zmieniają.

Te niejasne słowa bankiera przyjęli wierzący mu ślepo ludzie jak uśmiech nadziei; dodały im one sił do zniesienia ciosu. Klęska dosięgła wszystkich wielbicieli don Ramona, jednakże najwięcej ucierpiał Cuadros, który stwierdził, że jego dotychczasowe wygrane na giełdzie stopniały bez śladu.

Ale to go nie złamie, o nie! Któryż to z wielkich wodzów nie przeżył klęski? A Cuadros był przecież wiernym żołnierzem

don Ramona, przekonany, że droga wiodąca śladami takiego człowieka wcześniej czy później musi doprowadzić do zwycięstwa.

Pomyłka wielkiego bankiera cofnęła pana Cuadrosa do punktu, w którym się znajdował przed przystąpieniem do gry na giełdzie. Oto stał się znowu zwykłym właścicielem sklepu i kilku drobnych folwarków. Ten fakt dodawał mu jednak zapału i wzmacniał jego upór. No, bo ostatecznie cóż stracił? Jego sytuacja była taka sama jak przed rzuceniem się w wir interesów. Utracił tylko to, co wygrał na giełdzie, a za to przez cały ten czas używał życia, wyrzucał pieniądze pełnymi garściami. Tego nikt mu już odebrać nie może ... A więc, naprzód! Najlepszymi woźnicy zdarza się potknąć o nieznaczną przeszkodę.

Te rozważania tak dalece przywróciły mu spokój, że pocieszał Juanita, który wydawał się pogrążony w rozpacz, mimo że stracił znacznie mniej od mistrza.

— Głowa do góry, chłopcze, w naszych interesach trzeba być odpornym. Myślisz, że można łowić miliony nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo? Spójrz na mnie: powróciłem do sytuacji, w jakiej znajdowałem się przed rokiem — jestem znowu niebogatym sklepikarzem. Kto inny na moim miejscu mógłby się uważać za straconego, ale ja dam sobie radę. Co z tego, że zwyżka się utrzymuje? Ja i tak będę grał na niżkę jak dawniej. Skoro don Ramon jest za niżką, to i ja za niżką. Bo niekonsekwencja płoszy szczęście.

Takimi argumentami, wypowiedzianymi energicznym tonem, bez głębokiego przekonania, udało się panu Cuadrosowi uspokoić trochę Juanita.

Don Antonio nie wywierał podobnego wpływu na starego Eugenia, swego dawnego pryncypała. Gdy do staruszka dotarła hiobowa wieść, nie wpadł we wściekłość, jak się tego można było spodziewać, ale podszedł do swego byłego ucznia i pełen ojcowskiej troskliwości radził mu:

— Jeszcze nie jest za późno, wycofaj się! To, co ci się zdarzyło, jest ostrzeżeniem Opatrzności. W gruncie rzeczy nic nie straciłeś, źle zdobyty pieniądź zawsze biorą diabli; a to, co teraz posiadasz, zdobyłeś uczciwą pracą. Wierzaj mi, Antonio: najlepiej jest żyć jak Pan Bóg przykazał, spokojnie i skromnie. Poświęć się wychowaniu syna, staraj się z niego zrobić użytecznego członka spo

łeczeństwa i nie powtarzaj szaleństw, o których nie będę ci już więcej mówił. Nie kuś losu, bo to zdrajca. Weź pod uwagę, że drugi taki cios, jak ten, uczyni twoją żonę i syna żebrakami.

Po ostatniej przegranej Cuadros nie miał dość odwagi ani sił, aby wszczynać dysputę na temat metod gry na giełdzie, ani tym bardziej podtrzymywać własną nieomyślność. Odpowiadał więc potakująco, jak gdyby przyjmował wszystkie rady staruszka. W duchu jednak był zdecydowany nadal naśladować swoją wyrocznię i trzymać się raczej metody gry na niżkę, wierząc, że tą drogą dojdzie do wymarzonych milionów. Zarówno on sam, jak i Juanito nie zmienili sposobu postępowania, mimo że papiery miały wciąż tendencję zwyżkową i że przewidywania don Ramona stawały się coraz mniej prawdopodobne.

Prócz niepowodzenia w interesach trapiło Juanita jeszcze inne zmartwienie. Pewnego wieczora, gdy wracał do domu ze spaceru z Toniką i jej przyjaciółką, spotkał w bramie Rafaela, który na jego widok szybko zasłonił twarz chusteczką. Potem w jadalni Juanito zobaczył Rafaela w świetle lampy: miał wielkiego sińca pod okiem i zakrwawiony nos. Zarozumiały elegancik, duma matczyzna, pachniał teraz winem i bez ogródek, po chamsku opowiedział swoją przygodę. Właściwie nic ważnego nie zaszło. Szli we dwójkę z kolegą przez most Real na teren jarmarku i tam się zwyczajnie pobili; dali sobie po pysku i kijem po łbie.

Na tym się skończyły zwierzenia i mocno wstawiony Rafael przyjmował pomrukiem objawy ojcowskich trosk Juanita, który starał się opatrzyć go, jak mógł najlepiej. Gdy pocziwina zobaczył brata w takim stanie, przypomniał sobie dawne czasy, kiedy to niańczył młodsze rodzeństwo, i ogarnęła go fala wzruszenia.

Nazajutrz starał się jednak na własną rękę pozbiierać z najlepszych źródeł informacje o całym zajściu. Złota młodzież giełdy wtajemniczyła go w sekretne powody kłótni, przedstawiając je z okrutną wprost dokładnością.

Okazało się, że to Roberto del Campo pobił jego brata. Wieczorem jedli razem kolację w restauracji, aby uczcić szczęście w ruletce SportsmanKlubu. Wypili sobie dobrze, po przyjacielsku, a gdy potem szli na jarmark, wybuchła między nimi ostra

sprzeczką. Elegantki Roberto wygadał się ponoć po pijanemu z czegoś, co obrażało honor domu. Ten nędzny typ pozwolił sobie mówić o czymś, co wywołało rumieniec na twarzy skromnego Juanita: opowiadał mianowicie o pieściznach, jakich nie szczędził sobie z narzeczoną, gdy w rannych godzinach spotykali się na schodach. Te brudne sekrety uważał Juanito za oszczerstwa, do jakich jedynie łajdak może być zdolny. Przyjaciel Roberta odpowiedział na te zwierzenia policzkiem, po czym nastąpiła bójka, w której tyle ucierpiał. Juanito wzruszył się tym opowiadaniem. Okazuje się, że brat nie jest wcale złym człowiekiem. Jego gotowość do obrony honoru rodziny, gotowość do zwalczania oszczerstw ukazywała w nim sympatyczne cechy. Dobroduszny Juanito zapomniał o pijaństwie brata i patrzył na niego jak na bohatera. Odwaga, z jaką bronił siostry, wzruszyła go tak dalece, że wygadał się przed Conchą ze swego podziwu dla dzielnego Rafaelita. Jakież było jego zdziwienie, gdy Conchita prawie nie zareagowała na te rewelacje.

— Nie wiem, po co właściwie opowiadasz mi o plotkach Rafaelita, w ogóle byłoby lepiej, gdybyś się do tych spraw nie wtrącał. Ja kocham Roberta i on kocha mnie, wiedz o tym. Wszystko, co o tej sprawie opowiadasz, że on niby coś tam mówił Rafaelowi, to na pewno kłamstwo, bo według tego, co ja wiem, Rafael był wtedy zupełnie nieprzytomny. Widocznie paniczowi zachciało się robić intryżki w rodzinie! Lepiej niech przestanie się upijać, a przynajmniej niech do swoich awantur nie miesza mojej osoby.

Dziewczyna mówiła z całym spokojem, jak gdyby tu nie o jej honor chodziło, a o dobre imię obcej kobiety, Roberto zaś był niewiniątkiem, na które rzucano oszczerstwa.

Juanito nie potrafił opanować zdumienia. Boże wielki, co za rodzina! Czy to jego własna siostra stoi przed nim tak spokojna w obliczu grożącej jej niesławy? Coraz bardziej oburzony, starał się przedstawić jej sprawę po raz drugi, ale Conchita ucięła brutalnie:

— Uspokój się! Ponieważ sam jesteś głuptas, myślisz, że wszyscy młodzi ludzie muszą być tacy jak ty. A Robert jest, jaki jest... Na tym koniec. Mnie on odpowiada, więc niech się do nas nikt nie wtrąca.

I odwróciła się z pogardą.

Juanito pobiegł do mamy. On absolutnie nie może pozwolić, żeby ta zwariowana dziewczyna, której może miłość zamyka oczy na wszystko, pozostawała obojętna na sprawy dotyczące dobrego imienia i honoru rodziny. Pani Manuela wysłuchiwała syna uważnie, w pierwszej chwili wydawała się oburzona, a później powiedziała tym swoim tonem nieskończenie dobrej matki, który zawsze robił na Juanicie silne wrażenie:

— Juanito, moje biedactwo, jesteś kochanym stworzeniem, ale nie znasz świata. Nie bywasz w towarzystwie, więc dziwią cię i oburzają rzeczy, które doprawdy nie mają wielkiego znaczenia. Nie rób takich min, przecież ja nie zamierzam bronić tego chłopaka, chociaż dziwi mnie bardzo, że taki dystyngowany i dobrze wychowany młodzieniec mógł uczynić tak haniebne wyznanie. Weź jednak pod uwagę, że i on, i Rafaelito byli troszeczkę wstawieni, a nasz stosunek do pewnych spraw zależy od tego, kto o nich mówi. Wreszcie, drogi Juanito, nie bierz na siebie odpowiedzialności za całą rodzinę, przecież to moja rola. Zresztą już zarządziłam, żeby Conchita nie wychodziła więcej do niego na schody. Czy ci to wystarczy? Trzeba także mieć wzgląd na pewne rzeczy, synku. Przecież Rober to jest dobrą partią i Conchita nie może z nim zerwać tylko dlatego, że w jakimś lekkomyślnym żarcie posunął się za daleko.

Pod koniec rozmowy dania Manuela poczuła się dotknięta pełnym śmiesznej donkiszoterij uporem Juanita i odeszła prawie tak wściekła jak Conchita.

W ten sposób Juanito znalazł się jak gdyby w próżni. Czy jeszcze ktoś w rodzinie myślał tak jak on? Honoru wypadałoby chyba szukać raczej u mężczyzn. Więc Rafaelito i om. sam byli obrońcami godności rodziny. Poczul w sobie nową falę czułości, chociaż do niedawna traktował swego brata raczej chłodno i z daleka. Ale oto już w dwa dni po słynnej bijatyce powiedziano mu, że Rafael i Roberto żyją znowu w przykładowej zgodzie i pochyleni nad zielonym sukniem w przyjacielskiej jedności stawiają na te same numery. Ta dwójka przyjaciół rozumiała się na wylot, niby para narowistych ogierów związanych jarzmem wspólnych słabości i wspólnych nie bardzo czystych sekretów.

Wiadomość ta przytłoczyła Juanita. Więc i brat go opuścił. Nie ma już nikogo, nie ma w tym domu żadnego serca, które by było tak jak serce Juanita. Jakże boleśnie odczuł teraz zerwanie z wujem Juanem! Bo skąpy i zdziwaczały starzec był jednak człowiekiem zacnym i prawym.

Zaprzagnął odwiedzać wuja, jak to czynił dawniej w podobnych okolicznościach, gdyż rady don Juana były jak oczyszczająca kąpiel, przywracały godność i wzmacniały uczciwość; pomogłyby mu one znieść opary zgnilizny moralnej, którymi oddychał w domu. Z każdym dniem oddalał się od swojej rodziny, lecz nie zmienił trybu życia; jadał z mamą i siostrami o stałych godzinach, ale tego, co mówiły, słuchał tak, jak gdyby to były obce istoty, które obserwował z daleka. Ich zmartwienia wywoływały w nim wewnętrzny uśmiech, milczał jednak, a zaraz po skończonym posiłku uciekał od stołu do Toniki i jej ślepej przyjaciółki. Tylko w ich towarzystwie odświeżał się na chwilę. Otaczająca te dwie kobiety atmosfera zdejmowała z niego skorupę brudu, jaką okrywały go słowa najbliższych. Nie czuł się dłużej na siłach pozostawać w rodzinnym gronie. Jakiś niewidzialny mur odgradzał go od najbliższych. Nie mylił się wuj Juan mówiąc, że on ma w sobie odmienną krew. Był obcy pośród swoich. Prawda, że wszyscy czuli się związani życiem w jednym domu; ale jakże Juanito różnił się od tamtych! Tamci — to pełna pretensji burżuazja, przedwcześnie zepsuta ambicją błyszczenia w świecie i zamięłowaniem do kłamstwa nieuniknionego w ich upartym, uciążliwym wspinaniu się na upragnione wyżyny; Juanito był wśród nich intruzem.

Właściwie nie miał matki. Co innego rodzeństwo Pajares — ci byli krwią z krwi donii Manuela, byli jej żywymi portretami, jeśli chodzi o moralność. Juanito zaś był nieodrodnym synem Melchiora Penia z całą odziedziczoną po ojcu niewinnością, zacnością, z jego surową godnością aragońskich górali... Ale Melchior Penia nie żyje. Tak, Juanito jest sierotą, nie ma już matki.

Mimo tego smutnego stwierdzenia, Juanito ciągle jeszcze adorował swoje bóstwo, na błędy jego patrzył przez palce, a w pamięci utrwalał same zalety.

Chwilami zaskakiwała go co prawda myśl, że donia Manuela

nie ma dość godności własnej, ale to swoje wrażenie tłumaczył faktem, że przekłeta ambicja matki popycha ją do kręactwa i w szaleńczej pogoni za blichtrzem szarpie się na strzępy owa wspaniała duma, którą tak w niej kochał. Poza tym w oczach Juanita matka miała tę zaletę najwyższej wagi, że oddana całkowicie szczęściu dzieci, starając się wszelkimi, choć nie zawsze uczciwymi sposobami zapewnić im przyszłość — własnym swym życiem nie dawała powodu do najłżejszego zarzutu. W sprawach pieniężnych zdolna była do kłamstwa, a nawet do oszustwa, umiała na przykład wziąć pożyczkę pod zastaw folwarków sprzedanych przed wielu laty; ale jej moralność kobieca była bez skazy.

Człowiek zrozpaczony stara się pocieszyć szukając jasnych stron w swym ciężkim położeniu; tak było i z Juanitem. Uznawał wielkie wady matki, ale zdaniem jego, pozostawała godna szacunku i miłości, jako kobieta nieskazitelnej cnoty.

Nowy wypadek zdołał go jednak wyrwać z kręgu zmartwień rodzinnych. Był właśnie ostatni dzień jarmarku. Pod wieczór na giełdzie zaczęła krążyć wiadomość, która pokryła błądźcą twarz wszystkich podopiecznych don Raniona Morte. Jego prorocтва się nie sprawdziły, papiery nadal miały tendencję zwykłą i cena ich znowu wzrosła, wskutek czego kurczyły się w oka mgnieniu fortuny śmiałków, którzy poszli na przekór zwyczaj.

Tym razem wiara, którą pokładał Juanito w nieomylną swego pryncypała i pana Morte, znikła zupełnie. Ruina była niewątpliwa. Sam don Antonio powiadał, że jeżeli zniżka nie przyjdzie szybko, to pod koniec miesiąca on i wszyscy gracze, którzy słuchali rad sławnego bankiera, pójda z torbami.

Nieszczęsny Juanito, mało wtajemniczony w prawa hazardu i niezdolny ukrywać dłużej okropną świadomość własnej ruiny, miał ochotę głośno zapłakać, tu, na giełdzie, w obecności rozbieganych „zwykłowców”, śmiejących się prosto w nos swoim ginącym konkurentom.

Juanito należał jednak do ludzi, którzy gdy spotka ich nieszczęście, szukają nadziei i ratunku. Pomyślał, że o tym, co się stało, trzeba natychmiast zawiadomić pana Cuadrosę; może, jako człowiek doświadczony w interesach, łatwiej znajdzie wyjście z sytuacji. Zdziwił się zresztą nie widząc go na giełdzie, był to prze

cięż dzień powszechnego napięcia i oczekiwania. Postanowił odszukać pryncypała.

„Pod Trzema Różami” znalazł tylko don Eugenia.

— Co się stało? — zapytał starzec. — Masz taką przestraszoną minę... Nie, Antonia nie ma, wyszedł zaraz po obiedzie. Potrzebny ci jest? Jeśli to bardzo pilna sprawa, to ... — podrapał się w głowę zakłopotany — idź do domu, tam go na pewno zastaniesz ... Sam nie wiem, co on tam, u diabła, ma zawsze do roboty. A może twoja mama też już grywa na giełdzie?

Nie słuchając do końca Juanito wielkimi krokami podążył w stronę domu.

Przez całą drogę brzmiały mu w uszach słowa don Eugenia i zastanawiał go smutny uśmiech, który towarzyszył ostatniemu pytaniu staruszka. Wbiegł szybko po schodach na górę i mocno pociągnął za kołatkę.

Drzwi otworzyła mu Visanteta i nim postawił jakieś pytanie, zaczęła dawać informacje. Panienki właśnie wyszły, poszły z wizytą do „sędzianek”.

— No, dobrze, ale czy jest tu pan Cuadros?

Juanito zawisł spojrzeniem na ustach Visantety, która zaczęła bełkotać coś niezrozumiałego. Widać nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Juanito szorstko odepchnął służącą i wszedł. Visanteta ze zmarszczonym czołem wzruszyła ramionami gestem rezygnacji, jak gdyby mówiąc sobie: „niech się dzieje wola boska”. Odwróciła się plecami do panicza i skierowała do jadalni.

W salonie nie było nikogo, brzęczał tylko dzwoneczek angielskiej suczki Miss. Wyczuwając obecność Juanita, wyciągnęła spod kanapy pyszczek; z opadającymi nań frędzlami przypominała porcelanową zabawkę.

Juanito przebiegł oczyma po salonie i wzrok jego zatrzymał się na oparciu kanapy, jak gdyby dojrzał tam coś niezwyklego. Była to porzucona niedbale biała marynarka. Młodzieniec nie od razu ustalił jej pochodzenie, podobnie jak to się zdarza nieraz z bliską, przyjacielską, a nieoczekiwanie ujrzaną twarzą, którą dopiero z trudem udaje się rozpoznać.

Juanito podniósł rękę do czoła, jak gdyby chciał wydrzeć stamtąd jakąś okrutną myśl: jego źrenice rozszerzyły się z przerażenia.

Była to chwila oszołomienia i w ciągu tego niezmiernie krótkiego czasu wydało mu się, że pokój zakręcił się jak bąk, a sufit runął mu na głowę całym swym ciężarem. Przed oczyma zawirowały mu pęki iskier i czarnych plam, robiło mu się zimno i gorąco, dławilo go w gardle. Przed jego oczyma przesunęły się z błyskawiczną szybkością, niby czytana powieść, przeżyte ostatnio sceny ilustrujące sens straszliwego, a niespodziewanego odkrycia.

Dobrze znał tę marynarkę; ileż to razy dotykała go, gdy ojcowska ręka pryncypała spoczywała na jego ramieniu! Miss opuściła kryjówkę i ocierała się o jego nogi z przyjaznym pomrukiem.

Ale nie trzeba przesadzać. Czyż skrawek jasnego materiału może mieć tak wielkie znaczenie? Gdzie jednak jest pan Cuadros? Stopniowo, z sekundy na sekundę, nastrój nieufności rósł w nim i niewytłumaczona ostrożność kazała Juanitowi chodzić na czubkach palców, jak gdyby był złodziejem.

Sam nie wiedział, kiedy znalazł się u wejścia do alkowy, obok ciężkiej zasłony, którą co wieczór odsuwała donia Manuela, gdy udawała się na spoczynek. Ten sam instynkt, który kazał mu ukrywać swoją obecność, uniósł teraz jego dłoń i uchylił z jednej strony rąbek tajemniczej kurtyny.

Spojrzał, ale już bez uczucia zaskoczenia, jakie ogarnęło go przed kilku minutami. Więc to była prawda. Teraz dopiero zrozumiał słowa don Eugenia, pojął znaczenie smutnego uśmiechu i współczujące spojrzenie, którym staruszek odprowadził go do drzwi wejściowych.

Przytłoczony niespodzianką, stał bez ruchu, wyprostowany, z oczyma nadmiernie rozszerzonymi, opierając się plecami o ścianę, jak gdyby bał się upaść.

Może westchnął zbyt głośno lub otarł się o ścianę.

— Kto tam?

Na to pytanie zadane kobiecym głosem odpowiedział po dłuższej chwili głos męski, bardzo przyciszony. Juanito zdołał jednak dosłyszeć:

— To pewnie Miss się bawi.

Sam nie wiedział, jak wyszedł z salonu. Pamiętał tylko, że jak przestępcy, który robi wszystko, aby go nie wykryto, instynkt

ostrożności kazał mu stąpać na palcach, dopóki nie znalazł się na ostatnim stopniu schodów.

Na ulicy objęła go fala gorąca i zdał sobie sprawę, co tak strasznie dławilo go w gardle. Był to wstyd. Wstyd rozpałał w nim ten piekielny ogień, który czerwienią rozlewał się po twarzy i przyspieszał bicie serca. Wydało mu się, że wszyscy na niego patrzą, że przechodnie boją się o niego otrzeć. Szedł szybkim krokiem, jak gdyby poganiało go widmo hańby. Powietrza... Oddechu ... Swobody ... Dusił się w tych krętych ulicach, gdzie strome mury jak gdyby zbliżały się ku sobie, aby zagrozić mu drogę. Zatęsknił do wolnych przestrzeni, poczuł się zdeptywany, spłaszczony i jego płuca domagały się powietrza, aby wyrzucić z siebie okropny kłęb zduszonych w gardle westchnień.

Uczucie chłodu odeгнаło zmoreę, która kazała mu chodzić bez przerwy jak w lunatycznym śnie. Był właśnie w alei Serranos.

Szedł z opuszczoną głową, ze splecionymi z tyłu dłońmi; jego postać przybrała charakterystyczny wygląd ludzi przybitych smutkiem, jakich tak często spotykało się w tej alei.

W oddali za zasłoną listowia drzew otaczających zielonkawy staw śpiewało chórem kilka dziewczątek, a piosenka ich mieszała się ze szczebiotem wróbli:

Chciałabym ja wyjść za mąż, Chciałabym ja wyjść za mąż Za pomocnika balwierza ...

Juanito miał ochotę zapłakać, jak wówczas, kiedy słuchał włoskich romansów wyśpiewywanych przez Amparo. Teraz jednak nie miłość targnęła jego nerwami, ale wspomnienia przeszłości, które tworzyły tak ponury kontrast z dniem dzisiejszym.

Dziecinna śpiewanka poruszyła go. Ujrzał siebie w mundurku szkolnym, gdy matka w długim wdowim welonie prowadziła go za rękę do parku, aby bawił się z dziewczynkami, gdyż jego słabość fizyczna i nieśmiałość nie pozwalały mu na wyczerpującą swawolę w gronie małych urwisów. Jak pięknie wyglądała matka w żałobie! Z perspektywy lat, łagodną ręką pieszcząca jego dziecinną główkę wydawała się Juanitowi żywą Mater Dolorosa. Ale myśli jej, mimo że niedawno utraciła męża, zapewne krążyły już wokół doktora Pajaresa.

Juanito przestał wierzyć w matkę. Wiarę tą utracił dziś, jak panna traci dziewictwo. Dziecięca śpiewanka rozdzierała mu serce i aby nie zapłakać, szedł szybko bulwarem wzdłuż rzeki.

Patrzył na zakurzoną szosę, po której leniwym krokiem stąpali furmani idący za wozami. Koło drewnianych budek wartowniczych przechadzali się strażnicy pobierający myto. Tutaj poczuł się nieco lepiej. Nie miał w sobie poetyckiej obawy Andresita przed pozostaniem sam na sam z własnym bólem. Chodził po tych mało ruchliwych miejscach, z jakąś okrutną przyjemnością sycąc się swym żalem, który od czasu do czasu uzewnętrzniał się głośnym westchnieniem.

Zaczął myśleć o nieznanym ojcu.

Wspomnienie nieszczęśliwego Melchiora Penia przejmowało go współczuciem. Tamten człowiek także był oszukiwany. Kochał szaleńczo swoją żonę nie znając jej naprawdę i umarł pogrążony w błędzie. Podobnie i on niedawno jeszcze gotów był przysięgać na wszystkie świętości, że jego matka jest najlepszą z kobiet. Trwałoby tak po dziś dzień, gdyby los nie zaprowadził go po południu do salonu, gdzie uczynił najstraszniejsze odkrycie. Jego matka była oszustką zdolną do wszelkich kręctw i podłości, byle tylko zapewnić sobie fałszywy luksus. Jego matka nie przywiązywała wagi do plotek godzących w honor rodziny, ze spokojem przyglądała się, jak jej córki zajadle

polując na męża narażają się na najstraszliwsze niebezpieczeństwo. Wreszcie, była to matka, która u progu starości sprzedała się haniebnie przyjacielowi swego nieboszczyka męża, jak zwykła ulicznica. Tak mocno tkwiła w niej potrzeba błyszczenia w świecie, że zdecydowała się przekreślić całą swoją przeszłość. Teraz nic już jej nie pozostaje. Nic, zupełnie nic. Fatalne odkrycie zerwało z oczu syna opaskę zaufania, zniszczyło dobrą wiarę synowskiej miłości; matka ukazała się jego oczom w całej swojej moralnej ohydzie. Wściekłość ogarnęła Juanita, gdy zdał sobie sprawę, że ta kobieta była kiedyś jego bóstwem, że uwielbiał ją jak świętą. Myślał o niej teraz jak człowiek pobożny, który nagle utracił wiarę i w cudownym obrazie bóstwa, niegdyś wyciskającym mu łzy z oczu, widzi już tylko kawałek nędznego drewna. Dlaczego, dlaczego właśnie ona wydała go na świat? Dlaczego nie ma takiej matki, jak wszyscy? Prze

jęty nagłą nienawiścią do losu, który wybrał mu donie Manualę ma matkę, zaciskał pięści, jak gdyby chciał się aa kimś zemścić.

Podniósł głowę i stwierdził, że oddalił się od brzegu rzeki i idzie szosą. Przed nim rysowały się ciężkie sylwety walcowatych baszt bramy Cuarte. Jej czerwoną korę żłobiły głębokie dziury — pamiątki po francuskich granatach i republikańskich powstaniach.

Juanito wpatrywał się w wąskie zakratowane okienka wojskowego aresztu. Pomyślał z zazdrością, że dobrze musi być tym, co siedzą w ciemnych, wilgotnych celach, bo żyją z dala od świata, bez trosk, które obrzydają życie.

Przez dłuższą chwilę obejmował wzrokiem te murowane olbrzymy, nim wreszcie zdał sobie sprawę, że gromadka urwisów z przedmieścia otoczyła go i ciekawie przygląda się dziwakowi. Dzieci uważały go niewątpliwie za cudzoziemca, który dla prostych ludzi Walencji jest zawsze Anglikiem.

Juanito uciekł przed hołotką, gdyż zuchwałe i drwiące spojrzenia łobuziaków nie wróżyły nic dobrego, i poszedł dalej środkiem szosy. Po chwili zatopił się na nowo w smutnych rozmyśleniach. Posuwał się jak automat, nie zwracając uwagi na przechodniów. Oczy miał szeroko otwarte, rozglądał się, ale nie widział nic. Raczej niezupełnie nic, bo tylko rzeczywistość bezpośrednio go otaczająca nie docierała do niego i nie odbijała się na jego siatkówce, natomiast oczyma wyobraźni z rozpaczliwą jasnością widział białą marynarkę zmiętą niby prześcieradło po nocy rozkoszy. Widział także... Tak, widział też uchyloną zasłonę, która ukazywała fragment haniebnego zamachu na świętość, widział ową macierzyńską degradację — śmiertelny cios dla synowskiej miłości.

Jakże wstrętne i zozydzone wydało mu się teraz jego dawne bóstwo! A jednak czuł, że cała nienawiść, która nim oświadczyła, jest dziełem chwili i że gdyby znalazł się twarzą w twarz z mamą, wszystko znikłoby jak sen. To nielatwa rzecz wyrwać z serca miłość wypieszczoną w ciągu lat — świadomość tego doprowadzała Juanita do rozpacz.

Wstydział się, że ma taką matkę, ale uwielbiał ją nadal, zaślepiony w swoim oddaniu.

— Z drogi!

Czując na twarzy gorący oddech konia, Juanito instynktownie rzucił się w bok. Znajdował się właśnie u wejścia na cmentarz i o mało nie stratowały go chude szkapcy ciągnące karawan. Ponu

ry woźnica w czarnej zabłoconej liberii obrzucił roztargnionego przechodnia stekiem wyzwisk i pogroził mu batem. Juanito nic nie widział i nic nie słyszał. Przed oczyma miał teraz tylko białą, złoconą trumnę, która kołysała się w takt skrzywienia kół i utrwałała się w jego pamięci jako podłużny obłoczek pożłobiony promieniami słońca.

O, tam także musiało być dobrze! Nawet lepiej niż w więzieniu, na które przed chwilą spoglądał z taką zazdrością.

Tutaj — cisza na zawsze, gorzkie zadowolenie nieistnienia, potężna monotonia wieczności wolnej od wszelkich wstrząsów. Dlaczego on sam nie leży w tej trumnie? Dlaczego nie złożono go tam przed czterema laty, gdy chorował na zapalenie płuc, co tak poruszyło całą rodzinę? Wtedy umarłby przynajmniej z niezachwianą wiarą w doskonałość matki, i jeden gest, jedna łza tej kobiety osłodziłaby mu ostatnie chwile. Teraz był zupełnie samotny i samotny umrze; tylko pewność śmierci kończącej wszelkie zło dodawała mu sił.

W tej chwili przez okienko jednego z powozów jadących w kondukcje pogrzebowym wyjrzała twarz młodej dziewczyny i widok ten odmienił bieg myśli Juanita. Nie, nie zrobi tego, szukanie śmierci — to szaleństwo. Co innego, gdy nie znał Toniki i nie był kochany, wtedy mógł powziąć takie rozpaczliwe postanowienie. Istnieje jednak przecież wyjście z sytuacji. Część swego mająteczku Juanito złożył u don Ramona Morte przeznaczając ją nie do operacji giełdowej, ale na zakup papierów wartościowych. Nawet gdyby miał sprzedać je teraz ze stratą, ta część jego kapitału jest nietknięta. Spłaci więc najważniejsze długi, które zaciągnął, aby ratować matkę, a za to, co mu zostanie, postara się skromnie urządzić: nabędzie sklep „Pod Trzema Różami” albo jakiś inny, mniejszy, a potem ożeni się z Toniką. Tak będzie najrozsądniej. Nie chce już milionów; życie dało mu twardą lekcję. Będzie spokojnym, systematycznym kupcem, dobrym mężem i ojcem; to da mu prawdziwe zadowolenie, tylko ta nadzieja budziła w nim nowe ambicje. A gdy obrazy przyszłego patriarchalnego szczęścia rodzinnego pochłonęły go całkowicie, ostry gwizd przeszył powietrze, jak gdyby sam Mefistofeles wyjrzał zza chmur, aby szatańskim śmiechem rozpędzić piękne marzenia o domowym ognisku.

W głowie Juanita kłębiło się od myśli i obrazów, jak gdyby pogrążony w lunatycznym śnie chodził dookoła miasta, aż nagle zbudził się. Przed nim na tle bladego błękitu nieba rysował się profil areny o architekturze rzymskiego cyrku. Oddzielały go od niej szyny kolejowe, a na nich zasapana żelazna bestia ryczała i parskła przed rozpoczęciem biegu. Juanito zatrzymał się przed spuszczone nagle przez dróżnika szlabanem. Nieoczekiwana przeszkoda zirytowała go. Tajemniczy głos, który mu towarzyszył, gdy w salonie dokonał straszliwego odkrycia, odezwał się w nim na nowo. Głos ten rozkazywał mu, popychał go przed siebie, a on automatycznie ulegał. Opuściły go niedawne marzenia o przyszłym szczęściu; teraz znów zabłysła przed nim ozdobna trumna lśniąca bielą i złotem i jak gwiazda przewodnia wskazywała mu drogę. Pod uniesionym w myślach wiekiem widział miękko wysłane wewnątrz, kuszące jak bombonierka. Wystarczy jeden krok, by znaleźć się w takiej trumnie na zawsze. Nagle Juanito poczuł bolesny uścisk czyichś ramion i jakaś siła odepchnęła go w tył tak gwałtownie, że o mało nie upadł.

— Dokąd pan idzie? Czy pan zwariował?!...

Przed nim stał dróżnik, młody mężczyzna w niebieskiej bluzie z czerwonymi galonami.

Juanito teraz dopiero zdał sobie sprawę, że znajdował się o kilka kroków od pociągu, który właśnie gwizdząc opuścił stację; sapała lokomotywa wyrzucając bokami parę. W tej chwili pociąg rozpędził się już i gnał przed sobą falę powietrza, która chłostała po twarzy. Juanito pojął, co mu się zdarzyło: przeszedł pod szlabanem i nim zderzył się z lokomotywą nadjeżdżającego pociągu, dróżnik odciągnął go od toru.

Kolejarz popatrzył na Juanita pytająco, pewnie podejrzewał, że ma przed sobą niedoszłego samobójcę. Z obu stron szyn tłoczyli się już ciekawi robiąc głośne uwagi na ten sam temat.

Zawstydzony Juanito puścił się szybko w powrotną drogę. Uznał, że po tym, co się stało, nie może krążyć dłużej dookoła miasta.

Po chwili znalazł się tam, gdzie widział kondukt żałobny, ale myśl o białej trumnie, która niedawno jeszcze zajmowała jego wyobraźnię i wabiła swoim smutnym urokiem, przestała go na

pastować. Nie podniósł również wzroku na baszty Cuarte, oblane luną zachodzącego słońca.

Szedł brzegiem rzeki i chłód jej jak gdyby go orzeźwił. Zapadał zmierzch. Po wyschniętym łożysku płynęły wąskie strużki, a odbiła w nich czerwień horyzontu zmieniała je w ognistą lawę. W mieście szyby i wąskie okienka wież lśniły na ciemnej masie budynków jak płyty ognia. Świat opanował spokój zapadającego wieczora, utkany z ledwie dosłyszalnych szeptów i zmęczonych westchnień, jakimi senna natura wita wieczorne godziny. Z daleka było widać odkryte zagrody z prętów, ku którym rytmicznie pobrękując dzwoneczkami podążały leniwie stada ciemnych owiec, a

górami po zapyłonej szosie powracały stada zmęczonych pracą ludzi o zgiętych plecach, ledwie okrytych starym łachem, o twarzach spoconych, z workami narzędzi zarzuconymi na ramię.

Juanita owionął smutek zmierzchu. Gdy wreszcie znalazł się znowu w alei Serranos, poczuł, że nogi mu drżą, i upadł na jedną z ławek.

Tutaj, w tej cichej, prawie pustej alei zwolna ciemniejącej, mógł mieć złudzenie, że odpoczywa we własnym ogródku w błogim przeświadczeniu, iż nikt nie zakłóci mu chwili bolesnej bezczynności, chwali ponurego zapamiętania.

W strugach na dnie rzeki żaby stroiły swe dwustronne instrumenty do długiej nocnej symfonii; z pobliskiej szosy dochodziło skrzywienie wozów.

Wilgotna rosa ocienionej alei przenikała ubranie Juanita. Zaczął drzemać. Chwilami, gdy senna fantazja wiodła myśl po nie kontrolowanych drogach, zjawiał się jakiś olbrzymi nietoperz z czarodziejskiej bajki, który kołysał go do snu wachlarzem czarnych skrzydeł, aby potem wyssać z niego całą krew.

Nagle zobaczył stojące tuż przed nim dwie wymizerowane dziewczynki. Mamrotały jakieś niezrozumiałe wyrazy i wstydliwym gestem wyciągały zebrzące ręce. Dziewczątka miały gęste, zmierzwiłone czupryny, zjeżone niby włosy Meduzy; ich chude, nagie łydki wystawały spod wystrzępionych łachmanów służących za sukienki. Głębokie współczucie ogarnęło Juanita. Oto istoty bardziej nieszczęśliwe od niego. Te dzieci może wcale nie znały matki, a to przecież tysiąc razy gorsze, nie mieć matkę choćby nie lepszą od jego własnej. W jednej chwili uwolnił się od wszystkich

kłopotów natury materialnej, wyjął z kieszeni kamizelki garść peset i złożył je w te drobne wyciągnięte rączki, które zatrzepotały z przejęcia i zaskoczenia, daremnie starając się zamknąć w piąstkach aż tyle srebrnych monet. Pesety spadały na ziemię, ale Juanito ani trochę nie żałował swojej hojności.

Bez wątpienia tam w górze ktoś wszystko to widzi: i to, co się działo po południu w alkwie, i tę scenę, jaka rozegrała się nocą w samotnej alei pomiędzy dwiema małymi żebraczkami i mężczyzną, który bardziej czuł się dzieckiem niż one.

Prześladowały go nieszczęścia. Kto wie, co los mu gotuje? Może przyjdzie dzień, kiedy bardziej zawstydzony niż te dwie nieszczęśliwe, będzie wyciągał rękę prosząc o wsparcie, z palącym rumieńcem na twarzy, z żołądkiem ściśniętym głodem. I jak gdyby pieczętując pakt, który zawierał w tej chwili z czekającą go nędzą, wziął w ręce rozczochrane główki, ucałował brudne policzki i musnął ustami spierzchnięte dziecięce wargi.

Zebraczki zdumiały się tymi objawami serdeczności znacznie więcej niż hojnością dziwaka. W szeroko otwartych, niewinnych oczach zabłysły iskry sprytu, spoza kurtyny nieświadomości wyjrzała przedwczesna dojrzałość dziecka wciągniętego w życie włóczęgów. Dziewczątka wspomniały nauki pobierane w błocie przedmieścia: w pewnej chwili zacisnęły konwulsyjnie w piąstkach pozbierane pesety i jak gdyby przestraszone grożącym im niebezpieczeństwem, rzuciły się do ucieczki.

Później podeszła do Juanita mała, szczupła kobiecina, widać uboga robotnica, jakich tyle zamieszkiwało drugi brzeg rzeki. Umęczona pracą, z trudem niosła na jednym ramieniu ciężki kosz i pyzate maleństwo rozedrgane nerwową wesołością, drugą zaś ręką ciągnęła chłopaczka może pięcioletniego, który upierał się, że nie pójdzie dalej, bo rozwiązał mu się trzewiczek.

Kobiecina pozdrowiła Juanita łagodnym uśmiechem, postawiła kosz na ławce i posadziła maleństwo, po czym z trudem nachylała się ku ziemi, aby zasznurować trzewiczek starszego syna. Poglaskała czule wielką głowę dziecka, a później zabrała z ławki kosz i maleństwo. Poszła dalej, uginając się pod brzemieniem nad siły. Świadoma swojej niedoli, ale zadowolona i uśmiechnięta, spoglądała na dzieci, choć były one ciężkim krzyżem, który dźwigać musiała po kalwaryjskiej drodze nędzy.

Ostatnie spotkanie jak gdyby zbudziło Juanita. Kobięcina o łagodnym uśmiechu była prawdziwą matką. W tym jaskrawym obrazku biedy było jednak coś, czego Juanito jeszcze nie przeżył. Dwaj malcy cierpiący głód, skazani na życie parnasów posiadali to, czego on, sługa zbytku i blichtru, nie zaznał nigdy.

Zapragnął wymodlić u Boga cud, który by go zmienił w jedno z tych dzieci przeznaczonych do życia bydłąt pociągowych po to, aby ich bliźni zdobywał dobrobyt; istoty te miały bowiem matkę, która obdarzała je jednakową miłością, która nie sprzedawała się pomimo nędzy.

Poczuł nagle, że na jego dłonie spadają gorące krople. Płakał. Spoglądał na oddalającą się wzruszającą grupkę i coraz to nowe łzy napływały mu do oczu. Nie czynił żadnego wysiłku, aby je powstrzymać, płacz sprawiał mu dziwne zadowolenie i ulgę, jak gdyby przy westchnieniach żalu wydobywał się na zewnątrz dławiący w gardle kłęb.

Minuty mijały, a on siedział bez ruchu, z głową opartą na rękach, a łzy spływały mu bez przerwy po palcach.

Ostatnie przeszły aleję krzepkie dziewczyny; kołysząc tęgimi biodrami śpieszyły z koszykiem na ramieniu. Pewnie wracały po pracy z fabryki cygar. Współczującymi, ale i drwiącymi spojrzzeniami obrzuciły płaczącego panicza i mijając go robiły głośne uwagi. Mężczyzna płacze! Musiała mu chyba narzeczona rogi przyprawić, a może umarła mu matka. Juanito nie czuł się dotknięty komentarzami dziewcząt. Zgadły. Rzeczywiście dziś po południu umarła mu matka i dlatego płacze.

Płacz przyniósł mu ulgę, ale i zmęczył. Nogi miał ciężkie jak po długim forsownym marszu.

Nie był pewny, czy spał, czy też godziny upływały tak szybko, bo gdy podniósł głowę i odjął gorące, wilgotne od łez ręce od twarzy, stwierdził, że jest już zupełnie ciemno. Spośród gałęzi drzew przeglądało granatowe niebo, niebo letniej nocy przyprószone świetlistym pyłem gwiazd.

Do spacerowej alei, czarnej i milczącej, docierał z daleka gwar miasta niby bulgotanie wielkiego kotła z wodą.

Z rozpaczliwą monotonią kumkały żaby w sadzawkach, w których przeglądały się rozdygotane gwiazdy; w pobliskim stawie przeciągały się rozkosznie zielone trzciny kładąc palce liści na po

wierzchni wody; z daleka, jak zwielokrotnione echo, dochodziło szczekanie podmiejskich psów. Cisza nocy ożywiona tymi swojskimi odgłosami ukołysała Juanita marzeniem o spokojnej wsi, oddalonej od życia, w którym znalazł dla siebie tylko gorycze i troski. Błądził wzrokiem po świetlistych punktach, które wydawały mu się tajemniczymi hieroglifami wypisanymi na karcie nieba. Jakież są inne światy? Aby skierować myśl na te tory, starał się przypomnieć sobie to, czego nauczył się w szkole na lekcjach geografii, oraz wszystko, co słyszał o wpływie gwiazd na ludzkie losy. Tak, wierzył w cuda, wierzył w prawdy astrologii i razem z tą wiarą spływał w jego duszę błogi spokój wszechświata. Pociągały go nieznane światy. Wydawało mu się, że gdy o nich myśli, wznosi się w przestworza i zostawia za sobą ziemię, przybytek nieszczęścia. Serce w nim rosło, olbrzymiało, aż stało się tak wielkie, że wypełniło całe jego jestestwo i z trudem mieściło się w klatce piersiowej. Przestał nienawidzić. Wszystkie istoty ziemskie wydawały mu się nieskończenie dobre. Ogarnęło go uczucie łagodnej tkliwości dla ludzi, właściwe wielkim duszom; myślał teraz o swojej matce, siostrach, a nawet i o Tonice z uśmiechem dobroci i pobłażania.

Już chyba nic nie robi na nim wrażenia. Przyjaźń, rodzina, miłość — wszystko stało mu się obojętne. Nie należał już do tego świata, jego ojczyzna była tam, w górze. Badawczym wzrokiem wpatrywał się w gwiazdy, jak gdyby pośród nich szukał dla siebie nowego miejsca zamieszkania.

Ale natrętna rzeczywistość znów wyrwała go z lunatycznej ekstazy. Zamajaczyły ukryte za drzewami parki. Złączone w uścisku stały lub posuwały się miarowym krokiem, szepcząc cicho i szukając miejsca, gdzie mogłyby się odgrodzić od innych zakochanych, przybyłych na nocną schadzkę.

Juanito poderwał się z ławki. Tę aleję uważał za swoją, jak za swoją uważał ciszę tej nocy i panujące wokół, oczyszczające milczenie. Bezwstydną inwazją rozpustników i wędrownych nierządnic wydawała mu się zamachem na jego własność. Uczucie głębokiego obrzydzenia kazało mu wstać, wziąć kapelusz i skierować się ku miastu.

Bicie wieżowych zegarów zwróciło jego uwagę. Stał pod latarnią i spoglądał na zegarek. Było wpół do jedenastej. Zdumiony, że czas tak szybko upłynął, wyruszył znów na wędrówkę bez celu. Ale grupki ludzi idących wzdłuż nadrzecznego murku pociągnęły go mimo woli za sobą, tak że poszedł w stronę jarmarku. Gdy przybył na most Real, przecisnął się pośród tramwajów i powozów, które zatrzymane na chwilę w ciemności, zdawały się przyglądać przechodniom czerwonymi, okrągłymi oczyma latarni. Wspaniały widok ożywił Juanita. Po drugiej stronie rzeki płonęły tysiące kolorowych ogniów, zakreślały węzowe linie na tle czerni nieba lub znaczyły kontury pawilonów. Światła te wypędzały ciemność i rzucały na niebo czerwona mgła, rozpostartą nad miastem jak luna dalekiego pożaru. Strugami rzecznej łożyska płynęły ruchliwe ryby blasków. Popychany łokciami Juanito przeciskał się przez zgromadzony na moście tłum. Dziś ostatni wieczór jarmarku. Szły grupki żołnierzy w wysokich czapkach z białym otokiem, środkiem ulicy, trzymając się za ręce, aby się nie zgubić, szli rolnicy spod waleńskich wsi, wieśniaczki w świątecznych strojach ciągnęły za sobą grona zapłakanych i zmęczonych dzieci, a przodem paradowali mężczyźni w białych koszulach, bez marynarek, każdy w czarnej kamizelce i z kijem liryjskim w ręce. Zaczepnie i badawczo spoglądali na przechodniów w obawie, że któryś z paniczów gotów zdradzić z ich rodziny. Weneckie latarki rzucały wielkie stożki rozproszonego światła. U wejścia do alei Alameda stał zbity tłum; pomiędzy przyciętymi jak do skoku postaciami i ich ostrymi łokciami przeciskały się kwiaciarki niosąc na ramieniu koszyki najeżone bukietami kwiatów, a rozczochrane dziewczęta z dzbanem opartym o biodro i brudną szklanką w ręce wykrzykiwały: „świeża woda!” Juanito znalazł się nagle przed nowym skupiskiem ludzi, naprzeciwko podwyższenia, gdzie tańczono tańce ludowe. Dźwięczała ostro trąbka powtarzająca bez końca monotonna frazę mauretańskiego tańca figurowego lub też przy akompaniamencie śpiewu obecnych podskakiwały pary tancerzy, podobne z daleka do sylwetek rozhulanych błaznów. W tym miejscu prąd ludzki rozwidłał się. Wesoły i hałaśliwy ludek ze wsi, urwisy w cyklistówkach, dziewczęta w nakrochma

lonych spódnicach i jedwabnych chustkach — wszystko to ciągnęło wzdłuż obmurowania, brzegiem rzeki, spoglądając na długi rząd małych domków, w których świętujące rodziny nudziły się wyczekując na powrót kogoś, kto poszedł po zakupy. Po drugiej stronie, główną aleją, gdzie ustawiano parkiety do tańca, szli dystyngowani państwo z ważnymi minami jak na procesji i kątem oczu spoglądali na tych, którzy siedzieli w ciasno zsuniętych szeregach krzesel, a od czasu do czasu przystawali przed oknem pawilonu, gdzie tańczono. Zmieszany z tą publicznością Juanito, zobojętniały na sprawy tego świata, ogarnięty okrutnym pesymizmem, wszystko ocenił jako obrzydliwe i śmieszne. Owe pawilony, z których sztuczne światło i odrobina dobrej woli potrafiły uczynić bajeczne pałace, wydawały mu się jedynie żałosnymi barakami. Śmieszni idioci, podskakujący jak pajace w tych salonach bez dachu, budzili w nim wstręt. W jednym z pawilonów był tu pewnie jego brat, Rafael. Ten dureń na pewno dobrze się bawił i wraz z siostrzyczkami nie szczędził pogardliwych spojrzeń przechadzającym się w dole ludziom. Nawet na myśl im nie przyszło, że jakoś anonimowy oskarżyciel mógłby wyskoczyć z tłumu i zawołać: „Ten wasz zbytek, ta wasza pycha to owoce oszustwa i hańby, gdyż wasza matka jest zwykłą ...!” Nie, jemu tu duszno, on tutaj nie pozostanie. Znów osaczyły go poprzednie smutki, znów myślał o matce. Pójdzie już, bo w pobliżu pawilonów grozi mu spotkanie z własną rodziną lub z rodziną pana Cuadrosa oraz z innymi, których obecność przypominałaby mu sprawy siłą wypędzane z pamięci. Uciekał stąd na sam koniec jarmarku, gdzie mieściły się restauracje pod gołym niebem i ciastkarnie, gdzie smażące się pączki zakały powietrze wonią prażonej oliwy, a przy loteriach fantowych krzykliwi naganiacze zachęcali publiczność do gry przyrzekając szczęście i majątek. Spoza stosów zielonych baloniastych owoców wychylali się sprzedawcy arbuźów i krzykliwe zachwalali ich niskie ceny i smak. Obok ciągnęły się stoły z tanim jedzeniem, a przy nich żołnierze i chłopcy zajadali kielbaski i suche kiszki. Wreszcie na samym końcu znajdowały się baraki, gdzie odbywały się przedstawienia — Teatr magiczny, Kobietaolbrzymka,

Uczone psy — a u wejścia do nich katarynka wygrywała jakąś niesamowitą melodię, akompaniament odpowiedni do uczt kanibalów. Nerwy Juanita nie wytrzymały. Uciekł pędem w kierunku angielskich skwerów, które mieszkańcy nazywają plantami.

Znalazł się tutaj znów, jak w alei Serranos, zupełnie sam i z perspektywy swojej ławki oglądał świąteczny ruch na jarmarku lub patrzył na skrawek nieba widoczny między koronami drzew i na liście, które w sztucznym świetle zmieniały kolor z zielonego na bladoniebieski.

Przez jakiś kaprys wyobraźni zaczął teraz myśleć o interesach. Przebiegł pamięcią wiadomości giełdowe dzisiejszego popołudnia. Jego ruina nie ulegała wątpliwości. Nie ma co mówić — dobrze ich urządził sławny bankier ze swoją okrzykaną nieomylnością.

Pryncypał Cuadros musiał być w ciężkich kłopotach. Juanito sam uważał za straconą ogromną część swego majątku i całą nadzieję pokładał jedynie w państwowych papierach wartościowych, które z jego polecenia zakupił mu pan Morte. Było tego około trzech tysięcy z górą i sumka ta mogła go w tej chwili utrzymać na powierzchni. Po wielu godzinach nieznośnego cierpienia przyszła fala reakcji, optymizmu. Jeszcze nie wszystko stracone; porzuci rodzinę, która jest nią tylko pozornie, bo przecież nie łączą go z tymi ludźmi żadne więzy, ożeni się z Toniką, znajdzie skromny sklep, kupi go i zacznie od początku trudną walkę o zdobycie pieniędzy. Jego mistrzem stanie się na nowo don Eugenio, gdyż Juanito przyrzekł sobie, że będzie odtąd kupcem na starą modłę i porzuci myśl o szybkim wzbogaceniu się.

Nie chce być milionerem, nie marzy ani o pałacach, ani o luksusowych pojazdach, pragnie tylko, aby na starość, ubrany w domowe haftowane pantofle i aksamitną mykę, mógł z godnością majestatycznego i ucziwego patriarchy przechadzać się spokojnie po swoim sklepie, nie zadłużonym i korzystającym z kredytu. Pragnie kiedyś patrzeć na dorosłych synów krzątających się za ladą sklepową i na Tonikę zawsze piękną, w aureoli siwych włosów, z łagodnym spojrzeniem ożywiającym pomarszczoną twarz.

Na samą myśl o przyszłym szczęściu chłopak roztkliwał się i tak jak przedtem płakał z żalu, teraz pojawiły się w jego oczach inne łzy, łzy wzruszenia.

Nagle ostry świst przeszył powietrze, jak gdyby ktoś rozdarł kolosalne płótno. Zahuczało coś w rodzaju artyleryjskiego wystrzału i z wysokiego nieba wysypała się garść świecących kolorowych iskier, które opadając powoli na ziemię rysowały w powietrzu ogniste wężyki.

Były to pierwsze sztuczne ognie. Juanito zapatrzył się jak mały chłopak na zawrotne zygzaki kreślone przez te strzępki ognia na tle ciemnej przestrzeni. Gdy jednak na samym krańcu placu zapłonęły z traskiem ogromne snopy sztucznych ognia, Juanito nie ruszył się z miejsca. Był wyczerpany, nogi odmawiały mu posłuszeństwa, słabość i zmęczenie wywoływały chwilami zawrót głowy.

Fantastycznie wyglądał ten ruchliwy jarmark w oświetleniu ogni bengalskich, powlekających ludzkie twarze już różowym wesołym blaskiem, już to przykrą sinością. Pomruk entuzjazmu powitał początek ludowej rozrywki zwanej tracą. Zamiłowanie do tego rodzaju zabaw z prochem odziedziczył lud walencki po Maurach. Wzdłuż alei zwisały z gałęzi drzew białe, papierowe tutki pełne prochu.

W ciągu pół godziny huczało ciągle odnawiające się echo wybuchów, które bawiły, ale przypominały odgłosy bitwy. Kobiety wskakiwały na krzesła, aby z nerwową ciekawością przyglądać się obłokom dymu najeżonym błyskawicami, które rozprasały się w powietrzu pozostawiając po sobie zapach siarki i trochę iskier. Gdy huk był bliski, kobiety osłaniały twarz wachlarzem, opuszczały głowę na piersi lub też śmiejąc się, nie bez strachu zakrywały palcami uszy w obronie przed grzmotem już to wzmagającym się, już to milknącym. Niektóre wybuchy były tak gwałtowne, że rozrzedzały powietrze i płuca nie mogły chwycić oddechu.

Obłąkana gorączka ogarnęła krewkich Lewantyńczyków, którzy byli przecież wnukami afrykańskich Maurów. Niejeden strząsając iskry z osmalonej marynarki pędził za posuwającym się ognikiem, a gdy tracą przygasała na chwilę, gwizdał na pirotechników. Czasem siła wybuchu rozbijała na proszek szybki ulicznych latarni, dym siarki wciskał się do gardła i nieznośny smak przedostawał się aż do żołądka. Wszystko to jednak należało do

rozrywki i za każdym razem, gdy powietrzem wstrząsał tak mocny grzmot, że ziemia drżała pod stopami, tłumy dzieciaków wszczywały hałas i krzyki pełne aprobaty, wyładowując powstrzymywane od pół godziny zapęły bojowe. Tracą miała się ku końcowi, Juanito opuścił jarmark. Szedł szybko, aby przyjść do domu przed powrotem rodziny. Nie czuł w sobie sił do spotkania z matką. Nie potrafił udawać i obawiał się, że zdradzi go wyraz twarzy. Czuł się również osłabiony fizycznie, jak to bywa u ludzi nerwowych, którzy po dużym wysiłku wpadają w śmiertelne przygnębienie. Juanito miał za sobą pełne wzburzenia popołudnie i wieczór spędzony w alei na ławce, w chłodzie i wilgoci. Czuł się źle, ścisnęło go w żołądku, który po okresie nerwowego napięcia zaczął upominać się o swoje prawa.

Gdy Visanteta otworzyła mu drzwi, Juanito nie mógł powstrzymać odruchu zdumienia zobaczywszy rzęsiście oświetlony salon.

Wszedł. Cała rodzina i pan Cuadros siedzieli z opuszczonymi głowami, milczący i przybici, jak gdyby w sąsiedniej alkwie leżały zwłoki kogoś bliskiego.

Juanito wyczuł, że stało się coś okropnego i nieoczekiwanego, zapomniał więc natychmiast o wszystkim, w tej chwili interesował go jedynie nie znany mu powód smutku obecnych. Nim otworzył usta, pan Cuadros wyszedł mu naprzeciw z otwartymi ramionami, niby dobry ojciec pogrążony w rozpacz.

— Jesteśmy zgubieni, synu, ten Morte — to łotr...

Cóż to się stało? ... Niepewność młodzieńca trwała krótko, gdyż pan Cuadros zaczął mówić, a rozpacz dodawała mu wymowności.

Stało się to wczoraj pod wieczór. Naprzód wieść nieśmiało krążyła po giełdzie jako plotka, ale wkrótce mówiło już o tym całe miasto. Oto sławny bankier, don Ramon Morte, znikł bez śladu i wywołał konsternację wśród setek rodzin. Jedni twierdzili, że Morte jest zwykłym oszustem, który uciekł za granicę, aby przepić wyłudzone fałszywą serdecznością i pozorami filantropii od klientów miliony, inni zapewniali, że to tylko naiwny marzyciel, który oszołomiony pierwszymi triumfami, uparł się, aby wciąż grać na niżkę. W ten sposób stracił kapitał własny i tych, którzy mu zawierzyli, a wreszcie zrujnowany i zhańbiony — bo chyba wziął to sobie do serca — uciekł. Faktem jest, że od wczorajsze

go wieczoru do biura bankiera ciągną całe procesje przygnębionych i zlorzeczących mu klientów. Nikogo jednak nie znajdują przy pustym biurku, prócz kilku urzędników rozżalonych i jeszcze niezupełnie przekonanych o ruinie pryncypała.

Zdumienie przygoździło Juanita do miejsca: oczy, otwarte szeroko i nieprzytomne, błędziły z kąta w kąt, nic nie widząc. Reszta gości siedziała z opuszczonymi głowami, po raz setny wysłuchując sprawozdania pana Cuadrosa, którego ruina doprowadziła niemal do szaleństwa.

— Tak, tak, synu! I ja też już tam byłem. To rozpacz, rozpacz doprawdy. Jest koniec miesiąca i trzeba będzie zaraz płacić. I to ma się nazywać człowiek? Co za łajdak! Żal patrzeć na nieszczęśliwych ojców rodziny bliskich samobójstwa, zdolnych do morderstwa! Zanim ktokolwiek dowiedział się o tym, ten złodziej na pewno był poinformowany, że nie przyjdzie niżka... A teraz szukaj wiatru w polu! Bóg wie, gdzie on się schował!

Juanito chciał o coś zapytać i zająknął się, jak gdyby obawiał się usłyszeć najgorsze, ale pryncypał nie przerywał potoku mowy.

— A ja co, Juanito? Co stanie się ze mną? ... Jestem zrujnowany na zawsze, jestem zgubiony, a co gorsza, straciłem dobre imię. Nie mam teraz głowy do rachunków, ale wyliczyłem mniej więcej, że suma, jaką jestem winien agentom i urzędnikom, przekracza ze dwa razy wartość mojego sklepu i folwarków. Co ja zrobię, Boże drogi, co ja zrobię?!... Chyba poproszę jakiego kompana, żeby mnie przyjął na subiekta, aby mieć co do ust włożyć — a taki los na starość — to już lepiej palnąć sobie w łeb.

Oczy Cuadrosa zaszklily się, jak gdyby miał wybuchnąć płaczem. Bardziej żałował jednak utraty tych przyjemności, jakimi kusiło go fałszywe bogactwo, niż utraty dobrego imienia jako kupiec.

— A co ze mną — wyrzekł wreszcie Juanito — jaka jest moja sytuacja?

— Twoja... Mówisz jak głupi! Ruina dla wszystkich jest ruiną. Masz jednak tę wielką przewagę nade mną, że jesteś młody i niezonaty, bez obowiązków ... Ach, gdybym był na twoim miejscu!

— Ja jednak — odparł młodzieniec z uporem człowieka chwytającego się ostatniej nadziei — nie tylko grałem na giełdzie. Don Ramon miał jeszcze moje trzy tysiące duros w papierach państwowych. Co się z tym stało?

Cuadros wybuchnął śmiechem, który miał być ironiczny, zabrzmiał jednak niesamowicie i okropnie.

— Możesz czekać na twoje trzy tysiące duros — zawołał brutalnie — ta cała historia z papierami państwowymi to podłe łgarstwo. Teraz się wykryło, że ów don Ramon wcale papierów nie kupował! Kiedy mu dawano pieniądze prosząc, aby je nabył, rzucał te pieniądze w grę na giełdzie. Zawsze jednak starannie wypłacał klientom procenty, jak gdyby rzeczywiście nabył papiery. Chcesz więc wiedzieć, co się stało z twymi trzema tysiącami duros? Otóż straciłeś je. Zdaje się, wspomniałeś o tym, że i twoja narzeczona złożyła mu osiem tysięcy realów? A więc ona także wszystko straciła... Chryste Panie! Byliśmy bałwany i słusznie zostaliśmy ukarani, że wpadliśmy w nędzę. Dobrze jeszcze, jeżeli ktoś się zgodzi przyjąć nas do ciężkiej roboty w sklepie!

Nieprzytomny z wściekłości Cuadros chodził wielkimi krokami po salonie i gestykulował znajdując jakąś okrutną przyjemność w opisywaniu swemu uczniowi ogromu własnej ruiny. Zdumienie unieruchomiło Juanita. Bóg jeden wie, co w tej chwili widziały jego oczy utkwione w jeden punkt, z rozszerzonymi, matowymi źrenicami jak oczy ślepeca!

Donia Manuela zerwała się w pewnej chwili z krzesła, aby podbiec do syna, który przyciskając dłonią serce zachwiał się i byłby upadł na ziemię, gdyby go nie podtrzymała.

Próbowała otoczyć go ramieniem, ale nieszczęśliwy chłopak wstrząsnął się cały i spojrzał na matkę takim wzrokiem, że wzbudził w niej straszne podejrzenie.

— Mamo, nie dotykaj mnie! Precz!... Nie potrzebuję niczyjej pomocy ... Nic md nie jest...

I padł jak bezwładny ciężar na tę sarną kanapę, na której wczoraj po południu leżała zmięta marynarka, niemy świadek cudzołóstwa.

ROZDZIAŁ XII

Juanito umierał.

Przez całą noc leżał na łóżku jak nieruchoma bryła; bezwładna głowa utkwiała głęboko w poduszce, twarz miał zaczerwienioną, zmierzwioną brodę, zamknięte oczy. Oddychał prędko i z trudem, jak gdyby w jego piersi dmuchał stary miech, i w całej aikowie rozlegało się bez przerwy jego świszczące chrapanie, podobne do syku lokomotywy wyrzucającej z kotła nadmiar pary.

Rodzina całą noc czuwała przy chorym.

Mimo swego męskiego charakteru, donia Manuela była przybita. Kiedyż wreszcie Bóg przestanie zsyłać na nią same nieszczęścia? Najpierw przyszła ruina możnego protektora, który podtrzymywał godność domu, a potem ruina syna, którego majątek rezerwowała sobie na czarną godzinę. Wreszcie spadła ta dziwna choroba Juanita, która jak piorun powaliła go na łożo śmierci, i oto leży nieruchomy i nieczuły jak trup, a resztki życia zdradza tylko ten przerażający oddech, dławiący wszystkich obecnych.

Uczucia macierzyńskie, tłumione od tylu lat w sercu donii Manueli, odżyły pod wpływem nieszczęścia. Patrzyła teraz na chorego z takim wyrazem twarzy, z jakim patrzyła na jedynaka Juanita, gdy jemu tylko poświęcała całą czułość i wszystkie pieśczęty.

Z zaczerwienionymi od głuchego płaczu oczyma chodziła po alkowie spełniając zalecenia lekarzy i przygotowywała synapizmy z gorzycy, którymi okładała wychudłe nogi syna.

O świcie Rafaelito poszedł do swego pokoju, ale siostry wciąż siedziały nieruchomo na krzesłach i poziewały ze zmęczenia. Na ich twarzach malowało się zdumienie i strach, jak gdyby przeczuwały, że śmierć czyha u wejścia do

alkowy. Matka oburzała się na lekarzy. Też mi mędrkowie! Prócz kilku dziwacznych, niezrozumiałych słów nic z nich nie można wydobyć. Ledwo zdołała się dowiedzieć, że zachodzi obawa niebezpiecznego zapalenia mózgu i że stan chorego, który większą część nocy przebył pod gołym niebem, można określić ... Jak te typki to powiedziały? Aha, tak: że znajdował się w środowisku patogenicznym, co sprzyjało piorunującej reakcji na złą wiadomość. Nie było wątpliwości, że biedak umierał. Żaden z lekarzy nie robił matce najmniejszej nadziei. Na jej pytania odpowiadali sło

wami, które nie wróżyły nic dobrego, a za progiem alkowy kiwali smutnie głową na znak, że właściwie nic tu już nie mają do roboty.

Wielkie cierpienie donii Manueli zwiększała jeszcze jedna, okrutna myśl. Wciąż na nowo wspominała chwilę, kiedy Juanito, padając bez zmysłów na wieść o własnej ruinie, zawołał: „Nie dotykaj mnie, mamó ...” Te słowa dźwięczały jej w uszach, jak gdyby wypowiedziane przed chwilą, a w oczach wciąż miała gest odrazy, jaki im towarzyszył. Skąd ta nagła przemiana — od uwielbienia do nienawiści? Czyżby syn o czymś wiedział? Okrutne podejrzenie, że Juanito zna sekret owego zbytku zadziwiającego u rodzony pogrążonej w kłopotach materialnych, drażyło bez przerwy donię Manuellę.. Nie wiedziała dlaczego, ale wołała, żeby raczej Rafaelito lub choćby nawet córki weszły w posiadanie jej hańbiącej tajemnicy niż ten pocziwiec, żywy portret ojca, dla którego każde silne przeżycie stanowiło groźne niebezpieczeństwo.

Przez dłuższą chwilę stała przed łóżkiem syna i uporczywie przyglądała się jego zaczerwienionej, nieruchomej twarzy, jak gdyby chciała z niej wyczytać, co myślał, gdy tak gwałtownie odepchnął ją od siebie. Manuela unosiła powieki chorego i patrzyła na żółtkę białka mętnych, martwych oczu, w których nie było ani śladu myśli, tak żywo ją teraz obchodzących.

Ranek przeszedł bez większych zmian. Dziewczęta poszły odpocząć, gdyż nieustające, przykre rżenie chorego wyczerpało ich nerwy.

Donia Manuela, nieruchoma, rozmyślała o sobie. Oto otwiera się u jej stóp głęboka przepaść, w którą niebawem wpadnie. Pozna wreszcie to, czego najwięcej się obawiała — nędzę.

Dobrze zgadywała, co myślały teraz o niej zaprzyjaźnione rodziny. Kiedy indziej choroba w domu przyciągnęłaby natychmiast tłumy odwiedzających, ale obecnie, gdy wieść o ich ruinie rozeszła się, nie zjawił się nikt, bo nikt nie chce wejść do domu, który się rozpada w gruzy.

Jakiś ślad rozsądku zaczął się budzić w tej kobiecie opanowanej próżnością i pychą. Oto jest zrujnowania. Zgodziła się nawet na hańbę, aby tylko móc nadal grać swoją rolę w komedii wielkiego świata, a cóż zdobyła prócz chwilowego zadowolenia miłości własnej? Ulubiony syn, Rafaelito, to zwyczajny nicpoń; dopiero

teraz zrozumiała, że nie ma w nim nic prócz zewnętrznej elegancji i że na niego nie może liczyć rodzina pragnąca wydobyć się z nędzy. Córki były światowymi pannami, które umiały się znaleźć w towarzystwie i jak lalki zdobić salon, a i tego nie robiły bez pewnego prostactwa widocznego natychmiast dla osób z wyższej sfery. Tylko Juanito, parias tego domu, był coś wart. I teraz oto leży tu umęczony wieczną wzdargą i zapomnieniem rodziny, a jego piersią targa rozpaczliwa walka ze śmiercią.

Teraz dopiero wszystko stało się dla niej jasne. Ach, jaka była głupia!... Przyrzekała sobie poprawę, ale żal za winy minął po południu, gdy przyszedł jej brat.

Don Juan przysięgał sobie nieraz, że nie przestąpi już nigdy progu domu swojej siostry, ale na wieść o ciężkim stanie zdrowia siostrzeńca przybiegł natychmiast. Bardzo kochał Juanita. Zerwał z nim w przypiływie charakterystycznej dla swego usposobienia fali gniewu; później nie stykali się ze sobą, jednakże wuj informował się jak najdokładniej o interesach siostrzeńca. Teraz wszedł do alkowy chorego trochę sztywny, w czworograniastym kapeluszu na głowie i rzucił siostrze pełne wzgardy spojrzenie.

Czynił wysiłki, aby udać oschłość i chłód, tak jak gdyby przybył tu na głos obowiązku, a nie uczucia; ale szczeciniaste wąsy drżały wyraźnie, powieki drgały nerwowo. Głośny rżący oddech, zupełna bezwładność chorego, trupie cienie na jego twarzy podkreślające przykrą czernią kości policzkowe, zaostzony nos — wszystko to wyprowadziło biednego starca z pozornej równowagi i wydarło mu krzyk płynący z głębi serca.

— Juanito ... Dziecko moje... Słyszysz mnie? ... To ja, twój wuj, Juan ...

Nachylił się nad chorym i ucałował jego spocone czoło. Ale brodata, sina twarz wynurzająca się z bieli łoża pozostawała nieruchoma.

Stary wybuchnął płaczem.

— Koniec ... Tu już nic nie pomoże. Powiedział mi to jego lekarz, ale musiałem sam zobaczyć, aby się przekonać. Nie, to nie do wiary ... Chłop jak dąb, a tutaj nagle!... Ach, to rżenie rozdziera mi serce... Boże! jakby kto mnie samemu płuca wrywał. Cóż to za niesprawiedliwość, Boże wielki, taki robaczywy staruch,

jak ja, zdrow i cały, a ten chłopak, który rwał się do świata, idzie na cmentarz!...

Nastąpiło długie milczenie.

— No, teraz już jesteś zadowolona! Dążyłaś przecież do tego! Ten chłopak zawsze był ci solą w oku, jako syn swego ojca.

— Co! — krzyknęła donia Manuela zrywając się z miejsca z oczyma rzucającymi błyskawice. Jej arystokratyczne nozdrza drgały z oburzenia.

Owo milczenie było jak cisza przed burzą. Okropne rżenie chorego stawało się coraz bardziej rozdzierające.

— Tak, moja droga. I nie stawiaj się tak, bo ja się ciebie nie boję. Wiesz dobrze, że znam cię doskonale i twoja groźna mina mnie nie przestraszy. Ty i tylko ty jesteś sprawczynią jego śmierci. Może myślisz, że ja o niczym nie wiem? To był chłopak miękki, skromny, brał przykład z uczciwych ludzi, był uczniem naszej szkoły. Największym jego marzeniem było zdobyć pozycję bez uszczerbku dla honoru. Zgubiło go to, że zbyt ciebie kochał, że wytoczyłby dla ciebie ostatnią kroplę krwi. Naprzód kazałaś mu podpisywać weksle i płacić swoje długi, a potem ten kretyń, jego szef, i ty w waszym głodzie (pieniędzy zagnaliście chłopaka do złodziejskiej meliny, której imię giełda. Przyszła nieuchronna ruina... I cóż... Chłopak idzie do ziemi... Kto tu jest winien, ty macocho?! Kto zamordował tego chłopca, ty bezwstydną suko?!

— Juan! ... Juan!... — krzyknęła donia Manuela i postąpiła

o krok naprzód z wyciągniętymi przed siebie rękoma, z palcami zagiętymi jak szpony.

— Co?... Ty na mnie? ... O, ja się ciebie nie boję! Ludzie uczciwi nie lękają się mówić prawdy... Widzę, że płakałaś, ale twoje fałszywe łezki nie zdołają mnie oszukać. Ty nie syna oplakujesz, ciebie zasmuca zbliżająca się nędza i ruina twojego przyjaciela, Cuadrosa.

Ostatnie słowa wypowiedział Juan takim tonem, że siostra cofnęła się o krok, zbladła i opuściła drapieżne przed chwilą ręce.

— Sądzę, że mnie zrozumiałaś. Może ci się zdawało, że ja

i o tym nie wiem? Wiem wszystko, moja droga, i powiem więcej — wstydzę się, że nosimy wspólne nazwisko.

Karciłem cię, że w okresie wdowieństwa miałaś romans z doktorem Pajaresem. Wtedy mogłaś się jeszcze usprawiedliwić, bo jednak wówczas

kochałaś tego swego kogutka... Teraz nic cię nie usprawiedliwia, żeś się sprzedała, że jak zwykła ulicznica oddałaś się tamtemu. Na złą drogę weszłaś, Manuelo, i zabrnęłaś na niej zbyt daleko. Ale będziesz ukarana, zobaczysz, że utrata honoru na nic ci się zda. Straciłaś swoją kobiecą uczciwość, a mimo to znów znalazłaś się w kłopotach, bo ten idiota Cuadros już się z tego nie wylize. Mówiono mi nawet, że gdzieś zniknęła. Widocznie uciekł, tak jak jego błazeński

mistrz, Morte, bo wie, że cały jego majątek nie wystarczyłby na spłnienie nawet dziesiątej części długów. Płacz więc, moja droga, płacz. Upadłaś w błoto, ale na nic ci się to nie przydało.

Donia Manuela szlochała gorzko, ale sama nie wiedziała, czy to widok umierającego syna wyciska jej łzy, czy obelgi brata, czy też wiadomość o ucieczce Cuadrosa.

Przy łożu chorego staruszek mówił dalej podnieconym szeptem, a potem zaczął na cały głos przekrzykiwać straszliwe rżenie konania.

— Powtarzam ci jeszcze raz: na mnie nie licz zupełnie. Dawniej nie lubiłem cię, bo byłaś rozrzutnica, trudno, żebym cię kochał teraz, kiedy stałaś się ... Nie chcę nawet tego wymówić. Jedyńm człowiekiem, który mógł na mnie liczyć, był ten biedaczysko. Moich kilka groszy przeznaczyłem dla niego ... Teraz wszystko skończone. Niczego już nie oczekuję i niczego nie pragnę. Wydam to, co mi pozostało, postaram się użyć życia, a jeśli mi przyjdzie ochota kogoś obdarzyć, to mam już upatrzone osoby.

I zwracając się do chorego powiedział doń pieszczotliwie, jak gdyby Juanito go słyszał:

— Juanin, synku najdroższy!... Twój wuj jest przy tobie... Odejdź spokojnie, bo jest ktoś, kto zaopiekuje się kochającymi cię osobami, które miały wejść do twojej rodziny.

— Co?!... Co ty mówisz?!

— Cicho, Juanin mnie rozumie, chociaż wygląda jak martwy. Ja też połączę się z nim wkrótce ... Dlatego nie płaczę ... Nasze rozstanie nie będzie długie, potrwa najwyżej kilka lat... Jak gdyby odjeżdżał w podróż ... Wiem jednak, że gdy się spotkamy, na pewno ucałuje mnie z wdzięcznością i nazwie „wujaszeczkiem”, jak wówczas, kiedy był małym chłopcem i w niedzielę bawił się na strychu mego domu...

Rozrzewniony wspomnieniami don Juan szlochał cicho, schylony nad posiniałą twarzą chorego, a jego starcze łzy opadały na czoło Juanita, łącząc się z zimnym potem agonii. Nagle, jak gdyby zawstydzony własną słabością, wyprostował się; widocznie przypomniał sobie jakiś oburzający, uczepiony pamięci szczegół z życia siostry i spojrział przenikliwie na donię Manuelę.

— Słuchaj mnie dobrze. Gdy jego stąd wyniosą, nie zobaczymy się już nigdy. Tylko on jeden wiązał mnie z twoim domem, tylko on mógłby żądać, abym tu przyszedł. Źle jest z tobą, Manuelo. Zdaje ci się, że nikt nic nie wie o twoim ostatnim szaleństwie, a tymczasem wszyscy, którzy cię znają, podejrzewają cię o to. Możliwe, że ten biedak też się czegoś domyślał i będzie się musiał wstydzić za swoją matkę na tamtym świecie!...

— Juan!... Milcz na Boga!... Zabijasz mnie!...

Donia Manuela krzyczała, w przerażeniu zasłaniając twarz rękoma. Obawa, która ostatnio tak ją męczyła, znalazła swoje odbicie w słowach brata. Wprawilo ją to w stan takiego wzburzenia, że rżenie konającego wydawało się matce głośniejsze, jak gdyby chory starał się w jakiś sposób powiedzieć to, co usłyszał.

— Tak, tak, Manuelo. Zgaduję twoje myśli. Twój syn umiera, a ty nie masz pewności, czy zabiera do lepszego świata niezmaconą wiarę w cnotę swojej matki, taką samą, jaką ja miałem w cnotę naszej. To będzie kara dla ciebie, źródło wiecznego wyrzutu sumienia ... To ci nigdy nie da spokoju. Dotychczas dobry Juanito nie zasłużył sobie na twoje względy, dopiero jego śmierć rozbudzi w tobie (instynkty macierzyńskie. Będiesz o nim myślała i w dzień, i w nocy, będziesz go widziała w snach, a przypuszczenie, że zmarły syn znał wszystkie twoje uczynki, obrzydzi ci życie... Ach, ty nieszczęśliwa... Żal mi cię, bo wyobrażam sobie bezsenne noce, kiedy będziesz patrzyła na puste łoże Juanita i będzie ci się zdawało, że słyszysz jego kroki w pokojach. Kiedy nędza cię przydusi i twoje bękarty, próżniaki Pajares, nie zechcą ci dać kawałka chleba, zapłaczesz i pomyślisz., że Juanito od ust by sobie odejmował, aby tobie dać!...

Teraz dopiero donia Manuela rozplakała się na dobre, bo pomyślała o straszliwych wyrzutach sumienia, które jej brat wróżył, a przed oczyma stanęła jej nędza, której się tak lękała.

Jej rozpacz była tak wielka, że don Juan zamilkł ogarnięty współczuciem. Nastąpiło długie milczenie. Staruszek usiadł na niskim stołku, oparł się plecami o łóżko i z głową opuszczoną na piersi oddał się bolesnym rozmyśleniom. Donia Manuela popłakiwała coraz to podnosząc oczy, aby popatrzeć pytająco na nieubłaganego brata, jak gdyby prosiła go o litość.

Dłużej niż godzinę trwało milczenie w alkowie, gdzie słyhać było tylko straszliwe rżenie chorego. Donia Manuela wstawiała co chwile, aby przesunąć dłoń po spoconym, coraz chłodniejszym czole chorego, po czym usiadłszy na swoim miejscu patrzyła z rozpaczą w przestrzeń. Świszczącemu oddechowi towarzyszyły teraz dreszcze, które niemal udzielały się czuwającym.

Don Juan bladł coraz silniej; czuł w sobie wszystkie bóle tego nieruchomego ciała i spoglądał na siostrę z takim wyrazem, jak gdyby to ona torturowała biedaka. Do alkowy weszły Amparo z Conchitą i powodowane instynktem przedwcześnie dojrzałej, znającej świat młodzieży, podeszły do wuja i ucałowały go w czoło. Zrobiło to wrażenie na staruszku i podczas gdy dziewczęta ze zmarszczoną brwią i ściśniętymi wargami patrzyły na umierającego brata, don Juan zwrócił się do siostry i prawie szeptem, jękając się, jak gdyby walczył z własną słabością, powiedział:

— Słuchaj, Manuela... Dla ciebie nic bym nie zrobił, bo na nic nie zasługujesz, ale widok tych dziewczątek zachwiał moim postanowieniem. Nie chcę obciążać mego sumienia. One są źle wychowane, prowadzenie się matki nie mogło być dla nich dobrym przykładem, są przyzwyczajone do zbytku, a przy tym młode i może się łatwo zdarzyć, że gdy znajdą się w nędzy, nie uchronią się przed upadkiem.... Nie próbuj nawet przeczyć, nie przekonasz mnie. Ja wiem, dokąd można zejść idąc drogą, jaką wy wybrałyście ... Pomogę wam, widzisz, że nie jestem najgorszy. Chcę, abyście żyły bez szaleństw, żebyście prowadziły życie rozsądne i uczciwe. Zapomnijmy o tym, co było. Nie mam teraz głowy do rachunków, ale zdaje mi się, że po uregulowaniu twoich zaległych płatności uda mi się uratować jakąś część strwonionego majątku. Dodam do tego coś od siebie, abyście mogli żyć jak te osoby uczciwe, ale skromne, które wy nazywacie pogardliwie hołotą. Będziecie hołotą, rozumiesz? Wolę was widzieć takimi, niż oglądać fałszywe seniory, (które sprzedają swoją cnotę, aby oszukiwać świat.

Co dotyczy Rafaelita, to albo będzie się uczył i zostanie pożytecznym człowiekiem, albo wypędzisz go z domu... Bo ja, moja droga, nie mam zamiaru utrzymywać trutni ...

Wieczorem Juanito zmarł. Z chwili na chwilę ustawała praca przeżartych chorobą płuc. Rżenie umilkło nagle, jak milknie zatrzymująca się lokomotywa, a gdy alkowa pogrążyła się w żałobnej ciszy, w całym domu wybuchły łkania i lamenty. Nawet Visanteta i delikatna pokojówka popłakiwały w kuchni na myśl o tym, że już nie zobaczą nigdy dobrodusznego panicza, który chętnie z nimi rozmawiał i spełniał ich życzenia.

Wśród czterech woskowych świec leżał Juanito na czarnym tle miękko wymoszczonej, Małej trumny ze złoceniami, takiej samej jak ta, która niedawno go kusiła. Przez całą noc czuwał przy nim brat z Robertem; chłopcy od czasu do czasu wychodzili na balkon, aby wypalić papierosa.

Nazajutrz rano zaczęły się wizyty kondolencyjne. Przyjaciele i znajomi zjawiali się w czarnych ubraniach i rękawiczkach. Kobiety w czarnych welonach — każdy przynosił smutek na twarzy i słówko pocieszenia przechowywane na takie okazje.

Jedyną wzruszającą nutę do tej sztywnej i zimnej ceremonii wniosły dwie nieśmiałe kobiety w żałobie, które płakały głośno, wsparte o siebie ramieniem. Nikt ich nie znał, ale wprowadził je don Juan.

— Nie widzę ... Nie widzę go... — pojękiwała smutnie starsza z nich wytężając matowe, ślepe gałki oczu.

Młodsza patrzyła z uporem, w bolesnym oszołomieniu ona rozwichrzoną brodę trupa.

— Nie podchodź, dziecko — powiedział łagodnie don Juan — zdenerwujesz się za bardzo... Wiem, o czym myślisz. Dostaniesz jego włosy. Załatwię to na cmentarzu.

Don Juan popychając przed sobą łagodnie Tonikę i Michaelę wyprowadził obie z salonu, traktując je z prawdziwie ojcowską tklivością. Ludzie w czerni otaczający katafalk znali szorstkość starego i jego nagłą łagodność napełniła ich podziwem. Zaczęły zwrócić uwagę na subtelną twarzyczkę Toniki i ledwie poruszając wargami, jak przy modlitwie, wymamrotały pod welonem:

— To pewnie jego kochanka.

Z placu dochodził turkot powozów i pokrzykiwania stangretów. Po chwili chór ponurych głosów zaintonował pierwszą strofkę De profundis...

Zebrała się tu niemal cała parafia. Już czas wynieść zwłoki. W salonie rozległo się teraz stukanie młotka wbijającego gwoździe do trumny, stukanie powtarzane przez dźwięczne echo. Wszystkie balkony wychodzące na plac pełne były ludzi, jak gdyby oczekiwano procesji. Wokół srebrnego krzyża cisnęły się głowy księży w czworograniastych czarnych biretach, koronkowe komże ministrantów i błyszczące czapki pomocników. Przybyła już cała arystokracja giełdowa. „Zwyżkowcy”, uszczęśliwieni odniesionym zwycięstwem, oraz zwolennicy gry na „zniżkę”, przybici i smutni, wreszcie ci, którzy wygrywali zawsze — młodzi kurierzy i agenci zaprzyjaźnieni z Juanitem. Wspominali teraz w serdecznych słowach, jak dobrodusznie przyjmował ten brodac z dziecęcym wdzięku ich niewybredne żarty. Przez całą drogę na cmentarz aż do samej bramy świętego Wincentego kondukt pogrzebowy był maszerującą sesją giełdźiarzy. Panowie ci zapominając, dlaczego idą teraz ulicami niby za procesją, rozmawiali o interesach, o ucieczce Ramona Morte, o giełdowej bombie, która wybuchła w końcu miesiąca, i o rozpaczliwej sytuacji uczniów sławnego bankiera.

Nazwisko pana Antonia Cuadros było na wszystkich ustach. Widocznie stwierdził, że nie może pospłacać długów, i ze strachu przed skandalem wczoraj uciekł. Jedni powiadali, że wyjechał kurierem w kierunku Francji, inni, że ukrył się w Barcelonie lub w Kadyksie w oczekiwaniu na jakiś transatlantyczny okręt, który miał go zabrać. Ameryka bowiem jest przyszłością dla zrozpaczonych i obietnicą dla zrujnowanych. Teresa zapewne wiedziała, gdzie znajduje się jej małżonek. Musieli tę ucieczkę ułożyć między sobą, dlatego była taka spokojna. Ona z synem pozostała w sklepie „Pod Trzema Różami” i wszystkim, którzy pytali o don Antonia, odpowiadała jedno i to samo: Wyjechał z Walencji, ale niedługo wróci, żeby uregulować interesy.

Była to skopiowana w miniaturze ucieczka bankiera Morte. Mówiono poza tym, że pan Cuadros wciągnął do swoich manipulacji oszczędności don Eugenia, który mu je powierzył. Wszyscy współczuli biednemu staruszkowi.

Mogli sobie czekać dłużnicy Cuadrosa na jego powrót! W kondukcje pogrzebowym znajdowali się agenci giełdowi, w interesie których leżało natychmiastowe wszczęcie procesu, zaczęli więc mówić o ogłoszeniu upadłości i wyrażali nadzieję, że może już w tej chwili sąd wysłał syndyka, aby sporządził inwentarz sklepu.

Stało się tak rzeczywiście. O drugiej po południu do sklepu „Pod Trzema Różami” weszło kilku panów z papierami pod pachą, za nimi woźni. Ukazanie się tych kruków prawa poruszyło cały rynek. Korzystających z kredytu, solidnych kupców na dawną modłę, gnieżdżących się po ciemnych sklepikach, ogarnął niepokój, jaki w uczciwych ludziach dobrych obyczajów wzbudzają zawsze przedstawiciele surowego hiszpańskiego prawa.

Strasznie wyglądał dziś sklep „Pod Trzema Różami”. Niby żywa istota, przyjmował on spadające na niego nieszczęście z bólem i rezygnacją. Znikły ozdoby na drzwiach. Jedynie kilka chłopskich pasów i chustek do nosa kołysało się nad balkonem, niby wisielcy na sznurze. Wystawa miała wygląd opuszczony i zaniedbany; warstwa kurzu z trzech dni tłumiła jaskrawe kolory materii, a nawet symbol magazynu, ów manekin ubrany po wiejsku, zdawał się patrzeć na rozległy, wesoły plac okiem trupa. Przez uchylone drzwi innych sklepów subiekci wytykali ciekawe głowy z takim wyrazem twarzy, jak gdyby przyglądali się w teatrze ostatniemu aktowi dramatu. Właściciele tych przedsiębiorstw stali na ulicy i marszcząc brwi odwracali się od „Trzech Róż”, jak gdyby widok tej katastrofy sprawiał im zbyt wielki ból. Zaledwie przedstawiciele prawa zasiedli w sklepie, skąpa garstka subiektów obecnych przy pracy, wiernych stróżów zrujnowanego handelku, rzuciła się ku drzwiom, aby je zamknąć i uchronić się od natarczywej obserwacji ciekawych. Pisarz wszedł na pierwsze piętro, aby nim zabierze się do zestawienia masy upadłości, ściągnąć od pani Cuadros niezbędne zeznanie.

Z tylnej części sklepu wybiegł szybko stary człowiek, jak gdyby go ktoś gonił.

— Don Eugenio! — zawołali subiekci — dokąd pan się tak spieszy? ...

— Puście mnie, chłopcy. Ten pan na górze powiedział mi już co prawda, abym nie wychodził... Ale raczej dam się zabić, niż

zgodzą się pozostać. Nie mogę żyć tutaj... Nie mam już domu ... Puśćcie mnie... Otwórzcie drzwi ... Pomarszczona twarz osiemdziesięcioletniego starca była blada jak marmur, obwisłe policzki drżały. Zapomniał wziąć laski, na której zwykle się opierał, i z oczyma nabiegłymi krwią, nie panując nad gestami, wyglądał jak nieszczęsny obłąkaniec.

Przecisnął się między subiektami i wysłannikami prawa i jak gdyby wielkie oburzenie dodało mu sił, kopnął mocno nogą uchylone drzwi i wyszedł.

Letnie popołudnie skąpało plac walenckiego rynku w gorącym słońcu. Drgające w rozświetlonym powietrzu muchy błyszcząły jak ruchome złote iskry; na tle błękitu przestrzeni rysowały się ostrym konturem dachy budynków.

Naprzeciwko Principalu gromada żołnierzy zajadała melony; ciekawi subiekci wystawali we drzwiach sklepów; rynkowe łobuziaki grały po bramach w orła i reszkę. Plac był na ogół pusty; oślepiający blask słońca rozpałał płyty chodnika wolnego już od koszów i straganów.

Don Eugenio błędził bez celu po mieście. Nogi mu drżały i przed oczyma fruwały ciemne plamki; jak we mgłę widział właścicieli sklepów spoglądających na niego ze współczuciem i zapraszających przyjaznymi skinieniami.

— Nie, nie mogę wejść... Nie mam prawa was odwiedzać, jesteście synami i spadkobiercami kupców mojego pokolenia, starych kompanów, którzy woleliby umrzeć, niż uchybić uczciwości. Nie mogę przekroczyć progu waszych sklepów. Jestem założycielem „Trzech Róż”, bankrutem, któremu konfiskują sklep i któremu żaden uczciwy kupiec nie powinien podawać ręki... Ach, mój biedny sklep ... Na co ci przyszło, Eugenio... Po sześćdziesięciu latach pracy i nieskalanej uczciwości dożyć wieku, jakiego niewielu może doczekać, i na co to wszystko — czy po to, aby zobaczyć, jak w ciągu jednego dnia rozpada się w gruzy to, co z takim trudem budowałem? ... Co za czasy, co za czasy! Co za ludzie, którzy przegrywają swoją przyszłość i szczęście własnej rodziny, którzy za nic mają uczciwość i uciekają tak haniebnie?! Przeklęta ambicja każe im porzucić własną sferę i piąć się wyżej... To ich gubi... Te czasy nie są już dla mnie... Jestem trupem, który cudem żyje na świecie... Moi koledzy, moi przyjaciele od wielu lat gniją w ziemi... I ja tam powinienem być. Ten chłó

pak, Juanito, rozumiał mnie... Wszystko jest jasne. Chociaż był uległy, ale należał do nas i wołał odejść. Panie Boże, czy po to trzymałeś mnie tak długo przy życiu? ... Zabierz mnie, zabierz jak najprędzej!

Trawiony takimi myślami, włókł się powoli zygakiem jak pijany, z twarzą coraz bledszą, i wyciągał ręce do góry, jak gdyby bez słów błagał, aby go z tego świata zabrano.

Gdy znalazł się naprzeciwko katedry Świętego Jana, jego spojrzenie, coraz bardziej zamglone i coraz mniej widzące, ogarnęło sławnego kurka, który błyszczał w słońcu jak rajski ptak.

— To było tutaj... Jak psa mnie tu zostawili... Tyle pracowałem i co mam z tego? Zostawili mnie głodnego i nieszczęśliwego po to, abym po siedemdziesięciu latach znalazł się w tym samym etanie, na tym samym miejscu.

Piękna przyszłość!... Było się uczciwym człowiekiem, pracowało się od rana do nocy po to, aby wreszcie doczekać się ruiny, aby iść z torbami, aby pod bramą katedry Świętego Jana wypraszać jałmużnę u dzieci dawnych przyjaciół... Ach, mój biedny sklep ... Tonie okręt, kapitan musi umrzeć. Gdzie ten ptak? Kto go zabrał? ... Jak wcześniej zapada zmierzch... W głowie mi się mąci... Giniesz, stary!... Boże... To już...

Upadł.

Naprzód ugięły mu się nogi w kolanach i klęczał chwilę w tym samym miejscu, w którym przed siedemdziesięciu laty porzucił go ojciec, po czym runął na bruk.

Dość liczni świadkowie tej sceny, którzy zdążyli wyskoczyć ze sklepów, oglądali agonię ostatniego weterana walenckiego rynku.

